Ball

INA


BIBLIOTEKA
Zakł. Nar. im. Ossolińskich
78.387

JANINA

POWIEŚĆ

z angielskiego przez

CURRER-BELL.

Przekład

Emilii Dobrzańskiej.



PIOTRKÓW.
Nakładem Redakcyi „Tygodnia".
Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie

1882.

JANINA.



JANINA

POWIEŚĆ

z angielskiego przez

CURRER-BELL.

Przekład

Emilii Dobrzańskiej.



78387

PIOTRKÓW.
Nakładem Redakcyi „Tygodnia".
Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

1882.

78.387

Дозволено Цензурою
Варшава, 1 Декабря 1881 года.



W drukarni F. Bełchatowskiego w Piotrkowie.

JANINA

POWIEŚĆ

z angielskiego

przez

Currer-Bell (*).

Przekład

E. Dobrzańskiej.

ROZDZIAŁ I.

Dzień był słotny i mroźny, nie sposób też było myśleć o przechadzce.

Pani Reed wyciągnięta przed kominkiem na wygodnej kanapce, zdawała się być szczęśliwą zupełnie w gronie swych dzieci: Jana, Elizy

(*) Powieść niniejsza, znanej i powszechnie cenionej autorki angielskiej, wydała nam się tak piękną i napisaną z taką głęboką znajomością charakterów ludzkich, z takim artyzmem w ich odmalowaniu, że nie mogliśmy się oprzeć pokusie zaznajomienia z nią czytelników „Tygodnia". Ponieważ jednak ramy jej za obszerne są do dodatku naszego, w opisie przeto dziecinnych lat bohaterki i niektórych epizodycznych częściach powieści pozwoliliśmy sobie skrócić ją cokolwiek w szczegółach, bacząc jednak pilnie, by najmniejszy rys, mający wpływ na rozwój charakteru Janiny, żadna drobnostka mająca związek z dalszym tokiem opowiadania, nie były pominięte. (Przyp. tłom.)

Georginy, które otaczały ją w wyjątkowo spokojnem i zgodnem usposobieniu.

Mnie wzbroniono przysuwać się do nich. Pani Reed oświadczyła mi, że dopokąd Bessie, bona nasza, nie uzna, że poprawiłam się z błędów swoich i stałam się dzieckiem milszem w obejściu, swobodniejszem i grzeczniejszem, dopotąd nie może pozwolić na to, bym przestawała z jej dziećmi.

— Cóż tam znów Bessie naskarżyła na mnie ?—spytałam.

— Janino ! Jak możesz tak niegrzecznie odzywać się o starszych ? — spytała pani Reed,— proszę cię usiądź gdzie na boku i nie odzywa się, dopokąd nie nabierzesz więcej rozsądku.

Wysunęłam się do przyległego pokoju, który był salą jadalną i jednocześnie biblijoteką. Wyciągnęłam z szafy książkę z obrazkami i wsunęłam się z nią w głęboką framugę okna. Ciężkie adamaszkowe firanki dzieliły mnie od reszty pokoju—szyby okna od zawiei, która szalała na dworze.

Zajęta obrazkami, spokojna i samotna, czułam się szczęśliwą i obawiałam się tylko, by mi nie przeszkodzono.

Jakoż wkrótce Jan Reed wbiegł do pokoju.

— Pani grymaśnico, gdzie jesteś ! — zawołał na progu.

Zobaczywszy jednak, że pokój był pusty,

chciał się już cofnąć, gdy idąca za nim Eliza odezwała się:

— Jest zdaje się we framudze okna.

Wyszłam z ukrycia mego cała drżąca.

— Czego chcesz?—spytałam.

— „Czego pan chce"; powiedz raczej. Po co tu przyszłaś?

I mówiąc to, rozsiadł się w fotelu, a mnie kazał stanąć przed sobą.

Jan, był czternastoletnim, silnym i barczystym chłopcem, o śniadej, wymiękłej cerze i ostrem obejściu.—Nie był dotąd w szkołach, bo matka po dwumiesięcznej próbie odebrała go ztamtąd, utrzymając, że był słabowity i zbytek pracy mógł go zabić.

Chłopiec ten nie kochał nikogo; mnie wyjątkowo nienawidził. Drżałam też przed nim, tem więcej, że nikt nigdy nie stanął w mojej obronie. Wszyscy bali się Jana i schlebiali mu, z obawy, by nie poskarżył się przed matką, która ślepą i głuchą była na jego wybryki. Bił mnie i lżył ostremi słowy w jej obecności; niemniej pani Reed nigdy nie widziała i nie słyszała tego.

Słuchałam zawsze Jana; to też i tym razem wiernie spełniając dany mi rozkaz stanęłam przed nim.

Pokazał mi język i tak ze trzy minuty przy-

glądał mi się. Wiedziałam, że mnie uderzy; z rezygnacyją czekałam na to.

Po chwili wstał i wyciął mi silny policzek. Zachwiałam się i odsunęłam o parę kroków.

— Masz za zuchwalstwo względem mamy, za to, że schowałaś się za firankę i za zuchwałe wejrzenie, które rzuciłaś mi przed chwilą.

Milczałam i cierpliwie oczekiwałam drugiego uderzenia.

— Co robiłaś za firanką?

— Czytałam.

— Pokaż książkę.

Podałam mu ją w milczeniu.

— Jakim prawem bierzesz moje książki, ty żebraczko? ty, co nie masz nic? Mama mówi zawsze, żeś powinna być między sługami, nie wśród nas, dzieci bogatych; żeś biedna i na łasce naszej. Nauczę ja cię plondrować po mojej biblijotece i po moim domu! Idź i stań pod drzwiami, zdaleka od okien i lustra.

Usłuchałam go i zaledwie zdołałam zrozumieć, co mi grozi, ciężki tom z zamachem rzucony uderzył mnie w głowę i skaleczył do krwi.

Cierpiałam silnie, strach i obawa zmieniły się nagle w uczucie gniewu i wściekłości niemal.

— Jesteś,—zawołałam—nędznikiem, rozbójnikiem, zbrodniarzem,... cesarzem Rzymskim!...

Czytałam niedawno historyję Rzymu Goldsmitha i wyrobiłam sobie już pewne pojęcie o Neronie, Kaliguli i ich następcach.

— Co?... Jakto?—zawołał rozwścieczony—ona mnie, mnie odważa się mówić takie rzeczy w oczy!—Elizo, Georgino, słyszałyście? Powiem ja to mamie! Ale wpierw...

Tu chwycił mnie za włosy i ramiona. Krople gorącej krwi ciekły mi po szyi—nie panowałam już nad sobą. Słyszałam krzyki i przekleństwa Jana, czułam ból i upokorzenie, widziałam jak do pokoju weszła pani Reed z panną Abbot, pokojówką swoją i z Bessie. Rozdzielono nas i do uszu moich doszły tylko wyrazy:

— Boże! cóż za zuchwalstwo! Uderzyć pana Jana!

— Zamknąć ją w czerwonym pokoju—zawołała pani Reed.

Cztery ręce chwyciły mnie i uprowadziły.

ROZDZIAŁ II.

Daremnie siliłam się wyrwać z rąk prowadzących mnie kobiet.

— Trzymaj ją panno Abot,—wołała Bessie—jest zła, jak kot wściekły?

— Boże! co za zuchwalstwo! — powtarzała przez całą drogę Abbot,—uderzyć szlachcica, syna swej dobrodziejki!—Swego pana!

— Jakto swego pana? Czyż jestem jego sługą?

— Gorzej jak sługą; bo jesteś na łasce jego. Usiądź i zastanów się sama nad postępkiem swoim. Wprowadziły mnie do czerwonego pokoju i posadziły na krześle.

Zerwałam się.

— Panno Abbot, daj mi podwiązkę—przywiązać ją trzeba.

— Nie trzeba—zawołałam upokorzona—nie ruszę się ztąd. I konwulsyjnie chwyciłam za poręcz krzesła.

— Nigdy jeszcze nie była taką—zauważyła Bessie.

— Ale złe w niej było! Mówiłam o tem z panią i ona też uznała, że niema fałszywszego dziecka pod słońcem.

Bessie nie odpowiedziała; po chwili dopiero zaczęła:

— Panno Janino! powinnaś pamiętać o tem, ile winna jesteś pani Reed, i postępowaniem swojem starać się zasłużyć na jej miłość. Wierzaj mi, że ci to mówię dla twego dobra—dodała łagodniej.

— Pan Bóg ją ukarze! powiedziała Abbot. Może zesłać na nią nagłą śmierć, a wtedy cóż stanie się z jej duszą? Módl się panno Janino gdy zostaniesz sama, bo inaczej zły duch gotów wejść do ciebie przez komin!

Wyszły i zamknęły za sobą drzwi.

Zostałam sama, a miałam wtedy rok dziesiąty. Czerwony pokój był zupełnie od reszty domu oddzielony; palono tu rzadko i nikt nigdy w nim nie mieszkał, pani Reed tylko od czasu do czasu przychodziła tu, by przejrzeć biurko, w którym były papiery jej, kosztowności i portret nieboszczyka męża.

Pan Reed umarł w tym pokoju przed dziewięciu laty, tu stał po śmierci i odtąd pokój ten otoczony tajemniczą czcią stał pusty i samotny. Umeblowanie jego było ponurej, ciemno pąsowej barwy; ciężkie firanki mało wpuszczały światła i jedynym jasnym w pokoju przedmiotem

było biało zasłane łóżko byłego pana tego domu.

Na jednem z krzeseł, wprost łóżka stojącem, posadzono mnie. Siedziałam chwilę nieruchoma, nareszcie wstałam, by przekonać się, czy rzeczywiście jestem zamkniętą.

Niestety! nigdy najgorszy złoczyńca nie był lepiej uwięziony.

Wracając na miejsce, spojrzałam w lustro.— Szczupła, wątła postać, z rozrzuconemi w nieładzie włosami, iskrzącym spojrzała na mnie wzrokiem.

Zadrżałam!—Zdawało mi się, że widzę jednego z owych upiorów, o których Bessie tak zajmujące mówiła nam historyje.

Usiadłam na dawnem swem miejscu. Strach zabobonny owładnął mną, nie poddawałam mu się jednak jeszcze. Byłam wzburzona. Okrutne postępowanie Jana Reed, dumna obojętność jego siostr, wstręt do mnie ich matki, stronnicze zapatrywanie się służących na postępowanie moje, wszystko to jasno przedstawiało mi się w tej chwili, burzyło krew we mnie. Dlaczego wiecznie miałam cierpieć? Dlaczego zawsze obchodzono się ze mną źle, sądzono i potępiano bez racyi?—Dlaczego nigdy, nikomu dogodzić, nigdy nikomu podobać się nie mogłam?...

Wszak cierpiałam tak strasznie! Rana na głowie krwawiła mi się dotąd, a Janowi nie powie-

dziano i słowa na to; mnie zaś za chęć obrony, na tak straszną skazano pokutę!

„Niesprawiedliwość! niesprawiedliwość!” wołał we mnie głos jakiś wewnętrzny, i rozbudzona fantazyja, tysiące, najdziwaczniejszych, podawała mi sposobów uwolnienia się od życia takich mąk pełnego. Chciałam uciekać—głodem się zamorzyć; co chwila nowa myśl przychodziła mi do głowy, a wśród nich, ciągle jedno i to samo brzmiało pytanie: za co i dlaczego ja i zawsze ja tylko na ciągłe skazana jestem cierpienie?

Dziś, po latach wielu, odpowiedź na to łatwo mi znaleźć.

Pan Reed, brat mojej matki, przygarnął mnie do siebie, gdym małą została sierotą. Na łożu śmiertelnem wymógł od żony obietnicę, że mnie nie opuści i razem ze swemi wychowa dziećmi; kobieta ta, nienawidziła mnie duszą całą, bo byłam dla niej niczem, a charakter mój chłodny pozornie, zamknięty w sobie, nieśmiały, pewierzchowność bez wdzięku i swobody obejścia, nie mogły mi zjednać jej serca.—Trzymała mnie w domu, cierpiała, żywiła i odziewała; sądziła zatem, że spełnia dane mężowi słowo, ale zawsze, w głębi duszy czuła dla mnie wstręt i pogardę. Cóż dziwnego, że uczucia te podzielały jej dzieci, że służba chętniej schlebiała swej pani, niż biednej

opuszczonej, a w dodatku pozbawionej wdzięku dziecięcego, sierocie!

Znużona walką wewnętrzną zaczęłam opadać z sił, strach coraz to silniej mną owładał. Ściemniało się.—Po wybuchu gwałtownej rozpaczy buntu i energii, poczucie winy własnej opanowało mój umysł.

Czułam, że nie jestem bez winy. Słowa Abbot stanęły mi w myśli. Pomyślałam, że jestem grzeszną bardzo, że sasługuję na karę, choćby tylko za to,że przed chwilą pragnęłam śmierci o samobójstwie myślałam.

Stanął mi w myśli pan Reed. Gdyby on żył— inne by było życie moje. — A kto wie? pomyślałam sobie—może on widzi, jaka mi krzywda, jak źle się ze mną obchodzą? I na raz wyobraziłam sobie, że duch jego, chcąc mnie pocieszyć, ukaże mi się tu, w tym samym pokoju, w którym odebrał od żony przysięgę, dziś złamaną i sponiewieraną?

Drżałam na myśl o zjawisku podobnem, tłumiłam łkanie, by szelestem najmniejszym nie przerwać groźnej ciszy, wśród której co chwila spodziewałam się głos jaki tajemniczy dosłyszeć. Spoglądałam z obawą na białe łóżko, stojące przedemną i widząc, że odwaga odbiega mnie zupełnie, siłą woli zapanowałam nad sobą i obejrzałam się po pokoju. W tej chwili odbicie świa-

tła jakiegoś ukazało się nad łóżkiem, przemknęło po suficie i zawisło nad głową moją. Dziś, przypuszczam, że ktoś z latarnią przechodził przez dziedziniec; wówczas, pod wpływem rozstrojonych do najwyższego stopnia nerwów, błędne światełko wzięłam za zwiastuna ukazać mi się mającej wizyi. Szelest jakiś doszedł do moich uszów. Przerażona, zrozpaczona, wzburzona do szału, pobiegłam ku drzwiom, całą siłą szarpać nimi zaczęłam.

Wkrótce dały się słyszeć kroki: Abbot i Bessie stanęły we drzwiach.

— Czy panna chora?—spytała ta ostatnia.

— Co to za hałas?

— Weźcie mnie ztąd — wyprowadźcie, wołałam ze łzami.

— Dlaczego? Co ci jest? Czy zobaczyłaś co?—spytała znów Bessie.

— Oh! widziałam światło i myslałam, że mi się duch ukaże.

Chwyciłam Bessie za rękę—nie wyrwała mi jej.

— Znane sztuczki—zakonkludowała Abbot—krzyczała tak, by nas tu sprowadzić i uwolnić się prędzej.

W tej chwili w korytarzu ukazała się pani Reed.

— Co to za krzyki—zapytała ostro.—Wszak

powiedziałam wam, że Janina ma tu pozostać dopokąd sama po nią nie przyjdę. Co tu robicie?

— Proszę pani, panna Janina płakała tak bardzo—nieśmiało szepnęła Bessie.

— Puść ją—odrzekła pani Reed—puść ją natychmiast.—Za karę godzinę dłużej siedzieć tu będziesz, byś wiedziała, że wybiegi twoje i hipokryzyja na nic się nie przydadzą.

— Oh! ciociu, zlituj się nademną, przebacz mi, daj inną karę, bo ja tu nie wytrzymam, ja umrę, jeżeli mnie tu zostawisz!

— Milcz! obrzydzenie mi sprawia twoja gwałtowność!

Uważała mnie za uosobienie fałszu, obłudy i gwałtownych namiętności.

Bessie i Abbot odeszły.

Pani Reed popchnęła mnie do pokoju i drzwi za mną zamknęła.

Słyszałam, jak odchodziła.

Musiałam zemdleć, bo nie wiem nic, co działo się ze mną od tej chwili.

ROZDZIAŁ III.

Gdy przyszłam do przytomności, groza przestrachu nie utraciła jeszcze swej władzy nademną.—W pierwszej chwili nie wiedziałam, gdzie jestem i co się ze mną dzieje.

Powoli zaczęłam jaśniej myśleć.

Leżałam w łóżku, jakiś pan poprawiał mi poduszki, a Bessie ze szklanką wody stała u mego wezgłowia.

Po chwili, w obcym owym człowieku, rozpoznałam pana Lyod, aptekarza, po którego posyłano gdy ktoś ze służących zachorował w Gateshaed. Do pani Reed i jej dzieci wzywano doktora.

Byłam szczęśliwa czując, że obcy człowiek, nie należący do rodziny Reed i nie mieszkający w pałacu, czuwa nademną.—Czułam się spokojna i zadowolona.

— Kto ja jestem?—spytał mnie aptekarz.

Wymówiłam jego nazwisko i podałam mu rękę.

— Wszystko będzie wkrótce dobrze.

Poprawił mi poduszki, powiedział Bessie, by

czuwała nademną i, obiecując powrócić nazajutrz, wyszedł z pokoju.

Z żalem spojrzałam na odchodzącego. — Zostałam znów samotna.

— Czy nie chce się panience spać?—spytała łagodnie Bessie.

— Nie—szepnęłam—ale będę się starała usnąć.

— Może wody, lub zjeść co podać?

— Nie, dziękuję.

— A więc położę się trochę, bo jest już dobrze po północy. Gdyby jednak panienka potrzebowała czego, proszę mnie obudzić.

Co za nieporównana grzeczność! Nigdy jeszcze nie mówiono tak do mnie. To też odważyłam się zapytać:

— Co mi jest Bessie, czy byłam chora?

— Przypuszczam, że, wskutek płaczu, musiała panienka zemdleć w czerwonym pokoju.

Bessie wyszła do drugiego pokoju i powróciła wkrótce z dziewczyną służebną. Słyszałam gdy mówiła jej cicho, że boi się zostać ze mną sama.

— Tak bardzo była chora, może umrzeć nagle—szeptała cichutko.

Usnęły—a ja noc całą przeleżałam rozgorączkowana i zdenerwowana przy świetle płonącego ogniska.

Żadna poważna choroba nie wywiązała się wskutek owej strasznej kary; nerwy jednak mo-

je od dnia tego dotąd nie wróciły do normalnego stanu.

Opanował mną smutek dziwny; to też, gdy wstałam nazajutrz, świat wydał mi się pusty i samotny—a jakkolwiek zostawiono mnie w spokoju dzień cały, a poczciwa w gruncie Bessie dogadzała mi jak mogła, przynosząc z kuchni różne przysmaki a z biblijoteki ulubione moje książki, smutna byłam, rozdrażniona, i mimowoli łzy cisnęły mi się do oczów.

Pan Lyod przyszedł koło południa.

— Jakto? już na nogach?— zapytał w progu—jakże się miewa panienka?

— Zupełnie dobrze—odparła Bessie.

— W takim razie panna Janina powinna być weselsza. Co to płakało się? a czego? czy smutek masz jaki, kochanie?

— Pewnie płacze tego, że nie pojechała z panią,—zawołała Bessie.

— Nigdy nie płaczę o takie drobnostki, a powozem jeździć nie cierpię. Płaczę, bo jestem nieszczęśliwa.

— Oh! panienko!

Poczciwy aptekarz zdawał się zakłopotany. Patrzył na mnie swemi małemi, siwemi oczyma, które przecież chwyciły mnie za serce. Widziałam w nich wyraz dobroci.

— Od czego zachorowałaś wczoraj—zapytał w końcu.

— Upadła—odpowiedziała szybko Bessie.

— Jakto, jak małe dziecko? Czyż panna Janina nie umie jeszcze chodzić? musi już mieć przecie z osiem albo dziewięć lat.

— Uderzono mnie i dlatego upadłam; ale nie z tego wcale chorowałem —zawołałam oburzona, pod wpływem obrażonej miłości własnej

W tej chwili odezwał się dzwonek, wzywający służących na obiad.

— Idź Bessie,—rzekł pan Lyod—ja przez ten czas poczytam trochę panience.

— A więc, co było przyczyną choroby?—ciągnął dalej, gdy Bessie wyszła z pokoju.

— Zamknęli mię samą w czerwonym pokoju, który nawiedzany jest przez ducha.

— A więc bądź co bądź, jesteś dzieckiem, kiedy się boisz duchów.

— Tego pokoju boją się wszyscy, a mnie zamknięto w nim samą, bez światła. O! było to bardzo, bardzo okrutne! Bałam się też strasznie i zdaje mi się, że nigdy się już bać nie przestanę.

— Ależ to szaleństwo! Jakto? więc i teraz, w biały dzień, boisz się także?

— Nie, ale po dniu przyjdzie noc; a zresztą jestem taka nieszczęśliwa!

— Co jest powodem tego—powiedz mi dziecię.

Dzieci czują gorąco, zazwyczaj jednak nie

umieją zdać sobie sprawy z uczuć własnych.— Pomimo więc, że pragnęłam z całej duszy użalić się przed panem Lyod, nie wiedziałam od czego zacząć.

— Najprzód nie mam ani ojca, ani matki, ani brata, ani siostry.

— Ale masz ciotkę i jej dzieci, które są dobre dla ciebie.

— Jan Reed skaleczył mnie w głowę, a ciotka zamknęła w czerwonym pokoju.

— Ale pałac w Gateshaed jest tak piękny.

— To nie mój dom—odparłam.

— Niemniej opuścić byś go niechciała.

— Gdybym mogła, chętnie uciekłabym z niego.

— Czy niemasz innej rodziny.

— Podobno mam, ale ciotka mówiła, że są to żebracy.

— A chciałabyś pójść do nich?

— Nie! niechciałabym żebrać.

— A na pensyję pojechałabyś?

Pomyślałam chwilę.—Słyszałam, że na pensyi siedzi się na twardej ławce i, że Jan na swoich nauczycieli narzekał zawsze. Z drugiej strony Bessie mówił mi, że panny z pensyi umieją malować, grać i śpiewać.

— O! bardzo, bardzo pragnęłabym być na pensyi—odrzekłam też po namyślc.

— Kto wie, może to się i da zrobić, nerwy jej są bardzo osłabione, potrzebuje zmiany powietrza,—rzekł do siebie. W tej chwili weszła Bessie, jednocześnie powóz mej ciotki zajechał rzed pałac.

— Czy mogę się widzieć z panią—zapytał Bessie.

— Proszę pana, tędy. — I poprowadziła go do ciotki.

Widocznie pan Lyod podał ciotce myśl oddania mnie na pensyję, a ta zgodziła się chętnie na wniosek jego, bo wieczorem słyszałam jak Abbot mówiła do Bessie.

— Pani rada, że się pozbędzie tego nieznośnego dzieciaka.

Z dalszego ciągu ich rozmowy dowiedziałam się, że ojciec mój był ubogim pastorem a matka wbrew woli swego ojca wyszła za niego, za co wydziedziczoną została.—W rok potem, ojciec mój umarł na tyfus, a matka, pielęgnując go, zaraziła się—i w miesiąc niespełna poszła za nim do grobu.

— Biedna panienka, żal mi jej szczerze— szepnęła Bessie.

— Tak, gdyby to było choć miłe dziecko, wartoby się nad nią użalić. Ale ktoby tam uważał na taką ropuchę !

— Zapewne—nieśmiało rzekła Bessie.—Gdy-

by panna Georgina była w tem położeniu, żałowałabyś jej więcej.

— Niezawodnie! Drogie paniątko ze swemi jasnemi loczkami, oczyma jak bławatki i rumieńcem na twarzy—zawołała z zapałem wierna Abbot.

— Wiesz co Bessie, mam ochotę na kawałek królika.

— I ja także, z pieczoną cebulą.

— Chodźmy do kuchni.

Odeszły.

ROZDZIAŁ IV.

Od czasu choroby stosunki moje z rodziną Reed stały się jeszcze oziębłejsze.

Dzieci unikały mnie, nie wołano mnie nigdy na górę, całe dnie pędziłam w dziecinnym pokoju, nie biorąc bynajmniej udziału w świetnych zabawach moich kuzynek i uroczystościach, które coraz to częściej powtarzały się w pałacu.

Wolałam zresztą położenie takie; Bessie od czasu do czasu okazywała mi dobroci trochę,—to wystarczało mi zupełnie.

Nie miałam kogo kochać, przywiązałam się też dziwną miłością do lalki mojej. Pamiętam, że nie mogłam zasnąć spokojnie, dopokąd nie czułam jej przy sobie, nie ułożyłam wygodnie i nie otuliłam ciepło.—Gdy sądziłam, że jest jej dobrze, czułam się szczęśliwą, myśląc, że szczęśliwym jest kawałek martwego drzewa, ukochany przezemnie.

Jan, z daleka już tylko dokuczał mi, strojąc miny i pokazując mi język. Raz jeden tylko

uderzył mnie. Oddałam mu raz z taką siłą, że pobiegł do matki ze skargą.

— Nie mów mi o tej dziewczynie! Nie chcę z nią mieć do czynienia, — odparła gniewnie p. Reed. Proszę, pamiętajcie, że nie życzę sobie byście w jej towarzystwie przebywali.

— Oczywiście,—odrzekłam prędko,—bo towarzystwa mego nie są godni.

Pani Reed chwyciła mnie za rękę, zaprowadziła do dziecinnego pokoju i popchnąwszy silnie, kazała milczeć do końca dnia.

— Coby to na to powiedział wuj Reed, gdyby tu był!...

Słowo te wymówiłam pod wpływem siły jakiejś, która popchnęła mnie do tego, mimo mej wiedzy i woli.

Pani Reed stanęła jak wryta: patrzyła na mnie niepewna, czy ma przed sobą dziecko czy ducha złego.

— Tak,—ciągnęłem dalej, ulegając nieznanej mi potędze — wuj Reed jest w niebie, są tam i moi rodzice, widzą oni dobrze, że ciocia zamyka mnie po całych dniach w jednym pokoju i pragnie mojej śmierci.

Pani Reed wstrząsnęła mną, uderzyła mnie w twarz i wyszła z pokoju, nie mówiąc już ni słowa.

Z niecierpliwością oczekiwałam chwili oddania mnie na pensyję.—Napróżno jednak.

Listopad, grudzień i połowa stycznia upłynęły bez zmiany.

15 Stycznia,— pamiętam tę datę—ścierałam kurze w dziecinnym pokoju, gdy zadyszana Bessie wbiegła, przygładziła mi włosy, umyła twarz i ręce, założyła świeży fartuszek i kazała iść do ciotki.

Poszłam tam, drżąca i nieśmiała.

W pokoju, przed krzesłem pani Reed stała wysoka, czarno ubrana postać mężczyzny.

— Oto dziewczynka, o której mówiłam panu,—odezwała się ciotka.

— Ile ma lat?

— Dziesięć.

— Tyle aż—spytał niedowierzająco.

— Jak się nazywasz mała?

— Janina Eyre.

Spojrzałam na niego, wydał mi się wysoki bardzo, a w wyrazie jego twarzy uderzył mnie ostry wyraz hypokryzyi.

— A więc, Janino Eyre, czy jesteś dobrą dziewczynką?

Milczałam; pani Reed wyręczyła mnie w odpowiedzi.

— Im mniej mówić o tem będziemy, tem lepiej to będzie, panie Brockelhurst.

— Doprawdy? a, to bardzo smutne.

— Chodź tu,—zawołał siadając w fotelu.

Przybliżyłam się.

— Niema nic gorszego i smutniejszego nad widok złej dziewczynki. A czy wiesz, gdzie idą dusze po śmierci?

— Do piekła.

— A co to jest piekło?

— Jest to otchłań gorejąca.

— Czy chciałabyś być w nią rzucona i goreć przez wieczność.

— Nie.

— Cóż robić na to, by uniknąć piekła?

— Dobrze jeść i nie umierać—odparłam bez namysłu.

Nastąpiło długie kazanie o mylności mego poglądu.

Ja, przyglądałam się tymczasem dużym nogom i butom kaznodzei.—Westchnęłam na myśl, jak też długo potrwa to badanie.

— Mam nadzieję, że westchnienie to pochodzi z serca,—zauważył pan Brockelhurst, pewien, że wymowa jego wzruszyła mnie do głębi—i, że żałujesz z całego serca tego, że dotąd zasmucałaś swą nieocenioną dobrodziejkę.

Dobrodziejka! dobrodziejka! Wszyscy uwzięli się na to, by tak nazywać panią Reed... A! jeżeli tak — pomyślałam sobie, — to dobrodziejka jest rzeczą wielce nieprzyjemną.

— Czy modlisz się codziennie?

— Tak.

— A czytasz biblíję.

— Czasami.

— Czy lubisz ją czytać?

— Lubię czytać historyję o Danielu, Samuelu, Królach, o Jobie i Jonaszu.

— A psalmy, wszak lubisz je także?

— Nie, panie!

— Co za wstyd! Ja mam pięcioletniego synka, który na zapytanie: co wolisz, czy zjeść piernika, czy nauczyć się strofki psalmów—odpowiada zawsze:

„Ja wolę nauczyć się psalmu, bo aniołowie w niebie śpiewają psalmy, a ja chcę być aniołem na ziemi" i wtedy dostaje dwa pierniki w nagrodę swej pobożności.

— Kiedy psalmy nie są wcale zabawne — zauważyłam.

— To dowód, że masz złe, kamienne serce. Proś Boga, Janino Eyre, by wyjął ci z piersi to serce zimne, a dał na to miejsce inne, gorejące miłością Bożą.

Przemyśliwałam w duchu, w jaki też sposób ta operacyja mogłaby się dokonać.

Tymczasem ciotka Reed zaczęła opisywać panu Brockelhurst mój charakter.

— Jak to już panu mówiłam, charakter tej dziewczyny zostawia wiele do życzenia, ma wiele wad, z których najgorszą jest obłuda i kłamstwo.

Wszystko zawrzało we mnie na tę obelgę nie-

zasłużoną. Widziałam, że te słowa są zgubą dla mej dobrej na pensyi opinii; czułam instynktownie, że wszelkie moje usiłowania, by zjednać sobie serca ludzkie na nowej drodze życia daremnemi już będą. Pan Brockelhurst uważać mnie będzie za złą i obłudną; zdanie to oczywiście podzielą wszyscy na pensyi.

Łzy cisnęły mi się do oczów. Obcierałam je je ukradkem, słuchając rozmowy ciotki z panem Brockelhurst.

Ciotka prosiła go o rygor i surową epiekę nademną; on obiecywał wszystko, kreśląc przytem wcale nie zachęcający dla mej dziecinnej wyobraźni obraz wzorowej swej szkoły.

— A zatem, jak będę mogła, najprędzej odeślę ją wam.

— Dobrze pani, mnie wprawdzie nie będzie w domu, ale zostawie pannie Temple stosowne informacyje i siostrzenica pani w każdym czasie przyjętą będzie do zakładu.

— Pożegnał ciotkę, mnie obdarował książeczką jakąś, mającą mi przedstawić w całej okropności ohydę mych występków—i wyszedł.

Siedziałam wciąż patrząc na szyjącą w milczeniu ciotkę. Krew wrzała we mnie.

— Możesz odejść Janino.

Wstałam i skierowałam się ku drzwiom. Po chwili powróciłam.

Pragnęłam się zemścić za doznaną krzywdę myślałam jak lepiej i łatwiej dopnę celu.

— Nie jestem obłudną—zawołałam w końcu—bo gdybym nią była, powiedziałabym, że panią kocham; ale nie, ja powiadam otwarcie, że pani nienawidzę, niecierpię więcej, niż kogobądź na świecie, wyjąwszy naturalnie Jana Reed. Całą tę historyję o kłamstwie zastosuj do twojej Georginy, bo to ona cię oszukuje, nie ja!

Patrzyła na mnie milcząco.

— No, i cóż jeszcze?—spytała w końcu chłodno.

Wejrzenie jej i sposób odezwania wzburzyły mnie na nowo.

— To jeszcze—zawołałam — że: Bogu dziękuje za to, że nie jesteś moją krewną, że: nigdy nie nazwę cię ciotką, że: gdy dorosnę, zdala omijać twój dom będę, a zapytana o ciebie, odpowiem każdemu, że byłaś dla mnie okrutną!

— Jak śmiałabyś mówić takie rzeczy Janino?

— Śmiałabym je mówić, bo są prawdą.

— Nie zapomnę nigdy, jak okrutnie, na pół martwą, pchnęłaś mnie do czerwonego pokoju! Ja wtedy przecież wołałam: ciociu! zlituj się nademną! a ty karałaś mnie za to, że nędzny twój syn skaleczył mnie i wybił. Powiem więc prawdę wszystkim, co myślą że jesteś dobra, po-

wiem im, że to *ty* masz serce kamienne, że *ty* jesteś obłudną!

Owładnęło mną uczucie nieznanej mi dotąd rozkoszy. Czułam się szczęśliwą. Po raz pierwszy zakosztowałam zemsty i upoiła mnie ona.

— Janino! mylisz się—zawołała pani Reed oniemiała przez chwilę, przerażona niemal.— Co ci jest? czy jesteś chora? Drżysz cała, chcesz może wody?

— Nie pani.

— Więc czego żądasz? wierzaj mi, że pragnę być twą przyjaciółką.

— Nie! Przed chwilą powiedziałaś przecie, że mam zły, kłamliwy i obłudny charakter! Ale wszyscy w Lowood dowiedzą się, jaka jesteś.

— Nie rozumiesz tego Janino, że obowiązkiem starszych jest wykorzeniać wady dzieci.

— Kłamstwo nie jest moją wadą.

— Moje drogie dziecię, jesteś rozdrażniona, idź i odpocznij, połóż się.

— Nie jestem twojem drogiem dziecięciem i nie pójdę odpocząć. Pani Reed! odeślij mnie jaknajprędzej na pensyję, bo ja nie znoszę, nienawidzę tego domu.

— O! wyprawię cię jak tylko będę mogła najprędzej — szepnęła i szybko wyszła z pokoju.

i Zostałam węc na placu—zwycięzcą! W pier-

wszej chwili radosna i upojona; po namyśle zaczęłam doznawać wyrzutów sumienia. Czułam, że byłam złą i mściwą. Wybiegłam do ogrodu i wśród ciszy martwiej mroźnego wieczoru starałam się ochłonąć ze wzruszenia.

Jak długo chodziłam? — niewiem. Smutna i przygnębiona powtarzałam wciąż w duszy pytanie, co robić teraz?

Byłam gotowa przeprosić panią Reed; wiedziałam jednak, że to pogorszyłoby tylko położenie moje.

Usłyszałam za sobą czyjeś kroki.

Bessie wołała na mnie.

— Nieznośny dzieciaku! gdzie ty się włóczysz?

Bessie była mi najmilszą osobą w pałacu.— Potrzebowałam teraz serca życzliwego; to też zarzucając jej ręce na szyję, zawołałam:

— Ej, co tam Bessie, nie marudź już na mnie.

Nigdy jeszcze tak śmiałą i serdeczną nie okazałam się względem niej.

— Dziwne z ciebie dziecko, — odrzekła też zdumiona,—jedziesz na pensyję? wszak prawda?

— Tak.

— I nie żal ci będzie odjeżdżać biednej Bessie.

— Czemże ja jestem dla Bessie, która gniewa się na mnie tylko?

— Bo jesteś taka lękliwa, nieśmiała; gdybyś była choć trochę zuchwalszą...

— Ba—biliby mnie jeszcze częściej za to.

— Co znowu! Choć co prawda, ja sama wiem, że źle się tu z tobą obchodzą. Matka moja za ostatnią tu bytnością mówiła, że za nic niechciałaby mieć dziecka w twem położeniu. Ale chodźmy, mam dobrą nowinę dla ciebie.

— Wątpię.

— Dziecko, nie patrz ty na mnie tak smutno. Doprawdy niezła wiadomość. — Państwo odjechali na cały wieczór, a ty ze mną wypijesz herbatę. Poproszę kucharza, by ci upiekł ciastek a potem będziemy wybierać twoje rzeczy na drogę, bo pani chce cię za dwa dni wyprawić na pensyję.

— Bessie—przyrzecz mi, że nie będziesz się na mnie gniewać do wyjazdu mego.

— Dobrze, ale i ty też nie uciekaj, gdy trochę głosu podniosę, bo to mnie najwięcej gniewa.

— Zdaje mi się, że ci się już nie boję Bessie, ale wkrótce będę się bała nowych ludzi.

— W takim razie oni cię nienawidzieć będą.

— Tak, jak ty Bessie?

— Nie, dziecko, ja cię kocham więcej, niż ktokolwiek w tym domu.

— Ale mi tego nie okazujesz.

— Co się tobie stało panno Janino, kto cię natchnął śmiałością taką?

— Wkrótce już odjadę, a zresztą...

Urwałam, bo uznałam za stosowne nie powtarzać rozmowy mej z ciotką.

— Więc — spytała Bessie—cieszysz się, że mnie już opuszczasz?

— Nie, a nawet w tej chwili czuję, że mi cię trochę żal będzie.

— „W tej chwili" i „trochę" — jak ona to mówi. A ręczę, że gdybym cię chciała pocałować, nie radabyś temu była.

— Owszem.

I uściskałam ją serdecznie.

Cicho i zgodnie spędziłyśmy resztę dnia. Wieczorem, Bessie opowiadała mi swoje najpiękniejsze powieści i śpiewała najsłodsze piosenki.

Życie, nawet dla mnie, miało czasami słoneczne promienie...

ROZDZIAŁ V.

19 Stycznia wyprawiono mnie na pensyję. Odprowadzona przez Bessie do gościńca, na którym miała mnie zabrać pocztowa karetka, dalszą podróż odbyłam samotnie. Smutna to była podróż, pełna wrażeń obawy i strachu. Późnym już wieczorem stanęliśmy w Lowood. Służąca z zakładu oczekiwała mnie na stacyi i zaprowadziła do przełożonej.

Panna Temple, od pierwszego wejrzenia wzbudziła we mnie sympatyję i szacunek, kochałam ją też szczerze—do końca.

Pensyja nasza należała do tak zwanych zakładów dobroczynnych. Przyjmowano doń jedynie sieroty i pobierano szczupłą od nich opłatę.—Resztę dopłacali dobroczyńcy zakładu, którym zarządzał pan Brockelhurst, skąpy, wyrachowany a pełen hypokryzyi, gotów na każdym kroku prawić kazania o miłości chrześcijańskiej i w imię chrześcijańskiego zaparcia się siebie i pokory, głodzić swe wychowanki, odziewać je chłodno, oszczędzać na paliwie, tak, że wszystkie

odmrażałyśmy ręce i nogi. Za to mawiałyśmy pacierzy bez liku, śpiewały psalmy i w mroźne powietrze zimy chodziły o dwie mile do kościoła.

Smutne było życie w Łowood. Z początku cierpiałam strasznie, głód mi dokuczał, chłód męczył bez miary. Zima była ciężka, a cięższe jeszcze przejście z dostatków Goteshaedu do nędzy Lowoodu. Pomimo to jednak byłam tu stokroć szczęśliwsza, niż w domu mej ciotki.

Pana Brockelhurst nie zastałam w zakładzie; to też rada, że przez czas jakiś przynajmniej wolna będę od opinii obłudnej i kłamliwej dziewczyny, dokładałam wszelkich starań, by przez ten czas zaskarbić sobie łaski nauczycielek i koleżanek. Udało mi się to zupełnie— chwalono mnie od czasu do czasu; rówiennice moje bawiły się ze mną chętnie, a starsze panny nie dokuczały mi.

Z jedną z tych ostatnich łączył mnie nawet stosunek przyjazny niemal.

Była to Helena Burns, suchotnica—jak dowiedziałam się później. Dziewczyna ta, pełna uczucia, rezygnacyi i szlachetności, ulubienica p. Temple, miała nieprzyjaciołkę w pannie Scratchel, nauczycielce robót, pilnującej porządku w zakładzie. Helena zamyślona wiecznie, duchem w nadziemskich jakichś krainach, zostawiała książki swoje i zeszyty na stole, plamiła je i napo-

minała nieraz o trzymanej w ręce robocie. Ciężkie też za to otrzymywała napomnienia, cięższe jeszcze kary.—Znosiła je z taką anielską rezygnacyją, z takim poddaniem się i cierpliwością, że postępowaniem swojem wzbudzała we mnie cześć i szacunek najwyższy. Dumna też byłam, szczęśliwa z tego, że darzyła mnie ona przyjaźnią swoją, że mówiła ze mną i zdawała się kochać mnie—nieznośną, buntu pełną, namiętną dziewczznę.

Byłam więc, powtarzam, mimo tysiącznych prywacyj w zakładzie, szczęśliwa. Drżałam tylko na myśl o przyjeździe pana Brockelhurst i o chwili, gdy wszyscy dowiedzą się o opinii mojej, odwrócą się odemnie ze wstrętem.

W miesiąc blizko po przyjęciu mnie do zakładu, przyjechał pan Brockelhurst. Na widok jego zadrżałam i gdy czarna, długa, ponura postać jego ukazała się w sali, pochyliłam się nad ławką i bladą z obawy twarz ukryłam starannie po za tabliczką, na której odrabiałam właśnie jakieś arytmetyczne zadanie.

Pan Brockelhurst zajęty był ciągle rozmową z p. Temple o ekonomiczno-finansowych sprawach zakładu. Wyrzucał jej, że zużywa się tam za wiele igieł, że nici użyte do cerowania są w zbyt dobrym gatunku, że pończochy elewek nie dość starannie są naprawiane, że sera i chleba wyszło za wiele.

Naraz oczy jego zwróciły się ku ławkom. Wyciągnął przed siebie rękę i żywo a surowo zawołał:

— Panno Temple! panno Temple! kto jest ta dziewczynka z włosami ułożonemi w loki?

— To Julija Sewern — odrzekła spokojnie panna Temple.

— Julija Sewern?— A zatem dlaczego dziecko to, wbrew wszelkim obowiązującym przepipisom, odważa się tak otwarcie hołdować zwyczajom świata?—Tu! w zakładzie chrześcijańskim, nosić taką masę loków na głowie!..

— Włosy Julii kręcą się z natury,—jeszcze spokojniej odparła panna Temple.

— Z natury!—tak, ale my nie rządzimy się prawami natury,—ale prawami łaski.—Jak można być tak niedbałą, panno Temple! wszak pani wie, że rozkazałem, by włosy dziewcząt tej szkoły były zaczesane gładko nad czołem. Dziś jeszcze proszę zupełnie obciąć loki Julii Sewern.—Ale widzę tu inne, z włosami zanadto długiemi, każ pani pierwszej ławce powstać i obrócić się dzieciom twarzą do ściany.

— Panna Temple stłumiła uśmiech i wydała stosowny rozkaz. Dziewczęta obróciły się—robiąc przytem różne miny.

Przez jakie pięć minut przyglądał się odwrotnym stronom żyjących tych oryginałów; nareszcie zawołał:

— Wszystkie te włosy mają być obcięte.

Panna Temple chciała coś powiedzieć.

— Proszę, by rozkaz mój był spełniony.—Ja służę panu, którego królestwo nie jest z tego świata. Dziś jeszcze, spadną te warkocze, które pycha światowa uczesała i wygładziła tak starannie.

W tej chwili weszły do pokoju trzy panie: żona i córki pana Brockelhurst. Służyły i one zapewne panu, którego królestwo nie jest z tego świata, mimo to jednak twarze ich ginęły wśród piętrzących się włosów; aksamit i kosztowne futra okrywały je całe.

Pan Brockelhurst zwrócił się ku nim. Sądziłam,że wyjdzie, nie zwróciwszy na mnie uwagi, gdy nagle, tabliczka szyfrowa, którą trzymałam przed sobą, wysunęła mi się z rąk i upadłszy na ziemię, z brzękiem rozleciała się na kilka kawałków. W jednej chwili wszystkie oczy skierowały się ku mnie. Pan Brockelhurst spojrzał w moją stronę i rzekł:

—A to nowa elewka! niech się przybliży.

Koleżanki wypchnęły mnie niemal z ławki. Bez ich pomocy nie byłabym wstanie spełnić danego rozkazu.

Byłam bezwładną i nie wiem, jaką siłą, doszłam do p. Brockelhurst.

— Nie bój się,—szepnęła mi p. Temple, widziałam, że to zrobiłaś przypadkiem.

Mój Boże! jak ona dobrą była względem mnie, a za chwilę ona i wszystkie nauczycielki, i 80 elewek, dowiedzą się, że jestem obłudną! Znienawidzą mnie!

— Wysunąć to krzesło na środek pokoju— zawołał p. Brockelhurst, wskazując olbrzymiej wysokości krzesło.

Spełniono jego rozkaz.

— Posadzić na niem małą!

Posadzono mnie. Nie widziałam, nie czułam nic prócz tego, że jestem na oczach całej szkoły, że wszyscy za chwilę usłyszą wyrok potępienia na mnie.

— Widzicie to dziecko—odezwał się uroczystym tonem p. Brockelhurst,—widzicie ją obdarzoną powierzchownością właściwą wszystkim innym dzieciom. Żadne kalectwo nie zeszpeciło tej istoty, która powinna być wybranką Boga—a niestety! ktożby uwierzył temu, że szatan zagnieździł się już w tem młodem sercu, zawładnął niem zupełnie.

Rumieńce znikły z mej twarzy, zbladłam i przypomniałam sobie Helenę Burns, tak zawsze pokorną i cichą. Postanowiłam wytrwać do końca próby odważnie.

— Kochane dzieci—ciągnął dalej—ze smutkiem muszę wam powiedzieć i ostrzedz was, że dusza tej dziewczynki jest potępioną. Strzeżcie się jej! Unikajcie jej! — nie przyjmujcie jej do zabaw

swoich, nie ufajcie jej, wy, koleżanki; wy zaś nauczycielki, baczcie na każdy jej czyn, słowo każde, karzcie jej ciało, by zbawić duszę, jeżeli to wszakże możebne jest jeszcze; bo to dziecko, usta wzdragają się wymówić ten wyraz, bo to dziecko, urodzone w kraju chrześcijańskim gorsze jest od bałwochwalców, modlących się do Bramy, bo to dziecko jest kłamcą!... Zatrzymał się chwilę.

— Szczegóły te wiem od dobrej, miłosiernej jego dobrodziejki, od pani Reed, która wychowała ją z dziećmi swemi, a teraz nam oddała, byśmy ją z grzechów jej obmyli. Przełożone! nauczycielki! raz jeszcze proszę, nie ufajcie jej strzeżcie ją na każdym kroku.

Pożegnał pannę Temple i poszedł ku drzwiom. Na progu jeszcze odwrócił się.

— Zostawić ją jeszcze przez pół godziny na tem krześle i niech nikt nie mówi do niej do końca dnia.

Wyszedł,—a ja siedziałam pod pręgierzem, wobec całej szkoły, upokorzona i wzburzona do głębi.

Wszyscy ruszyli się z miejsc. Helena Burns przechodząc koło mnie uśmiechnęła się słodko i rzuciła mi wejrzenie pełne współczucia; wejrzenie to dodało mi siły.

ROZDZIAŁ VI.

Zostałam sama—wszyscy wyszli z pokoju.— Zsunęłam się z krzesła i usiadłszy w kąciku płakałam gorzko.—Rozpacz miotała mą dziecięcą duszą. Po upływie kilku chwil, w ciemnej już sali usłyszałam czyjeś kroki: Helena była przy mnie, przynosiła mi swój podwieczorek.

Nie mogłam nic przełknąć.

Zacna przyjaciołka usiadła przy mnie i łagodnemi słowy, starała się uspokoić mnie.

— Nie martw się,—mówiła,—p. Brockelhurst nie jest Bogiem, nikt mu tu nie ufa, a ciebie sądzić będą według postępków twoich.

Mówiła długo, a twarda, zawzięta i mściwa natura moja, pod wpływem słów jej, słodyczy pełnych, uszlachetniała się i podnosiła powoli.

Nowe jakieś kroki posłyszałyśmy w sali; weszła do niej panna Temple. Pogłaskała mnie dobrotliwie po twarzy i zabrała nas obie z Heleną do swego pokoju.

Jasny ogień palił się na kominku, pokój był

czysty, elegancki niemal. Usadowiła nas obok siebie i:

— A co Janino—spytała—czy uspokoiłaś się już?

— Nie pani, i sądzę, że nie uspokoję się nigdy.

— Dlaczego?

— Bo obwiniono mnie niesłusznie, bo wszyscy, pani nawet, uważacie mnie za winną.

— Nie dziecko, jeżeli dalej będziesz tak dobrą jak dotąd, uważać cię będziemy za niewinną.

— Naprawdę?

— Niezawodnie,—odrzekła,—a teraz powiedz mi, kto jest owa pani Reed, o której p. Brockelhurst wspominał.

— Jest to żona mego wuja.

— Wszak ona wychowała cię?

— Tak, z musu cierpiała mnie, bo umierający wuj wymógł na niej słowo, że wychowa mnie ze swemi dziećmi.

— A więc Janino, opowiedz mi wszystkie twe dziecięce wspomnienia, z całą prawdą i szczerością, a wiedzieć będę, jak cię mam sądzić.

Opowiedziałam wszystko, siląc się na spokój i łagodność: opisałam życie moje w zamku, epizod z czerwonego pokoju, chorobę moją, wizytę pana Lyod nawet.

Gdy skończyłam, panna Temple uścisnęła mnie; czułam, że mi wierzy.

— Znam pana Lyod, — rzekła,— napiszę też do niego i jeżeli odpisze mi, że słowa twoje są prawdą, wobec całego zakładu uznaną będziesz za niewinną. Co do mnie, od dziś uważam cię za taką.

Radość moja nie miała granic. Do końca wieczora bawiłyśmy u p. Temple, przyjmowane przez nią suto herbatą, bułkami z masłem i piernikami.—Po wstrętnym stole zakładu, zdawało nam się, że skromna uczta u panny Temple składa się z nektaru i ambrozyi.

Długo Helena rozmawiała z przełożoną naszą—ja słuchałam w milczeniu, pełna uwielbienia i zachwytu.—Rozmowa ich uczyła mnie, uszlachetniała, otwierała przed oczyma memi szersze horyzonty wiedzy i uczucia.

Gdy dzwonek uderzył, musiałyśmy się rozstać.—P. Temple pożegnała nas serdecznie, Helenę dłużej zatrzymała w objęciu, tuliła ją do siebie, wypytywała o zdrowie, i łza w jej oku błyszczała, gdy uścisnęła wychudłą, bladą jej postać.

W niespełna dwa tygodnie, przyszła odpowiedź od pana Lyod. Wobec całej szkoły panna Temple oświadczyła, że jestem uwolniona z pod zarzutu kłamstwa i obłudy: wszystkie ręce wyciągnęły się do mnie, wszystkie serca otwarły rzedemną.

Odtąd przybyło mi sił i zapału. Pracowałam szalenie, zwalczałam trudności i w przeciągu kilku tygodni przeszłam do wyższego oddziału; jednocześnie zaczęłam się uczyć rysunków i francuzkiego.

Zazwyczaj, kładąc się spać, wyobrażałam sobie, że jem obfitą kolacyję, złożoną z mleka, gorących kartofli i bułki, i zasypiałam, śniąc o wymarzonych przysmakach. Tym razem, całą noc malowałam najcudniejsze krajobrazy i tłomaczyłam najtrudniejsze książki francuzkie.

Nie byłabym też za nic w świecie oddała nędzy Lowood'u, za przepych i zbytki Gateshaedu.

Nastała wiosna—a życie nasze zmieniło się. Smutna była tej zmiany przyczyna. Głód, zimno, brak powietrza i zdrowej wody w ciągu zimy, usposobił większą część wychowanek Lowood'u do przyjęcia grasującej w okolicy zarazy tyfusu. Straszna ta choroba z całą grozą rozwinęła się w zakładzie: na 80 elewek, 45 dotkniętych chorobą leżało w infirmeryi. Resztę uczenic rozesłano po domach; te, które niemiały gdzie się udać, zostawiane były same sobie. Nie było lekcyj, całemi też dniami chodziłyśmy po parku i sąsiednim lasku.

Helena Burns chorowała także; nie na tyfus jednak. Suchoty rozwinęły się w całej pełni.

Pragnęłam ją widzieć; stanowczo jednak dopuścić mnie do niej nie chcieli.

Późnym raz wieczorem, wracając z przechadzki, spotkałam w korytarzu kobietę, która czuwała przy chorych. Spytałam ją o Helenę, bo wiedziałam, że wzywano do niej lekarza.

— Bardzo źle—odrzekła mi.

— Czy był u niej doktor?

— Był.

— I cóż powiedział?

— Że niedługo już pociągnie.

Pierwszem mojem na tę wieść uczuciem było przerażenie, dotkliwa boleść i gwałtowna chęć zobaczenia Heleny przed śmiercią.

— Gdzie ona leży?—spytałam.

— W pokoju panny Temple.

— Czy mogę pójść do niej na chwilę?

— O nie, to niemożliwe; zresztą czas iść spać.

Poszłam do sypialni i położyłam się. Pragnienie jednak rozmowy z Heleną nie dało mi zamknąć oka.—Koło jedynastej wszyscy już byli uśpieni. Cicho podniosłam się z łóżka, zarzuciłam suknię i wyszłam na korytarz. Przy bladem świetle księżyca trafiłam do pokoju panny Temple. Drzwi były uchylone. Wsunęłam się cichutko i nie obudziwszy śpiącej dozorczyni, przysunęłam się do łóżka chorej. Leżała blada,

wynędzniała, ale z wyrazem błogiego spokoju na twarzy.

Widok jej uspokoił mnie zupełnie.

— Nie,— pomyślałam—nie miałaby takiego wyrazu twarzy, gdyby była tak źle.

— Helenko, czy śpisz?—spytałam cichutko.

— To ty Janino? nie, nie śpię; jaka dobra jesteś, że przyszłaś do mnie, że przyszłaś mnie pożegnać.

— Alboż wyjeżdżasz gdzie?

— Odchodzę do mego ostatniego i wiecznego już mieszkania.

— To być nie może Heleno!

Umilkłam, tłumiąc łzy. Helena dostała silnego paroksyzmu kaszlu; dozorczyni pomimo to nie obudziła się, a panny Temple nie było w pokoju. Dowiedziałam się potem, że była wówczas przy łóżku umierającej na tyfus dziewczynki.

Helena odpoczęła chwilę; poczem rzekła:

— Zimno ci, jesteś boso, chodź do mnie pod kołdrę, będzie ci cieplej. Położyłam się i objęłam rękoma jej szyję.

Mówiłyśmy długo.—Ona z anielskim spokojem witała zbliżającą się śmierć. Mówiła mi o Bogu, o życiu przyszłem, o wierze swej i nadziei lepszego świata. Nakoniec znużona usnęła, prosząc, bym nie odchodziła od niej.

Zostałam też... do końca.

Nazajutrz rano, gdy panna Temple weszła do swego pokoju, zastała mnie śpiącą w objęciach martwej już Heleny. Nad mogiłą jej, dziś, po latach pietnastu, wznosi się prosty krzyż marmurowy, na którym wyryto jej nazwisko i ten jeden wyraz:

RESURGAM.

ROZDZIAŁ VII.

Od czasu epidemii zakład zmienił się do niepoznania.—Zwrócono uwagę na niedobory jego urządzenia i jakkolwiek nie usunięto od zarządu pana Brockelhurst, dodano mu jednak do pomocy a raczej kontroli, komitet, złożony z ludzi zacnych, uczciwych, którzy całą duszą zajęli się ulepszeniami w zakładzie.

Osiem lat przebyłam w Lowood: sześć jako uczenica, dwa zaś w charakterze nauczycielki. Pracowałam usilnie i wydoskonaliłam się, w malarstwie szczególniej, któremu wiele chwil poświęcałam. Życie płynęło mi spokojnie i cicho, bez zmiany jednak i dziwnie monotonnie. Praca zapełniała wszystkie dnia godziny; nie czułam też braku rozrywki, dopokąd w zakładzie była panna Temple. Towarzystwo jej wystarczało mi zupełnie i zadawalało mnie. Gdy jednak jedyna ta towarzyszka moja wyszła za mąż i opuściła Lowood, zaczęłam pragnąć zmiany—na

złe lub dobre, byle przerwać monontonię dotychczasowego życia mego.

Od dziecka wychowana w ciężkiej niewoli Gateshaedu, młodość spędziłam w twardym szkolnym rygorze. Wolności, swobody, szczęścia, pragnąć nie śmiałam. Były to rzeczy obce mi zupełnie, wymarzone i wyidealizowane w mej duszy ale niedoścignione i niemożliwe do osiągnięcia.

Często jednak, dusza moja wyrywała się do ludzi, do świata; często długie na podobnych marzeniach pędziłam godziny.

Jednego szczególniej wieczoru smutek i zniechęcenie owładnęły mą duszą, niepojęte uczucie niewoli i nudy skrępowało mą fantazyję.—Byłam znużona śmiertelnie; czułam, jak gdyby potrzebę rozwinięcia skrzydeł i poszybowania gdzieś, w dalsze jakieś przestwory.

Położyłam się niespokojna, i z niedoścignionych wyżyn fantazyi schodząc do możebnych w rzeczywistości odmian, zawołałam z głębi duszy:

— Boże! daj mi niewolę, ale inną, daj mi inne pęty i odmianę tego życia bez jutra, bez nadziei, bez celu!

Nie mogłam uspokoić się. Nie wiedziałam czego pragnę.

Chodziło mi o zmianę; na to trzeba było o inne wystarać się miejsce.

Ale jak starać się o nie? Od ośmiu lat nie widziałam nikogo, prócz elewek i nauczycielek z Lowood; nie miałam przyjaciół, znajomych— nikogo pod słońcem, kogo by los mój obchodził, nikogo, ktoby się zajął mną trochę.

Napróżno łamałam sobie głowę nad wynalezieniem sposobu jakiego,—noc całą spędziłam bezsennie.

Nad ranem dopiero przyszła mi myśl szczęśliwa: postanowiłam ogłosić w gazetach, że potrzebuję miejsca nauczyczelki.

Rano, gdy wszyscy spali jeszcze, ułożyłam ogłoszenie następującej treści:

„Młoda osoba, pragnie znaleźć miejsce nauczycielki przy dzieciach niestarszych nad lat 14. (Miałam ich sama wówczas 18; lękałam się podjąć zadania nad siły). Może udzielać początków zwykłej edukacyi, oraz języka fracuzkiego, rysunku i muzyki. Adres J. E. Poste restante, Lowton, hrabstwo N...”

Wieczorem dopiero dostałam od nowej przełożonej pozwolenie pójścia do miasta, pod pozorem załatwienia kilku sprawunków.

Po tygodniu niecierpliwego oczekiwania, wyprosiłam sobie znów pozwolenie i z bijącem sercem spytałam, czy niema listu do J. E.

Oddano mi go. Zawierał co następuje:

„Jeżeli J. E. czuje się na siłach udzielać wskazanych w ogłoszeniu przedmiotów; jeżeli

może przedstawić świadectwa zadawalające o swym charakterze: czeka ją miejsce przy dziesięcioletniej dziewczynce, za wynagrodzeniem 30 funtów rocznie. J. E. zechce nadesłać imię swe, nazwisko i świadectwo do pani Fairfax w Thornfield, przez Millcote, hrabstwo Millcote". Długo przyglądałam się tym kilku wyrazom rada odgadnąć, kto je pisał.

Charakter pisma był staroświecki, litery znać drżącą stawiane ręką.

Widocznie więc pani moja będzie kobietą w wieku—pomyślałam. Uspokoiło mnie to; czułam, że wiek pani Fairfax jest pewną dla mnie rękojmią bezpieczeństwa.

Nazajutrz udałam się do przełożonej z prośbą, by wyjednała mi od jednego z członków Komitetu pozwolenie wydalenia się z Lowood i potrzebne świadectwa. Odwołano się do pani Reed, a gdy ta odpowiedziała, że mogę robić co mi się podoba, zaświadczono, że przez cały czas pobytu mego w zakładzie, jako uczenica, zarówno jak i nauczycielka, wzorowo pod każdym względem postępowałam.

Kopiję tego świadectwa i adres dokładny wysłałam pani Fairfax i w parę dni dostałam wezwanie, bym za dwa tygodnie przybyła do Thornfield. Przygotowanie do drogi niewiele zajęło mi czasu—to też w wiliję wyjazdu zapa-

kowawszy rzeczy, poobiedzie całe i wieczór spędziłam bezczynnie.

Chodziłam właśnie po ogrodzie, gdy służąca przyszła zawiadomić mnie, że ktoś pragnie mnie widzieć. Pewna, że posłaniec pocztowy przyszedł po moje pakunki, pobiegłam do kuchni, gdy na drodze zastąpiła mi drogę młoda jeszcze i przystojna kobieta.—Wyciągnęła do mnie ręce, wołając:

— Poznałam ją odrazu! jestem pewna, że to ona!...

Patrzyłam na nią. Niepewne jakieś wspomnienie mówiło mi, że znam te rysy. To też gdy zapytała:

— Poznajesz mnie panno Janino?

Rzuciłam się w jej objęcia, wołając:

— Bessie, poczciwa moja Bessie! jak się masz?

— Wybornie. Ale oto mój chłopiec,—dodała wprowadzając mnie do pokoju—Bobby ma siostrzyczkę, której dałam imię Janina.

— Jakto? więc poszłaś za mąż.

— Pięć lat już temu, za Roberta, stangreta; obecnie jest on odźwiernym w pałacu.

— Co tam słychać? jak się miewają ciotka i kuzynki?

Spojrzała na mnie.

— Źle się tu z tobą musieli obchodzić, panno

Janino; jesteś o głowę niższa od panny Elizy, a dwakroć szczuplejsza od Georginy.

I pokrótce opowiedziała mi dzieje rodziny. Opowiadała mi o niezwykłej urodzie Georginy, skąpstwie Elizy, marnotrawstwie Jana i smutku z tego powodu ich matki. Oto były główne rysy mieszkańców Gateshaedu.

— Czy ciotka przysłała cię do mnie?

— Nie, panienko; dawno pragnęłam cię widzieć, a dowiedziawszy się, że wyjeżdżasz ztąd dalej jeszcze, postanowiłam uścisnąć cię przed wyjazdem i oto jestem.

— Uścisnęłam ją, wdzięczna za serce jej poczciwe.

Gawędziłyśmy długo jeszcze. Na żądanie Bessie, musiałam zagrać jej walca jakiegoś, i pokazać jej moje rysunki.

Poczciwa, zachwycona była mojemi talentam i zadecydowała, że wyrosłam zupełnie na *panią*

— Czy słyszałaś kiedy o rodzinie twego ojca? spytała w końcu.

— Nigdy.

— Otóż pani Reed mówiła zawsze, że składa się ona z nędzarzy. Pokazało się, że zupełnie tak nie jest.—Jakiś pan Eyre, przed siedmioma laty był w Gateshaed i pytał się o ciebie. Gdy się dowiedział, że niema cię w zamku zdawał się mocno tem zmartwiony, bo interesy wzywały go z powrotem i nie mógł już przyjechać do cie-

bie.—Mieszka on gdzieś, na morzu, na wyspie jakiejś, odległej ztąd o całe trzysta mil, a na której podobno sławne wyrabiają wina.

— Na Maderze?

— Właśnie, właśnie tak się nazywa.

— I odjechał?

— Po krótkiej w pałacu bytności i ostrej jakiejś z panią rozmowie. Mąż mój utrzymuje, że musi być handlarzem.

— Bardzo prawdopodobnie—odrzekłam.

Wieczorem rozłączyłyśmy się.

Całą noc nie zmrużyłam oka. Noc ta stanowiła granicę między przeszłością moją a tajemniczą przyszłością. Nie dziw też, że w chwili takiego przełomu, sen nie kleił mi powiek.

Nazajutrz na stacyi spotkałam Bessie. Wracała do Goteshaed; ja zaś biegłam ku nowemu życiu, nowym obowiązkom, ku nieznanemu mi Thornfield, w hrabstwie Millcote.

ROZDZIAŁ VIII.

Nowy rozdział w powieści,—to nowy akt w dramacie.—Zasłona się podnosi i oczom twoim czytelniku, przedstawia się jedna z sal oberży w Millcote, oświecona bladym płomieniem lampy. Siedzę samotna i zamyślona, przy stole, na którym złożyłam parasol mój i ubranie podróżne. Drżę cała, po szesnastogodzinnej drodze w chłodny październikowy dzień. Mam twarz spokojną, choć w gruncie spokojną bynajmniej nie jestem.

Sądziłam, że ktoś oczekiwać mnie będzie na stacyi, i, wysiadłszy z karety, rozejrzałam się uważnie, czy nie zobaczę jakiego czekającego na mnie ekwipażu.

Niedojrzałam nic—i nikogo.

Spytałam, czy nie dowiadywano się tu o niejaką pannę Eyre i przeczącą otrzymałam odpowiedź.

Kazałam więc zaprowadzić się do oddzielnego pokoju i postanowiłam czekać cierpliwie.

Co się jednak w duszy mej działo!

Młoda, niedoświadczona, samotna, niepewna czy stanę u celu podróży, nie mająca gdzie powrócić w razie zawodu, z początku pocieszałam się oryginalnością położenia i rozmaitością, tak różną od dotychczasowej monotonii mego życia.

Wkrótce jednak, strach i obawa opanowały wszelkie inne uczucia.

Po półgodzinnem oczekiwaniu, zadzwoniłam. Służący zjawił się przedemną.

— Czy jest tu w okolicy jaka miejscowość nazwiskiem Thornfield?—spytałam.

— Nie wiem pani; ale dowiem się zaraz.

Wyszedł i wkrótce powrócił.

— Czy pani jest panną Eyre?

— Tak.

— A zatem ktoś tu czeka na panią.

Ubrałam się prędko i wyszłam.

Przed drzwiami stał człowiek jakiś i rodzaj jednokonnego powozika.

— Czy to pani rzeczy? — zapytał szorstko woźnica, wskazując na mój tłomoczek.

— Tak.

Wrzucił go do powozu. Usiadłam—a gdy zamykał drzwiczki, spytałam, jak daleko do Thornfield?

— Za półtory godziny będziemy na miejscu— odrzekł.

Ruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy wolno; to

też oparłszy się o poduszki wygodnego, choć wcale nie eleganckiego powozika, puściłam wodze myślom.

Czułam się zadowolona, że tak blizko jestem zamierzonego celu.

Pani Fairfax nie musi być kobietą lubiącą zbytek i przepych—pomyślałam sobie,—sądząc po niepozornym moim ekwipażu.—Tem lepiej jednak; raz jeden mieszkałam w domu ludzi bogatych i byłam tam bardzo nieszczęśliwa. Czy też mieszka ona sama z elewką moją?— W takim razie, życie moje będzie łatwe; czuję bowiem, że gdyby najtrudniejsza była w obejściu, potrafię się do niej zastosować i zgodzić się z nią.—Postanowiłam sobie, bądź co bądź, zaskarbić jej łaski. Z takiem samem przedsięwzięciem przestępowałam niegdyś progi Lowoodu i powiodło mi się zupełnie. Przyszłą moją panią wyobrażałam sobie chłodną, dumną może trochę, ale grzeczną w obejściu, ubraną w suknię czarną i wdowi czepek. Prosiłam tylko Boga, by niepodobną była do pani Reed. W każdym razie, pocieszałam się myślą, że nie wiąże mnie z nią umowa wieczysta, że, jeżeli nie potrafimy się zgodzić, będę mogła niedługo porzucić Thornfield.

Wyjrzałam przez okno. Zdala, po za mną, mnóstwo świateł błyszczało w Millcote, wokoło mnie roztaczała się okolica usiana mnóstwem do-

mów, cudniejsza może i ruchliwsza od okolicy Millcote, mniej za to romantyczna i malownicza.

Droga była zła; to też dobre dwie godziny jechaliśmy, zanim woźnica mój, pochylając się z kozła ku mnie, odezwał się:

— Teraz już niedaleko do Thornfield. Przejeżdżaliśmy właśnie koło kościoła; przed nami zdala widniał pas światełek, każący się domyślać niedalekiej wioski.

Nareszcie powóz zatrzymał się, służąca otworzyła wejście i wpuściła mnie do domu.

— Tędy pani — wyrzekła—i przeprowadziła mnie przez wielką kwadratową sień, pełną drzwi, a robiącą wrażenie raczej kościelnego przedsionka.

Weszłyśmy do maleńkiego pokoiku, oświetlonego podwójnie; płomieniami świecy i ognia na kominku. Oczom moim przedstawił się nadzwyczaj sympatyczny obrazek. Przed kominkiem, obok okrągłego stolika, siedziała w fotelu sędziwa już kobieta, odziana w czarną jedwabną suknię, wdowi czepek i biały jak śnieg fartuszek. Robiła pończochę, a u nóg jej leżał olbrzymi czarny kot.

Zupełnie tak samo wyobraziłam sobie panią Fairfax; nie przypuszczałam tylko, by miała tak słodki wyraz oczów. Odetchnęłam swobodniej, nie było w otoczeniu tego przepychu i zbytku, który onieśmiela. Z całego otoczenia, wiało ja-

kieś ciepło, które oczywiście nader mile oddziałać musiało na biedną, samotną nauczycielkę.

Gdy weszłam, sędziwa dama podniosła się z krzesła i podeszła ku mnie.

— Jak się masz kochanie,—zawołała uprzejmie—musiałaś się znudzić drogą, bo John powozi bardzo wolno. Czy tylko nie przeziębłaś? zbliż się, proszę, do ognia.

— Wszak mam przyjemność mówić z panią Fairfax?

— Tak, siadaj pani.

Zaprowadziła mnie przed ogień, posadziła na krześle, sama zdjęła ze mnie szal i kapelusz.— Prosiłam ją, by się nie trudziła.

— O! to mnie nie trudzi,— odrzekła wesoło,—ależ ty masz ręce jak lód zimne. Liwijo— dodała, zwracając się do służącej,—zagrzej no prędko trochę wina i przynieść co zjeść dla pani.

To mówiąc, oddała jej pęk kluczy.

— Wszak przywiozłaś swoje rzeczy.

— Tak, pani.

— Każę je zanieść do twego pokoju.

Wyszła.

— Obchodzi się ze mną jak z gościem,—pomyślałam sobie,—nigdy nie spodziewałam się takiego przyjęcia; ale nie cieszmy się zawczasu.

Powróciła wkrótce i znów krzątała się koło posiłku, przyniesionego mi przez Liwiję.

Czułam się doprawdy zakłopotaną jej obejściem.

— Czy zobaczę dziś jeszcze pannę Fairfax — pytałam.

— Co pani mówi? przepraszam, niedosłyszę trochę.

Powtórzyłam jej moje pytanie.

— Nie Fairfax, a Varens, chciałam powiedzieć; tak się bowiem nazywa przyszła elewka pani.

— Doprawdy? Więc nie jest pani córką?

— Nie, nie mam dzieci—odrzekła.

Chciałam zapytać jaki, był jej stosunek do panny Varens, gdy w sam czas przypomniałam sobie, że niedyskretnie jest zarzucać kogoś obcego pytaniami.

— Jakże rada jestem—ciągnęła dalej poczciwa dama — że pani przyjechała tutaj. Tak tu pusto, samotnie, że cieszę się szczerze z takiej jak pani towarzyszki. Liwija jest dobrą dziewczyną. John i jego żona poczciwi ludzie, ale, w każdym razie to tylko służący, których trzymać należy zdaleka, by nie dopuścić ich do poufałości. Przeszłej zimy szczególniej nudziłam się tu bardzo, dopiero z wiosną i przyjazdem Adeli Varens, ożywiło się trochę w domu. Dziecko wnosi ze sobą życie i wesele, wszędzie gdzie się pojawi; to też i mnie już raźniej od chwili gdy ona jest w zamku, a teraz, gdy i panią mieć będę, czuję, że oweseleje zupełnie.

Czułam się coraz to szczęśliwszą. Łagodny, serdeczny sposób obejścia pani Fairfax, jej słowa pełne ciepła, działały zbawczo na serce moje, zdolne ukochać gorąco, a dotąd tak mało kochane. Przysunęłam się też do niej, obiecując, że całą siłą będę usiłowała być jej dobrą i miłą towarzyszką.

— Późno już jest i czas, byś odpoczęła po podróży. Wybrałam ci pokoik tuż obok mojego; nie jest on może ani tak duży, ani tak wspaniały jak pokoje frontowe, ale sądziłam, że weselszy będzie od tych ponurych komnat, w których i ja nie mieszkam.

Podziękowałam jej za taki wybór i podążyłam z nią do małego w nowożytnym stylu umeblowanego pokoiku.

Gdy zostałam w nim sama, uklękłam i gorąco podziękowałam Bogu, za serce jakie spotkałam w pani Fairfax, za jej dobroć dla mnie; niemniej też gorąco modliłam się o możność sumiennego spełniania moich nowych obowiązków i stania się godną względów, które okazywano mi, zanim jeszcze zasłużyć na nie mogłam.

Tej nocy sen miałam spokojny, wolny od trwogi i cierpienia.

Zasnęłam też wkrótce, a gdy obudziłam się, słońce już było wysoko.

Gdy oczy moje padły na niebieskie firanki zawieszone w oknach, dywan rozesłany przed łóż-

kiem i wesołe mego pokoju obicie — wydało mi się, że marzę. Nie mogłam się oswoić z elegackiem choć skromnem urządzeniem mego kącika i mimowolnie porównywałam go w myśli z poczerniałemi murami i prostą z desek podłogą Lowoodu.

Zewnętrzne czynniki oddziaływają ogromnie na młode umysły; to też i ja odżyłam prawdziwie pod wpływem otoczenia, pełnego ciepła i wdzięku. Czułam się radosną i wesołą, jak gdyby w oczekiwaniu szczęścia, któreby spotkać mnie miało nie dziś może, nie za miesiąc, dwa nawet, ale w przyszłości niedalekiej. Czułam, że życie moje nowe, choć nie bez cierni, nie pozbawione jednak będzie radości i wesela.

Wstałam i ubrałam się starannie. Strój mój zawsze był prosty i niewykwintny, bo w tualecie swojej nie posiadałam zbytkownych rzeczy; niemniej jednak, z natury zamiłowana w porządku, starałam się zawsze być schludnie ubraną i wydać się o tyle dobrze, o ile pozwalał mi na to brak urody.

Pragnęłam się podobać otaczającym i nieraz żałowałam, że nie mam kształtnej kibici, wysokiego wzrostu, świeżych na twarzy rumieńców, ładnego nosa i ust, jak korale różowych.

Kosztowało mnie to trochę, że jestem małą, bladą, o nieregularnych i ostrych rysach dziew-

czyną. Zkąd przychodziły mi do głowy myśli takie? nie wiem; sama sobie z tego sprawy zdać nie umiałam.

Przygładziłam starannie włosy, włożyłam czarną, skromną ale dobrze zrobioną suknię i biały kołnierzyk, spojrzałam w lustro i zdawało mi się, że choć niełądna, śmiało pokazać się mogę pani Fairfax i, że elewka moja ze wstrętem się odemnie nie odwróci.

Poprzątnęłam rozrzucone po pokoju rzeczy, otworzyłam wychodzące na ogród okno i wyszłam z pokoju.

Przeszłam długi, posępny korytarz, i, po dębowych zczerniałych schodach, zeszłam do wielkiej sali na dole. Chwilę przyglądałam się portretom okrywającym jej ściany.

Postać jakaś straszna w puklerzu, i dama strojna w perły i upudrowaną perukę, dłużej niż inne zatrzymały mnie przed sobą. Wielkie, oszklone drzwi na ogród stały otworem, wyszłam niemi na teras i ztamtąd rzuciłam okiem na dom, który odtąd miał być mojem mieszkaniem.

Wyglądał on, mimo swoich trzech pięter, raczej na dworzec zamożnego szlachcica, niż na pałac magnata. Stary, poczerniały, z mnóstwem rzeźb i pysznym frontonem, był malowniczy i, pomimo surowej powagi stylu, wdzięczny.

Stada wron gnieździły się w jego zaułkach; obecnie, z głośnem krakaniem, unosiły się w po-

wietrzu, szybując po nad terasem ku, obszernej łące, leżącej wprost domu, po za rzędami olbrzymich drzew, otaczających go dokoła. W dali widniały wzgórza, niezbyt wysokie, ale okalające Thornfield wokoło, i czyniące z niego siedzibę odosobnioną tak, że trudnoby się domyśleć, iż tuż po za tym dworem, kościołem i wioską, leży miasto takie, jak Millcote.

Dzień był pogodny i jakkolwiek jesienny, ciepły jednak i słoneczny. Stojąc tak przed domem, myślałam, że jest on dziwnie nieodpowiedniem mieszkániem dla maleńkiej kobietki, jak pani Fairfax, żyjącej tu samotnie.

W tej samej chwili, szczupła jej postać ukazała się w progu.

— Jakto, już na dworze?—zawołała— ranny z pani ptaszek.

Podeszłam ku niej — podała mi rękę i uścisnęła mnie.

— Cóż, podoba ci się Thornfield?

— Niezmiernie.

— Tak, piękna to siedziba, ale straci wiele, jeżeli pan Rochester, będący wciąż w podróży, nie zamieszka w niej. Wielkie domy i majątki wymagają ciągłej obecności właściciela.

— Pan Rochester? — zawołałam — któż to jest?

— Właściciel Thornfieldu — odrzekła — nie wiedziałaś, że nazywa się Rochester?

— Niezawodnie, nigdy nie słyszałam o nim; sądziłam, że Thornfield do pani należy.

— Do mnie! — Bóg z tobą, dziecko! co za myśl! Thornfield do mnie! Jestem tu tylko gospodynią. Wprawdzie mąż mój, były proboszcz w la Hay, wioski i kościoła, które tu widzisz, był krewnym pana Rochester, który jest urodzony z Fairfaxówny, ale nigdy nie staram się wyzyskiwać tego pokrewieństwa; jest ono w moich oczach żadne, uważam się też za prostą gospodynię. Pan mój jest dla mnie zawsze grzeczny, ja też niczego więcej nie wymagam.

— A mała uczenica moja?

— Jest wychowanką pana Rochester. Oto nadchodzi właśnie z piastunką.

A zatem zagadka rozwiązana — pomyślałam sobie—uprzejma, słodka staruszka, nie jest bynajmniej wielką damą, a osobą równie jak ja zależną. Bynajmniej nie czułam się tem rozczarowaną; przeciwnie, rada byłam, że równość między nami jest rzeczywista, nie zaś jedynie wynikiem jej łask i ustępstwa.

— Tem lepiej—pomyślałam też—jeszcze swobodniejszą czuć się będę od tej chwili.

Tymczasem, przyszła elewka moja, ośmioletnia, blada, drobna dzieweczka, z główką okrytą kędziorami długich loków, nadbiegła ku nam.

Zdawała się nie widzieć mnie.

— Dzień dobry! — zawołała pani Fairfax — Chodź, przywitaj się z tą panią, która będzie cię uczyć i zrobi z ciebie rozumną kobietę.

— Czy to moja nauczycielka — spytała piastunki po francuzku.

— Tak, niezawodnie.

Zdziwiłam się, słysząc ich rozmowę i spytałam pani Fairfax, czy Adela jest cudzoziemką.

— Piastunka jest francuzką, a mała urodziła się także na lądzie; przyjechała tu dopiero przed pół rokiem, nie umiejąc ani słowa po angielsku; dziś mówi już cokolwiek, ale tak mięsza obydwa języki, że zrozumieć jej nie mogę; z panią zapewne rozmówi się łatwiej.

Szczęściem wiele pracowałam nad językiem francuzkim, to też pewna byłam, że nie skompromituję się wobec mojej elewki.

Dziewczynka podała mi rękę na przywitanie i na pierwsze moje pytanie, odpowiedziała zwięźle i krótko; gdy jednak zasiadłyśmy do śniadania, popatrzywszy na mnie swemi ciemnemi oczkami, zaczęła gwarzyć wesoło.

— Ah! — zawołała — pani tak dobrze mówi moim językiem, jak sam pan Rochester; to też i ja i Zofija, obydwie będziemy mogły rozmawiać z panią; dopiero to ona będzie kontenta; jak jej się przykrzy to, że nikt jej tu nie rozumie!

I z właściwą dzieciom swobodą i żywością, prze-

skakując z przedmiotu na przedmiot, opowiadała mi dzieje swej niańki i swoje, opisywała długą podróż, jaką odbyła w towarzystwie pana Rochester, prezentowała mi wszystkich i wszystko, mnie samej o tysiączne wypytując szczegóły.

Pani Fairfax zdumiona, że rozumiem jej prędkie szczebiotanie, prosiła, bym starała się od małej dowiedzieć cośkolwiek o jej rodzicach.

Adela nie dała się długo prosić, rada, że ma kogoś, kto ją rozumie i słucha.

— Mama—mówiła — pieściła mnie i bawiła, uczyła tańczyć, śpiewać i deklamować wiersze. Pełno było zawsze u nas pięknych panien i pań a ja tańczyłam przed niemi i śpiewałam im. Potem mama pojechała do Wirginii, a mnie zostawiła u państwa Frederic. Pani Frederic opiekowała się mną, ale była biedna.—Niedługo tam byłam, bo przyjechał po mnie pan Rochester i zabrał mnie z sobą. Ale teraz ciągle jeździ i rzadko go widuję.

— A może pani zaśpiewać?— dodała w końcu.

Byłyśmy już po śniadaniu, to też pozwoliłam jej popisać się przed nami.

Zaczęła aryję z opery, wyrazy której, pełne namiętnej zazdrości i rozpaczy po stracie kochanka, dziwnie brzmiały w jej dziecięcych ustach.

Potem, z dziwną i niezwykłą w jej wieku precyzyją, deklamowała wiersz jakiś La Fontaine'a.

Dziwne na mnie ten popis zrobił wrażenie; dziwne też wyrobiłam sobie pojęcie o jej matce...

Czas było zabrać się do lekcyj. Poszłyśmy do biblijoteki, przeznaczonej przez pana Rochester na szkołę. Wszystkie szafy z książkami zastałam tu zamknięte. Jedna z nich tylko, napełniona książkami szkolnemi i powieściową lekką literaturą, stała otworem dla nauczycielki panny Varens. Pan Rochester sądził zapewne, że nic nad to czytać nie będzie w stanie—i rzeczywiście, po zupełnym braku książek w Lowood, ta jedna szafa do mojej dyspozycyi zostawiona, wydała mi się niewyczerpaną skarbnicą wiedzy.

Adela wydała mi się zdolną; ale trudno było utrzymać jej uwagę długo na jednym przedmiocie— widocznie nie włożona była do systematycznej pracy. Na pierwszy więc raz, nie chcąc jej zrazić, nie trzymałam jej długo przy zajęciu.

Idąc od siebie, usłyszałam głos wołającej mnie pani Fairfax.

Przez otwarte drzwi weszłam do pokoju, z którego głos dochodził. Poczciwa kobiecina porządkowała właśnie salę jadalną, tak piękną i wspaniałą, że nietylko nie widziałam, ale nie wyobrażałam sobie nawet nic równie pięknego.

Pani Fairfax wskazała mi przeciwległe drzwi zawieszone portyjerą, wówiąc, że za niemi znajduje się salon.

Wszedłszy tam, olśniona byłam zupełnie. Coś czarodziejskiego było w urządzeniu tej pysznej sali o białych jak śnieg ścianach, białym w bukiety kwiecia dywanie i pąsowych aksamitnych meblach.

Rzeźbione kryształy czeskie odbijały się zewsząd w olbrzymich lustrach, a całość wydała mi się artystycznem i dziwnie efektownem połączeniem gorącej barwy krwi z białością śniegu.

— Jakże tu pani wszystko porządnie utrzymujesz—zawołałam.—Pomimo, że niema pokrowców, nigdzie pyłku żadnego!

— Bo też — odrzekła pani Fairfax — wizyty pana Rochester, jakkolwiek nieczęste, są zawsze niespodziewane, a nie lubi on nieładu i zamętu w domu. Staram się też, by wszystko było zawsze gotowe na jego przyjęcie.

— Czy pan Rochester jest wymagający i despotyczny?

— Nie, ale ma upodobania i przyzwyczajenia prawdziwego szlachcica i lubi, by wszyscy stosowali się do nich.

— Czy go pani lubisz? pani i wszyscy otaczający go?

— O tak!—rodzina jego znaną i cenioną jest powszechnie. Cała prawie tu okolica należała do rodziny Rochester od niepamiętnych czasów.

— Ale czy pani osobiście go lubi? czy wart jest być kochanym.

— Nie mam powodu nie lubić go, a sądzę, że podwładni uważają go za dobrego i sprawiedliwego pana, jakkolwiek nigdy dłużej wśród nich nie mieszkał.

— Czem się odznacza? jaki jest jego charakter?

— Oh! charakter jego jest bez zarzutu. Jest może trochę dziwakiem, podróżował dużo, dużo widział i musi być bardzo rozumny, ale nigdy nie rozmawiałam z nim dłużej.

— Pod jakim jednak względem jest dziwakiem?

— Doprawdy trudno to określić; — nie ma w nim nic uderzającego, ale trudno wiedzieć, kiedy mówi naseryjo a kiedy żartuje—i kiedy jest zadowolony lub niekontent z czego: słowem, trudno go zrozumieć; ja przynajmniej nie rozumiem go nigdy. Niemniej jest bardzo dobrym panem.

Oto wszystko, co udało mi się wyciągnąć od pani Fairfax o naszym wspólnym chlebodawcy. Są ludzie, którzy nie domyślają się nawet tego, że można studyjować charaktery ludzkie, badać najwybitniejsze cechy ich osobistości.

Pani Fairfax widocznie do ich rzędu należała. Pytania moje dziwiły ją—ona uważała pana Rochester, jako pana Rochester-właściciela, szlachcica i zwierzchnika swego: — oto i wszystko.

Po ukończeniu porządków w jadalni, pani Fairfax zaproponowała mi zwiedzenie reszty domu. Bogactwo i wykwintne urządzenie frontowych pokojów, zachwyciły mnie; ale najsilniejsze wrażenie uczyniło na mnie trzecie piętro. Wszystkie meble miały na sobie cechę starożytności.

Olbrzymie łoża dębowe, zasłonięte firankami o ciężkiej materyi we wzorzyste desenie; skrzynie rzeźbione z dębu i orzecha, a od starości poczerniałe; kobierce i obicia haftowane rękami, które od paru może już wieków w proch się rozsypały; przytem małe, niewiele dające światła, okna: nadawały komnatom tym dziwnie imponujący, a ponury charakter. Był to relikwijarz pamiątek, skarbnica wspomnień z ubiegłej dawno przeszłości. Jakże fantastycznie wyglądać musiały te odwieczne, poważne, poczerniałe sprzęty, te ptaki i zwierzęta rozrzucone po spłowiałych kobiercach, przy bladem świetle księżyca.

— Czy mieszka kto kiedy w tych pokojach?— spytałam.

— Nie, nikt; służba zajmuje tylne apartamenty. Sądzę, że gdyby duchy nawiedzały Thornfield, niezawodnie tutaj by sobie obrały siedlisko.

— A czy nie macie tu duchów?

— Nie.

— Nawet w tradycyi?

— Nie—Rochestrowie byli zwykle nader burzliwego i gwałtownego usposobienia, za to też spokojnie leżą w swych grobach.

— Tak—szepnęłam:—po gorączce życia, miły im spokój i ciasne mogiły.

— A teraz może zechcesz zobaczyć jaki cudny widok rozciąga się z terasów? —rzekła pani Fairfax, prowadząc mnie przez poddasza, a ztamtąd przez wązkie, kręte schodki, podobne raczej do drabiny, na dach.—Stanąwszy na terasie, byłam na równi z gniazdami wron. Oparta o poręcz, wpatrywałam się w rozległy, roztaczający się przedemną krajobraz. Cała przyroda spokojna, cicha i poważna, pod błębitnem, przezroczem niebem jesieni, ogromne na mnie robiła wrażenie. Światła było tyle, że gdy wypadło wracać przez wązką drabinkę poddasza i korytarze, nic nie widziałam przed sobą. Pani Fairfax zatrzymała się chwilę, by zamknąć drzwi, a ja, macając naokoło siebie, doszłam do przejścia oddzielającego frontowe pokoje od tylnych. Przejście to oświetlone było tylko za pomocą małego okienka umieszczonego w głębi; po obydwóch stronach ciągnął się szereg nizkich, poczerniałych dziur, a całość robiła wrażenie tajemniczego jakiegoś zakątka pałacu Sinobrodego.

W chwili, gdy mijałam jedne z drzwi, dziwny, ostry wybuch śmiechu rozległ się w powietrzu... Śmiech to nie był wesoły, miał w sobie coś przerażającego... zaledwie zdołałam się obejrzeć, gdy poraz wtóry rozległ się ów dziwny odgłos z taką siłą, że odbił się o ściany korytarza w tysiącznych echach.

— Czy pani słyszała? —zawołałam do idącej za mną pani Fairfax.

— To któraś ze służących śmieje się; zapewne Gracyja Poole.

— Ale słyszałaś to pani?..

— O, dosyć często słyszę śmiechy. Gracyja szyje w jednym z tych pokojów, a gdy zejdą się z Liwiją zawsze narobią tyle hałasu.

Śmiech powtórzył się raz jeszcze... i skonał w cichem jakimś szepcie...

— Gracyjo!—zawołała pani Fairfax.

Byłam pewna, że nikt na to wezwanie nie odpowie. Śmiech to był dziki—i tragiczny. Szczęściem było to południe i nie sposób było przypuszczać, by w tak niewłaściwem otoczeniu wizyja jaka nadprzyrodzona ukazać się mogła. Inaczej czułam, że strach zabobonny opanowałby całą istotą moją. Chwilę później, dziwiłam się sobie, że wypadek tak prosty, tak silne zrobił na mnie wrażenie...

We drzwiach ukazała się kobieta czterdziestoletnia, ruda, o ostrych i brzydkich rysach twarzy.

— Zanadto hałasujecie, Gracyjo—powiedziała jej pani Fairfax—proszę się nie zapominać.

Kobieta skłoniła się w milczeniu i odeszła.

— Jest to osoba, która zajmuje się szyciem i pomaga Liwii w jej zajęciach—objaśniła mnie pani Fairfax— charakter jej nie bardzo jest miły, ale obowiązki swoje spełnia dobrze.

— Ciekawam, gdzie się podziewa Adela? — dodała zwracając rozmowę na inny przedmiot.

Zeszłyśmy na dół — Adela wybiegła naprzeciw nas.

— Obiad na stole! — zawołała — a mnie się tak chce jeść!

Poszłyśmy zatem do pokoju pani Fairfax.

ROZDZIAŁ IX.

Miłe wrażenie, jakie uczyniło na mnie serdeczne przyjęcie w Thornfield, nie osłabiało się, ale przeciwnie, zwiększało się w miarę, jak coraz to bliżej poznawałam mieszkańców zamku. Pani Fairfax była wistocie dobrą i uprzejmą towarzyszką, a Adela dzieckiem żywem, kapryśnem może nieco i zepsutem, ale grunt jej charakteru był niezły; a ponieważ nikt nie kładł tamy planom moim, wkrótce opanowałam kapryśne jej usposobienie; zaskarbiłam sobie jej uczucie, sama też przywiązałam się do niej.

Cicho, spokojnie płynęło życie moje w Thornfield. Powinnam była czuć się szczęśliwą zupełnie; pomimo to jednak, spoglądając po za okratowane drzwi parku w dal, albo stojąc samotna na terasie trzeciego piętra i zapuszczając wzrok w otaczające mnie wzgórza, lasy i pagórki, czu-

łam niejednokrotnie żywe pragnienie wydostać się po za ciasny obręb swego dotychczasowego istnienia. Pragnęłam poznać świat, tajemniczy dla mnie dotąd, ludzi więcej, ludzi innych, bo jakkolwiek nie znałam nikogo, prócz otoczenia mego w Lowood i Thornfield, przeczuwałam, że po za nimi, znajduje się mnóstwo ciekawszych do badania charakterów, mnóstwo raczej ludzi, dobrych lub złych, zaludniających ożywione i ludne miasta—wreszcie świat cały, o którym słyszałam lub czytałam trochę, którego nie znałam jednak dotychczas.

Ci, co czytać będą te słowa, wezmą mi to może za złe, nazwą mnie duchem niespokojnym, chciwym zmian i wrażeń. Niemniej tak było; a pisząc o sobie prawdę, nie mogę tego rysu pominąć.

Czasami pragnienie życia, ruchu, odmiany, wrzało we mnie gorączką, bolesną niemal.

Jedyną wtedy pociechą moją była przechadzka po korytarzach trzeciego piętra. Tam, w ciszy i samotności, przed oczyma duszy, przesuwały mi się jedne po drugich czarowne, świetne i pełne życia obrazy. Wpatrywałam się w nie chciwie, pragnąc gorąco poznać to, co dotąd przeczuwałam tylko, a myśl moja i fantazyja na tem tle osnuwała baśń cudowną i czarodziejską, pełną życia, uczucia i ognia, w którą wsłuchiwałam

się, zapominając często o rzeczywistości. Pod jej wrażeniem serce moje silnie uderzało; ale żyło, czuło, choć cierpiało.

Mylą się ci, co sądzą, że człowiek może być szczęśliwy w spoczynku i spokoju zupełnym.

Nie! — jemu potrzeba życia, czynu i ruchu, i jeżeli nie znajdzie tych żywiołów na zewnątrz— tworzy je sam w sobie; to też milijony skazanych na życie ciche i spokojne jak moje, prowadzą z sobą walkę zawziętą, żyją z niemym w duszy milczącym buntem, przeciwko losowi swemu. Utrzymują, że kobiety rodzą się już z usposobieniem spokojnem. Ale kobiety zarówno jak mężczyzni czują; zarówno jak oni do życia potrzebują szranków otwartych, cierpią skrępowane i wyrywają się ku wolności, swobodzie i życiu. Mylą się i błądzą zatem, utrzymując, że kobieta szczęśliwą być może i powinna, nie mając przed sobą innego celu, zajęcia innego—nad robótkę szydełkową, rozprawę z kucharką, przyrządzanie konfitur i bębnienie na fortepianie lub haftowanie w krosienkach.

Wśród tych samotnych po korytarzu przechadzek, często obijał mi się o uszy powolny, rozpaczliwy śmiech Gracyi Poole i dziwne, niezrozumiałe jej szepty... Czasami była spokojną zupełnie; czasami znów dziwne szmery i gwar rozlegały się z jej drzwi po korytarzu... Powierzchowność jej mogła jednak zmrozić najroman-

tyczniejszego i najwięcej zaciekawionego jej zachowaniem się człowieka. Była to postać zupełnie pospolita, jak już wspomniałam wyżej, brzydka, niemłoda i ruda. Często widziałam ją wychodzącą do kuchni i powracającą z butelką porteru... Parę razy chciałam zamienić z nią rozmowę, napróżno jednak. Zbywała mnie krótką odpowiedzią i wracała do swego pokoju...

Październik, listopad i grudzień minęły tak bez żadnej w mojem życiu zmiany.

W styczniu, pani Fairfax zażądała odemnie bym na jeden dzień uwolniła Adelę, z powodu silnego kataru. Mała tak gorąco poparła tę propozycyję, że przypomniawszy sobie czasy, w których sama, równie gorąco pragnęłam rekreacyi, nie chciałam drażnić dziecka uporem i zgodziłam się na uwolnienie jej od lekcyj.

Cały ranek przesiedziałam samotna w biblijotece. Znużona, po obiedzie zaproponowałam pani Fairfax, że odniosę list, który napisała, na pocztę, do La Hay, miejsca o trzy angielskie mile odległego od Thornfield.

Ziemia była zmarznięta, powietrze chłodne bardzo, ale słońce jasne i czas pogodny. Droga, którą iść miałam, była samotna i mało uczęszczana. Szłam prędko, by rozgrzać się szybkim ruchem. Zmęczona usiadłam nakoniec przy drodze, w chwili, gdy zegar poblizkiego kościoła wybił

trzecią godzinę. Lubiłam tę porę dnia: mrok zapadał powoli, a słońce kryło się po za drzewa, otaczające Thornfield. Cisza i spokój zalegały wokoło; przedemną, w dali, widniał zamek i wysokie jego wierzyczki, drzewa parku i odległe wzgórza.

Księżyc wschodził w tej chwili,—blady jeszcze, co chwila barwił się silniejszą purpurą i unosił się po nad La Hay i oświecał dymy unoszące się z kominów miasteczka.

Byłam daleko od siedzib ludzkich; odgłos życia dochodził jednak do mnie i mięszał się z szmerem strumieni, płynących z nieznanych w nieznane krainy...

W oddali, dające się słyszeć stąpanie konia przerwało ciszę. Zakręty i ścieżki nie pozwalały mi go dojrzeć; słyszałam jednak, że zbliża się coraz bardziej. Wstałam, chcąc odejść; ale ponieważ ścieżka była bardzo wązka, stanęłam, by swobodnie mógł kołomnie przejechać.

Byłam młoda i umysł mój pełen był jeszcze świetnych lub groźnych obrazów, pełen nadprzyrodzonych wizyj. Wśród wspomnień wielu, wspomnienia z baśni opowiadanych przez niańki szczególniej przytomne były mej pamięci i, w umyśle młodej dziewczyny, nabierały siły i mocy, nieznanej dziecięcemu umysłowi memu.

Kiedy zobaczyłam konia ukazującego się w głębi ścieżynki, stanęła mi w myśli bajka o du-

chu północnej Anglii, Gytrash'u, opowiadana mi przez Bessie. Duch ten ukazywać się miał w postaci konia, muła lub wielkiego psa, na samotnych drożynach, gdzie napadał na zapóźnionych podróżnych.

Koń był już blizko, mimo to dojrzeć go dobrze nie mogłam jeszcze, gdy wtem, z pośrodka krzaków otaczających ścieżkę, wybiegł czarno i biało cętkowany, olbrzymi pies, o dużym łbie i grzywie do lwiej podobnej. Była to właśnie jedna z postaci, pod któremi ukazywał się Gytrash mojej poczciwej Bessie, przeszedł koło mnie spokojnie, koń szedł za nim, był rosły, a na grzbiecie swoim niósł jeźdźca. Czas przyszedł!.. nigdy bowiem żadna żywa istota nie dosiadła bajecznego Gytrash'a; chodził on zawsze samotny, a w mojem mniemaniu, duchy nie przybierały nigdy ludzkiej postaci. Był to zatem nie żaden Gytrash, a poprostu zwykły podróżny, jadący najbliższą drogą do Millcote.

Przejechał koło mnie. Szłam dalej, gdy nagle zatrzymał się. Usłyszałam odgłos upadającego ciała i doszło do moich uszów wykrzyknienie:

— Do dyjabła! co robić teraz!

Obejrzałam się; koń i jeździec leżeli na ziemi: wierzchowiec widocznie pośliznął się i zwalił ze sobą jeźdźca. Pies poskoczył ku panu, a widząc go leżącym na ziemi, zaszczekał parę ra-

zy potężnie, obszedł wokoło konia i jeźdźca i przybiegł do mnie.

Oto wszystko, co mógł zrobić; nie miał innego sposobu ratunku.

Poszłam za nim i stanęłam przed jeźdźcem, usiłującym widocznie oswobodzić się ze strzemion. Ruchy jego były tak energiczne, że nie musiał sobie zrobić nic złego.

Niemniej przystąpiłam bliżej, zapytując:

— Czy pan skaleczony?

Zdawało mi się, że zaklął; nie jestem tego zupełnie pewna; w każdym jednak razie wiem, że mruknął coś niezrozumiałego i nie odpowiedział mi nic.

— Czy mogę co zrobić dla pana?—spytałam powtórnie.

— Odstąpić na bok — odpowiedział klękając; poczem wstał nareszcie.

Szamotał się długo, a pies szczekał tak uporczywie, że odsunęłam się trochę na bok, nie odchodząc wszakże, bo ciekawa byłam końca przygody.

Zakończyła się ona szczęśliwie. Pies uciszony został groźnem: „do nogi Pilote!" Jeździec usiłował przejść parę kroków, ale próba ta wiele go kosztowała, bo zaraz usiadł na wzniesieniu ziemi.

Widocznie w dniu tym, byłam w szczególnie

uprzejmem usposobieniu, bo przysuwając się znów, powiedziałam:

— Jeżeli pan jesteś raniony, mogę pójść po pomoc do Thornfield albo do Hay.

— Dziękuję, jakoś to będzie, nie złamałem, ale wywichnąłem tylko nogę.

Usiłował znów podnieść się, ale mimowoli syknął i usiadł napowrót.

Dzień był jeszcze dość jasny, a księżyc świecił już wspaniale. Mogłam więc widzieć nieznajomego. Miał na sobie kubrak z kołnierzem futrzanym i świecącemi stalowemi guzikami. Nie mogłam rozróżnić szczegółów; całość za to objęłam jednym rzutem oka. Był średniego wzrostu, o szerokiej piersi, ostrym wyrazie twarzy; czoło miał posępnie zamyślone. Oczy i brwi ściągnięte, znamionowały charakter zwykle porywczy. Obecnie zdawał się być rozgniewany. Nie był ni młody ni stary; mógł mieć lat około trzydziestu pięciu; obecność jego nie przestraszała, a nawet nie onieśmielała mnie. Gdyby nieznajomy był pięknym młodzieńcem, bohaterem romansu, nigdy nie byłabym się odważyła zaczepić go raz jeszcze, i ofiarowywać mu usługi, której nie żądał odemnie. Nigdy nie mówiłam do żadnego pięknego młodzieńca; nie wiem nawet, czy kiedykolwiek widziałam takiego. Czułam cześć instynktową dla piękna, elegancyi, uprzejmości wykwintnej i czarującego wdzięku;

czułam jednak, że gdybym kiedykolwiek spotkała te wszystkie przymioty uosobione w człowieku, instynkt tajemny byłby mnie ostrzegł przeciwko niemu, byłabym odrazu pojęła, że sympatyzować z sobą nie możemy, byłabym odsunęła się od takiego człowieka, jak odsuwamy się ostrożnie od ognia, błyskawicy: słowem od wszystkiego, co przy ponętnym pozorze, jest niebezpiecznem zarazem.

Gdyby nieznajomy był choćby uśmiechnął się do mnie, uprzejmie i wesoło podziękował za dobre chęci, byłabym poszła dalej spokojnie, nie zaczepiając go po raz wtóry. Szorstkość podróżnego dodała mi pewności siebie; to też gdy dał mi znak bym się oddaliła, zatrzymałam się, mówiąc:

— Nie mogę pana zostawić o tej porze na samotnej ścieżce, dopókąd nie będziesz wstanie dosiąść konia.

Spojrzał na mnie i odrzekł:

— Sądzę, że o tej porze, pani *sama* powinnaś być w domu, jeżeli mieszkasz w sąsiedztwie. Zkąd pani idziesz?

— Z doliny. Nie lękam się być sama w tak jasną księżycową noc i z przyjemnością po jakąkolwiek dla pana pomoc pobiegnę do La Hay, tem więcej, że idę tam właśnie oddać list na pocztę.

— Mówisz pani, że mieszkasz w dolinie. „Czy czasem nie w tym domu z wieżyczkami?" — zapytał, wskazując na Thornfield, oświetlony promieniami księżyca.

Pałac biały jasno wysuwał się na ciemnem tle parku.

— Tak panie.

— Do kogo należy ten dom?

— Do pana Rochester.

— Czy pani zna pana Rochester?

— Nie widziałam go nigdy.

— A zatem nie mieszka tam?

— Nie.

— Gdzie może być teraz?

— Nie wiem panie!

— Nie jesteś zapewne służącą w pałacu; jesteś...

Zatrzymał się i spojrzał na ubranie moje, jak zawsze skromne bardzo. Płaszczyk czarny i kastorowy kapelusz, którego prawdopodobnie nie wzięłaby na głowę pokojówka prawdziwej jakiej lady, nie pozwolił mu domyśleć się mojego stanowiska w pałacu. Zdawał się być zakłopotany i ciekaw, kim być mogłam. Przyszłam mu z pomocą.

— Jestem nauczycielką w zamku.

— Ah! nauczycielką! — powtórzył—do dyjabła! zapomniałem całkiem o nauczycielce.

Bacznie mi się przyglądał. Po upływie paru minut wstał i usiłował chodzić, ale twarz jego wyrażała cierpienie.

— Nie mogę żądać, byś pani szła po pomoc dla mnie, ale, jeżeli zechcesz mi ulżyć, możesz to uczynić.

— Całem sercem — odrzekłam.

— Czy masz pani parasol, na którym mógłbym się oprzeć?

— Nie.

— A więc, staraj się ująć za cugle konia i przyprowadzić go tutaj. Nie boisz się go pani, wszak prawda?

Z własnej woli za nic w świecie nie byłabym się go dotknęła; teraz jednak byłam zupełnie gotowa zastosować się do danego mi rozkazu. Przysunęłam się do konia, ale był to rumak ognisty; nie pozwolił mi też zbliżyć się do siebie; napróżno raz za razem probowałam go ująć za uzdę, koń tak zapalczywie wywijał przedniemi kopytami, że nie sposób było dostać się do niego.

Nieznajomy patrzył na mnie w milczeniu, nareszcie zaczął się śmiać.

— Widzę — rzekł — że góra nie przyjdzie do Mahometa, musisz więc pani pomódz Mahometowi dojść do góry. Proszę się przysunąć.

— Postąpiłam ku niemu.

— Wybacz pani, konieczność zmusza mnie do korzystania z twojej usługi.

Ciężką swą rękę oparł silnie na mojem ramieniu i podszedł do konia, którego też natychmiast dosiadł, z bolesnem skrzywieniem, bo wysiłek wzmógł cierpienie jego widocznie.

— A teraz, proszę mi podać szpicrutę, która tam leży na płocie.

Odszukałam ją i podałam mu.

— Dziękuję — proszę odnieść list na pocztę i wracać o ile można najprędzej.

Spiął konia ostrogą i galopem ruszył z miejsca; pies podążył za nim i wszystko troje zniknęli z oczów „*jak kłęby wrzosów dzikich wiatrem pędzone*".

Poszłam dalej. Przygoda skończyła się. Nie była ona do zbytku romantyczną, nie była nawet mocno interesującą, ale urozmaiciła godzinę przynajmniej monotonnego życia mego. Potrzebowano mnie. Żądano odemnie usługi, której udzieliłam.

Byłam zadowolona. Spełniłam, bądź co bądź, czyn jakiś, zwyczajny wprawdzie, pospolity, ale działałam samodzielnie przez chwilę; bierne życie moje zmęczyło mnie nad wszystko. A potem, nowa postać była nowym nabytkiem umysłu mego.

Różniła się od wszystkich przedtem widzianych, najpierw dlatego, że była postacią mężczy-

zny; powtóre, że była ona chmurną i energiczną. Stała mi też przed oczyma przez całą drogę, pobyt w La Hay—i powrót do domu.

Przyszedłszy przed bramę dziedzińca, zatrzymałam się i nadsłuchiwałam, czy nie dosłyszę uderzeń kopyt, nie ujrzę jeźdźca i psa podobnego do Gytrash'a.

Zobaczyłam jednak tylko płot i wierzbę z obciętą koroną, usłyszałam szum wiatru wśród drzew parku.

W jednym z okien pałacu błyszczało już światło; przyspieszyłam kroku i stanęłam u drzwi wchodowych.

Nie lubiłam powracać do Thornfield—bo powrót doń był powrotem do monotonii mego życia. Wiedziałam, że samotna przejdę chłodną sień, ponure schody, wejdę do pustej celki mojej, zkąd zejdę do pani Fairfax i w jej spokojnem towarzystwie spędzić będę musiała długi bez zmiany zimowy wieczór,—że wieczór ten zatrze wspomnienie ożywczej przechadzki i wypadku, który urozmaicił mi chwil kilka. Cisza, wśród której żyłam, były to więzy wrzucone na moje siły młode. Potrzebowałam wprzód przejść przez burze niepewnego jutra, przez życie pełne walki, gorzkie i twarde, rozczarowanie, by polubić otoczenie ciche, wśród którego żyłam obecnie. Pragnęłam walki, jak człowiek, co w najwygodniejszym fotelu, z musu, przesiedziawszy

dzin parę, pragnie przechadzki i ruchu. Pra-
ienie czynu u mnie było równie proste, natu-
lne i konieczne.

Chodziłam długo jeszcze przed domem, włó-
yłam się bez celu po uliczkach, zakrętach ogro-
. Okienice były pozamykane, nie wiedziałam
zeto, co dzieje się wewnątrz domu. Wolałam
odwrócić myśl i oczy od szarej owej jaskini
urowych sklepień i murów, a natomiast zwró-
je ku błękitom nieba, ku jasnej tarczy księ-
ca, dążącej do nieznanych, tajemniczych szczy-
w przestrzeni. Drżące gwiazdy towarzyszą-
jej w pochodzie, robiły na mnie dziwne wra-
ie; serce mi biło silnie, krew wrzała w ży-
h.

W chwilach jednak podobnych, drobnostka
ąga nas zwykle z wyżyn zachwytu do rzeczy-
stości.

Zegar uderzył i to wystarczyło, by mnie roz-
eźwić zupełnie. Odwróciłam wzrok od błę-
u nieba, księżyca i gwiazd, otworzyłam bocz-
drzwi—i weszłam do domu.

Do wielkiej sali światło szeroką smugą wcho-
iło przez otwarte drzwi jadalni.

Przy ogniu kominka i płomieniach świec, wi-
iałam czerwone obicie, błyszczące sprzęty i
ka postaci zebranych na środku. Doszedł mnie
ar rozmowy, głos Adeli, chciałam spojrzeć
głąb, gdy drzwi zamknęły się nagle.

Poszłam do pokoju pani Fairfax. Ogień płonął na kominku, ale ani światła ani pani Fairfax nie było w pokoju; natomiast olbrzymi czarno i biało cętkowany pies, rozciągnięty na dywanie grzał się przed kominkiem. Był to mój Gytrash; tak mi się przynajmniej zdawało. Zdziwiona, przysunęłam się, wołając:

— Pilote!

Pies wstał i przyszedł do mnie — pogłaskałam go, radośnie pokręcił ogonem.

Zadzwoniłam. Liwia weszła do pokoju.

— Co to za pies?—spytałam.

— Przyszedł z panem.

— Z jakim panem?

— No, z naszym panem, z panem Rochester, który dopiero co przyjechał.

— Doprawdy? Czy pani Fairfax jest u niego?

— Tak, razem z panną Adelą; John zaś pojechał po doktora, bo panu wydarzył się w drodze wypadek: koń przewrócił się i pan Rochester wywichnął sobie nogę.

— Czy nie na ścieżce prowadzącej do La Hay?

— Właśnie, proszę pani, koń pośliznął się na pochyłości.

— Ah! Liwija, proszę, podaj mi światło.

Liwija powróciła wkrótce wraz z panią Fa-

irfax, która powtórzyła mi przygodę, dodając, że pan Carter doktór, przybył.

Odeszła, by zarządzić herbatą; ja udałam się do swego pokoju.

ROZDZIAŁ X.

Według rozkazu doktora, pan Rochester położył się wcześnie, a nazajutrz późno wstał.

Miał być widzialny tylko dla interesantów to też plenipotent i kilku dzierżawców od rana chcieli rozmowy z nim,—oczekiwali.

Ja, z Adelą, musiałyśmy się usuwać z biblijoteki, gdyż pan Rochester przyjmował tam interesantów. Napalono nam w innym pokoju; tam też odbywałyśmy lekcyje.

Cały też zamek zmienił się nie do poznania, od chwili powrotu pana Rochester. Znać w nim było pana. Grobowe milczenie zalegające go zwykle, zniknęło, od rana do nocy słychać było w korytarzach odgłosy kroków i rozmów ludzkich, dźwięk dzwonka, pukanie do drzwi i t. d. Thornfield, od chwili gdy dziedzic powrócił w jego mury, z odludnej pustyni przemieniło

się we wcale ludny zakątek. Co do mnie rada byłam tej odmianie.

Pierwszego dnia lekcyje szły wcale nieszczególnie. Adela była myślą z panem Edwardem Fairfax Rochester; tak go bowiem nazywała i od niej ten przydomek słyszałam poraz pierwszy. Co chwila wybiegała z pokoju, w nadziei spotkania swego opiekuna i posłyszenia czegoś o obiecanym jej pudełku podarunków, które nadejść miały z Millcote, wraz z rzeczami pana Rochester.

— Będą tam śliczne dla mnie rzeczy, a może i dla ciebie się co znajdzie, panno Janino— szczebiotała wesoło — bo pan Rochester mówił ze mną o pani, pytał jak się nazywa moja nauczycielka, i czy czasęm nie jest szczupłą i bladą osobą. Odpowiedziałam, że tak, bo wszak tak jest, panno Janino?

Jak zwykle jadłyśmy obiad w pokoju pani Fairfax; potem całe popołudnie siedziałyśmy w domu, bo śnieg padał obficie. Gdy poczęło się zmierzchać, uwolniłam Adelę i pozwoliłam jej zejść na dół, gdyż, sądząc po ciszy jaka zaległa korytarze, myślałam, że pan Rochester musi już być wolny.

Sama zbliżyłam się do okna—mgła jednak i gęste płaty śniegu zaciemniały widnokrąg tak, że nie można było dojrzeć drzew nawet przed

domem, na trawniku rosnących. Spuściłam firankę i usiadłam przed kominkiem.

Na iskrzącym się popiele, fantazyja moja zaczęła tworzyć obraz, widziany niegdyś, a przedstawiający zamek Heidelberg nad Renem. Pani Fairfax weszła i przerwała mi moją płomienną mozaikę; jednocześnie wyrwała mój umysł z przygnębiających myśli, które powoli zaczynały mnie już ogarniać.

— Pan Rochester—rzekła—pragnie, byś pani wraz z elewką swoją piła z nim herbatę. Był tak zajęty, że dotąd nie mógł pani widzieć.

— O której pan Rochester pija herbatę?

— O szóstej. Zwykle jada wcześniej gdy jest na wsi; to też czas się już pani przebrać. Chodź pani prędko—pomogę jej trochę.

— Czy to koniecznie—spytałam.

— Zawsze lepiej byś zmieniła suknie; ja zawsze ubieram się wieczorem, gdy pan jest w domu.

Jakkolwiek formalność ta zdawała mi się zbyteczną, poszłam jednak na górę i zmieniłam czarną swoją wełnianą suknię na jedwabną tegoż koloru, jedyną zresztą, jaką posiadałam w swej garderobie. Wprawdzie miałam jeszcze jasno-perłową, ta jednak, według pojęcia o tualecie nabranego w Lowood, zdawała mi się zbyt strojną, by ją można było włożyć inaczej, jak na bardzo wielką już uroczystość.

— Potrzeba pani jeszcze broszki—zauważyła pani Fairfax.

— Miałam perełkę oprawną, ostatni dar panny Temple. Włożyłam ją i zeszłyśmy na dół.

Nie przyzwyczajona do spotykania się z obcymi ludźmi, byłam zakłopotana tem uroczystem przedstawieniem się panu Rochester; to też, gdy przeszłyśmy salę jadalną, puściłam przodem panią Fairfax, a sama w jej cieniu wsunęłam się do eleganckiego buduaru, oświetlonego, płonącego na stole i kominku świecami. Przed ogniem, rozciągnięty, grzał się Pilote, a Adela klęczała przy nim. Na szeslągu, z nogą na poduszce opartą, spoczywał pan Rochester, patrząc na grupę z dziecka i psa złożoną. Ogień oświecał jego twarz: poznałam też natychmiast mego wczorajszego nieznajomego, poznałam jego gęste krzaczyste brwi, otwarte, szerokie czoło, rozdęte nozdrza i surowy wyraz ust. Teraz, gdy był bez płaszcza, zauważyłam, że surowość rysów twarzy, harmonizowała u niego zupełnie z całą postacią.

Była to piękna postać atlety, o szerokiej i rozwiniętej piersi, wciętym stanie, pozbawiona jednak wysokiego wzrostu i wdzięku.

Pan Rochester musiał wiedzieć, że weszłyśmy z panią Fairfax; nie raczył jednak zwrócić na nas uwagi, nie podniósł bowiem nawet głowy...

— Oto panna Eyre — rzekła spokojnie pani Fairfax.

Skłonił się, nie odwracając jednak wzroku od grupy przy kominku.

— Niech panna Eyre siada—odrzekł.

Sztywny jego ukłon, ton mowy zniecierpliwiony, jakkolwiek ceremonijalny, zdawały się mówić:

— Cóż mnie do dyjabła może obchodzić, czy panna Eyre jest tu—lub gdzieindziej!

Usiadłam, pewna siebie i bynajmniej nie zakłopotana. Przyjęcie pełne wyszukanej grzeczności, byłoby mnie niezawodnie onieśmieliło; nie byłabym potrafiła odpowiedzieć na nie z należną uprzejmością i wdziękiem; ale ta oryginalna szorstkość nie nakładała na mnie żadnych obowiązków, przeciwnie, znosząc je cierpliwie, czułam się wyżej od niego. Zresztą początek naszej znajomości był tak oryginalny i ekscentryczny, że z ciekawością oczekiwałam dalszego ciągu.

Pan Rochester był ciągle podobny do posągu, nie ruszał się i nie mówił; pani Fairfax uważała zaś widocznie, że należy, by ktokolwiek z towarzystwa był przynajmniej uprzejmym. Zaczęła więc mówić jak zawsze słodko, jak zawsze jednak w sposób zupełnie pospolity: użalała się nad umęczeniem pana Rochester z powodu licz-

nych jego interesów, nad cierpieniem, jakie musiała mu sprawiać zwichnięta noga, zalecała mu cierpliwość i ostrożność, dopókąd ból nie ustąpi zupełnie.

— Chciałbym pić herbatę— odpowiedział jej tylko.

Zadzwoniła; a gdy wniesiono nakrycie, zajęła się przyrządzeniem herbaty z całą uwagą i precyzyją. Przysunęłyśmy się z Adelą do stołu; pan domu nie opuszczał szeslonga.

— Bądź pani łaskawa podać tę szklankę panu Rochester—rzekła pani Fairfax— Adela mogłaby ją upuścić.

Gdy odbierał szklankę z moich rąk, Adela, sądząc zapewne, że wybrała najwłaściwszą do przemówienia za mną chwilę, zawołała:

— Prawda panie, że w twoim kufereczku jest podarunek dla panny Janiny?

— Zkądże przyszedł ci do głowy podarunek? Czy panna Eyre spodziewała się go? Czy pani lubi prezenty?

I ciemnemi swemi przenikliwemi oczami wpatrywał się we mnie.

— Nie wiem, panie — odrzekłam—nie mogę sądzić o tem z własnego doświadczenia; w ogólności podarunek uchodzi za rzecz przyjemną.

— W ogólności; ale w szczególności pani, co myślisz o tem?

— Chciałabym zastanowić się nad tem chwilę, by panu dać zadawalającą odpowiedź. Na podarunek można zapatrywać się z różnych stron i zbadać je wszystkie przed wydaniem sądu.

— Panno Eyre, jesteś mniej naiwna od Adeli, która, skoro tylko mnie zobaczy, wielkim głosem dopomina się o gościniec. Pani się wykręcasz.

— Bo nie mam praw Adeli. Ona powołać się może na dawną znajomość i zwyczaj, bo wiem, że zawsze, wracając do domu, obdarzasz ją pan zabawkami. Co do mnie, praw żadnych nie mam, jestem panu obcą: nie zrobiłam nic, coby mogło zasługiwać na oznakę wdzięczności i pamięci.

— O! nie udawaj pani skromnej; egzaminowałem Adelę i widzę, żeś pani wiele nad nią pracowała. Nie jest zdolną, mimo to jednak zrobiła znakomite postępy.

— Dałeś mi pan dar, którego pragnęłam i dziękuję za niego. Największą nagrodą nauczyczycielki pochwała postępów uczenicy.

— Oh! oh!—mruknął pan Rochester i pił dalej herbatę w milczeniu.

— Zbliż się pani do ognia—rzekł, gdy zabrano nakrycie, a pani Fairfax wsunęła się w kącik z pończoszką.

Chodziłam po pokoju z Adelą, która pokazywała mi graciki, rozstawiane na półkach, sto-

likach w pokoju. Na rozkaz pana Rochester, przysunęłyśmy się bliżej. Adela chciała mi usiąść na kolanach, ale pan Rochester odesłał ją, by bawiła się z Pilotem.

— Od trzech miesięcy jesteś tu pani? — spytał.

— Tak panie.

— Zkąd tu przybyłaś?

— Z Lowood.

— Ah! dobroczynny zakład! Jak długo byłaś tam pani?

— Osiem lat.

— Osiem lat! w takim razie twarde masz pani życie; sądziłem zawsze, że w podobnych warunkach, połowa tego czasu, byłaby w stanie zabić najsilniejszego człowieka. Nie dziwię się teraz, że wyglądasz jak gdybyś z grobu powstała,— a myślałem już nad tem, zkąd pani wyrwałaś ten dziwny rodzaj twarzy. Wczoraj, gdy szłaś naprzeciwko mnie, ścieżką prowadzącą do La Hay, myślałem o czarodziejskich bożkach i byłem gotów uwierzyć, że to ty zaczarowałaś mego konia; dotąd nawet nie jestem pewien, czy tak nie było. Kto są twoi rodzice?

— Nie mam ich.

— I nie miałaś ich zapewne nigdy? Czy pamiętasz ich?

— Nie.

— Tak też i myślałem. A gdym cię spotkał siedzącą na drodze, szukałaś tam pani szczęścia?..

— O czem pan mówisz?

— No o czemże? O zaczarowanych książętach... Światło księżyca, powinno było sprzyjać ich ukazaniu się. A może to ja swojem zjawieniem przerwałem czar i za to rzuciłaś pod nogi mego konia ten przeklęty kawałek lodu.

— Wieki minęły — odrzekłam poważnie — od chwili, gdy wszyscy zaczarowani książęta opuścili Anglię. Napróżno szukać by ich dziś przyszło na ścieżce, wiodącej do La Hay i na otaczających ją polach. Oddawna zarówno słońca promienie, jak księżyca światło, nie towarzyszy ich ucztom.

Pani Fairfax opuściła na kolana robotę i zdawała się zdumiona rozmową naszą, z której nie rozumiała ani słowa.

A więc—ciągnął dalej pan Rochester — jeżeli pani nieznasz ani ojca ani matki, to musisz mieć przynajmniej wujów, albo ciotki.

— Nie, przynajmniej nie znam ich.

— Gdzież pani dom?

— Nie mam go.

— A gdzie mieszkają bracia twoi i siostry?

— Nie mam siostr, ani braci.

— Kto panią tu sprowadził?

— Ogłosiłam się w gazetach i pani Fairfax napisała do mnie.

— Tak! — zawołała poczciwa kobiecina, rada, że nakoniec zrozumieć może o czem mówią — i od tej chwili codziennie dziękuję Bogu za wybór jaki zrobiłam. Panna Eyre jest mi poczciwą towarzyszką, a słodką i uważną opiekunką dla Adeli.

— Nie trudź się pani analizą jej charakteru — przerwał pan Rochester. — Pochwały nie wpłyną na mój sąd; będzie on oparty na moich własnych spostrzeżeniach. Zaczęła jednak źle: przewróciła konia podemną.

— Panie! — zawołała pani Fairfax.

— Tak, jej winien jestem zwichnięcie nogi.

Wdowa spojrzała, nie rozumiejąc ani słowa.

— Czy mieszkałaś pani kiedy w mieście? — spytał mnie pan Rochester.

— Nie, panie.

— Czy widywałaś dużo ludzi?

— Uczenice i nauczycielki w Lowood i mieszkańców Thornfield'u.

— Czytałaś dużo?

— Nigdy nie miałam do rozporządzenia wiele książek, a w dodatku były to dzieła średniej wartości.

— Prowadziłaś zatem życie prawie zakonne i prawdopodobnie wychowana zostałaś w zasadach religijnych? Brockelhurst, który o ile wiem zarządza w Lowood, jest pastorem?

— Tak panie.

— A wy, młode dziewczęta, miłujecie go jak zakonnice czczą swego kapelana.

— Bynajmniej!

— O! jakaś pani zimna! Jakto? młoda nowicyjuszka nie czcząca księdza! To doprawdy gorszące.

— Nie cierpiałam pana Brockelhurst, ja i wszystkie koleżanki moje. Był to człowiek bez serca i intrygant. Kazał nam obcinać włosy i przez oszczędność kupował igły i nici takie, że nie mogłyśmy szyć.

— Była to bardzo źle obliczona oszczędność — wtrąciła pani Fairfax, która znów znalazła się na swym gruncie.

— Czy to była największa jego zbrodnia?— spytał pan Rochester.

— Przed ustanowieniem komitetu, dopókąd był jedynym władcą Lowoodu, morzył nas po prostu głodem. Raz na tydzień prawił nam długie kazania i co wieczór kazał nam czytywać swoje dzieła o sądzie ostatecznym i śmierci. Książki te przerażały nas tak, że nie mogłyśmy zasnąć potem ze strachu.

— W jakim wieku przyjechałaś pani do Lowood?

— W dziesiątym roku.

— A pozostawałaś tam pani lat osiem; masz ich zatem teraz osiemnaście?

Odpowiedziałam twierdząco.

— Widzisz pani, że arytmetyka często przydać nam się może; bez niej nie domyśliłbym się nigdy twego wieku. Trudno go zaiste odgadnąć gdy rysy i postawa tak mało harmonizują z latami. Czego się pani uczyła w Lowood? Czy grasz na fortepianie?

— Trochę.

— Tak, to zwykła odpowiedź. Wejdź pani do biblijoteki... jeżeli łaska, chciałem powiedzieć. Wybacz pani mój ton rozkazujący. Przywykłem mówić: „zrobić to, lub owo", a rozkazy moje były zawsze spełniane. Dla nowoprzybyłej nie myślę zmieniać swoich przyzwyczajeń. Wejdź pani zatem do biblijoteki, weź światło, otwórz drzwi i zagraj co.

Poszłam i spełniłam, czego żądał.

— Dosyć — zawołał po chwili — widzę, że istotnie grasz pani trochę, jak pensyjonarka... może trochę lepiej, ale w każdym razie nie dobrze.

Zamknęłam fortepian i powróciłam do buduaru. Pan Rochester ciągnął dalej:

— Dziś rano Adela pokazywała mi parę szkiców, mówiąc, że są twojej roboty; prawdopodobnie pomagał ci w nich nauczyciel?

— Nie, doprawdy nie! — zawołałam.

— Aha, to drażni twoją miłość własną, a więc proszę mi przynieść swoją tekę. Jeżeli zaręczysz, że wszystko, co tam będzie, jest twojej roboty... Ale uprzedzam nie twierdź pani nic, nie będąc pewną zupełnie, bo znam się na tem.

— A zatem panie, będę milczeć, a pan sam osądzisz.

Przyniosłam tekę.

— Przysunąć stół! — powiedział.

Przysunęłam go do szesląga, Adela z panią Fairfax przybliżyły się, chcąc także obejrzeć rysunki.

— Proszę się nie cisnąć, będziecie oglądały w miarę, jak będą obejrzane.

— Ale nie przybliżajcie tak twarzy do mnie.

Przepatrzył uważnie rysunki i szkice, odłożył trzy z nich na bok, resztę podał pani Fairfax.

— Weź je pani na tamten stół i oglądaj z Adelą; pani zaś — dodał zwracając się do mnie — usiądź tu i odpowiadaj na moje pytanie. Widzę, że te trzy obrazy wykonała jedna ręka. Czy twoja?

— Tak.

— Kiedyż znalazłaś czas na ich zrobienie? bo opracowanie tych tematów wymagało wiele czasu i trochę namysłu.

— Malowałam je w czasie dwóch ostatnich wakacyj, spędzonych w Lowood, wtedy, gdy nic innego do roboty nie miałam.

— Zkąd pochodzą oryginały tych kopij?

— Z mojej głowy.

— Z tej głowy, którą widzę na pani karku?

— Tak panie.

— Czy ma ona jeszcze inne tematy w tym samym rodzaju?

— Mam nadzieję, że tak; sądzę nawet, że są one lepsze od tych.

Rozłożył przed sobą obrazy i znów im się przyglądał.

Były to akwarele. Pierwsza z nich przedstawiała wśród spienionego burzą morza, maszt na pół zatopionego okrętu; z pośrodka fal wypływał trup— z wyciągniętą, obnażoną ręką. W górze czarny kormoran unosił w dziobie bransoletę, zdartą widocznie z ręki, ponad wodą sterczącej.

Na drugim obrazie upostaciowałam gwiazdę wieczorną, jako kobietę ukazującą się w obłokach o zmroku: oczy jej dzikie i ponure, twarz mgłą przyćmiona, ciemne włosy w nieładzie, niby chmury nawałnicą brzemienne. Blade światło,

jak gdyby wschodzącego księżyca, rozjaśniało cokolwiek tę postać, na odmalowanie której, użyć się starałam najłagodniejszych i najciemniejszych zarazem barw.

Na trzecim, wsparta o lodowce, rysowała się głowa olbrzymia, o dzikiem, rozpaczy pełnem i głębokiem wejrzeniu, czole bladem, otoczonem koroną królewską.

— Czy czułaś się pani szczęśliwą, tworząc te obrazy? — spytał mnie pan Rochester.

— Byłam im całą duszą oddana, panie; tak, byłam szczęśliwą. Malować, jest jedną z najżywszych rozkoszy mego życia.

— O! to jeszcze niewiele; sama pani przyznajesz, że życie to w rozkosz nie bardzo było obfite. Musiałaś pani mieszać te dziwne barwy pod wpływem artystycznego prawdziwie natchnienia. Czy długo pracowałaś pani codziennie?

— Było to w czasie wakacyi, to też nie mając nic innego do roboty, siadałam do pracy rano, a zmrok dopiero odpędzał mnie od niej.

— I czy zadowolona byłaś z rezultatu tak gorącej pracy?

— Broń Boże! Przeciwnie, cierpiałam wiele nad różnicą jaka zachodziła między ideałem pieszczonym w duszy, a niedokładną jego kopiją. Czułam się zupełnie niezdolną do oddania tego, co marzyłam.

— Niezupełnie. Skreśliłaś pani przynajmniej niezły cień twych marzeń. Do oddania ich zupełnego, brak ci technicznej wprawy. Bądź co bądź jednak, prace te, jak na utwory pensyjonarki, są wiele warte. Treść ich jest pełna fantazyi; musiałaś pani we śnie widzieć kiedy oczy tej „gwiazdy wieczornej”, ich głębię, blask i powagę! Kto cię nauczył malować wiatr naprzykład? bo wszak tu burza szaleje po nad lodowcem... Zabierz pani te rysunki.

Zaledwie schowałam je do teki, zawołał szorstko:

— Dziewiąta godzina! Panno Eyre! jak możesz pani pozwolić na to, by Adela czuwała tak długo? Proszę zaraz położyć ją spać.

Adela uściskała opiekuna na dobranoc. Przyjął jej pieszczoty tak chłodno, jak naprzykład Pilote, — może obojętniej jeszcze.

— Dobranoc wszystkim — dodał, wskazując na drzwi, co znaczyć miało:

— Nudzicie mnie, męczycie swojem towarzystwem, idźcie więc sobie precz!

Pani Fairfax zwinęła pończoszkę, ja zabrałam tekę. Skłoniłyśmy się panu Rochester, który chłodnem skinieniem głowy odpowiedział na to i wyszłyśmy z pokoju.

— Nie wspominałaś mi pani, że pan Rochester jest tak bardzo oryginalny — rzekłam do pani Fairfax, gdyśmy się znalazły same.

— Znajdujesz go więc dziwakiem?

— Znajduję go nader zmiennym i szorstkim.

— Być może, że robi to wrażenie na obcych; co do mnie, tak przywykłam do jego obejścia się, że nie zwracam na nie uwagi. A potem, jeżeli nawet sposób jego zachowania się jest dziwny, należy mieć dla niego pobłażanie.

— Dlaczego?

— Bo taka już jego natura, i zmienić się nie może; a wreszcie ma niemało ciężkich i bolesnych myśli na głowie, ztąd też pochodzi jego zmienne usposobienie.

— Jakież to myśli?

— Walki rodzinne.

— Przecież on nie ma rodziny.

— Ale ją miał, miał starszego brata, który umarł przed paroma laty.

— Starszego brata?

— Tak, pan Rochester posiada Thornfield zaledwie od lat dziewięciu.

— No, to już dość dawno. Czyż tak bardzo kochał brata, że dotąd pocieszyć się po jego stracie nie może?

— Przeciwnie, były między nimi sprzeczki. Pan Roland podburzał ojca przeciwko panu Edwardowi; ten ostatni nie mógł rozdzielić dóbr dziedzicznych, a mimo to dla świetności imienia, chciał, by i pan Edward był bogatym; ułożyli

się przeto z Rolandem i wciągnęli dzisiejszego pana Thornfieldu w nader bolesne położenie. Jakim sposobem, nie wiem tego napewno; to jednak powiedzieć tylko mogę, że biedny pan Edward wiele przecierpiał, zerwał z rodziną, i wiedzie odtąd tułacze prawie życie. Niewiem, czy dwa tygodnie bawił kiedy w zamku od śmierci brata. Zresztą nie dziwię się, że unika tych miejsc.

— Dlaczego?

— Prawdopodobnie smutne są dla niego.

Pani Fairfax widocznie rada była zmienić przedmiot rozmowy i uniknąć dalszych badań. Zrozumiałam to i zastosowałam się do jej woli.

ROZDZIAŁ XI.

Następnych dni mało widywałam pana Rochester; cały czas zajmowały mu odwiedziny sąsiadów lub długie przejażdżki konne. Spotykałam go tylko od czasu do czasu w korytarzu, czasami zamyślonego, witającego mnie lekkim zaledwie ukłonem, czasem uprzejmie uśmiechniętego. Wiedziałam, że zmiany te nie były wynikiem mojego zachowania się, a zależały od wewnętrznego usposobienia i humoru pana domu, to też nie zwracałam na nie uwagi.

Pewnego dnia, pan Rochester przysłał po moją tekę, wtedy, gdy dość liczne grono gości bawiło w jego pokojach. Wieczorem zażądał, bym zeszła na dół z Adelą.

Ubrawszy małą i przekonawszy się, że wszystko jest w porządku, w moim kwakierskim kostiumie zeszłam do biblijoteki. Adela zobaczy-

ła na stole pudło jakieś i instynktownie przeczuła, że musi ono zawierać tak gorąco upragnione podarunki; to też na progu radośnie już się o nie dopominać zaczęła.

— Tak, to twoje pudełko — odparł jej pan Rochester. — Weź je gdzie do kąta i zaspokój się prawdziwa córko Paryża, ale proszę, nie nudź mnie więcej tą sprawą; zachowuj się cicho, dzieciaku, — pamiętaj!

Adela wiernie spełniając dany rozkaz rozcięła sznurki i zawoławszy tylko: „Boże! jakież to piękne", w milczeniu przeglądała dary swego opiekuna.

— Panno Eyre — odezwał się pan Rochester — siadaj tu pani.

To mówiąc, przysunął mi krzesło do swego fotelu.

— Nie lubię — ciągnął — szczebiotu dzieci; nie mają one uroku dla takiego starego bezżeńca, jakim ja jestem: nie potrafiłbym też przesiedzieć z takim oto malcem, całego wieczoru sam na sam. Proszę, nie odsuwaj się pani i siedź tu, gdzie postawiłem ci krzesło. Ot tak. Nie potrzebuję, by się u mnie krępowano formami; bo sam o nich zapominam zbyt często. Nie cierpię ich równie jak starych bab o ograniczonym umyśle; a jednak muszę tu sprowadzać swoją. Jest to Fairfaxówna, a przynajmniej mąż jej z na-

szej rodziny pochodzi. Nie mogę jej zaniedbywać.

Zadzwonił i kazał prosić pani Fairfax.

— Dobry wieczór, pani — rzekł, gdy weszła — mam do niej prośbę. Adela dostała paczkę zabawek; racz pani poświęcić się i wysłuchać jej zachwytów nad każdą drobnostką.

Adela zarzuciła natychmiast poczciwą kobiecinę porcelaną, słoniową kością i gałgankami, które napełniały pudełko.

— A teraz, spełniłem już moje obowiązki i mogę pomyśleć o mojej własnej przyjemności. Panno Eyre, proszę wysunąć krzesło, bym mógł cię widzieć nie odwracając się i siedząc wygodnie.

Spełniłam jego życzenie, choć stokrotnie byłabym wolała pozostać w cieniu; ale pan Rochester miał tak stanowczy sposób wydawania rozkazów, że zdawało się rzeczą niepodobną nie usłuchać go odrazu.

W wielkiej sali jadalnej, oświetlonej jasno słychać było tylko przyciszony szept Adeli i odgłos deszczu uderzającego o szyby.

Pan Rochester, wyciągnięty w fotelu wydał mi się dziś cokolwiek inny niż zazwyczaj. Był mniej ponury i smutny, na ustach jego drgał lekki uśmiech; przypuszczałam, że wino musiało go rozweselić trochę, nie wiem jednak, czy tak

było; dość, że usposobienie jego wieczorem swobodniejsze mi się wydało niż rano. Pomimo to jednak twarz jego nie pozbyła się surowego wyrazu, miała w sobie grozę, gdy jasne promienie światła padały wprost na jego wypukłe szerokie czoło i czarne olbrzymie oczy. Pan Rochester miał nader piękne oczy—surowe i ponure; niekiedy jednak nabierały wyrazu jeżeli już nie słodyczy, to przynajmniej uczucia bardzo do niej zbliżonego.

Przez parę minut patrzył w ogień. Gdy się odwrócił spotkał się z moim wzrokiem, utkwionym w swej twarzy.

— Przyglądasz mi się panno Eyre?— powiedział—czyżbyś mnie znajdowała pięknym?

— Bynajmniej — odrzekłam.

— Wiesz pani co, że jest w pani coś dziwnego. Wyglądasz na zakonniczkę, ze swoim cichym, spokojnym, poważnym układem, z oczyma spuszczonemi, albo utkwionemi we mnie badawczo. Gdy jednak przemówisz, słowa twoje są, jeżeli nie impertynenckie, to przynajmniej bardzo szorstkie.

— Przepraszam pana, byłam zanadto szczerą; powinnam była ci odpowiedzieć, że ludzi nie sądzi się z pozoru, że piękność jest rzeczą gustu, rzeczą zresztą małej wagi, lub coś podobnego.

— Nie, nie powinnaś pani nic podobnego odpow iedzieć. Jakto! piękność jest rzeczą małej wagi? A zatem pod pozorem osłodzenia pigułki, chciałaś pani w jej skład dodać jeszcze więcej goryczy. Ciągnij pani dalej i powiedz, co mi masz do zarzucenia? Proszę. Sądzę, że postać moja i rysy są podobne do wszystkich innych na świecie.

— Racz pan zapomnieć mojej odpowiedzi i policz ją na karb mego roztrzepania.

— Tak też i robię; niemniej, za to roztrzepanie jesteś pani odpowiedzialną. Krytykuj mnie więc: czy czoło moje nie podoba się pani?

Odrzucił w tył włosy i ukazał mi czoło wysokie, wypukłe i inteligentne; ale na twarzy jego próżnoby szukać śladów uczucia lub dobroci.

— A zatem pani, czy jestem idyjotą?

— Broń Boże, ale może wydam się panu znów szorstką, zapytując, czy masz pan wiele w duszy uczucia?

— Ah! jeszcze jedno ukłócie—i to dlatego, że powiedziałem, iż nie lubię dzieci i starych kobiet. Nie, dziewczyno; uczuciowy nie jestem, ale mam serce i sumienie; w twoim wieku miałem nawet rodzaj tkliwości w sercu: litowałem się nad biednemi i cierpiącemi, ale los srodze mnie dotknął i odtąd przeistoczyłem się w istotę twar-

dą, jak piłka gutaperczana, mająca tylko jeden punkt drażliwy. Jak sądzisz? czy mogę mieć jeszcze nadzieję...

— Nadzieję—czego?

— No, że gutaperka przemieni się w ciało.

— Stanowczo podpił sobie — pomyślałam— jakiż zabawny! Zkądże ja wiedzieć mogę, czy on się może przeistoczyć kiedy...

— Masz pani minę zakłopotaną, a jakkolwiek nie jesteś bynajmniej odemnie piękniejszą, przyznać jednak muszę, że ci do twarzy z zakłopotaniem; zresztą to mi dogadza, bo oddala na chwilę odemnie twoje badawcze wejrzenie i zmusza cię do liczenia kwiatów na dywanie. A zatem, dziewczyno, dalej żenować cię będę; jestem dziś w usposobieniu poufałem.

Wstał, oparł się o kominek i stanął tak przedemną. Postawa jego barczysta, wzrost stosunkowo mały, twarz o ostrych rysach, nie mogły wzbudzić uczucia zachwytu; każdy byłby go nazwał brzydkim. W układzie jego jednak tyle było pewności siebie, w ruchach tyle swobody, w całej postaci przebijał się taki brak myśli o powierzchowności i takie przeświadczenie silne, że wewnętrzne jego przymioty są w stanie wynagrodzić w pełni brak wdzięku i urody, że patrząc na niego, o tej urodzie zapominało się także; co więcej, brała pokusa podzielać jego pewność siebie i dobre o sobie rozumienie.

— Tak, jestem w poufałem usposobieniu — ciągnął dalej — i dlatego kazałem cię zawołać. Świece i ogień na kominie, niemy Pilote i szczebiocząca Adela, również jak pani Fairfax, nie wydały mi się wystarczającem towarzystwem; co do pani, sądzę, że jesteś właśnie tem, na co miałem ochotę. Pierwszego wieczora zaintrygowałaś mnie; później zapomniałem o tobie—i inne, mniej wesołe myśli wypędziły cię z mojej pamięci. Ale mniejsza o to, dziś chcę odpędzić od siebie to co nudne, a przywołać to, co mnie bawi—a bawi mnie twoja rozmowa. Mów zatem panno Eyre.

Zamiast przemówić, uśmiechnęłam się, a uśmiech to nie był ani uprzejmy, ani też uległy.

— Mów pani — powtórzył.

— O czem panie?

— O czem się pani podoba, zostawiam jej wybór tematu, — co więcej, wolność traktowania go wedle woli.

Milczałam.

— Cóż on sobie myśli? Czy przypuszcza, że będę mówić tak ot sobie, byle mówić, dla jego przyjemności? Nauczę go, by na drugi raz z podobnemi żądaniami nie zwracał się do mnie — pomyślałam sobie.

— Czyś pani niema, panno Eyre?

Milczałam wciąż. Pochylił się nademną i krótkie jak błyskawica spojrzenie utkwił we mnie.

— Nudna i uparta! — zawołał — milczy wciąż!.. Ale bo też prosiłem w dziwny i impertynencki niemal sposób. Przepraszam panią, panno Eyre; proszę, pamiętaj pani, że nigdy nie mam zamiaru obchodzić się z panią jako z podwładną mi osobą, to jest, chcę panią uważać jako niższą odemnie jedynie ze względu na to, że żyję o lat dwadzieścia dłużej i mam wiekowe doświadczenie. Władza taka jest słuszna i nie pozbędę jej się tak łatwo. W imię też tej wyższości proszę panią, byś raczyła mówić i rozerwać trochę moje myśli, które cierpią, bo ciągle zwracają się w jeden punkt i gryzą mnie, jak rdza żelazo.

Raczył się tłomaczyć, prawie przepraszać mnie. Oceniłam to i chciałam, by wiedział o tem.

— Całem sercem, panie — odrzekłam — radabym pana rozerwać, ale doprawdy, nie wiem, jak się wziąć do tego. Zkądże wiedzieć mogę co pana zajmie? Pytaj pan, a odpowiadać będę jak potrafię.

— Naprzód, czy zgodzisz się pani na to, bym w stosunku do ciebie był trochę panem? Bym był niekiedy wymagający i szorstki dla wyżej wymienionych przyczyn: najpierw więc dlate-

go, że mógłbym być twoim ojcem, powtóre, że mam za sobą doświadczenie zdobyte walką i pracą, że widziałem wiele ludzi, wiele narodów, że zresztą zwiedziłem pół świata, wtedy, gdyś pani siedziała ciągle na jednem i tem samem miejscu, u jednych i tych samych ludzi.

— Rób pan, jak mu się podoba.

— To nie jest odpowiedź, a przynajmniej odpowiedź bardzo drażniąca, bo wymijająca. Odpowiedz pani jasno.

— A zatem, panie, sądzę, że nie masz prawa dawać mi rozkazów jedynie dlatego, że jesteś odemnie starszy i widziałeś więcej ludzi. Wyższość prawdziwa zależy dopiero od sposobu, w jaki pan zużytkowałeś życie swoje i znajomość świata.

— Jest to jasne, ale na zasadę pani zgodzić się nie mogę; byłaby ona dla mnie bardzo niekorzystną, gdyż z życia mego i znajomości ludzi nie zrobiłem użytku żadnego. Odłóżmy zatem na bok wszelką wyższość — i odpowiedz mi pani, czy poprostu zechcesz czasami spełnić moje rozkazy, nie obrażając się za to, że wypowiem je tonem trochę szorstkim.

Uśmiechnęłam się.

— Dziwny jest pan Rochester — pomyślałam sobie— pyta mnie o to, jak gdyby nie wiedział, że płaci mi trzydzieści funtów rocznie, za to, bym słuchała jego rozkazów.

— Oto uśmiech, który mi się podoba; ale to nie wystarcza, — mów pani!

— Myślałam, że mało jest panów, którzyby się troszczyli o to, czy ludzie, którym płacą, radzi są lub nie, ze spełniania danych im rozkazów...

— Ludzie, którym płacą!.. Alboż ja pani płacę? Ah! prawda, zapomniałem o tem; a zatem, czy dla tej przyczyny pozwolisz mi być panem?

— Dla tej—nie; ponieważ jednak zapomniałeś na chwilę o zależnem położeniu mojem, ponieważ troszczysz się o to, czy poddana twoja szczęśliwą się czuję w tym poddaństwie — z całego serca zrobię to, czego pan odemnie żądasz.

— I uwalniasz mnie pani od form etykiety, nie biorąc ich braku, za impertynencyję?

— Pewna jestem, że zawsze potrafię rozróżnić brak formy od impertynencyi. Lubię pierwszą z tych rzeczy, wtedy, gdy drugiej znieść nie potrafi żadna wolna istota, nawet—za pieniądze.

— Złudzenie!.. Większość właśnie istot wolnych, dla pieniędzy znosi wszystko. Radzę pani nie wygłaszać ogólników, prawdy których nie jesteś w stanie zgłębić i zrozumieć. Nie mniej wdzięczny pani jestem za jej odpowiedź, i za sposób w jaki ją pani wypowiedziałaś. Mówi-

łaś pani szczerze, co jest rzeczą niezwykłą. Udawanie, fałsz, chłód, albo idyjotyczny sposób zrozumienia naszej myśli, oto zwykła na szczere pytanie odpowiedź. Na sto nauczycielek, ani jedna może nie zdobyłaby się na to, co ty mnie powiedziałaś. Ale nie sądź pani, by to, co ci mówię, było pochwałą. Nie jest to bynajmniej zasługą twoją, że z innej ulepioną jesteś gliny. Jest to dzieło natury; a zresztą, nie wyrobiłem sobie o tobie jeszcze stanowczego zdania; być może, że bynajmniej lepszą od innych nie jesteś: może w zamian kilku zalet masz nieprzeliczone a nieznośne wady.

— Może ty sam masz ich niemało! — pomyślałam.

W tej chwili spotkałam się z jego wzrokiem; w oczach wyczytał myśl moją.

— Tak, tak, masz pani słuszność: mam wiele wad, wiem o nich, i nie staram się z tego usprawiedliwić. Przeszłość moja i sposób życia nie daje mi prawa surowego o innych sądu. W dwudziestym roku życia wszedłem, a raczej— bo grzesznicy lubią na los winę swych grzechów składać—popchnięty zostałem na złą, niebezpieczną drogę. Odtąd nie wróciłem już nigdy na dobrą. Wiem, że mogłem być czem innem niż dziś jestem: mogłem być tak dobrym jak ty pani, doświadczeńszym może, ale nie mniej czy-

stym. Zazdroszczę ci też spokoju ducha, czystości sumienia, przeszłości... bez skazy. Dziecko! przeszłość bez skazy musi być skarbem nieocenionym, niewyczerpanem źródłem szczęścia! Wszak prawda?

— A jaka była przeszłość pana w osiemnastym roku życia?

— Piękna i czysta jak kryształ, żadna skaza nie zamąciła jej przejrzystej barwy: byłem ci równy w osiemnastu leciech. Bóg stworzył mnie po to, bym był dobrym, panno Eyre, a widzisz pani, że dziś nim nie jestem. Oczy twoje mówią mi, że to widzisz. O! strzeż się pani! wzrok twój jest przejrzysty i zdradza głębie twej duszy. Wierz pani temu, co ci powiem: nie jestem złym, nie bierz mnie pani za szatana, nie; dzięki okolicznościom, jestem tylko najpospolitszym grzesznikiem, pogrążonym w uciechach, przyjemnościach, jakich bogactwo dostarczyć może człowiekowi znudzonemu życiem. Nie dziw się pani, że mówię ci to wszystko, i przygotuj się na to, że w przyszłości niejednokrotnie będziesz powiernicą wielu tajemnic. Nie ja jeden tylko potrafię instynktownie odgadnąć, że pani stworzona jesteś raczej na to, by słuchać innych, niż mówić o sobie; odgadnąć także, że słuchać ich potrafisz bez dumnej pogardy, z prostotą i sympatyją, która dodaje odwagi i pociesza, jakkolwiek nie objawia się zbyt głośno.

— Zkąd pan możesz to wiedzieć? jakim sposobem mogłeś pan odgadnąć to wszystko? — spytałam.

— Wiem o tem, i dlatego mówić będę dalej tak szczerze, jak gdybym kreślił myśl moją w dzienniku. Powiesz mi pani, że powinienem był zapanować nad okolicznościami—zwalczyć je. Tak być powinno; widzisz jednak pani, że tego zrobić nie mogłem. Gdy los dotknął mnie, powinienem był zachować się zimno i obojętnie; tymczasem poddałem się rozpaczy. Od tej chwili zaczyna się mój upadek, i dziś, gdy niecny nędznik nużający się w kałuży zepsucia, wstręt obudza we mnie, nie mam prawa okazać mu tego, bo czuję, że nie jestem od niego lepszym,—bo czuję, że on i ja—na równym stoimy stopniu. Dlaczego? O! dlaczego nie zostałem silny i niewzruszony? Bóg widzi, że dziś gorąco pragnąłbym tego! Strzeż się, panno Eyre, wyrzutów sumienia, bo są one trucizną życia!

— Ale żal szczery ma być na nie skutecznym lekarstwem.

— Nie, jedynym na nie lekarstwem byłaby poprawa życia, życie inne, lepsze. Czuję, że mógłbym dojść do tego... Mam jeszcze sił tyle, gdyby.... Ale po co myśleć o tem, takiemu jak ja potępieńcowi! A zresztą, gdy już w życiu nie wolno mi szukać szczęścia, szukać w nim będę przyjemności, i znajdę ją za jakąbądź cenę!

— I w takim razie upadniesz pan niżej jeszcze.

— Być może; a jednak—nie, jeżeli znajdę rozkosz świéżą i słodką,—a znajdę ją niezawodnie, znaleźć muszę tak słodką, jak miód przez dzikie pszczoły wśród łąk uzbierany.

— Strzeż się pan, by mu się potem nie wydała jak piołun gorzką.

— Co wiesz o tem? ty, co nie kosztowałaś jej nigdy! Jakże wzrok twój jest uroczysty i poważny, a jednak wiesz o tem tyle, co ta tu lalka porcelanowa — rzekł, biorąc za rękę jedną z figurek zdobiących kominek.—Nie masz prawa mówić o tem, dziecko, coś nie przestąpiło jeszcze progu życia, nie zbadało ani jednej tegoż tajemnicy.

— Ja przypominam panu tylko własne jego słowa, że wina pociąga za sobą wyrzuty sumienia, a te są trucizną życia.

— Któż tu mówi o winie? Nie sądzę, by ta myśl, która mi przyszła do głowy, winą być mogła. O nie! było to raczej natchnieniem, a nie pokusą; była tak słodka, tak spokojna... Powraca znów! O nie! to nie jest natchnienie szatana; a jeżeli tak, przywdział na siebie postać anioła pociechy. Czuję, że powinienem otworzyć serce takiemu gościowi, gdy ten wejść doń zamierza.

— Strzeż się go pan! To nie jest anioł prawdziwy.

— Jeszcze raz, co wiesz o tem? pytam. — Jakim prawem, jaką siłą możesz rozróżnić ducha złego, od posłannika niebios? Wodza—od kusiciela?

— Gdy mówiłeś pan, że ta sama myśl powraca znowu do ciebie, byłeś zmieszany; wiem też, że jeżeli zrobisz to, czego pragniesz — unieszczęśliwisz się jeszcze, zamiast pocieszyć.

— Bynajmniej! Anioł mój był posłannikiem najwdzięczniejszego widziadła na świecie. Zresztą, nie jesteś odpowiedzialną za sumienie moje; nie troszcz się nie.

— Chodź, o! chodź do mnie radosny zwiastunie!

Zdawał się mówić do wizyi sennej. Wyciągnął ramiona, jak gdyby pochwycić w nie pragnął marzenie swoje.

— A teraz — ciągnął dalej — przyjąłem już anioła mego. Tak, to jest bóstwo wcielone; wiem to i czuję; uświęciło mnie już i serce przeistoczyło w świątynię.

— Co prawda, ani trochę nie pojmuję pana i nie mogę dalej prowadzić rozmowy, której nie rozumiem. Wiem tylko to, że nie jesteś pan tak dobry, jakbyś tego pragnął, i że żałujesz tego. Zrozumiałam tylko, że winy przeszłości są dla ciebie męczarnią. Sądzę, że gdybyś chciał tylko, wkrótce byłbyś godnym siebie, i że, przy dobre

woli za lat parę, miałbyś już po za sobą czystą i bez skazy przeszłość.

— Dobrze pomyślane i ślicznie powiedziane, panno Eyre. Zaręczam pani, że w tej chwili brukuję piekło dobremi chęciami.

— Panie!

— Tak pani, robię postanowienie tak nieodwołalne jak przeznaczenie i od tej chwili czyny moje przyszłe różnić się będą zupełnie od przeszłych.

— I będą lepsze?

— Tak, lepsze. Zdajesz się pani wątpić o mnie, ja jednak mam wiarę w siebie: mam przed sobą cel wytknięty i powody do poprawy ważne; uznaję je też nieodwołalnem prawem, równie jak prawa Medów i Persów, za prawe i godne.

— Nie są takimi, gdy dla nich nowe prawa musisz pan tworzyć.

— Przepraszam panią; okoliczności wyjątkowe, wyjątkowych też praw wymagają.

— Jest to zasada niebezpieczna, swobody takiej łatwo można nadużyć.

— Masz słuszność rozumna filozofko! ale przysięgam na wszystko, że swobody tej nie nadużyję.

— Jesteś pan człowiekiem; a zatem istotą ułomną.

— No tak, zarówno jak pani. A zatem?

— A zatem, jako istocie ułomnej, niewolno panu przyznawać sobie prawa istot doskonałych i boskich, niewolno panu powiedzieć o żadnym swym czynie, że „będzie dobry".

— Tak, masz pani słuszność, powiedziałem już sobie „będzie dobry".

— Daj Boże, by dobrym był—odpowiedziałam wstając; — bo nie chciałam dłużej prowadzić tak niezrozumiałej dla mnie rozmowy; nie pojmowałam pana Rochester, byłam niepewna siebie, niezadowolona przeto, że nie mogłam mu jasno odpowiadać.

— Gdzie pani idzie?

— Położyć spać Adelę, bo jest już bardzo późno.

— Boisz się mnie pani, bo słowa moje podobne są do słów sfinksa.

— Mówisz pan istotnie zagadkowo; dziwię się, ale nie boję słów twoich.

— Boisz się, by twa miłość własna w rozmowie naszej nie była podrażniona.

— Tak, pod tym względem masz pan słuszność, nie radabym mówić niedorzeczności.

— Gdybyś je pani nawet mówiła, to w sposób tak uroczysty i poważny, że nie poznałbym się na tem. Czy pani nigdy się nie śmieje, panno Eyre? Nie zadawaj sobie trudu odpowiadać mi. Wiem, że śmiejesz się rzadko, ale śmiać się

potrafisz i to wesoło bardzo. Wierzaj mi pani, że usposobienie twoje nie jest poważnem, jak moje, występnem nie jest. Pani jesteś jeszcze wciąż pod wpływem niewoli Lowoodu, układasz pani twarz twoją, przyciszasz głos, krępujesz ruchy i lękasz się roześmiać wesoło wobec człowieka, który jest ci bratem, ojcem, panem,—no, czem chcesz zresztą,—z obawy, by ułożenie twoje nie wydało mu się zbyt śmiałe, ruchy zbyt żywe. Mam jednak nadzieję, że wkrótce szczerszą względem mnie będziesz, choćby tylko dlatego, że ja wobec ciebie jestem szczerym zupełnie; wtedy wejrzenie twe będzie żywsze i ruchy swobodniejsze. Czasami rzucasz pani wokoło trwożliwe a ciekawe wejrzenie, jak ptak po za druty swej klatki—i masz minę więźnia, co gdyby mógł, rozwinąłby skrzydła i szybował w przestworzu aż do nieba błękitu; ale skrzydeł tych nie rozwijasz, skulona i pognębiona, z rezygnacyją w niewoli zostajesz.

— Panie, jest już po dziewiątej.

— Mniejsza o to, poczekaj pani trochę, Adela nie jest jeszcze do snu gotowa. Na dziewczynę tę, którą badam ciekawie, (a dlaczego? opowiem ci to kiedyś), patrzyłem w chwili, gdy wydostała z pudełka różową jedwabną sukienkę; rysy jej zajaśniały radością, bo kokieteryja płynie w jej krwi, napełnia głowę, przejmuje ją do szpiku kości. — „Muszę jej przymierzyć” —

zawołała i wybiegła z pokoju. Za chwilę, wiem to, zobaczę miniaturę Celiny Varens, w kostiumie, który nosiła na scenie na początku.... Nie myślmy o tem, choć najczulsza może we mnie struna zadrga na ten widok. Zostań tu pani i przekonaj się, czy nie mam racyi.

Wkrótce w wielkiej sali dały się słyszeć kroki Adeli. Wbiegła przeistoczona w różowy obłoczek gazy i jedwabiu, w różowych pantofelkach i wiankiem róż na głowie.

— A co, czy dobrze leży?—wołała już w progu — nie wytrwam, muszę potańczyć trochę. I rozrzucając fałdy sukienki szła w podskokach, przetańczyła wokoło pokoju, nareszcie wykręciła się na koniuszku palców i klękając przed panem Rochester na jedno kolano:

— Dzięki stokrotne za pamięć— zawołała— Wszak zupełnie tak samo dziękowała ci mama, nieprawda panie?

— Naj-zu-peł-niej tak samo; tak też i zaczarowała moje gwineje i wyciągnęła mi je z kieszeni. Byłem młody, panno Janino — ciągnął dalej — twarz moja była równie świeża jak twoja. Wiosna moja minęła i zostawiła po sobie ten oto tylko kwiatek francuzki; radbym go się czasami pozbyć, bo nie przywiązuję już ceny żadnej do łodygi, która go wydała; przekonałem się bowiem, że żyć mogła jedynie na gruncie złotem przejętym. Nie! nie lubię tego dziecka, oso-

bliwie, gdy jest takiem, jak w tej chwili. Trzymam ją, wierny zasadzie tych katolików, co jednym dobrym czynem radziby tysiące swych błędów okupić. Ale kiedyindziej ci to wszystko wytłomaczę. Dobranoc!

ROZDZIAŁ XII.

I wytłomaczył mi to rzeczywiście.

Spotkał mnie kiedyś po południu w polu z Adelą i zaproponował, bym się z nim przeszła po alei bukowej leżącej w pobliżu.

Adela bawiła się w wolanta, on tymczasem powiedział mi, że była ona córką danserki z opery francuzkiej, Celiny Varens, dla której pan Rochester miał kiedyś, jak się wyraził, silną namiętność. Celina zdawała się mu odpłacać gorącą miłością. Wierzył jej, i pomimo, że wiedział o swojej brzydocie, był pewien, że młoda kobieta uwielbia go. Rujnował się też dla niej: dał jej dom, powozy, atłasy, brylanty i koronki, otoczył zbytkiem i przepychem, pewien zawsze, że mu za to niekłamanem odpłaca uczuciem.

— Przyszedłem raz do niej niespodzianie wieczorem — mówił mi — i nie zastałem jej w domu. Wszedłem do jej buduaru, ztamtąd na balkon i gryząc pastylki czekoladowe a paląc cygaro, w gorączkowym niepokoju oczekiwałem jej powrotu. Nareszcie powóz zatrzymał się przed domem, poznałem ją, wysiadała otulona płaszczem, ale zdradziła ją przedemną drobna nóżka, wymykająca się z pod sukni. Noc była jasna, księżycowa, widziałem jej postać i, oczarowany, chciałem już rzucić jej z balkonu słowo jakieś miłości pełne, gdy nagle ujrzałem drugą postać wychylającą się z powozu. Była to postać mężczyzny, który wraz z nią wszedł do domu.

— Czy nigdy w życiu nie doznałaś pani zazdrości?... Ba! mądre pytanie!—postawione tobie, co nie kochałaś nigdy! Kiedyś jednak i ty doznać musisz tych dwóch uczuć; miłość i zazdrość obudzą twą duszę z letargu. Dziś, sądzisz, że życie przeminie ci tak cicho i spokojnie, jak młodość, którą przeżyłaś. Dziś, płyniesz swobodna i dajesz się unosić fali życia, nie widząc skał podwodnych, wirów zdradliwych, co kipią wokoło ciebie. Ale cicha toń i ciebie zaniesie kiedyś ku rafom i twoje serce zadrży kiedyś, spokój życia zamąci się w gwałtownym porywie, a wtedy, albo rozbijesz się o skały, albo uniesiona dzielną

prawicą, ominiesz je i popłyniesz dalej, jeszcze cichszem, jeszcze spokojniejszem korytem.

— Lubię — ciągnął dalej zamyślony — lubię ciszę dzisiejszego wieczoru, lubię to niebo ołowiane, ten krajobraz zimowy. Kocham Thornfield, jego powagę i samotność ponurą, szare mury i ciekawe aleje parku. Kocham je, choć długo nie mogłem myśleć nawet spokojnie o tym domu przekleństwa, który i dziś jeszcze kocham i—nienawidzę jednocześnie!...

Zacisnął zęby i umilkł, stanął i nogą uderzył w zamarzłą ziemię. Myśl jakaś, widocznie zawładnęła nim zupełnie, obezwładniła go niemal.

Utkwił w wieży pałacu wejrzenie, którego nie zapomnę nigdy... Boleść, wstyd, złość, szał i wstręt najwyższy, nienawiść i zgroza zdawały się walczyć o prawo pierwszeństwa — wszystkie te uczucia odbijały się w źrenicach jego, nadmiernie pod wpływem tej walki rozszerzonych. Wyraz jego twarzy był straszny; po chwili przeszedł w wyraz cynicznej pogardy, niewzruszonej siły i postanowienia niezłomnego.

Zapanował nad wzruszeniem i ciągnął dalej :

— Przez tę chwilę milczenia, załatwiłem rachunek z przeznaczeniem, które zaszło mi drogę tu, pod tym bukem, jak czarownice Makbetowi

na wrzosowisku wiodącem do Forres. „Kochasz Thornfield!” mówiło mi ono, podnosząc rękę i kreśląc ponure wspomnienie na wieżycy zamku; „kochaj jeżeli możesz!”—ciągnęło dalej—„kochaj jeżeli śmiesz i masz odwagę kochać!” Tak, kocham, śmiem i mam odwagę kochać, kocham i kochać będę.... odrzekłem mu.

— I, dodał z uniesieniem — dotrzymam słowa, zwalczę przeszkody, które mi stoją na drodze do doskonałości i szczęścia. Żelazne pęty skruszę jak słomę, jak pył rozmiotę!...

W tej chwili Adela podbiegła ku nam i uczepiła się pana Rochester.

— Precz ztąd dziecko! — zawołał ostro. — Idź baw się z Zofiją.

Szedł dalej milcząc. Odważyłam się przypomnieć mu urwany wątek rozmowy. Myślałam, że i mnie oburknie za to pytanie niewczesne. Przeciwnie, zwrócił się ku mnie, a czoło jego rozjaśniło się nagle.

— A! zapomniałem był o Celinie. Otóż, gdy zobaczyłem ich razem, wąż zazdrości zakradł mi się do serca. Ale — przerwał znów — to dziwne, że tobie dziewczyno opowiadam to wszystko, dziwniejsze, że ty słuchasz mnie cierpliwie, jak gdyby najnaturalniejszą w świecie było rzeczą to, że człowiek, taki jak ja, opowiada historyje swych kochanek młodej, niedoświadczonej,

prostej dziewczynie. Ale to drugie właśnie usprawiedliwia pierwsze. Ty ze swoją minką poważną, roztropną i rozumną, zdajesz się być stworzoną na powiernicę. Zresztą, wiem z jaką duszą moja dusza się brata. Jest to dusza wyjątkowa, na którą nie może podziałać zaraza złego. Szczęściem nie chcę jej szkodzić, bo gdybym chciał, nie mógłbym tego dokazać. Rozmowy nasze przeto są dobre: ja ciebie nie gorszę, a ty mnie podnosisz i uszlachetniasz.

Po tej przerwie ciągnął znowu dalej:

— Zostałem na balkonie. Ukryty, zobaczyłem ich wchodzących: Celinę błyszczącą w darach moich, atłasach i klejnotach, a obok niej wicehrabiego ***, najnędzniejszego półgłówka jakiego znałem kiedykolwiek. Zazdrość ucichła; jednocześnie z nią zgasła jednak i moja dla Celiny miłość. Kobieta, która mogła mnie zdradzić dla takiego jak to człowieka, nie była godną zazdrości, a pogardy jedynie.

— Rozmawiali—bilet mój leżał na stole—wkrótce o mnie zaczęto gawędzić—obmawiali mnie na wszystkie strony. Celina szczególniej niewyczerpaną była w dowcipach, krytykujących moje wady, brzydotę moją i t. d.

W tej chwili nadbiegła znowu Adela z zawiadomieniem, że rządca czeka na pana Rochester z pilną jakąś sprawą.

— A, w takim razie muszę skrócić opowieść moją. Otóż, w chwili gdy nad wadami mojemi najgoręcej unosić się zaczęto, zjawiłem się wśród zakochanych. Nie zwracając uwagi na płacze i spazmy Celiny, prosiłem jej, by opuściła mój hotel, a na koszty przeprowadzki rzuciłem jej pełną sakiewkę złota. Nazajutrz biłem się z wicehrabią i postrzeliłem mu ramię. Odtąd, jedynem po Celinie wspomnieniem zostało to dziecię — według jej zdania — moja córka. Być może; choć nie widzę w niej ani śladu mego ojcostwa. Niemniej gdy Celina uciekła do Włoch z jakimś śpiewakiem, a małą zostawiła na bruku paryzkim, wyrwałem ją z błota i przywiozłem do tej cichej wioski angielskiej. Pani Fairfax wezwała panią do współuczestnictwa w jej wychowaniu; dziś jednak, gdy wiesz, że jest ona nieprawem dzieckiem danserki, może nie zechcesz dalej pracować nad nią, może innego poszukasz sobie miejsca?

— Nie panie, Adela nie odpowiada za winę swej matki, ani za winę twoją, i dziś, gdy wiem, że niema rodziców, że pan wypierasz się jej, silniej się tylko przywiążę do dziecka, które instynktownie garnie się do mnie, bo przeczuwa, że przyjaciołką jego jestem.

— Tem lepiej, że się pani tak na te rzeczy zapatrujesz. Ale muszę powracać, i pani także, bo noc już nadchodzi.

Zostałam jeszcze trochę z Adelą, przegrałam z nią partyję wolanta, pobiegałam trochę, a wieczorem wzięłam na kolana i tuliłam to biedne stworzenie, upatrując w niem jakiegoś podobieństwa do pana Rochester. Napróżno jednak. A szkoda: gdyby dziecko było doń choć trochę podobnem, prędzej przywiązałby się do niego.

Idąc spać, myślałam o dziwnem postępowaniu pana Rochester. Historyja jego miłości i zdrady wydała mi się naturalną, nie mogłam tylko pojąć wzruszenia jego, gdy mówił, że powrót do Thornfield jest szczęściem dla niego; tajemnicą dla mnie było wzburzenie jego i słowa, które mówił; nie mogłam ich pojąć zupełnie. Dziwne było zachowanie się pana Rochester. Powierzył mi historyję swoją z całem zaufaniem; postanowiłam też zachować ją jako tajemnicę przy sobie.

Od paru tygodni pan mój był dla mnie więcej jednostajny, mniej szorstki, spotykał mnie zawsze z uprzejmym na ustach uśmiechem, przyjmował mnie zawsze serdecznie, gdy schodziłam wieczorem do jego apartamentów. Doprawdy, czasami zdawało mi się, że istotnie miłem mu jest moje towarzystwo, że potrafię go zająć i zabawić. Mówiłam zwykle mało, ale słuchałam go ciekawie, gdy przed oczyma memi roztaczał obrazy tajemniczego dla mnie świata. Miał dar

opowiadania oryginalnego; to też wdzięczna mu byłam i szczęśliwa z tego, że fantazyi mojej otwierał nowe do działania szranki, umysłowi dawał pokarm, wtajemniczał go w życie, które zagadką było dotąd dla mnie.

Swoboda jego obejścia dodawała mi odwagi; to też wkrótce nie czułam się bynajmniej krępowaną w jego towarzystwie, pociągał mnie ku sobie przyjacielską szczerością obejścia. Uważałam go raczej za przyjaciela niż pana i, czułam się ożywioną jego towarzystwem, szczęśliwą do tego stopnia, że przestałam już myślą wybiegać w świat daleki, marzyć o rodzinie i szerszym widnokręgu życia. Pustka wokoło mnie zapełniła się, byłam swobodna, silną się czułam i zdrową jak nigdy.

A pan Rochester?.. czy zawsze jeszcze wydawał mi się brzydkim? Nie. Wdzięczność i inne jeszcze jakieś słodkie uczucie sprawiły to, że widok jego twarzy był mi miły nad wszystko, obecność jego rozweselała mi duszę. Niemniej, o błędach jego nie zapominałam, bo zapomnieć nie mogłam, wychodziły one wciąż na jaw; był dumny, szyderski i ostry dla niższych, dla mnie wyjątkowo był dobry,—czułam tem więcej niesprawiedliwość jego względem innych, był dziwakiem i wysoce ekscentrycznym. Często, gdy wezwano mnie, bym poszła czytać mu w biblijotece, zastawałam go z głową opartą na ręku,

z wyrazem nadąsania i gniewu niemal na twarzy.

Przypuszczam jednak, że dziwactwa jego, surowość i błędy przeszłości, bo dziś zdawał się istotnie wziąć z niemi rozbrat, były wynikiem strasznych nieszczęść, przez które przejść musiał; że natura jego była dobrą, skłonności szlachetne, popędy wyższe; że był w nim materyjał na innego człowieka, aniżeli ten, którego urobiły okoliczności i los. Cierpiałam też nad jego cierpieniem i całem sercem rada mu go byłam osłodzić.

Zgasiłam świecę i starałam się usnąć — napróżno jednak. Przed oczyma stał mi ciągle wyraz jego twarzy, w chwili, gdy spoglądając na zamek, odbywał rachunek z przeznaczeniem swojem, gdy mówił, że ono wierzyć mu wzbraniało, by szczęśliwym mógł być w Thornfield.

— Dlaczego nie mógłby nim być? — myślałam — co go oddala od tego domu? Pani Fairfax mówiła, że nigdy jeszcze dwóch tygodni z rzędu nie bawił w zamku, a dziś bawi tu już od dwóch miesięcy. Co za smutna zmiana! jeżeli odjedzie, jeżeli zabawi zdala ztąd wiosnę i lato— słońce i pogoda nie rozweselą Thornfieldu!

Nie wiem czy śniłam już, czy też marzyłam jeszcze w chwili, gdy zbudził mnie szelest dzi-

wny,—szept jakiś ponury i groźny, pod wpływem którego zadrżałam. Usiadłam na łóżku, podsłuchując trwożnie, zkąd szmer ten dochodził?.. Naraz wszystko ucichło.

Probowałam znów zasnąć, ale serce biło mi jak młotem, byłam wzburzona, rozdrażniona dziwnie. Druga wybiła. W tej chwili ręka czyjaś przesunęła się po drzwiach moich, jak gdyby w ciemnym korytarzu szukał kto drogi.

— Kto tam? — zawołałam.

Nikt nie odpowiedział. Zdrętwiałam ze strachu. Wmawiałam w siebie, że to może być Pilote, który zwykle, gdy zastał kuchnię zamkniętą, przychodził się kłaść u drzwi pana. Ta myśl uspokoiła mnie cokolwiek. Cisza wpływa dobrze na rozdrażnione nerwy, a ponieważ szmer ustał, uczułam się senną i już zaczynałam usypiać.

Ale już mi było sądzono nie spać tej nocy. W chwili, gdy sen kleił mi powieki, zerwałam się, przerażona szalonym i szatańskim śmiechem, którym wybuchnął ktoś przed progiem mego pokoju... Spałam przy samych drzwiach. Obejrzałam się wokoło, nie mogłam jednak nic dostrzedz. Śmiech rozległ się powtórnie, pochodził on z korytarza... Pierwszą moją czynnością było zamknąć na klucz drzwi, drugą zawołać powtórnie:

— Kto tam?...

Mruczenie jakieś niezrozumiałe, jedyną było na to pytanie odpowiedzią. Po chwili kroki czy-

jeś skierowały się ku schodom na trzecie piętro wiodącym; usłyszałam skrzypnięcie drzwi i poprzednia cisza zaległa dom cały.

— Czyżby to była Gracyja?— pomyślałam— czyż jest ona szaloną lub opętaną? W każdym razie nie wytrwam tu dłużej sama, muszę pójść do pani Fairfax.

Zarzuciłam coś na siebie i drżąc cała otworzyłam drzwi.

Zapalona świeca stała w korytarzu, powietrze było duszne, napełnione dymem, poczułam swąd spalenizny. Drzwi jakieś skrzypnęły; były to uchylone drzwi pokoju pana Rochester; dym ztamtąd wydobywał się kłębami. Nie myślałam już ani o pani Fairfax, ani o Gracyi Poole, ani o dziwnym jej śmiechu!.. W jednej chwili znalazłam się w pokoju pana Rochester. Firanki nad łóżkiem płonęły, a on głęboko uśpiony leżał wśród dymu i płomieni.

— Wstawaj pan! — krzyknęłam wstrząsając nim.

Zamruczał coś, ale się nie obudził, był obezwładniony czadem i dymem. Nie było chwili do stracenia—pościel już zajmowała się od firanek. Rzuciłam się ku umywalni—szczęściem miednica i dzbanek napełnione były wodą. Polałam nią łóżko i tego, który na niem spoczywał, i pobiegłam do siebie po więcej wody. Po wie-

lu usiłowaniach udało mi się nakoniec stłumić ogień.

Syczenie dogorywających płomieni, hałas, jakiego narobiłam upuszczając na ziemię dzbanek, nadewszystko zaś zimna woda, którą obficie polałam łóżko, zbudziły nakoniec pana Rochester. W pokoju było ciemno; domyślałam się jednak tego, usłyszawszy przekleństwa jakie rzucił nawpół jeszcze senny, poczuwszy się w wodzie.

— Cóż to? potop! — zawołał w końcu.

— Nie panie — odrzekłam — nie ma potopu, ale przed chwilą był pożar. Wstawaj pan, jesteś pan ocalony; ja tymczasem pobiegnę po światło.

— Przez imię wszystkich świętych. Czy to ty jesteś Janino Eyre?... Coś ty zrobiła ze mną mała czarownico?... Zkąd się tu wzięłaś? Czy postanowiłaś zatopić mnie?...

— Biegnę po światło. Ale na imię Boże wstawaj pan. Ktoś tu czycha na twoje życie, spiesz się pan, by odkryć, kto to być może.

— Poczekaj pani chwilę — wstaję natychmiast.

Zarzucił szlafrok, który miał pod ręką i zawołał:

— Idź pani po światło.

Wróciłam za chwilę, ze świecą zostawioną

w korytarzu. Wziął mi ją z ręki i obejrzał spalone firanki, pościel i dywan oblane wodą.

Opowiedziałam mu o wszystkiem: o szeleście i śmiechu szatańskim, który słyszałam, o zostawionym w korytarzu lichtarzu i odgłosie kroków kierujących się na trzecie piętro; powiedziałam mu dalej, że wylałam na niego wszystką wodę, jaką znalazłam pod ręką, by ugasić płomienie. Słuchał mnie uważnie; twarz jego wyrażała więcej może smutku niż zdziwienia.

— Może wezwać pani Fairfax? — spytałam.

— A pocóż do dyjabła! Niech sobie śpi spokojnie.

— A więc obudzę Liwiję, Johna i żonę jego!

— Nie, zostań tu; jeżeli ci chłodno otul się w ten płaszcz, usiądź na fotelu i czekaj na mnie. Zabiorę światło i wyjdę na chwilę. Wkrótce powrócę, ale proszę, sprawuj się cicho jak mysz, nie ruszaj się i nadewszystko nie wołaj nikogo. Ja pójdę obejrzeć trzecie piętro.

Ścigałam go wzrokiem. Cicho, na palcach przeszedł przez korytarz, otworzył drzwi prowadzące na schody, zamknął je za sobą i ciemność ogarnęła mnie dokoła. Pan Rochester nie wracał. Byłam zmęczona, zziębnięta mimo płaszcza, w którem się otuliłam, nie widziałam zresztą po-

trzeby siedzieć tu, gdy nie żądał odemnie żadnej pomocy. Niemniej bałam się wywołać gniewu pana Rochester, przestąpieniem jego rozkazu. Nareszcie usłyszałam kroki i dojrzałam światło w korytarzu.

— Mam nadzieję, że to wreszcie on idzie — pomyślałam.

Wszedł blady i ponury.

— Tak, dobrze się domyślałem — rzekł, stawiając świecę na stole.

— Jakto panie?

Nie odpowiedział mi, ale z założonemi rękoma stał długo wpatrzony w ziemię. Nakoniec zmienionym głosem zapytał:

— Czy widziałaś co w chwili, gdy wyszłaś na korytarz ?

— Nie panie, nic, prócz tej świecy.

— Ale słyszałaś śmiech dziwny — czy po raz pierwszy obił ci się o uszy?

— O nie, jest tu kobieta Gracyja Poole, która zawsze śmieje się w ten sposób. Jest to dziwna istota.

— Tak, zgadłaś, Gracyja Poole, tak, to właśnie ona, dziwna istota, jak to słusznie zauważyłaś. Pomyślę nad dzisiejszym wypadkiem. Tymczasem rad jestem szczerze, że tylko ty i ja wtajemniczeni jesteśmy w jego szczegóły. Nie mów o tem nikomu, już ja to usprawiedliwię — dodał, wskazując na łóżko. Idź do swego pokoju,

ja prześpię się na kanapie w biblijotece. Jest czwarta, za dwie godziny służba się przebudzi.

— Dobranoc panu — rzekłam wstając.

Zdawał się być zdziwiony, pomimo, że sam kazał mi odejść.

— Jakto! opuszczasz mnie już i to w ten sposób?

— Powiedziałeś pan, że mogę już odejść.

— Tak, ale nie w ten sposób, bez pożegnania, bez słówka dla mnie, tak obojętnie i chłodno. Ocaliłaś mi życie, wyrwałaś mnie okrutnej śmierci, a wychodzisz, jak gdybyśmy obcy sobie byli. Podaj mi przynajmniej rękę.

Podałam mu ją. Wziął ją w jedną, potem w obydwie dłonie.

— Ocaliłaś mi życie, Janino — powiedział — a ja, szczęśliwy jestem, że względem ciebie zaciągnąłem ten dług wdzięczności. Więcej nic nad to powiedzieć ci nie mogę. Bolesnem by mi było mieć podobny dług względem kogokolwiek na świecie, ale względem ciebie — to rzecz zupełnie inna, to co zrobiłaś dla mnie, nie ciąży mi Janino!

Zatrzymał się i spojrzał na mnie; głos jego był wzruszony, wargi mu drżały.

— Jeszcze raz, dobranoc panu — ale o długu wdzięczności, ani ciężarze, mowy tu być nie może.

— Wiedziałem — ciągnął dalej — że kiedyś wyświadczysz mi wiele dobrego; wyczytałem to w twoich oczach w dniu, w którym po raz pierwszy cię ujrzałem. Nic dziwnego, że wyraz ich i wejrzenie.... — umilkł, potem szybko dodał— dziwnie błogo podziałały na mnie, rozradowały mnie do głębi duszy. Lud mówi o mimowolnych sympatyjach, i o aniołach stróżach. Jest prawda zawsze, nawet na dnie najdziwaczniejszej baśni. Opiekunko moja droga—dobranoc!

Głos jego miał dziwnie metaliczny dźwięk, a oczy błyszczały mu jak gwiazdy.

— Szczęściem, że nie spałam jeszcze — szepnęłam, kierując się ku drzwiom.

— Jakto, odchodzisz?

— Zimno mi panie.

— Prawda! a stoisz tu w wodzie. Idź Janino, idź.

Ale trzymał wciąż moje ręce w swoich, nie mogłam więc odejść. Uciekłam się do wybiegu.

— Zdaje mi się, że słyszę głos pani Fairfax— rzekłam.

— W takim razie idź prędzej.

Puścił moją rękę— odeszłam.

Położyłam się, ale napróżno siliłam się zasnąć: zdawało mi się, że płynę pomiędzy cichą tonią morza, a spienionemi jego bałwanami, że jedna z drugiemi łączą się i niosą mnie ku czarownej jakiejś krainie. Wietrzyk łagodny po-

pychał mnie ku niej, a w chwili, gdy blizko już byłam celu, zrywał się wicher—i odrzucał precz, daleko, na spienione i szalejące burzą tonie. Napróżno rozumem starałam się zwalczyć marę — napróżno walczyłam z nią uparcie!

Przy pierwszym brzasku dnia, wstałam, nie zmrużywszy oka.

ROZDZIAŁ XIII.

Nazajutrz, po owej strasznej nocy, pragnęłam, a jednocześnie lękałam się spotkać z panem Rochester; pragnęłam posłyszeć głos jego—lękałam się spojrzeć w jego oczy. Rano, co chwila, spodziewałam się, że wejdzie do pokoju—nic jednak nie przerwało spokojnych moich lekcyj z Adelą. Koło południa dopiero posłyszałam gwar w stronie pokoju pana Rochester. Służące, pani Fairfax i domownicy, każdy dodawał swoje słówko, a wszyscy dziwili się wypadkowi zaszłemu w nocy, dziękowali Bogu, że pan ich cudem prawie uszedł niebezpieczeństwa. Widocznie natychmiast wzięto się do uprzątnięcia śladów pożaru, bo, gdy schodziłam na obiad i zajrzałam do otwartego pokoju pana domu, wszystko tam było w porządku; Liwija kończyła tyl-

ko myć szyby, zaczernione od dymu — i u łóżka brakowało firanek.

Ciekawa byłam w jaki sposób pan Rochester usprawiedliwił całą tę katastrofę, to też zbliżyłam się do Liwii. W pokoju ujrzałam wtedy drugą jeszcze osobę— była nią... Gracyja Poole.

Siedziała, milcząca jak zawsze, w brązowej swej sukni, czepku białym i chustce—i przyszywała spokojnie kółka do firanek. Surowa a pospolita jej twarz nie była bynajmniej napiętnowana rozpaczną bladością, której należało się spodziewać na twarzy zbrodniarki, która tej jeszcze nocy o morderstwo się pokusiła, a której ofiara złapała ją niemal na gorącym uczynku. Widok tej kobiety zdziwił mnie i zmieszał jednocześnie. Podniosła oczy spokojnie, spojrzała na mnie bez drżenia: nic słowem nie zdawało się w jej postaci zdradzać poczucia winy, wyrzutów sumienia. Przywitała mnie krótkiem „dzień dobry" — i dalej pracowała w milczeniu...

— Muszę ją wziąć na próbę — pomyślałam sobie—bo pojąć mi trudno jej obojętności i spokoju.

— Dzień dobry, Gracyjo — odrzekłam— co się to stało? Słyszałam gwar jakiś służących?

— Nic, poprostu tylko pan nasz czytając zasnął i zostawił zapaloną świecę, od której zajęły

się firanki; szczęściem obudził się dość wcześnie, by ugasić pożar.

— To dziwne — powiedziałam ciszej — wpatrując się w nią badawczo, że pan Rochester nikogo nie obudził, że nikt nie słyszał hałasu.

Podniosła oczy i tym razem uważnie wpatrzyła się we mnie.

— Służący śpią zdala od tego pokoju — odrzekła nakoniec. — Pokój pani i pani Fairfax najbliżej są położone. Pani Fairfax nie słyszała nic; ludzie w wieku mają sen twardy...

Zatrzymała się chwilę, a potem z udaną obojętnością, dziwnym jednak tonem, dodała:

— Ale pani, pani jesteś młoda, powinnaś była coś słyszeć.

— Tak — odpowiedziałam jej cicho, by nie być posłyszaną przez Liwiję — słyszałam i z początku myślałam, że to Pilote, ale Pilote nie śmieje się, a ja słyszałam dziwny, przerażający śmiech w korytarzu.

— Wątpię, by pan nasz śmiał się w takiej chwili. Śniło się pani zapewne.

Powiedziała to zupełnie chłodno i spokojnie...

— Nie — zawołałam żywo, oburzona bezczelnością tej kobiety — to z pewnością nie sen był...

Znowu badawczo spojrzała na mnie.

— Czy powiedziałaś pani o tem panu.

— Nie mówiłam z nim dziś jeszcze.

— I nie przyszło pani na myśl wyjrzeć przez drzwi i przekonać się, co to być mogło?

Widocznie chciała mnie wyciągać na szczegóły. Przyszło mi na myśl, że z chwilą, w której przekona się, że wiem o jej zbrodni lub podejrzywam ją o nią, zemścić się na mnie może. Postanowiłam też mieć się na ostrożności.

— Przeciwnie, — odrzekłam — zamknęłam drzwi na klucz.

— Więc pani zwykle nie zamyka się w pokoju?

— Szatanie! — pomyślałam — pragniesz poznać moje zwyczaje, by korzystać potem z tego.

I znowu oburzenie wzięło górę nad rozwagą...

— Dotąd — odrzekłam ostro — zaniedbywałam tego, od dziś dnia jednak, czuwać będę lepiej nad bezpieczeństwem własnem.

— Ma pani racyję, — klucz łatwo obrócić w zamku, a choć okolica jest spokojna, niemniej nie można ręczyć za nic, i lepiej się mieć na ostrożności. Wielu utrzymuje, że najlepiej zaufać Panu Bogu i nie troszczyć się o siebie; ja jednak myślę inaczej i sądzę, że „strzeżonego Pan Bóg strzeże".

Oniemiałam z podziwienia wobec tak zdumiewającej umiejętności panowania nad sobą i hypokryzyi przechodzącej wszelką granicę!

Służąca wezwała nas na obiad. Gracyja kazała zanieść na górę posiłek dla siebie, a i tym razem nie wspomniała o parterze. Ja zeszłam do pani Fairfax.

Poczciwa kobiecina szeroko rozpowiadać mi zaczęła o wypadku—zaledwie jednak zdolna byłam ją zrozumieć. Myśl moja pracowała usilnie nad rozwiązaniem dziwnej zagadki, tyczącej się Gracyi Poole... Czem mogła ona być w zamku? Dlaczego — pytałam sama siebie — pan Rochester nie uwięzi jej, albo przynajmniej nie wypędzi se swego domu. Tej jeszcze nocy sam przyznał mi, że wie, iż ona to właśnie podpaliła jego łóżko. Jakaż więc tajemnica zamyka mu usta, każe chronić sławy tej kobiety? Zapowiedział mi, bym o całem tem zdarzeniu najgłębsze zachowała milczenie! Nie byłoż to dziwne? Dumny, śmiały, odważny i mściwy, człowiek pełen sił i energii, w mocy takiej jak ta kobiety? w mocy ostatniej ze służących swego zamku? I gdy ona targa się na jego życie, on niema odwagi oskarżyć jej publicznie i ukarać wedle zasługi? Gdyby Gracyja była choć młodą i piękną, przypuścićby można, że pan Rochester żywi dla niej uczucie silniejsze nad ostrożność lub trwogę. Ale dość było spojrzeć na nią, by wy-

rugować z umysłu tego rodzaju przypuszczenie. A jednak — myślałam — i ona młodą była niegdyś, a młodą wtedy, gdy pan Rochester był w kwiecie wieku. Pani Fairfax mówiła mi, że kobieta ta od bardzo już dawna mieszkała w zamku. Nie mogła być nigdy piękną, ale może charakter jej silny a oryginalny, pociągał ku niej pana Thornfieldu. Może kiedyś, w młodości, uległ jej urokowi, a własna jego nieostrożność oddała jej w ręce władzę, z której otrząsnąć się nie miał siły, a którą pogardzać nie śmiał. W tej chwili jednak koścista, brzydka i surowa twarz Gracyi, stanęła mi przed oczyma; to też powiedziałam sobie:

— Nie, przypuszczenie to jest szalone!

— A jednak— a jednak, szeptał mi głos jakiś tajemniczy — i ty piękną nie jesteś, a kto wie, czy nie podobasz się czasami panu Rochester! Tak ci się przynajmniej zdawało już niejednokrotnie; przypomnij sobie wyrazy jego, wejrzenie i głos, jakim mówił do ciebie tej nocy jeszcze.

Tak, przypomniałam sobie wszystko: wejrzenie, głos i wyrazy, ton, jakim je wymawiał, wszystko to żywo stanęło mi w pamięci. Adela spojrzała na mnie w tej chwili.

— Co pani jest? panno Janino—zawołała — zarumieniła się pani, ale to zarumieniła—jak wisienka.

— To nic, nachyliłam się i krew uderzyła mi do głowy.

Myśl o stosunku pana Rochester do Gracyi Poole, była mi wstrętną, pragnęłam ją co rychlej wypędzić z umysłu. Porównywałam się do niej i widziałam, że bądź co bądź, różniłam się od niej zupełnie. Bessie powiedziała mi w czasie ostatniego widzenia się ze mną, że wyglądam na prawdziwą lady, i miała słuszność. Dziś może zdanie jej więcej jeszcze było usprawiedliwione, życie pełne nadziei i wzruszeń wpłynęło na powierzchowność moją, byłam świeższa, weselsza i ładniejsza niż kiedykolwiek.

— Dzień cały minął— pomyślałam w duchu — a ja nie widziałam pana Rochester, nie słyszałam nawet zdala jego głosu. Wieczorem za to ujrzę go z pewnością.

Rano lękałam się go zobaczyć — teraz pragnęłam tego całą duszą.

Noc zaszła, a pragnienie posłyszenia głosu mego pana, ujrzenie jego twarzy, wzrastało we mnie. Co chwila zdawało mi się, że słyszę dzwonek, że przychodzą mnie zawezwać do niego, że drzwi otwierają się i postać pana Rochester ukazuje się w nich; napróżno jednak: ciszy nic nie przerwało. Nie traciłam nadziei. Było już wprawdzie po siódmej, ale często, później jeszcze wzywano mnie do biblijoteki. Pragnęłam go

widzieć, pragnęłam zapytać go o Gracyję i posłyszeć, co mi odpowie, zapytać go, czy istotnie ją obwinia o zbrodnię zeszłej nocy i dlaczego, jeżeli tak jest, rzecz całą trzyma w tajemnicy. Nie dbałam o to, czy ciekawe pytania moje rozgniewają go lub nie; wiedziałam, że w mocy mojej było rozdrażnić go i uspokoić natychmiast. Miało to dla mnie urok niezwykły, a instynkt jakiś kierował mną i nigdy nie pozwolił mi przekroczyć miary. Zawsze względem niego zachowywałam formy szacunku i poważania, należnego panu mojemu, w dyspucie jednak, śmiało i bez obawy wygłaszałam poglądy moje, bez względu na to, czy takowe zgodne są z jego zapatrywaniem się lub nie.

Nakoniec, drzwi zaskrzypiały i ukazała się w nich Liwija. Niestety jednak, po to tylko, by oznajmić mi, że pani Fairfax czeka na mnie z herbatą.

Zeszłam, rada, że przynajmniej bliżej będę pana Rochester.

— Chodź pani prędko na herbatę, wiem, że ją wypijesz z apetytem, bo nic prawie nie jadłaś przy obiedzie — zawołała poczciwa kobiecina, gdy weszłam do jej pokoju. — Ale i teraz wyglądasz pani, jak gdybyś miała gorączkę. Czy tylko nie czujesz się słabą?

— Bynajmniej — odrzekłam — jestem zdrowa zupełnie.

— A zatem dowiedź mi tego dobrym apetytem; bądź tyle dobrą i zaparz herbatę, zanim ja dokończę tego drutu — dodała.

Wstała po chwili, by zapuścić rolety.

— Pogodnie jest, choć gwiazdy nie świecą, i pan Rochester niezłą mieć będzie drogę.

— Jakto? czyż pan Rochester wyjeżdża? — spytałam.

— Zaraz po śniadaniu do zamku Esthon, o dziesięć mil za Millcote. Zdaje mi się, że lord Ingram, sir Lynn, pułkownik Dent i kilku innych panów, mają się tam zebrać.

— Czy powróci dzisiej?

— Ani nawet jutro: zabawi tam co najmniej tydzień. Kiedy panowie się zjadą, czas im schodzi tak wesoło i mile, że niepilno im wracać do domów, a pan tak zawsze pożądany jest wśród nich, że niezawodnie nieprędko go puszczą: jest on ulubieńcem dam, które z łatwością wybaczają mu brak urody, pomnąc jedynie na wysokie stanowisko w świecie, majątek i wykształcenie jego.

— Czy w pałacu są i damy?

— Nieinaczej — pani Esthen z trzema ślicznemi córkami, oraz panny: Maryja i Blanka Ingram. Ta ostatnia musi być bardzo piękna. Widziałam ją: osiemnastoletnia dziewczyna, przed sześciu czy siedmiu laty na balu dawanym przez

pana Rochester w dzień Bożego Narodzania, była królową uroczystości.

— Jakże wyglądała? — spytałam.

— Wysoka, szczupła, o spuścistych ramionach i łabędziej szyi, rysy ma cudnie piękne, a przy matowej cerze, oczy jej czarne, ogromne, podobne trochę do oczów pana Rochester, błyszczały jak brylanty. Miała białą suknię ubraną kwiatami i wstążkami, w złoto - żółtym odcieniu. Była prawdziwie czarującą.

— To też musiała czarować wszystkich?

— Oczywiście, i nietylko urodą ale i talentami swojemi. Z panem Rochester śpiewała duet.

— Z panem Rochester? czyż on śpiewa?

— Tak, i ma bardzo piękny basowy głos.

— A panna Ingram?

— Wysoki sopran, silny i metalicznie dźwięczny. Gra także bardzo dobrze, jak twierdzi pan Rochester.

— Czyż dotąd, mimo urody takiej i wdzięków, nie poszła za mąż?

— Nie, bo majątek ich jest niewielki. Najstarszy syn odziedziczył majątek ojca.

— Mimo to dziwię się, że żaden z panów nie zakochał się w niej dotąd: pan Rochester naprzykład? Wszak jest dość bogatym na to, by w małżeństwie nie zwracać uwagi na brak majątku.

— Tak, ale różnica lat między nimi ogromna; pan Rochester dochodzi czterdziestki, a panna Blanka ma zaledwie dwadzieścia pięć lat.

— Cóżby to było niestosownego? Wszak codziennie widzimy małżeństwa kojarzące się między nierównie więcej oddalonemi wiekiem osobami.

Adela weszła w tej chwili, musiałyśmy też zmienić przedmiot rozmowy.

Gdy powróciłam do siebie, rozmowa z panią Fairfax brzmiała mi ciągle w uszach— czułam, że niepokoi mnie myśl jakaś ukryta; to też zrobiłam ze sobą ścisły rachunek, spojrzałam w głąb serca i całą siłą woli stłumić się starałam myśli i uczucia, które mną owładnęły, myśli i uczucia, które, czułam to dobrze, wiodły mnie na bezdroże, nad brzeg przepaści!..

Przed sąd rozumu i sumienia przywołałam te nadzieje i pragnienia, któremi mimowoli karmiłam się przez parę dni ostatnich, — przywołałam ję—i rozumem skazałam na śmierć, na zagładę. Powiedziałam sobie, że nigdy szaleńszej nad Janinę Eyre istoty nie było na świecie, że nikt nigdy z większą łatwowiernością nad nią nie przyjął trucizny pod postacią złoconej pigułki, że na to, by poddać się podobnym uczuciom, uwierzyć w możność urzeczywistnienia takich nadziei, trzeba być poprostu idyjotką.

— Ty! — mówiłam sobie dalej — ty miałabyś zostać wybraną pana Rochester? Ty mogłabyś podobać mu się i być mu droższą nad wszystko? Nie! to szaleństwo nie do darowania. Dałaś się uwieść kilku oznakom sympatyi, udzielonej z wysokiej łaski, przez możnego pana służącej swojej — dziecku. Biedna ofiaro! jak możesz być dotyla ślepą i nieoględną, niebaczną na własne swe dobro!

Czyż nie wiesz, że zgubą jest dla kobiety pochlebstwo, wyszłe z ust człowieka, który nie może się z nią ożenić? Czyż nie wiesz, że szaleństwem jest z jej strony, pozwolić zapanować nad sercem własnem miłości, która jeżeli nieznaną i niepodzielaną będzie, złamie jej życie i strawi ducha; przeciwnie zaś podzielona i poznana—wprowadzi ją nad brzeg przepaści, z której już nie ma ratunku...

— Janino Eyre, posłuchaj dobrej rady, stań jutro przed lustrem i zrób swój własny portret wierny i zupełnie podobny. Nie złagodź ani jednego zbyt ostrego rysu swej twarzy, nie zapomnij o żadnym w niej braku lub niedoborze, a przedstaw się taką jaką jesteś w istocie, i podpisz pod spodem: „*Portret nauczycielki biednej, brzydkiej, bez dachu i rodziny*".

— A potem weź tabliczkę kości słoniowej, na palecie twojej zmieszaj najłagodniejsze i najpiękniejsze farby—i użyj ich do odmalowania istoty

młodej, pełnej wdzięku, czaru i uroku; portretu imaginacyjnej Blanki Ingram. Przypomnij sobie wszystko, co mówiła ci o niej pani Fairfax — nie zapomnij nadać jej kibici giętkości i powabu, jej szyi i ramionom łabędziej białości, włosom kruczej barwy, oczom blasku brylantów, ubierz ją w powiewną, białą suto zasianą złocistemi różami suknię, i pod tą pracą swoją podpisz: „*Portret Blanki, dziewczyny pięknej, bogatej, wysoko urodzonej i rozumnej*".

— I jeżeli kiedykolwiek w przyszłości szał dawny cię opanuje, weź te dwa portrety, porównaj je ze sobą i powiedz, że pan Rochester, gdyby chciał tylko, z łatwością mógłby pozyskać rękę *pięknej i bogatej dziewczyny*; czyż sposób więc, by do głowy mu przyszło zwrócić się ku *brzydkiej i ubogiej nauczycielce*?

— A więc tak—zakończyłam—zrobię to: jutro zaraz wymaluję te dwa portrety.

I tem postanowieniem uspokojona, zasnęłam.

Dotrzymałam sobie słowa. W przeciągu godziny, naszkicowałam swój portret; w niecałe zaś dwa tygodnie Blanka Ingram, taka, jaką ją sobie wyobraziłam, olśniewała blaskiem i urodą na abliczce ze słoniowej kości.

Praca ta była dla mnie zbawienną, zajęła myśl moją i ręce, nadała siły i mocy wrażeniom, które chciałam utrwalić sobie w pamięci.

Nagrodą za siłę woli i panowanie nad sobą, była mi moc spokojnego przetrwania wypadków, które wkrótce miały nastąpić, a pod brzemieniem których nieprzygotowana, byłabym upadła bezsilna i zrozpaczona.

ROZDZIAŁ XIV.

Od tygodnia nie było żadnych o panu Rochester wieści. Gdy dziesięć dni minęło a on nie powracał, pani Fairfax zrobiła uwagę, że bardzo prawdopodobnie, prosto z zamku Esthon, wyjechał do Londynu i tam może cały rok nawet zabawić, bo podobne wypadki nieraz się już zdarzały.

Słuchając słów jej, w pierwszej chwili nie mogłam zwalczyć smutku jaki mnie ogarniał; wkrótce jednak przyzywałam całą moc ducha i panowanie nad sobą odzyskiwałam.

Walką i pracą doszłam do tego, że poznałam błąd własny, i nie łudziłam się już, nie przypuszczałam nawet, bym pana Rochester obchodzić coś mogła. Niemniej nie starałam się upokorzyć myślą, że niższą od niego jestem. Po

prostu tylko powiedziałam sobie, że jest moim panem, że winien mi jedynie wypłacać należne mi za pracę pieniądze, ja zaś powinnam mu być wdzięczną za dobroć jego i szacunek, szacunek zresztą, do którego zupełne miałam prawo, jeżeli wiernie pełniłam swoje obowiązki.

Wmówiłam w siebie, że taka tylko między nami może być spójnia, taki a nie inny stosunek, że zatem szaleństwem byłoby najsłodsze marzenie moje, zachwyty i nadzieje, smutek i rozpacz, poświęcać człowiekowi, który miłości mojej nie pragnął, który pogardziłby nią może, gdyby ją poznał.

Prace moje codzienne pełniłam; jak zawsze, od jakiegoś jednak czasu zaczęłam pragnąć wyjazdu z Thornfield, który tracił już dla mnie dawny urok.

Po dwóch tygodniach takiego życia, pani Fairfax otrzymała nareszcie list od pana Rochester.

Przeglądała go w milczeniu; ja zaś pochyliłam się nad robotą, rada ukryć rumieńce, któremi pokryła się twarz moja na myśl, co zawierać może ów list.

— Skarżyłam się nieraz — wyrzekła nakoniec pani Fairfax, składając list — że nadto cicho życie tu płynie, teraz też za to aż nadto gwaru mieć będziemy.

— Pan Rochester zapewne nie powróci tak prędko? — spytałam.

— Przeciwnie, i to nie sam, ale w licznem towarzystwie; będzie tu we czwartek, to jest za trzy dni niespełna. Pisze też, by wszystko było gotowe na przyjęcie gości, służba powiększona, pokoje gościnne przewietrzone wszystkie, bo panie przyjadą ze służącemi, a panowie z lokajami swemi. Gwarno więc będzie bardzo — dodała — i wyszła zająć się przygotowaniami.

Przez parę dni w Thornfield roiło się od służby, wszyscy byli w ruchu, czyszczono, myto podłogi, przewietrzano i trzepano meble, pokoje i dywany. Adela rozkoszowała się w tym zamęcie. Ja nawet ożywiona ogólnym ruchem, wzięłam się do pracy i szczerze pomagałam pani Fairfax w licznych jej zajęciach.

Nie było czasu marzyć, ani poddawać się ułudom,—dziwne wspomnienia czepiały mi się tylko na widok Gracyi Poole, zawsze jednako tajemniczej, milczącej, ponurej i odosobnionej. Zaledwie godzinę na dzień spędzała wśród innych służących; zresztą dzień cały siedziała w swoim pokoju, szyła—i śmiała się prawdopodobnie strasznym swoim śmiechem.

Najdziwniejszem wydawało mi się to, że nikt, prócz mnie, nie zwracał na nią uwagi. Nie dziwiło nikogo jej odosobnienie i niepojęty sposób życia.

Raz tylko podchwyciłam urywek rozmowy między Liwiją a inną służącą:

— Musi dobrze być płatną? — spytała jedna.

— O tak — odparła Liwija — ma ona niezłe pieniądze i mogłaby oddawna porzucić służbę i być niezależną, ale widać przywykła już do Thornfieldu i zamłodą jest na to, by usiąść z założonemi rękoma.

— Dobra z niej służąca być musi?

— Ba! wie ona najlepiej, co do niej należy— odrzekła Liwija ze znaczącem spojrzeniem — nie każdy podjąłby się tego, co ona robi, nawet za dobre pieniądze.

— O! zapewne. Dziwię się też, że pan...

Liwija spostrzegła mnie i szybko przyłożyła palec do ust.

— Cicho! — szepnęła.

— To ona nic nie wie?... — spytała kobieta....

— Nie — odrzekła Liwija i zmieniła przedmiot rozmowy.

Dowiedziałam się więc jedynie, że w zamku Thornfield była tajemnica: tajemnica, o której ja miałam nie wiedzieć.

Nadszedł czwartek. Dom cały jaśniał od świateł i ogni rozłożonych na wszystkich kominkach. Olbrzymie zwierciadła odbijały wazony

pełne egzotycznych kwiatów, a woń ich napełniała powietrze. Wszystko tchnęło odświętną jakąś i uroczystą atmosferą.

Pani Fairfax w paradnej atłasowej sukni, oczekiwała co chwila przybycia gości. Adela ustrojona także, marzyła tylko o chwili, w której ujrzy tak liczne grono; ja tylko, w codziennej mojej sukni, nie troszczyłam się o cały tłum spodziewanych postaci, pewna, że nie zażąda nikt, bym się ukazała w salonie. W pokoju moim, przy otwartym oknie, malowałam spokojnie, gdy weszła do mnie pani Fairfax, a wkrótce za nią Jan, wysłany na zwiady, wołając:

— Jadą, już jadą! za dziesięć minut najdalej będą tu wszyscy.

Podeszłam do okna i, ukryta za firanką, wyglądałam przybycia gości.

Czekałam chwilę, ukryta za panią Fairfax, gdy wreszcie z za kląbu zieleni ukazała się kawalkata, złożona z czterech jeźdźców i dwóch odkrytych powozów.

W powozach powiewały pióra i długie welony; poprzedzało je dwóch jakichś młodych nieznajomych panów, oraz pan Rochester i amazonka w purpurowej długiej sukni, w kapelusiku męzkim, z którego spływający welon muskał lekko czarne jej jak heban kędziory.

— To panna Ingram — zawołała pani Fairfax i zbiegła na dół, by przyjąć gości.

Adela chciała iść za nią; nie pozwoliłam jej jednak, mówiąc, że pan Rochester byłby prawdopodobnie bardzo niekontent, gdyby nie wezwana ukazała się w towarzystwie. Było trochę płaczu i żalu niemało; pocieszyłam ją jak mogłam, upieściłam, i dziecko wkrótce zapomniało o doznanej przykrości.

Gwar, wesołe rozmowy i śmiechy, dochodziły do nas z salonu. Dźwięczny, metaliczny głos pan Rochester górował nad innemi. Witał on wesoło przybyłych i dla każdego miał słówko jakieś uprzejme. Po chwili dały się słyszeć kroki na schodach i w korytarzu: widocznie panie szły do swoich pokojów, by przebrać się do obiadu.

Adela znów wpadła w rozpacz na myśl, że nie może być obecną tualecie; co chwila powtarzała, że u mamy wolno jej było chodzić wszędzie i że życie tam znacznie było milsze niż w zamku.

— Czy nie głodna jesteś? — spytałam, chcąc odwrócić uwagę jej od przykrych rozpamiętywań.

— Spodziewam się: od pięciu godzin nic w ustach nie miałam!

Zeszłam na dół i dostałam się do spiżarni, zkąd wzięłam kurczę na zimno, kawałek tortu,

chleba i talerzy parę. Wracałam, gdy na korytarzu rozległy się głosy —panie wychodziły przebrane już i strojne. Przyczaiłam się, nie rada spotkać nikogo i, ukryta w cieniu, widziałam cudnie piękne tualety, wesołe uśmiechy dam, słyszałam szelest jedwabiów, dźwięczne głosy i rozmowę ożywienia pełną. Pamiętam, że obraz ten uderzył mnie mile wykwintną elegancyją i blaskiem, który mnie oczarował.

Dostałam się nareszcie do swego pokoju, a zjadłszy z Adelą i Zofiją przyniesione zapasy, zeszłam z małą na schody, zkąd mogłyśmy widzieć towarzystwo całe, przez otwarte do sali podwoje i słyszeć rozmowy biesiadników.

Po obiedzie ozwały się dźwięki fortepianu i głos kobiecy słodki i uroczy, choć silny bardzo, wykonał solo jakieś; potem nastąpiły duety i chóry; w przerwach rozmawiano i śmiano się wesoło.

Adela nie dała się namówić do spoczynku; o jedenastej zaledwie zdołałam ją uśpić. Towarzystwo rozeszło się o pierwszej.

Nazajutrz urządzono wycieczkę w sąsiedztwo. Ze wszystkich dam, jedna tylko Blanka jechała konno; pan Rochester towarzyszył jej stale i oboje trzymali się trochę na uboczu od reszty towarzystwa.

Przez okno, którym wyglądałam, widziałam wyjazd ich i powrót.

— Mówiłaś pani — rzekłam do pani Fairfax, która stała za mną — że nie przypuszczasz, by pan Rochester mógł się ożenić z panną Ingram; patrz jednak, jak bardzo zajęci są sobą, jak profile ich pochylają się ku sobie, z jakiem ożywieniem rozmawiają.

— Tak, masz pani racyję, pan Rochester zachwycony jest widać swoją towarzyszką.

— A ona towarzyszem swoim— dodałam,— radabym widzieć jej twarz zblizka.

— Zobaczysz ją pani dziś wieczór. Powiedziałam panu Rochestęr, jak gorąco Adela pragnęła być przedstawioną damom, to też kazał jej zejść do salonu i prosił, byś pani jej towarzyszyła.

— Zrobił to przez grzeczność, z której ja jednak korzystać nie będę.

— Mówiłam mu, że nie jesteś przyzwyczajoną do ludzi i, że zapewne wolałabyś zostać u siebie. Odpowiedział mi na to: „Powiedz jej pani, że pragnę tego gorąco, a gdyby się opierała, przyjdę po nią sam i gwałtem zabiorę.

— Oszczędzę mu trudu — odrzekłam — pójdę, kiedy pójść muszę, choć nie przeczę, że mi to przykrem będzie. A pani, czy będziesz tam także?

— Nie, udało mi się wymówić. Ale poradzę pani jak masz zrobić, by uniknąć uroczystego wejścia, co żenuje najwięcej. Oto, gdy wszy-

scy będą jeszcze w sali jadalnej, zejdź pani do salonu i usiądź gdzie w kącie; tym sposobem nikt na ciebie nie zwróci uwagi; zresztą nie potrzebujesz siedzieć długo, i jeżeli ci się będzie przykrzyć, wyjdziesz niepostrzeżona. Chodzi tylko o to, by panią widział pan Rochester.

— Czy pani sądzi, że ci ludzie długo zabawią w zamku?

— Tydzień lub dwa najdalej; potem już napewno pan Rochester wyjedzie ztąd, bo i tak nad podziw przedłuża pobyt swój w Thornfield.

Ze drżeniem czekałam wieczoru. Myśl, że samotna i nieśmiała, ukazać się mam wobec licznego tłumu, była mi nad wyraz przykrą. Adela za to czekała go zradością. Ubrana w atłasową różową suknię, siedziała już od godziny cichutko, uważnie bacząc, by nie zepsuć najdrobniejszego szczegółu swej tualety, nastrojona poważnie, uroczyście niemal. Gdy nadszedł wieczór, włożyłam swoją popielatą suknię, kupioną jeszcze na ślub panny Temple, przygładziłam włosy i, zeszłam do salonu. Tam wsunęłam się we framugę okna i probowałam czytać. Adela usiadła u nóg moich. Drzwi od sali jadalnej zasłonięte były portyjerą, szmer tylko niewyraźny dochodził nas ztamtąd.

Adela pociągnęła mnie za suknię.

— Czego chcesz? — spytałam.

— Ah pani! czy nie mogłabym wziąć jednego z tych pięknych kwiatów, dla dopełnienia tualety?

— Zanadto o niej myślisz — odparłam — przypinając jej do boku różę i tłumiąc uśmiech na widok tej czci, religijnej niemal, małej paryżanki, dla wszystkiego, co się odnosiło do tualety.

Naraz hałas odsuwanych krzeseł dał się słyszeć w jadalni, portyjera podniosła się i całe grono strojnych dam weszło do salonu. Podniosłam się i ukłoniłam, dwie czy trzy z nich odpowiedziały skinieniem głowy, inne spojrzały na mnie i ze swobodą i lekkością wykwintną rozgościły się w salonie.

Jedne z nich zasiadły na kanapie, inne chodziły po pokoju, dwie czy trzy stanęły przed kominkiem, ożywioną prowadząc rozmowę.

Nie znałam ich wtedy; dziś jednak opisać je mogę i każdą z nich nazwać po imieniu. Było ich osiem, choć w pierwszej chwili wydawało mi się, że ich jest co najmniej dwa razy tyle, tak zaimponowały mi świetne ich tualety, zwoje przejrzystej gazy i jedwabiów, w które ubrane były.

Pani Esthon osoba średnich lat i jeszcze nieźle wyglądająca, weszła pierwsza z dwoma swe-

mi córkami. Starsza z nich Amy, o ruchach zwinnych, dziecięcych prawie, drobniutka, w białej z błękitnemi przyborami sukni, robiła nader miłe wrażenie, —młodsza, mniej wdzięczna, miała w ruchach więcej dystynkcyi i elegancyi w układzie, obydwie robiły wrażenie kwiatów lilii białej.

Pani Lynn, w świetnej atłasowej sukni i brylantowym dyjademie, czarnowłosa, poważna i dumna, mogła mieć lat ze czterdzieści. Piękna była; choć niedorównywała pod tym względem pani Dent, kobiecie bladej, o słodkim ujmującym wyrazie twarzy, ubranej w czarną suknię, strojną koronkami i perłami.

Najwybitniejszemi jednak w towarzystwie dam postaciami, były panie Ingram: matka i dwie córki. Wszystkie trzy odznaczały się nader wysokim wzrostem i pysznemi strojami. Sama pani, pomimo, że matką była dorosłych córek, wyglądała młodo; w całej jednak postaci, przebijał się taki wyraz dumy i pychy, w oczach tak ostry i surowy odcień, w całem obejściu tyle aroganckiej niemal impozycyi, że ze wstrętem spoglądałam na nią. Suknia jej pąsowa aksamitna i szal indyjski, upięty w kształcie turbanu na głowie, wybornie nadawały się do całej postaci.

Blanka i Maryja, jej córki, wysmukłe jak topolki, ubrane były biało. Na pierwszą z nich

szczególniej zwróciłam uwagę. Pragnęłam wiedzieć, czy powierzchowność jej zgadza się z opisem pani Fairfax, pragnęłam porównać ją z miniaturą, nad którą tak niedawno pracowałam. Przedewszystkiem, wyznam szczerze, chciałam zbadać, czy i o ile jest w stanie podobać się panu Rochester.

Była taką, jaką ją wyobraziłam sobie, to jest piękną, wyniosłą, czarnooką i czarnowłosą dziewczyną; niemniej była to druga pani Ingram, młodsza tylko i weselsza od niej. Ten sam wyraz bezmiernej pychy, to samo sarkastyczne i aroganckie skrzywienie ust, charakteryzowały zarówno matkę jak córkę.

Mówią, że genijusze potrafią sami siebie cenić. Czy Blanka była genijuszem?.. nie wiem; to jednak wiem na pewno, że ceniła się wysoko. Mówiła o wszystkiem z pewnością siebie, grała bez zarzutu, śpiewała z wyborną szkołą, po francuzku wyrażała się z łatwością i śliczny miała akcent. Nie dziw też, że dumna była z talentów swoich.

Maryja słodszy miała wyraz twarzy, rysy łagodniejsze i bielszą cerę; była jednak zanadto martwa i małomówna. Czy panna Ingram mogła zachwycić pana Rochester? — wiedzieć tego nie mogłam, nie znając gustu jego. Jeżeli lubił piękności majestatyczne, Blanka mogła być jego

ideałem. Zdawała się być stworzoną na to, by ją czcią otaczali wszyscy; zdawało mi się też, że podobała się panu Rochester: — dość mi też były zobaczyć ich razem, by wszelkie w tej mierze wątpliwości moje upadły.

Nie przypuszczasz zapewne czytelniku, by Adela przez ten cały czas mogła usiedzieć spokojnie?.. Jak tylko panie weszły do pokoju, zerwała się ze swego siedzenia i, z uroczystą powagą występując na środek salonu, złożyła im nizki ukłon.

Wszystkie oczy zwróciły się na nią.

— Cóż to za lalka? — zawołała ze śmiechem Blanka.

— To prawdopodobnie wychowanka pana Rochester — odparła jej pani Lynn—Mała francuzka, o której nam mówił.

Pani Dent przyciągnęła do siebie małą i ucałowała ją; Amy i Luiza Esthon z zachwytem zawołały:

— Ah! cóż to za śliczne dziecko!

Zabrały ją między siebie na sofę i bawiły się jej szczebiotem, a psuły ją i pieściły bez miary....

Podano kawę i panowie powrócili do salonu. Pułkownik Lynn, typ pięknego wojskowego; apatyczny lord Ingram, długość członków którego zdawała się dziwnie nieproporcyjonalną w sto-

sunku do powolnych jego ruchów i tępego umysłu; pan Esthon, piękny starzec o siwych włosach, a czarnych zupełnie brwiach i wąsach; nareszcie dwóch złotych młodzieńców, Henryk i Fryderyk Lynn. Pana Rochester tylko nie było w ich gronie.

Nareszcie i on się pojawił. Nie patrzyłam na niego, widziałam go jednak. Wsunęłam się jeszcze głębiej we framugę okna, pochyliłam się nad robotą i starałam całą moją uwagę obrócić na srebrne paciorki i nitki jedwabne, z których robiłam sakiewkę.

Napróżno jednak. — Co chwila, mimo woli i wiedzy, szukałam oczyma pana Thornfieldu. Ciągle stał mi on przed oczyma, takim, jakim widziałam go po raz ostatni, owej pamiętnej nocy.

Przypominałam sobie, jak ująwszy wtedy ręce moje, spojrzał na mnie oczyma, w których widniał bezmiar uczucia, słodyczy, miłości. Wtedy byłam przedmiotem uczuć takich; dziś jesteśmy zdala od siebie, obojętni, obcy: wiedziałam to i widziałam. Nie zdziwiłam się też, gdy nie spojrzawszy na mnie poszedł w głąb salonu i usiadł przy którejś z dam.

Gdy zajął się żywo rozmową, i pewną już byłam, że nie zwraca na mnie uwagi, wpatrzyłam się w twarz jego, nie panując już dłużej nad sobą. Sprawiało mi to dziwną, bolesną rozkosz.

Wrażenie to wydało mi się jakby uczuciem człowieka, co umierając z pragnienia, resztki sił dobywa, by dowlec się do zatrutego źródła, które mu śmierć zgotuje, ale złagodzi chwilowo męczarnie, które wydaje mu się przeto, mimo trucizny jaką w sobie zawiera, boskim jakimś nektarem.

Prawda to niezawodna, że to, co jednym wydaje się rzeczą brzydką, innych zachwycić może. Surowa, ostra twarz pana Rochester, wydała mi się więcej jak piękną: czarowała mnie, zachwycała... Pan Rochester zawładnął sercem mojem —stał się panem jego i władcą.

Nie chciałam go kochać.— Robiłam co mogłam, by stłumić w sobie zaród miłości, a praca moja, walka i zwycięztwo, na widok jego runęły, jak domki karciane.

Nie patrzył na mnie, nie zwracał uwagi; obojętnością tą nawet i chłodem, zmuszał mnie do kochania.

Porównywałam go z otaczającymi go panami: — uroda tamtych, elegancyja, ugrzecznienie, śmiech ich nawet, wydawały mi się mdłe i bezbarwne wobec brzydoty pana Rochester, jego surowej powagi lub uśmiechu, który od czasu do czasu rozjaśniał jego rysy, nadawał blasku oczom, czarował mnie i zachwycał. Panny Esthon mówiły z nim.

Dziwnem mi się wydało, że z takim spokojem patrzą w te głębokie oczy, że nie drżą, nie rumienią się na dźwięk jego głosu. Nic dziwnego—dodawałam w myśli:—nie jest dla nich tem, czem jest dla mnie, nie są one tego, co on usposobienia—a zdaje mi się, że ja mam dużo z nim wspólnego: czuję, jak on czuje, rozumiem grę jego twarzy, znaczenie każdego ruchu, każdego spojrzenia, choć dzieli nas przepaść—choć na tak różnych szczeblach drabiny społecznej stoimy.

W głowie mojej, w sercu i we krwi jest coś, co łączy nas nicią duchowej spójni! Jeżeli dni temu parę powiedziałam sobie, że między nami niema nic wspólnego, że jestem jedynie sługą płatną, a on panem i chlebodawcą moim—bluźniłam.

Wszystko, co jest we mnie podniosłego, silnego i dobrego—ku niemu się zwraca, do niego dąży. Wiem, że należy mi na samo dno duszy zepchnąć to uczucie, że należy stłumić każdą iskierkę nadziei, nie zapominać ani na chwilę o tem, że on tego uczucia nie pragnie, nie dzieli, nie myśli o mnie, nie zwraca na mnie uwagi. Wiem, że musimy być rozłączeni na zawsze, wiem jednak i to, że kochać go będę musiała do ostatniej chwili mego życia!

Roznoszono kawę. Od chwili przyjścia panów, panie ożywiły się i, jak jaskółki wesoło

szczebiotać poczęły. Towarzystwo podzieliło się na grupy. Blanka tylko siedziała chwilę samotna przy stole, a pan Rochester przed ogniem kominka. Po chwili Blanka podeszła ku niemu.

— Panie Rochester — rzekła — zdawało mi się, że pan nie lubisz dzieci?

— I miałaś pani słuszność.

— A więc po cóż panu ta lalka? — spytała wskazując na Adelę, — zkąd ją pan wyrwałeś?

— Spadła na mnie z obłoków — odparł z uśmiechem.

— Trzebaż ją było oddać na pensyję.

— Nie mogłem. Pensyje są tak drogie!

— Ale zdaje mi się, że pan masz do niej nauczycielkę; sądzę przynajmniej, że jest nią osoba siedząca tam w oknie. Jej także płacić potrzeba. Czyżby nie taniej wyniosło panu oddać ją na pensyję — i nie żywić dwóch osób?

Lękałam się, a raczej miałam nadzieję, że ta uwaga Blanki skłoni pana Rochester do zwrócenia na mnie uwagi. Bynajmniej.

— Nie przyszło mi to na myśl — odrzekł, patrząc wciąż przed siebie.

— Oh! panu nigdy nie przyjdzie na myśl żaden rozsądny i praktyczny pomysł. Gdybyś pan słyszał, co mama mówi o guwernantkach!.. Ja z Maryją miałyśmy ich blizko tuzin, śmiesznych

nudnych, nieznośniejszych jedna nad drugą. Wszak prawda mamo? — dodała zwracając się do lady Ingram.

— Co mówiłaś najdroższa?

Blanka powtórzyła pytanie.

— Moja najmilsza nie wspominaj mi o guwernantkach; sam ten wyraz przyprowadza mnie do mdłości. Bogu też dziękuję gorąco, że raz już uwolniłam się od tej plagi.

Pani Dent pochyliła się ku pani Ingram i szepnęła jej prawdopodobnie, że w towarzystwie znajduje się okaz tej tak srodze potępionej przez nią rasy, bo pyszna lady odrzekła:

— Tem lepiej dla niej; może tylko skorzystać z tego. — I dodała ciszej, dość jednak głośno, bym ją usłyszeć mogła: — studyjowałam ją już; a jestem dobrą fizyjognomistką, i w tej twarzy dojrzałam wszystkie wady, które cechują zazwyczaj osoby z jej klasy.

— Jakież to wady? — spytał głośno pan Rochester.

— Powiem to panu kiedyindziej — odrzekła kiwając znacząco ubraną w turban głową.

— Ale kiedyindziej nie będę już ciekawy odpowiedzi pani; teraz zaś pragnę ją posłyszeć.

— Spytaj pan Blanki, ona bliżej pana siedzi.

— Oh! proszę cię mamo uwolnij mnie od tego; wiem to jedynie, że każda z nich po szczególe, i wszystkie razem wzięte, więcej krzywdy niż pożytku przynoszą społeczeństwu.

Tu nastąpił opis kilku nauczycielek u panien Ingram i nauczycieli apatycznego lorda, wzajemnych ich stosunków i t. d.

Amy Esthon przeciwnie: zaczęła chwalić kierowniczki swej młodości, z uczuciem i żywością jej właściwą.

— Czy czasem nie myślisz skazać nas, droga Amy, na wysłuchanie całej litanii zalet i przymiotów guwernantek? By uniknąć tego, proponuję zmianę tematu rozmowy. Czy zgadzasz się pan na moje zdanie? panie Rochester.

— Na to, równie jak na każde inne, które z ust pani wyjdzie.

— A zatem, korzystając z tego, podaję wniosek. Sinior Eduardo — czy jesteś dziś przy głosie?

— Tak, jeżeli ty mi to rozkażesz — donno Bianco.

— A więc, sinior—moja wysokość rozkazuje ci przygotować płuca, bo będą one potrzebne do moich królewskich usług.

— Któżby nie pragnął grać roli Rizzia wobec takiej Maryi.

— Nie lubię Rizzia — zawołała potrząsając pokrytą lokami główką, — wolę już czarny cha-

rakter Botwela; znajduję, że mężczyzna, by był mężczyzną, powinien mieć w sobie koniecznie coś szatańskiego i pomimo wszystkiego, co historyja mówi o James'ie Hepburn, sądzę, że musiał on należeć do rzędu tych dzikich i dumnych bohaterów-bandytów, z których jednego chętnie wzięłabym za małżonka.

— Panowie! czy słyszycie? —zaśmiał się pan Rochester.— Powiedzcież teraz, który z was najpodobniejszy do Botwela?

— Ty, panie Rochester — odparł pułkownik Dent.

— Dzięki uniżone! Na honor, pochlebiasz mi pułkowniku.

Z dumnym wdziękiem Blanka usiadła przy fortepianie, po królewsku rozrzuciła fałdy swej białej sukni, wykonała parę świetnych pasaży, nie przerywając mimo to rozmowy z otaczającymi ją panami. Była tego wieczoru rozbawiona do szaleństwa; zdawało się, że chce oczarować wszystkich, wszystkich olśnić blaskiem swym, urodą i wdziękiem. Mnie wydała się zuchwale śmiałą.

— O! — ciągnęła przebiegając wciąż palcami po klawiszach, — dzisiejsza młodzież nudzi mnie bez miary; biedne, nędzne istoty, które boją się wyjść do ogrodu bez pozwolenia mamy lub guwernera, które myślą jedynie o różowych

swych twarzach, białych rączkach i nóżkach maleńkich!... Zupełnie jak gdyby uroda była potrzebna mężczyznie, jak gdyby wdzięki powierzchowne nie były jedyną prawną własnością kobiet! Przyznaję, że kobieta brzydka jest plagą ludzkości, ale co do mężczyzn, tym, potrzebna jedynie odwaga i siła: ich zajęciem walka i polowanie, oto hasło, któremu hołdowałabym, będąc mężczyzną. Gdy wyjdę za mąż, nie chcę mieć rywala w mężu; nie zniosę go wobec tronu mego. Będę wymagać od niego czci bezmiernej; nie chcę też by dzielił uwielbienie swoje pomiędzy mną a twarzą, którą codziennie będzie widział w zwierciadle!

— A teraz śpiewaj panie Rochester, będę ci akompanijować.

— Jestem na usługi pani — odrzekł.

— Oto piosnka korsarska, a trzeba panu wiedzieć, że bardzo lubię korsarzy, proszę zatem śpiewać *con spirito.*

— Pani! — rozkaz pochodzący z ust panny Ingram, jest w stanie ożywić nawet posąg z marmuru.

— A więc strzeż się pan, bo jeżeli akcent twój nie podoba mi się, za karę sama ci zaśpiewam, by cię nauczyć jak rozumieć potrzeba podobne pieśni.

— Dajesz mi pani zachętę do fiasca i odtąd całych sił dołożę, by mi się śpiew nie udał.

— Strzeż się pan, jeżeli błąd będzie rozmyślny, kara zastosuje się do wielkości występku...

— Panna Ingram powinna być pobłażliwą, bo łatwo jej jednym słowem zadać człowiekowi karę, której nie byłby w stanie przenieść...

— Oh! tłomacz się pan jaśniej! — zawołała młoda dziewczyna.

— Wybaczy pani, ale tłomaczenie byłoby tu zbyteczne, pani powinnaś wiedzieć, że surowe wejrzenie twych oczów, jest karą najwyższą...

— Śpiewaj pan — powtórzyła i rozpoczęła na nowo akompanijament.

Chciałam się wymknąć niepostrzeżenie, ale dźwięki, które obiły mi się o uszy, wstrzymały mnie.

Pani Fairfax mówiła mi, że pan Rochester ma głos nader piękny. Był to w istocie głos pełen siły i potęgi, zdradzający moc uczucia, budzący w słuchaczach wzruszenie niewymowne. Słuchałam też dopokąd nie przebrzmiały ostatnie dźwięki śpiewu a gdy wszyscy powstali, by dziękować panu Rochester, cichutko wymknęłam się na korytarz. Tu spostrzegłam, że odwiązał mi się trzewik, przyklękłam by go zawiązać, gdy nagle drzwi od salonu otworzyły się. Zerwa-

łam się i stanęłam oko w oko z panem Rochester.

— Jak się pani miewa? — zapytał.

— Wybornie panie.

— Dlaczego nie przyszłaś pani pomówić ze mną w salonie?

Pomyślałam sobie, że właściwie do niego to należało — nie miałam jednak odwagi powiedzieć tego.

— Byłeś pan zajęty — odrzekłam tylko — nie śmiałam mu też przeszkadzać.

— A co pani porabiała podczas mojej nieobecności?

— Nic po nad program codziennego mego życia, uczyłam Adelę?

— I bladłaś pani i mizerniałaś, spostrzegłem to zaraz. Powiedz mi co ci jest?

— Nic panie.

— Czyś się pani zaziębiła owej nocy, gdy mnie utopić chciałaś?

— Broń Boże!

— Wróć pani do salonu — bawiłaś tam za krótko.

— Zmęczona jestem panie.

Popatrzył na mnie chwilkę.

— I trochę smutna — dodał — co ci jest? proszę, powiedz co ci jest?

— Nic panie, nie jestem smutna.

— Przeciwnie, jesteś tak smutna, że lada słó-

wko byłoby w stanie do łez cię pobudzić. — O! otóż i błyszczą ci już w oczach. Gdybym miał czas po temu i pewien był, że nikt tu nie wejdzie, wiedziałbym co to znaczy. Dziś pozwalam byś odeszła, ale odtąd codziennie, aż do wyjazdu gości pragnę koniecznie, byś wieczory spędzała w salonie, pragnę tego, powtarzam, koniecznie i gorąco, zrób to dla mnie. A teraz idź i przyślij Zofiję po Adelę. Dobranoc moja....

Umilkł nagle, zaciął usta i szybkim krokiem powrócił do salonu.

ROZDZIAŁ XV.

Wesoło czas płynął w zamku Thornfield i ani poznać w nim było można cichego ustronia, przybytku milczenia i spokoju, jakiem był przed dwoma jeszcze tygodniami. Smutne myśli, ponure wspomnienia, pogrzebiono gdzieś w niepamięć,—znikły bez śladu. Ruch i życie zaludniło puste niegdyś salony, korytarze roiły się od służby, a chwilowo uspakajało się tylko, gdy jasne wiosenne niebo bez chmury i ciepłe powietrze zachęciło gości pana Rochester, do wycieczki w okolicę.

Pogody jednak nie były trwałe. Deszcze ulewne przez długi czas uniemożliwiały wszelkiego rodzaju zadomowe przyjemności, życie więc, ruch i wesele tem silniej skoncentrowały się w zamku. Bawiono się bez miary, wyczer-

pano wszelkiego rodzaju rozrywki, nareszcie przyszła kolej na szarady. Nie znałam tej gry, to też gdy pan Rochester spytał mnie czy chcę do niej należeć, odparłam przecząco. Nie nalegał— byłam też milczącym tylko świadkiem zabawy.

Tu, jak zawsze pan Rochester nieodłącznym był towarzyszem panny Ingram, razem występowali na scenie. W pierwszym obrazie, stosownie do potrzebnego w szaradzie wyrazu, przedstawiali rolę oblubieńców. Ona w ślubnej sukni, z wieńcem białych róż na głowie; on obok niej, uklękli przed zaimprowizowanym ołtarzem. Pułkownik Dent grał rolę kapłana, pani Dent i Luiza Esthon role druchen.

W drugim, pan Rochester przedstawiał zakutego w więzy zbrodniarza, szaty na nim podarte, twarz uczerniona, wyraz oczów dziki i ponury, wybornie oddawały postać, którą miał uosobić.

Po chwili, aktorzy wrócili do salonu w codziennych już strojach i zarzuceni zostali tysiącem komplimentów. Blanka zachwycała się grą pana Rochester.

— Czy tylko dobrze odmyłem czernidło z twarzy? — zapytał.

— Niestety, tak bo było z nim panu bardzo po twarzy.

— A zatem, potrafiłabyś pani kochać bandytę?

— Tak, albo rozbójnika morskiego.

— Kim bądź więc jestem, pamiętaj pani, że należymy do siebie, że wzięłaś mię pani za małżonka wobec wszystkich zgromadzonych tu świadków.

Zarumieniła się i zaśmiała wesoło.

Nastąpiła druga szarada. Co i jak grali? nie wiem. Od tej chwili oczy moje, błądziły między widzami, a, raczej szukały ciągle tych dwojga obok siebie siedzących, pochylonych ku sobie w poufałej gawędzie. Widzę ich dotąd, widzę twarz pana Rochester zwróconą ku Blance, zwoje jej loków kruczych muskające niemal skronie pana Rochester, słyszę ich szept przypominam sobie wejrzenia, czuję dotąd wrażenie, jakie na mnie sprawiał ten widok.

Powiedziałam już, że kochałam pana Thornfieldu. Nie mogłam stłumić tego uczucia dlatetego jedynie, że on nie zwracał na mnie uwagi, że godzinami całemi mógł siedzieć obok mnie, nie spojrzawszy w moją stronę, że zajmował się damą wielkiego świata, która lękałaby się niezawodnie krajem swej szaty zawadzić o taką nędzną jak ja istotę. Nie mogłam wyrwać z serca miłości, dlatego jedynie, że wiedziałam, iż pan Rochester ożeni się wkrótce z panną Ingram... w prze-

konaniu tem utwierdzałam się coraz to więcej. Widziałam ze strony Blanki usilne staranie, by oczarować pana Thornfieldu, z jego zaś strony, rodzaj uprzejmości, niezwykłej mu, a pełnej uwagi i niemal chęci pozyskania sobie względów pięknej dziewczyny.

Wszystko to, nie było w stanie zabić miłości mojej, nie było nawet w stanie stłumić jej gorących porywów — mogło jednak doprowadzić mnie do rozpaczy i... zazdrości, jeżeli wszakże zazdrość biednej jak ja dziewczyny wzdlędem takiej jak panna Ingram osoby, mogła mieć miejsce. Nie—ja zazdrosną nie byłam. Panna Ingram nie godną była tego uczucia: była niższą odemnie. Nie śmiej się czytelniku z tej pozornej niedorzeczności. Mówię to, co myślę jedynie. Niższą była odemnie — bo była istotą sztuczną, nienaturalną, zimną i wyrachowaną. Mogła olśnić dowcipem, rozumem i talentami swemi, ale pociągnąć ku sobie serdecznem ciepłem uczucia, oryginalnością i swobodą poglądów, a zdań, nie była w stanie. Powtarzała piękne frazesy wyuczone z książek, udawała uczucie, grała rolę ideału, a w gruncie była ograniczoną, pozbawiona samodzielności, fałszywą, szorstką i bezlitośną. Uczucia te wychodziły często na jaw, w jej obejściu się naprzykład z Adelą. Ilekroć dziecko przysunęło się do niej odpychała ją ze wstrętem, odzywała się do niej

cierpko i surowo. Nie ja jedna widziałam te wady. Pan Rochester, przyszły jej małżonek, zdawał się badać ją ustawicznie, uwagi jego nie uchodził żaden jej ruch, słowo żadne.

Ta trzeźwość, z jaką spoglądał na przyszłą swoją; zupełny brak zaślepienia, namiętności, zachwytu z jego strony, był mi torturą okrutną.

Wiedziałam, że ożeni się z nią dla względów towarzyskich a może i politycznych, wiedziałam, że stanowisko jej odpowiada ambitnym jego planom i marzeniom, że małżeństwo to uznaje za dobre, niemniej jednak czułam, że jej nie kocha, że nie pokocha nigdy i to właśnie było najcięższą dla mnie męczarnią.

Gdyby panna Ingram była zdobyła przebojem serce drogiego mi człowieka, gdyby on był pokochał ję prawdziwie, wtedy, byłabym uczucie własne pogrzebała na dnie duszy, jako skarb cenny,—dla nich, gotowa przenieść ofiarę każdą, gotowa poświęcić im życie; gdyby panna Ingram była dobrą, szlachetną kobietą, kobietą silną, pełną gorącej i prawdziwej miłości, po chwili bolesnej walki i wahania, byłabym nad sobą odniosła zwycięztwo i wielbić ją mogła, uznać jej wyższość, ze spokojem iść w dalsze życie: ale widzieć nizkie jej zabiegi i starania o pozyskanie względów pana Rochester, widzieć, jak on trzeźwo i chłodno zapatruje się na nie, być świad-

kiem ciągłej z jej strony kokieteryi i wzgardy, jaką takie postępowanie budziło w panu Rochester, było dla mnie rzeczą do zniesienia trudną.

Ilekroć chybiała celu, ja widziałam jasno, jak zupełnie inną drogą mogła doń trafić z łatwością! Wiedziałam, że zręczniejsza, a raczej inna istota, mogłaby przeniknąć do głębi to dumne serce, zapalić ogień w tych ciemnych oczach, rysom, pełnym goryczy, nadać wdzięk nieopisanej słodyczy; słowem, bez walki i sztuki, odnieść ciche, a zupełne nad panem Rochester zwycięztwo.

— Dlaczegóż — myślałam — ona, ona co ciągle jest z nim, niema na niego najmniejszego wpływu? Bo nie kocha go prawdziwie a gorąco. Inaczej bez sztucznych uśmiechów i spojrzeń bez wdzięku pełnych minek, prostotą jedynie i szczerością obejścia, spokojem i uczuciem, zdobyłaby z łatwością serce pana Rochester. Wszak ja nawet widziałam u niego niejednokrotnie o wiele słodszy wyraz twarzy, nad ten, który wywołują manewry panny Ingram. Często, słuchając poprostu gawędy jego, sama milcząca, widziałam jak ożywiał się, rozweselał, a oczy jego rzucały promienie, od których i w duszy mojej robiło się jaśniej. Dlaczegóż nigdy tego wrażenia nie wywiera na nim towarzystwo Blan-

ki? Jakżeż potrafi ona zadowolić go, zająć i ożywić, gdy żoną jego zostanie? Nie sądzę, by to było możebnem, niemniej jestem pewną, żeby to nie było rzeczą trudną i że on potrafiłby zupełnie uszczęśliwić kobietę ukochaną.

Nie sądźcie jednak, bym potępiała pana Rochester za to, że żenił się dla interesu. Zdziwiło mnie to, że takiemi względami kieruje się w wyborze żony, bo sądziłam dotąd, że potrafiłby się ożenić jedynie z miłości; im lepiej jednak poznawałam świat i ludzi, tem mniej czułam się w prawie potępiać ich oboje za to, że kierowali się zasadami wpojonemi w nich od dzieciństwa, tem lepiej widziałam, że poglądy nasze różnią się, bo różnić się muszą. Ja w jego miejscu byłabym szukała dziewczyny, którąbym pokochać mogła, ale według świata i opinii ogółu, panna Ingram i pan Rochester stanowili parę tak dobraną, tak na równi stojącą, że dziwić się ich zbliżeniu byłoby dziwactwem.

W tym razie, jak i w każdym innym, dla pana Thornfieldu byłam pełną pobłażania i wyrozumiałości. Błędy, które niegdyś studyjowałam tak starannie, dziś nikły mi z przed oczów. Dawniej starałam się wyrobić sobie o nim sąd jasny i trzeźwy, dobre więc i złe strony jego charakteru badałam starannie, — dziś widziałam dobre jedynie.

Ironija jego, wstrętna mi jeszcze przed paroma tygodniami — duma, która oburzała mnie i do buntu cichego doprowadzała, zupełnie dziś inne robiły na mnie wrażenie. Wady te miały dla mnie powab niejaki, bolesny i cierpki, ale orzeźwiający i pobudzający do pewnego stopnia. Patrząc w oczy jego, doznawałam uczucia, jak gdybym idąc ponad brzegiem krateru, poczuła nagle drżenie ziemi pod stopami. Daleka jednak od chęci ucieczki, od strachu i trwogi, z rozkoszą byłabym życie całe przesiedziała z oczyma wlepionemi w jego oczy, nadewszystko wtedy, gdy w nich ukazywał się ten ponury, bolesny, zrozpaczony niemal wyraz, głęboki jak bezdeń— jak błyskawica szybko ustępujący miejsca zwykłemu spokojowi. Zazdrościłam pannie Ingram że kiedyś zejdzie do wnętrza krateru, że zbada głębie duszy tego człowieka, wyciągnie na jaw tajemnicze jej skarby i używać ich będzie.

Całe godziny pędziłam zwykle w salonie wpatrzona w tych dwoje, o tych dwojga myśląca jedynie.

Nietylko jednak dla mnie pan Rochester był główną osobą w towarzystwie; wszyscy posępnieli, gdy znikał na chwilę,—salon ożywiał się, nabierał życia, gdy tylko pan domu ukazał się wśród gości.

Pewnego dnia wezwano go w pilnym interesie do Millcote, pojechał tam i bawił przez ca-

ły dzień. Ponuro też wyglądał salon, na wszystkich twarzach znać było znużenie i nudę. Ułożono w wilię dnia tego projekt zwiedzenia obozu cyganów, który rozłożył się niedaleko Hay, ale deszcz i niepogoda przeszkodziły doprowadzeniu do skutku zamiaru. Panowie rozeszli się do stajen, część ich grała w bilard, panie gawędziły, a Blanka, rzuciwszy się niedbale na kanapę, czytała coś, nie zwracając uwagi na resztę towarzystwa.

Ściemniło się, a pana Rochester nie było wii dać z powrotem, gdy nagle Adela siedząca ze mną przy oknie zawołała:

— Wraca już! wraca!

Wszyscy rzucili się ku oknom. Istotnie w ale prowadzącej do zamku ukazał się powóz.

— Dlaczego wraca powozem? — zawołała Blanka — wszak pojechał konno z Pilotem, cóż się to stało?

Mówiąc to, przysunęła się do okna tak szybko, że cofnąć się musiałam przed falą falban i koronek jej sukni. Z dumnym ruchem, zobaczywszy mnie, odeszła do innego okna. Powóz zatrzymał się przed gankiem. Człowiek jakiś, w podróżnem ubraniu wyskoczył zeń; nie był to jednak pan Rochester, a obcy jakiś wysoki o eleganckich ruchach przybysz.

— Ależ to nieznośne — syknęła Blanka. — A ty — dodała, zwracając się do Adeli — papugo mała, po co tu siedzisz i fałszywe siejesz wieści.

Rzuciła na mnie pogardliwe wejrzenie, jak gdybym i ja winna była pomyłce.

Nieznajomy wszedł do salonu — podszedł wprost do pani Ingram, która widocznie wydała mu się najstarszą osobą z towarzystwa.

— Widocznie — rzekł— w złą trafiłem chwilę, nie zastawszy w domu przyjaciela mego, pana Rochester; wracam jednak z tak dalekiej podróży, a tak dobrze jestem z panem tego domu, że pozwoliłem sobie rozgościć się tu pomimo jego nieobecności.

Ruchy jego były wytworne i pełne dystynkcyi, a twarz zdaleka zdawała się piękną, pomimo cery żółtej i spalonej; od pierwszego jednak wejrzenia w postaci tego człowieka, uderzyło mnie coś dziwnie niemiłego. Rysy jego regularne, miękkie były i zniewieściałe; oczy pięknej barwy i w ładnej oprawie, pozbawione życia. Takie było przynajmniej pierwsze moje wrażenie.

Towarzystwo rozeszło się wkrótce, po obiedzie dopiero zobaczyłam znów nieznajomego — i tym razem wydał mi się jeszcze mniej sympatycznym. Twarz nieruchoma, małe usta bez ża-

dnej cechy energii lub silnej woli; nizkie, bezmyślne czoło i oczy błędne, wciąż z idyjotycznym niemal wyrazem przebiegające z przedmiotu na przedmiot, wstrętne mi były. Potęgi, siły, męzkości poprostu, napróżno by szukać w pięknej jego twarzy, napróżno szukać sprytu w niepewnym ócz wyrazie, rozumnej myśli na czole jak marmur gładkiem.

Obserwowałam go wygodnie z mego zacisznego pod oknem kącika. Siedział przy kominku i z chciwością zdawał się chłonąć ciepło ogniska, przysuwał się doń coraz to bliżej, a za lada otwarciem drzwi drżał, jak gdyby go kto zimną wodą oblewał.

Porównywałam go w myśli do pana Rochester i osądziłam, że pomiędzy najprostszą gęsią domową a dzikim sokołem, pomiędzy łagodną owieczką a silnym strzegącym ją brytanem, nie mogło być większej różnicy.

Mówił o panu Rochester jako o swoim przyjacielu. Ciekawa to była przyjaźń! oparta chyba na zasadzie przyciągania się wzajemnego ujemnej i dodatniej elektryczności.

Panowie otoczyli go kołem i uszów moich dochodziły jedynie urywane frazesy z ich rozmowy, dzięki Luizie Esthon i Maryi Ingram, które siedząc przedemną zachwycały się wciąż nieznajomym. Cudowna słodycz wejrzenia i spo-

kój rozlany na twarzy, brak wszelkiej w rysach nieforemności, uśmiech pełen wdzięku i tym podobne, ukryte przedemną skarby urody nieznajomego, stanowiły główną oś ich gawędy.

Nareszcie odeszły ztamtąd i wtedy mogłam uważniej słuchać i słyszeć rozmowę panów. Dowiedziałam się z niej, że nieznajomy nazywał się Mason i wracał wprost z Indyj Zachodnich, gdzie przed laty spotkał się po raz pierwszy z panem Rochester. Zdziwiło mnie to, bo choć słyszałam od pani Fairfax o częstych jego podróżach, nie przypuszczałam dotąd, by puszczał się w tak dalekie krainy.

W tej chwili wszedł do pokoju służący i zatrzymawszy się przed panem Esthon mówił doń coś pół głosem.

Doszły mnie jedynie wyrazy „jakaś nieznośna stara baba"...

— Powiedz jej — odrzekł pan Esthon — że pójdzie do więzienia, jeżeli nie zechce się oddalić.

— Wstrzymaj się pan — przerwał pułkownik Dent — nie odprawiaj jej, bo może przyda nam się na co, trzeba tylko naradzić się z paniami.

I zwróciwszy się do dam powiedział:

— Mieliśmy zamiar zwiedzić dziś obóz cyganów. W tej chwili właśnie przyszła do kuchni

cyganka, która napiera się koniecznie wróżyć nam losy przyszłości. Czy niewartoby skorzystać z tego i zabawić się trochę.

— Przypuszczam, że żartujesz pułkowniku— zawołała z oburzeniem pani Ingram. — Czyż być może, byś nas seryjo zachęcał do podobnej niewłaściwości? Proszę cię — dodała zwracając się do lokaja — wypraw ją ztąd coprędzej dobrym lub złym sposobem.

— Kiedy żadną miarą nie chce odejść, pomimo nalegań całej służby. W tej chwili pani Fairfax probuje jej się pozbyć; sądzę jednak, że i to będzie napróżno, usiadła przy kominie i utrzymuje, że żadna siła nie zdoła jej ztąd wypędzić, dopokąd nie przedstawią ją towarzystwu.

— Ale czegóż ona chce od nas? — spytała pani Esthon.

— Chce wróżyć — odparł służący— i przysięga, że wywróży każdemu prawdę niezawodną.

— Jakżeż ona wygląda? — spytały panny Esthon.

— Oh! straszliwie brzydka! — brzmiała odpowiedź — czarna jak sadze.

— W takim razie to być musi prawdziwa czarownica — zawołał Fryderyk Lynn —niechże więc wejdzie.

— Zapewne — dodał brat jego — szkodaby opuścić tak wyborną sposobność zabawienia się.

— Czy na seryjo macie ochotę ją widzieć?— spytała pani Lynn.

— Ale ja nie zniosę czegoś podobnego — przerwała pani Ingram.

— Doprawdy mamo? a jednak będziesz musiała znieść—odezwał się nakazujący głos Blanki, milczącej dotąd,—bo ja chcę słyszeć jej wróżby. Sam, wprowadź ją natychmiast.

— Ależ droga Blanko, zastanów się...

— Wiem wszystko, co mama powiedzieć mi może, ale chcę, by tak było; spieszże się — dodała, zwracając się do lokaja.

— Tak, tak — odezwały się zewsząd głosy młodzieży — niech przyjdzie, to nas zabawi.

Służący zawahał się chwilę.

— Ależ ona wygląda tak ordynaryjnie!—powiedział.

— Idź natychmiast! — zawołała panna Ingram tak rozkazującym głosem, że służący wyszedł bez wahania już.

Towarzystwo ożywiło się—dowcipy i uwagi żarty i śmiechy napełniały salon, gdy Sam powrócił.

— Nie chce tu przyjść — powiedział — utrzymując, że wobec całej nikczemnej zgrai (to,

są jej własne słowa) nie będzie mieć natchnienia.

— Ja też bynajmniej nie mam zamiaru słuchać jej wróżb wobec „nikczemnej zgrai” — zawołała Blanka. — Czy biblijoteka oświetlona?

— Tak pani.

— A zatem, tam ją wprowadzić.

— Mój piękny aniele, wszak widzisz jak jest zuchwała, zastanów się — zajęczała pani Ingram.

Piękny anioł, za całą odpowiedź tupnął nóżką i wskazał drzwi niepewnemu co ma zrobić lokajowi.

— Już jest gotowa i pyta, kto pierwszy z towarzystwa przedstawi się jej.

— Sądzę, że właściwie będzie, bym się przekonał naocznie jak wygląda owa czarownica, zanim panie do niej pójdą, powiedz jej zatem, że przyjdzie teraz mężczyzna.

Sam wyszedł—i wrócił wkrótce.

— Niechce wróżyć panom — rzekł — chce widzieć jedynie młode i niezamężne kobiety — dodał, z trudnością powstrzymując uśmiech.

— Niezły ma gust — zawołał Henryk Lynn.

Panna Ingram uroczyście podniosła się z miejsca.

— Pójdę pierwsza — odezwała się.

— Oh! najdroższa! zastanów się — zawołała jej matka.

Ale Blanka, milcząca, przeszła obok niej, nie spojrzawszy nawet w stronę mocno zafrasowanej damy. Pułkownik Dent otworzył jej drzwi. przeszła je i wkrótce słyszeliśmy, że wchodzi do biblijoteki.

Zaległo milczenie — wszyscy oczekiwali. Pani Ingram uznała za stosowne załamać z rozpaczą ręce; Maryja oświadczyła, że za nic w świecie nie poszłaby za przykładem siostry; Amy i Luiza, wystraszone widocznie, śmiały się po cichu.

Po kwadransie, panna Ingram wróciła. Oczy wszystkich zwróciły się ku niej ciekawie. Sztywna była i widocznie zła, chłodna, obojętnie spojrzała po obecnych, nie śmiała się, nie żartowała z wróżb usłyszanych, majestatycznym krokiem podeszła do swego miejsca i usiadła milcząca.

— No, cóż Blanko? — spytał lord Ingram.

— Cóż ci powiedziała? — badała Maryja.

— Jak wygląda?— Czy naprawdę jest wróżką? — wołały panny Esthon.

— Moi drodzy—odparła Blanka— nie nudźcie mnie pytaniami! Doprawdy, nie trudno wzbudzić w was ciekawość, a nadewszystko natchnąć was zaufaniem. Wnosząc z uroczystych min jakieście przybrali wszyscy, nie wyjmując mojej matki, sądzić by można, że mamy w domu co

najmniej wspólniczkę szatana, lub tajemniczego ducha wszechwiedzy, wtedy, gdy w biblijotece siedzi poprostu włóczęga cyganka, która studyjowała sztukę chiromancyi i plecie to, co plotą wszystkie na świecie cyganki; niemniej zachcianka moja już zaspokojona—i sądzę teraz, że pan Esthon dobrze by zrobił wsadzając ją jutro do więzienia.

Wzięła książkę, rzuciła się na fotel i zdawała się cała zajęta czytaniem. Obserwowałam ją uważnie i widziałam, że w przeciągu pół godziny całej, nie odwróciła ani razu karty, widocznie więc nie czytała. Rysy jej nabierały coraz to więcej ponurego wyrazu, wyrazu gniewu i niezadowolenia, rozczarowania. Snać przepowiednia Sybilli mnie zachwyciła jej bynajmniej. Milczenie jej uporne i zły humor, dowodziły jasno, że pomimo pozornej obojętności, przywiązywała wielką wagę do słów usłyszanych w biblijotece.

Maryja, Luiza i Amy oświadczyły, że stanowczo nie odważą się stanąć przed wróżką same i, za pośrednictwem ambasadora Sama, zapytały się, czy nie pozwoli im przyjść razem.

Po długich wahaniach i trudnościach, po kilkorazowem poselstwie, służący przyniósł nareszcie uroczyste pozwolenie i trzy młode dziewczęta poszły razem do biblijoteki.

Narada ich z Sybillą nie była tak cicha jak

Blanki. Co chwila dochodziły do salonu śmiechy, wykrzyki i żarty, nareszcie drzwi się otworzyły z hałasem i dziewczyny wpadły do pokoju rozśmieszone, wesołe i ożywione.

— To nie byle co! — zawołały w progu — ona jest najprawdziwszą wróżką. Powiedziała nam tyle rzeczy. Wie wszystko, co tylko nas dotyczy.

I zadyszane rzuciły się na krzesła, które młodzież pośpiesznie im podała.

Żądano od nich szczegółów. — Objaśniły że cyganka opowiedziała im, jak spędziły dzieciństwo, powtórzyła co mówiły kiedyś, co robiły. Opisała szczegółowo pokój każdej z nich wiedziała od kogo pochodzą drobnostki zapełniające ich stoliki i półki, a nareszcie każdej szepnęła do ucha nazwisko osoby, którą kocha nad wszystkich, i rzeczy, której pragnie najgoręcej.

Panowie prosili o bliższe w tej mierze objaśnienia, ale dziewczęta rumieniąc się i śmiejąc wesoło, nie chciały zdradzić swej tajemnicy. Matki pospieszyły z pomocą, podając wachlarze córkom, by mogły niemi zasłonić zarumienione twaze, i oświadczyły raz jeszcze, że źle bardzo się stało, iż nie posłuchano roztropnych ich rad.

Wśród zamięszania ukazał się we drzwiach Sam — i zwrócił ku mnie. . . . .

— Proszę pani, ta czarownica nie chce odejść utrzymuje, że w salonie jest jeszcze jedna młoda osoba, której chce wróżyć. Sądzę, że chodzi tu o panią i niewiem, co mam jej odpowiedzieć.

— Oh! pójdę z ochotą — zawołałam — rada, że zaspokoję ciekawość moją, rozbudzoną silnie opowiadaniem młodych dziewcząt i wrażeniem, jakie słowa cyganki wywarły na Blance. Wymknęłam się niepostrzeżenie, bo wszyscy zajęci byli wciąż dziewczętami i ich opowiadaniem.

— Jeżeli pani się lęka — powiedział Sam — mogę postać za drzwiami, by być na jej usługi w razie, gdyby cyganka wystraszyła panią.

— Nie, dziękuję ci — pójdę sama — nie lękam się bynajmniej.

I mówiłam prawdę... nie bałam się, ale byłam zaintrygowana i zaciekawiona wielce.

ROZDZIAŁ XVI.

Cisza zupełna zalegała biblijotekę, a Sybilla siedziała w kącie przy ognisku, wsunięta w głąb ogromnego fotelu. Ubrana była w czerwony płaszcz i czarny kapelusz, a raczej czepiec, głęboko wsunięty na oczy i owiązany białą chustką, która zatem głęboko wchodząc na twarz zakrywała jej dolną część.

Zgaszona świeca stała na stoliku, a wróżka przy świetle płomieni ogniska, czytała książeczkę jakąś, podobną do książki od nabożeństwa. Czytała, mrucząc głośno; nie odwróciła się ku mnie—widocznie chciała skończyć jakiś ustęp.

Przysunęłam się do komina i rozgrzałam przy ogniu zziębnięte ręce. Nigdy nie byłam spokojniejszą. Zresztą nic przerażającego nie zauważyłam w postaci cyganki.

Zamknęła książkę i zwolna spojrzała na mnie; pomimo czepca i chustki, twarz jej uderzyła mnie oryginalnością. Cera brunatna niemal, z pod chustki wydobywały się kosmyki czarnych, szorstkich włosów. Spojrzała mi prosto w oczy, śmiało, zuchwale niemal.

— A zatem chcesz, bym ci wróżyła? — spytała głosem pewnym, jak jej wejrzenie; ostrym, jak rysy jej twarzy.

— Nie bardzo mi o to chodzi, matko — ale jeżeli chcesz, możesz mi wróżyć. Z góry jednak uprzedzam cię, że nie wierzę w twą sztukę.

— Jest to zuchwalstwo, którego spodziewałam się po tobie; poznałam to po odgłosie twych kroków, gdy przestępowałaś próg tego pokoju.

— Masz widać słuch delikatny.

— Tak, a oko bystre i umysł świeży.

— Są to trzy rzeczy konieczne w twoim zawodzie.

— Tak, szczególniej, gdy mam do czynienia z takimi jak ty ludźmi. Dlaczego nie drżysz?

— Bo mi nie zimno.

— Dlaczego nie bledniesz?

— Bo nie jestem chora.

— Dlaczego nie wierzysz w moją sztukę?

— Dlatego, że niedorzeczną nie jestem.

Na ustach cyganki zaigrał uśmiech, potem wzięła krótką czarną fajeczkę i zapaliła ją. Puściwszy parę kłębów dymu wyprostowała się, wyjęła fajkę z ust, wpatrzyła się w ogień i z pewną stanowczością w głosie zadecydowała:

— Jesteś niedorzeczna, chora i zziębnięta.

— Dowiedź tego — odrzekłam.

— I owszem. Jesteś zziębnięta — bo jesteś sama, a iskra która tkwi w tobie nie rozżarzyła się jeszcze płomieniem; jesteś chora — bo nie znasz najwznioślejszego, najszlachetniejszego i najsłodszego z uczuć, jakiemi nieba obdarzyły ludzi; jesteś niedorzeczną — bo uczucia tego nie zaskarbisz sobie, choćby ci to z łatwością przyszło, nie wyciągniesz ręki ku szczęściu, które czeka tylko, byś nań skinęła przyjaźnie.

Wzięła napowrót w usta fajkę i zawzięcie palić zaczęła.

— Mogłabyś to powiedzieć każdemu, kto żyje samotnie i na zależnem stanowisku, w domu bogatych ludzi.

— Być może, ale zdanie to nie z równą łatwością dałoby się zastosować do każdego.

— Do każdego, przynajmniej będącego w mojem położeniu.

— Tak, w twojem położeniu. Ale znajdź mi choć jedną kobietę, którahy w niem była.

— Z łatwością znalazłabym ich tysiące.

— Z trudnością przyszłoby ci choć jedną znaleźć, zaręczam. Gdybyś wiedziała w jakiem położeniu jesteś! Szczęście uśmiecha ci się, ażeby zostało twoim udziałem; potrzeba tylko jednej chwili.

— Nie rozumiem zagadek — odparłam — nigdy nie miałam daru odgadywania ich.

— Chcesz, bym mówiła jaśniej? Pokaż mi więc dłoń twoją.

— Ale z pieniędzmi zapewne?

— Tak, to nie zawadzi.

Dałam jej szylinga.

Schowała go do starej pończochy, którą wydobyła z kieszeni i bacznie przyglądała się mej ręce.

— Nie widzę nic — powiedziała w końcu — dłoń to zbyt delikatna. Zresztą, przeznaczenie nie tu stoi wypisane.

— Istotnie — odrzekłam.

— Nie, nie tu — a na twarzy, na czole, w oczach, w kątach ust... Klęknij i spojrz mi, w oczy.

— A! zaczynasz mnie na swą stronę przeciągać — zauważyłam — wkrótce wierzyć ci będę zmuszona.

Uklękłam, a cyganka rozrzuciła węgle na kominku tak, że oświeciły mi jasno twarz — sama cofnęła się w głąb, tak, że jeszcze mniej widzieć ją mogłam.

— Radabym wiedzieć — zaczęła — z jakiem uczuciem szłaś do mnie, radabym wiedzieć dalej—co robisz i co myślisz codziennie w salonie, otoczona tłumem ludzi, przesuwających się przed tobą jak cienie latarni czarnoksięzkiej, bo między tobą a nimi podobieństwa i sympatyi może być tyle tylko, co między ludźmi a widmami.

— Najczęściej jestem zmęczona—rzadko znudzona, czasami smutna.

— Jakież więc skryte nadzieje kołyszą twą duszę i szepcą ci do ucha czarowne o szczęśliwej przyszłości wyrazy?

— Jedyną nadzieją i pragnieniem mojem jest zebrać dość pieniędzy na to, by módz kiedyś założyć szkółkę własną.

— Nie, to nie są jedyne myśli, które zajmują cię, gdy siedzisz godzinami całemi wsunięta we framugę okna. Jak widzisz, znam twoje przyzwyczajenia.

— Łatwo mogłaś dowiedzieć się o nich od służby.

— Chcesz udawać przebiegłą. A zatem, mówiąc szczerze, znam tu istotnie jedną osobę - Gracyję Poole.

— Ach! — pomyślałam sobie—jeżeli tak, to istotnie jest w tem coś czarodziejskiego.

— Nie lękaj się jednak—ciągnęła dalej dziwna cyganka— Gracyją jest osobą uczciwą, spo-

kojną i bynajmniej nie groźną. Można jej zaufać. Ale czy siedząc we framudze okna, myślisz istotnie jedynie o swojej szkółce? Czy wśród osób otaczających cię, na nikogo szczególnej nie zwracasz uwagi? — czy nie badasz niczyjej twarzy? Czy niema wśród nich jednej, której ruchy ścigasz ciekawie?

— Lubię badać wszystkich.

— Ale czy nie zwraca twej uwagi szczególniej jedna lub dwie osobistości?

— I owszem. Ilekroć dwie osoby toczą ożywioną rozmowę, a przedmiot jej interesuje mnie, przysłuchuję się jej pilnie i szczególną na mówiących zwracam uwagę.

— A jakiż rodzaj opowieści przekładasz pani nad inne?

— Wybór mam nietrudny, bo treść ich zwykle jednaka — miłość, i jednakie rozwiązanie — małżeństwo.

— I lubisz pani tę monotonną treść ich?

— Mało mnie ona obchodzi.

— Małò cię to obchodzi? A gdy młoda, piękna, pełna życia i zdrowia, bogata i utalentowana kobieta, uśmiecha się do mężczyzny — myślisz sobie może...

— Co?

— Myślisz, że...

— Nie znam mężczyzn zapełniających salony pana Rochester. Z żadnym z nich nie zamieni-

łam więcej nad słów parę—to też zostawiam im swobodę zupełną przyjmowania uśmiechów od kobiet, o których względy się starają.

— Jakto? nie znasz panów w tym zamku? Zaledwie parę słów mówiłaś z każdym z nich? Czyż zechcesz mi może powiedzieć, że nie mówiłaś nigdy i z panem tego domu?

— Niema go w domu—odparłam.

— Sprytna odpowiedź! Ani słowa! Pojechał do Millcote rano, a wieczorem będzie z powrotem i to zapewne przeszkadza ci znać go bliżej?

— Nie, ale nie widzę związku między tem o czem mówiłaś przed chwilą, a osobą pana Rochester.

— Mówiłam o uśmiechach kobiet! a ostatniemi czasy tyle ich skierowano do pana Rochester, że mogły mu się uprzykrzyć, czy nie zwróciłaś na to uwagi?

— Pan Rochester ma prawo korzystać z uprzejmości swych gości.

— Nie pytam tu o prawa pana Rochester, a radabym tylko wiedzieć, czy ze wszystkich scen jakie się przed oczyma twemi przesuwają, nie zajmują cię najwięcej te, w których pan Rochester bierze udział?

— Zaciekawienie widza dodaje zachęty aktorom — powiedziałam do siebie raczej, niż do cy-

ganki. — Głos jej, dziwne obejście, sposób mowy, rozmarzyły mnie do pewnego stopnia. Rzucała mi jedne po drugich pytania i mieszała mnie niemi. Pytałam się sama siebie, kim był ten duch niewidzialny, co tygodniami całemi zdawał się być nieodstępnym towarzyszem moim, zdawał się znać serce moje, rozumieć każde jego uderzenie.

— Pan Rochester — ciągnęła dalej — całemi wieczorami wsłuchiwał się w wyrazy czarownemi mówione usty, zdawał się rad, że się nim zajmują, wdzięczny, że mu one dostarczają miłej rozrywki. Czy nie zauważyłaś tego?

— Wdzięczny? — zawołałam. — Nie zdaje mi się, bym kiedykolwiek w wyrazie jego twarzy dostrzegła cień wdzięczności.

— A więc badałaś tę twarz? Cóż w niej dojrzałaś?

Milczałam.

— Widziałaś w niej miłość! Wszak prawda? i spoglądając w przyszłość widziałaś go mężem szczęśliwej żony?

— Nie zupełnie, — sztuka twoja zawodzi cię niekiedy.

— A zatem cóż u dyjabła widziałaś w niej?

— Mniejsza o to, nie przyszłam spowiadać się z myśli własnych, ale przeciwnie, pytać się o

zdanie. Zresztą jest to rzeczą ogólnie wiadomą, że pan Rochester się żeni.

— Tak, z piękną panną Ingram.

— Właśnie.

— Istotnie, wszystkie pozory są za tem i będzie to istotnie dobrana para, choć ty ze zwykłem sobie zuchwalstwem, zdajesz się wątpić o tem. Pan Rochester będzie kochał tę piękną, rozumną i wykształconą żonę. Co do niej rzeczą jest pewną, że kocha pana Rochester, a przynajmniej jego pieniądze. Wie, że warto postarać się o względy tak bogatego człowieka. Powiedziałam jej jednak przed chwilą w tej mierze coś, co bynajmniej miłego na niej nie zrobiło wrażenia — spuściła nos na kwintę. To też radziłabym szczerze jej wielbicielowi mieć się na baczności, bo niech tylko zjawi się inny, bogatszy, a przepadnie z kretesem.

— Ależ ja przyszłam tu nie po to, by badać losy pana Rochester, a po to, by dowiedzieć się co o mojej przyszłości, a dotąd nic o niej nie usłyszałam.

— Przyszłość twoja jest niepewna. W twarzy są dziwne sprzeczności, los przeznaczył ci wiele szczęścia; wiem to i wiedziałam zanim jeszcze tu przyszłam, widziałam, jak bogate żniwo radości i wesela odkładał na twoją korzyść Od ciebie, powtarzam raz jeszcze, zależy jedynie,

by szczęście bez miary udziałem twym było, a wpatruję się w twarz twoją, by w niej wyczytać, czy uczynić to jesteś zdolną, czy to uczynisz. Klęknij przedemną.

— Ale nie długo każ mi klęczyć, bo ogień prosto w twarz mnie piecze.

Uklękłam. Wpatrywała się we mnie i cichym głosem szeptać poczęła:

— Widzę oczy ognia pełne, a błyszczące jak rosa poranna, słodkie i uczucia pełne; rozjaśniają się pod wpływem słów moich, a zatem są wrażliwe: w ich przejrzystem zwierciadle wrażenia przesuwają się szybko, jak cienie czarnoksięzkiej latarni.

— W chwili, gdy oczy te uśmiechać się przestają, robią się naraz smutne; pod wpływem zmęczenia, z którego ty sama nie zdajesz sobie sprawy, powieki twe opadają jest to dowód melancholii, wynikłej; w skutek osamotnienia. A teraz oczy te odwracają się odemnie, zdają się wzroku mego i badania unikać, a drwiącym wyrazem radeby zaprzeczyć prawdzie mych spostrzeżeń, wyprzeć się wrażliwości i smutku, co się w nich odbija. Ale niewiara ta i duma utwierdzają tylko przekonania moje. Oczy więc dobrą dają mi rękojmię.

— Co do ust, te niekiedy lubią się uśmiechać, wypowiadają zwykle to, co przez myśl ci przej-

dzie, ale milczą gdy chodzi o mowę serca; usta te ruchliwe są i giętkie, i nie stworzone są bynajmniej do milczenia i wiecznej samotności, są one stworzone na to, by mówiły dużo, uśmiechały się często i zwracały ku istocie ukochanej; i one zatem są tu dobrą wróżbą.

— Na czole tylko zdaje mi się spostrzegam wroga szczęśliwej przyszłości, którą ci przepowiedziałam. Zdaje się ono mówić: „Mogę, i potra„fię żyć samotnie, i wystarczyć sobie, jeżeli do „tego zmusi mnie moja godność osobista i oko„liczności zewnętrzne; duszy mej nie sprzedam, „by nią okupić szczęście, bo w sobie noszę skarb, „który zastąpić mi potrafi wszystko, czegokol„wiek los by mi odmówił; rozum mam silny i „jemu powierzyłam wodze przeznaczenia me„go, to też nie pozwoli on uczuciom moim dą„żyć ku przepaści. Namiętność, jako prawdziwa „poganka, może wielkim głosem domagać się „praw swoich: tysiące uczuć i pragnień czczych „może się budzić w duszy, ale rozsądek zawsze „nad niemi odniesie zwycięztwo. Najzaciętsze na„wałnice, burze, ba! nawet trzęsienia ziemi, „przyjść mogą na mnie; pozostanę niemniej nie„wzruszoną i wierną głosowi sumienia".

— Czoło ma słuszność — ciągnęła dalej cyganka — i zdanie jego szanowanem będzie. Tak; skreśliłam już plan swój, a tworząc go słucha-

łam głosu sumienia i rozsądku. Wiem jak pręd ko uwiędłaby młodość, kwiat by umarł, gdyby do kielicha jego nasączyć obok szczęścia bez miary, choćby jedną kropelkę wstydu lub wyrzutów sumienia.

— Nie pragnę ni poświęcenia, ni smutku, ni ofiar. Pragnę budować — a nie burzyć, pragnę wdzięczności i błogosławieństwa—nie łez i krwi rozlewu. Żniwo moje wspaniałe, odbędzie się wśród radości i wesela. Ale bujam wśród mar rozkosznych. Oh! tak, pragnęłabym chwilę tę zamienić na wieczność, lecz nie śmiem uczynić tego. Dotąd panowałam nad sobą zupełnie, robiłam to, co robić zamierzałam, ale jeżeli dalej przeciągnę próbę, może mi braknąć sił. Panno Eyre wstań i zostaw mnie w spokoju! Komedyja skończona!

— Byłże to sen; czy jawa?... Głos starej kokiety zmienił się, a ruchy jej i mowa były mi znane, jak twarz własna. Wstałam, ale się nie oddaliłam; rozniecilłam ogień i zbliżyłam się ku niej, by baczniej przyjrzeć się jej twarzy.

Nasunęła czepiec na czoło i dała mi znak bym się oddaliła; wyciągnęła rękę, a że zaciekawiona już byłam, ręce tej przyjrzałam się uważnie. Nie była to czarna ręka cyganki, a męzka dłoń, giętka, o długich i kształtnych palcach, na jednym z nich błysnęła szeroka, złota

obrączka. Przybliżyłam się i zobaczyłam znany mi i po sto razy widziany pierścień. Spojrzałam znów w twarz, która tym razem nie odwróciła się odemnie, a przeciwnie pochyliła ku mojej.— Po chwili znikł czepiec i chustka osłaniająca oczy.

— A zatem Janino, poznajesz mnie teraz?— spytał dobrze mi znany głos.

— Zrzuć pan ten płaszcz czerwony— zawołałam — a wtedy...

— Związany na węzeł, pomóż mi.

— Zerwij pan tasiemkę.

— A zatem precz przybrane stroje! — i pan Rochester stanął przedemną.

— Co za szczególny pomysł — zawołałam zdumiona.

— A co? wszak dobrze grałem moją rolę?— zapytał.

— Prawdopodobnie wybornie wobec wszystkich pań.

— Ale nie wobec ciebie?

— Wobec mnie, nie grałeś pan roli cyganki....

— Czyją więc? czy siebie samego?

— Nie, grałeś pan dziwną rolę: chciałeś mnie zbić z tropu, mówiłeś mi niedorzeczności, chcąc mnie zmusić, bym także od rzeczy mówić zaczęła. Jest to bardzo pięknie z pańskiej strony!

— A czy przebaczysz mi to Janino?

— Zobaczę. Jeżeli po namyśle przekonam się, że nie dałam z siebie wyciągnąć jakiej niedorzeczności, postaram się zapomnieć. W każdym jednak razie, brzydko pan sobie postąpiłeś ze mną.

— O! byłaś bardzo rozsądną, uważną i przezorną.

Zastanowiłam się chwilę—i uspokoiłam zupełnie.

Od początku rozmowy miałam się na baczności. Coś w całej tej sprawie zaciekawiało mnie. Wiedziałam, że cyganki i wróżki nie mówią w ten sposób, zwróciłam uwagę na głos udany, i staranie, z jakiem ukrywała twarz swoją. Myślałam nawet, że mam przed sobą Gracyję Poole, tę żyjącą zagadkę, ale ani przez chwilę nie pomyślałam o panu Rochester.

— A zatem — zapytał — o czem myślisz? Co znaczy ten poważny uśmiech?

— Myślę nad tem, co zaszło przed chwilą i cieszę się, że miałam się na baczności, ale zdaje mi się, że pozwoliłeś mi pan oddalić się już?

— Nie, zostań jeszcze chwilę i powiedz mi, co robią teraz w salonie?

— Prawdopodobnie mówią o cygance.

— I cóż mówią o niej?

— Wolałabym nie siedzieć tu dłużej, bo jest już po jedenastej, a czy wie pan, że nieznajomy, nowy gość przybył do zamku?

— Nieznajomy? Któżby to mógł być; nie spodziewałem się nikogo. Czy odjechał?

— Nie; powiedział, że zna pana oddawna i śmiało liczy na gościnność twoją; rozgościł się też na dobre w zamku.

— Do dyjabła! Czyż powiedział przynajmniej swoje nazwisko?

— Nazywa się Mason, a wraca z Indyj Zachodnich, z Jamajki, jeżeli się nie mylę.

Pan Rochester stał przedemną, trzymając mnie za rękę. W chwili, gdy domówiłam ostatnich wyrazów, ścisnął dłoń moją konwulsyjnie, zaciął wargi i z przerażeniem niemal spojrzał przed siebie.

— Mason! Indyje Zachodnie! — zawołał głosem automata niezdolnego wymówić innego wyrazu. Mason, Indyje Zachodnie! — powtórzył po trzykroć. Blady był jak płótno, nieprzytomny prawie.

— Co panu jest? — zawołałam.

— Janino! straszny, okrutny cios, okrutny! i zachwiał się na nogach.

— Oh! panie, oprzyj się na mnie.

— Janino — przemówił — raz już wsparłaś

mnie ramieniem swojem, wesprzyj mnie i dziś jeszcze.

Poprowadziłam go do krzesła,—usiadł i posadził mnie obok siebie, obydwie ręce moje wziął w swoje dłonie i dziwnym, smutnym i zmieszanym wzrokiem wpatrywał się we mnie.

— Przyjaciołeczko moja—odezwał się w końcu — co ja bym dał za to, gdybym mógł znaleźć się w tej chwili z tobą na odległej, bezludnej wyspie, na której już próżno by było lękać się trosk, zawodów, ohydnych wspomnień!..

— Czy mogę panu w czem pomódz? Życie oddałabym za to, by mu ulżyć.

— Janino, jeżeli kiedykolwiek będę potrzebował pomocy, do ciebie się zwrócę, przyrzekam ci to.

— A więc, powiedz pan, co teraz uczynić bym mogła—sprobuję przynajmniej.

— A więc, idź, przynieś mi kieliszek wina z sali jadalnej. Muszą wszyscy siedzieć teraz przy kolacyi. Powiesz mi potem czy Mason jest z nimi i co porabiają.

Wistocie zastałam całe towarzystwo w jadalni; nikt jednak nie siedział przy stole; towarzystwo podzielone było na kółka, śmieli się i rozmawiali wszyscy wesoło. Mason siedział przed kominkiem i gawędził również swobodnie z pułkownikiem i panią Dent.

Nalałam kieliszek wina, nie zważając na karcące mą śmiałość wejrzenie panny Ingram i powróciłam z nim do biblijoteki.

Pierwiastkowa bladość znikła już z twarzy pana Rochester, był smutny ale spokojny; odebrał mi z rąk kieliszek i zawołał:

— Za twoje zdrowie, opiekuńczy mój aniele!...

— A więc Janino, co robią? — dodał wypiwszy wino.

— Śmieją się i rozmawiają, panie.

— Nie mają więc uroczystych i poważnych min? nie wyglądają tak, jak gdyby usłyszeli przed chwilą coś niezwyczajnego?

— Bynajmniej, przeciwnie, swobodni są i weseli.

— A Mason?

— Śmieje się z innymi.

— A gdyby, gdy wrócę do salonu, wszyscy obrócili się przeciwko mnie i rzucili mi w twarz obelgę, co zrobiłabyś wtedy, ty Janino?

— Wyrzuciłabym ich za drzwi, gdybym tylko mogła.

— Uśmiechnął się.

— Ale — ciągnął dalej — gdyby spojrzeli na mnie chłodno i pogardliwie, gdyby wszyscy jeden po drugim odsunęli się odemnie, czy poszłabyś w ich ślady?

— Sądzę panie, że tem przyjemniej wtedy byłoby mi zostać przy tobie.

— Żeby mnie pocieszać?

— Tak, pocieszyć pana, o ile to będzie w mej mocy.

— A gdyby potępili cię za tę wierność twoją?...

— Nie pojęłabym przyczyny tego potępienia i nic bym sobie z niego nie robiła.

— A więc byłabyś zdolną pogardzić dla mnie opiniją ogółu?

— Tak dla pana, jak i dla każdego ze znajomych moich, który byłby godzien przyjaźni mojej.

— Idź więc do salonu, szepnij cichutko Masonowi, że powróciłem i chcę się z nim widzieć wprowadź go tu i zostaw nas samych.

— Dobrze panie.

Poszłam do salonu i przeprowadzana ciekawemi wejrzeniami zgromadzonych, dotarłam do Masona, — spełniłam dane mi polecenie i cofnęłam się do mego pokoju.

Późną już nocą usłyszałam szmer na korytarzu. Towarzystwo rozchodziło się do swoich

apartamentów. Pan Rochester odprowadzał je i usłyszałam, gdy zawołał:

— Tędy Masonie, tędy, oto właśnie twój pokój.

ROZDZIAŁ XVII.

Zapomniałam zasunąć firanek i zupuścić rolety. Noc była piękna, pełna księżyca którego jasne promienie wkradłszy się do pokoju, obudziły mnie. Wpatrywałam się przez chwilę w przezroczy jak kryształ ze srebrnym odblaskiem, księżyc; znużona jednak usiadłam na łóżku i wyciągnęłam rękę by zapuścić roletę.

Na raz, krzyk straszny obił mi się o uszy.

Był to dźwięk ostry, dziki, przeszywający, co rozbrzmiał nagle w całym pałacu, a zdawał się pochodzić z trzeciego piętra, z pokoju tuż nad moim położonego.

Nic podobnego nie słyszałam w życiu, krew ścięła mi się w żyłach, serce bić przestało, wyciągnięta ręka zdrętwiała, pod wrażeniem grozy i przestrachu. Słuchałam, czy dziki okrzyk

nie powtórzy się..... napróżno jednak, żadna ludzka istota nie byłaby w stanie dwa razy z rzędu wydać takiego głosu. Krzyk nie powtórzył się; nad głową moją jednak usłyszałam odgłos walki szalonej, zaciekłej, namiętnej, szamotanie się i potem stłumiony okrzyk :

— Na pomoc! na pomoc! ratunku! Boże! czyż nikt nie usłyszy?

Odgłos szamotania dochodził wciąż do mnie i znowu ten sam głos stłumiony wołał:

— Rochester! Rochester! przybywaj! ratuj mnie, oh ratuj!

Drzwi w korytarzu otworzyły się, ktoś pobiegł po wschodach; nad głową usłyszałam nowe kroki, odgłos upadającego na ziemię ciała i cisza grobowa zaległa trzecie piętro.

Natomiast dół ożywiać się począł, goście pana Rochester, równie jak i ja obudzeni, powychodzili na korytarz, i ja też wkrótce połączyłam się z nimi. Światło księżyca oświecało jedynie wnętrze korytarza, panie i panowie strwożeni biegali tam i napowrót.

— Co się stało? — wołano zewsząd. — Czy się pali? Złodziejeż to, czy rozbójnicy? Przez litość, co to jest? Zkąd dziki ten okrzyk?

— Gdzież u licha podziewa się pan Rochester? — zawołał nagle pułkownik Dent, — niema go w łóżku.

— Jestem tu panowie — zabrzmiał donośny głos pana Thornfieldu — uspokójcie się państwo.

Postać mówiącego stanęła we drzwiach; schodził ze schodów ze świecą w ręku.

Panna Ingram pobiegła ku niemu i uczepiła się jego ręki.

— Mów pan — zawołała — mów, nie ukrywaj nic, mów, co za straszny wypadek mógł mieć miejsce.

— Na miłość Bożą, nie uduście mnie i nie przewróćcie na ziemię — zawołał, uwalniając się niecierpliwie od uścisku Blanki i panien Esthon, które tłoczyły się koło niego. — Narobiło się wrzawy co niemiara z powodu drobnostki. Idźcie panie do swoich pokojów, bo na seryjo przyprowadzicie mnie do wściekłości!

I rzeczywiście oczy jego straszny miały wyraz, rzucały błyskawice.

Walczył chwilę z sobą—i, spokojniej już dodał:

— Jedna ze służących miała sen niespokojny, a że nerwowa jest i drażliwa, wzięła sen za jawę, za widmo i krzyczała z przestrachu; muszę nawet iść i dowiedzieć się, co się z nią dzieje, ale wprzód proszę powrócić do swoich apartamentów.

— Panno Ingram, pani z pewnością łatwo

będzie otrząsnąć się z przykrego wrażenia — odezwał się do Blanki — a wy — dodał zwracając się do panien Esthon — wy gołąbki powróćcie do gniazdeczek. Panowie—dajcie dobry przykład damom — proszę was o to.

I tak, pół żartem, pół seryjo, wypraszał natrętów. Wszyscy rozeszli się, ja przed nimi jeszcze, nie czekając aż zwrócą się do mnie.

Nie położyłam się jednak spać; przeciwnie, dokończyłam się ubierać, by być gotową na wszelki przypadek; usiadłam przed oknem i wpatrując się w krajobraz oświetlony srebrnem światłem księżyca, oczekiwałam... sama niewiem czego. Szamotanie się, walka i wyrazy wzywające ratunku słyszane były prawdopodobnie przezemnie tylko; wiedziałam też dobrze, że przyczyną zamieszania nie był niespokojny sen służącej i, że podany przez pana Rochester fakt wymyślony został na prędce, dla uspokojenia strwożonego towarzystwa.

Zdawało mi się koniecznie, że scena na trzeciem piętrze nie skończona jeszcze, że po strasznym krzyku i walce nastąpić jeszcze coś musi. Cisza jednak zupełna zdawała się zbijać moje przypuszczenia. W chwili, gdy usiadłszy na łóżku zdejmowałam trzewiki, ktoś zapukał do drzwi.

— Kto tam? — zapytałam.

— Czy wstałaś? — zapytał dobrze mi znany głos pana Rochester.

— Tak panie.

— I jesteś ubrana?

— Zupełnie.

— W takim razie, chodź prędko.

Otworzyłam drzwi na korytarz i spotkałam pana Rochester ze świecą w ręku.

— Potrzebuję cię, — wyrzekł, — chodź ze mną natychmiast, ale sprawuj się cicho, jak mysz.

W cienkich pantofelkach przesuwałam się jak cień przy boku pana Rochester.

Przeszliśmy schody, drugie piętro i zatrzymali się na trzeciem przed zamkniętemi drzwiami pokoju, który tylekroć tak dziwne we mnie budził uczucia.

— Czy masz u siebie gąbkę?

— Mam.

— A sole trzeźwiące?

— Także.

— Idź i przynieś je tu prędko.

Wkrótce powróciłam z żądanemi przedmiotami. Pan Rochester czekał na mnie z kluczem w ręku; włożył go w zamek i, w chwili, gdy miał zakręcić — zapytał:

— Czy zniesiesz widok krwi?

— Sądzę, że zniosę — odrzekłam — choć

nigdy nie doświadczyłam się pod tym względem.

Przejął mnie dreszcz. Czułam się jednak silną i gotową na wszystko.

— Podaj mi wszakże rękę. Lękam się, byś mi nie zemdlała.

Wsunęłam palce w dłoń jego.

— Ręka jest chłodna i nie drży — to dobrze, chodź teraz.

Otworzył drzwi i weszliśmy do dużego pokoju. W jednej jego stronie widać było maleńkie drzwiczki otwarte do następnego jasno oświetlonego pokoju. Ztamtąd dochodziły głosy dziwne, jak gdyby ujadanie psa przypominające. Pan Rochester postawił przy mnie świecę i poszedł tam. Wejście jego powitał dziki śmiech i dziksze jeszcze „ah! ah! ah!" Gracyi Poole.

A zatem ona tam była i pan Rochester wchodził z nią w układy jakieś. Powrócił i zamknął za sobą tajemne drzwiczki, ślad których zasłoniły w tej chwili zstępujące się obicia.

— Tędy Janino — wyrzekł — i zaprowadził mnie po za portyjerę, dzielącą pokój na dwie części. Stanęliśmy przed łóżkiem, obok którego, na fotelu, siedział człowiek jakiś z głową na poręczy opartą, oczyma przymkniętemi. W nieruchomych, martwych rysach nieznajomego, po-

znałam Masona— rękaw jego koszuli poplamiony był krwią.

— Weź świecę — rzekł pan Rochester — i podaj mi karafkę z wodą.

Byłam mu posłuszną.

Pan Rochester umaczał gąbkę, zwilżył nią skronie trupiej bladości człowieka, podał mu sole i po pewnym czasie Mason otworzył oczy i, z wyrazem nieopisanej trwogi, rozejrzał się wokoło. Pan Rochester gąbkę osączył, krew ciekła mu z ręki.

— Czy niebezpieczeństwo jest groźne i natychmiastowe? — zapytał Mason.

— Eh! proste draśnięcie — odpowiedział pan Rochester — bądźże mężczyzną i nie trwóż się daremnie. Jadę natychmiast po lekarza i ręczę, że jutro będziesz mógł wyjechać.

— Janino — dodał.

— Słucham pana.

— Muszę cię tu zostawić samą na jedną lub dwie godziny. Będziesz obmywać ranę ze krwi tą oto gąbką. Jeżeli zemdleje, otrzeźwisz go wową i solami; pod żadnym jednak pozorem nie mów do niego ani słowa. Ty zaś, Ryszardzie, pamiętaj, że od zupełnego spokoju zależy życie twoje. Jedno wymówione słowo, jeden ruch niepotrzebny, a za nic już nie ręczę.

Biedak wydał jęk cichy; nie odezwał się jednak ni słowa. Obawa śmierci zdawała się obezwładniać go zupełnie.

Pan Rochester oddał mi gąbkę w rękę, omywałam nią ranę.

— Dobrze — rzekł popatrzywszy na mnie— ale pamiętaj, ani słowa jednego!

Dziwne uczucie ogarnęło mnie w chwili, gdy usłyszałam zgrzyt klucza w zamku, gdy w korytarzu ucichł odgłos kroków jego.

Byłam więc na trzeciem piętrze, zamknięta w tajemniczym pokoju, w nocy, sam na sam z trupio bladym, krwią zbroczonym człowiekiem, a kat jego, zbrodniarz i morderca, oddzielony był odemnie jedynie słabą jednych drzwi zaporą. To ostatnie przerażało mnie szczególniej.

Wszystko inne znieść byłam gotowa; myśl jednak, że Gracyja Poole lada chwila rzucić się na mnie może, lodem ścinała mi krew w żyłach.

A jednak musiałam wytrwać na stanowisku; niewolno mi było odwrócić wzroku od tego widma o sinych wargach, od jego oczów, już to zamkniętych, już z błędnym wyrazem biegających po pokoju, wciąż jednak szklistych i ponurych. Świeca nie objaśniona, rzucając słabe światło na straszną pracę moją i na ręce krwią zbroczone,

oświecała ponuro stare obicia i zblakłe u łóżka kotary.

W jednym kącie pokoju stała szafa starożytna, w której oprawiono popiersia dwunastu apostołów i Chrystusa.

Twarze ich dziwnie fantastycznie mieniły się pod wpływem drżących, niepewnych światła promieni.

W tym strasznym otoczeniu, sama, z trwogą nadsłuchiwałam, czy nie ozwie się z drugiego pokoju owa tajemnicza kobieta. Zdawało się jednak, że pan Rochester zaczarował ją. W ciągu całej nocy słyszałam tylko raz szmer kroków, mruknięcie podobne do warczenia psa i jakiś jęk przeciągły...

W dodatku niepokoiła mnie myśl, kto mogła być ta straszna kobieta, której pan tego domu nie mógł usunąć z swej drogi lub nagiąć do swej woli?... Czem była ta straszna tajemnica, objawiająca się to ogniem, to mordem w północnych godzinach?... Czem była ta istota, co pod postacią kobiety wydawała szatańskie głosy, lub krzyki podobne nawoływaniom sępów w powietrzu?

A ten człowiek, nad którym stałam pochylona—ten cichy, spokojny cudzoziemiec, jakim sposobem wplątany był w tę sieć ohydy i zbrodni?

Dlaczego furyja na niego właśnie się rzuciła? Zkąd wziął się w tym pokoju i o tej porze? Wszak mieszkanie jego było na dole. Po co on tu przyszedł i dlaczego ze spokojem znosił gwałt en czy też zdradę. Dlaczego milczał, gdy pan Rochester milczeć mu kazał i zkąd taki rozkaz pana zamku? Dziś znieważono jego gościa, niedawno jego życiu groziło niebezpieczeństwo, a on, oba te fakty chciał trzymać w tajemnicy!..

Wpływ silnej woli pana Rochester na wątły umysł Masona, był aż nadto widoczny: robił z nim co chciał, naginał go do rozkazów swoich, a jednak—jakże straszne wrażenie zrobiła na nim wieść o przybyciu gościa.

Nie mogłam zapomnieć bladości i wejrzenia pana Rochester, w chwili, gdy powtarzał na wpół przytomnie „Janino! okrutny cios, okrutny!" i drżenia jego ręki, gdy oparł się o mnie. W istocie, nielada to musiał być cios, który tak zachwiać potrafił potężną mego pana duszą.

— Kiedyż on wróci nareszcie—pytałam niecierpliwie — bo chory mój coraz to więcej krwi tracił, słabł i mdlał coraz częściej; trzeźwiłam go co chwila solami i wodą; milczałam jednak, bo milczeć mi kazano. Świeca dopaliła się i pokój zaległ szary mrok przedświtu; w tej samej chwili usłyszałam w podwórzu szczekanie Pilota, a wkrótce potem rozległy się w korytarzu do-

brze mi znane kroki; klucz zgrzytnął w zamku i pan Rochester z doktorem stanęli w progu.

— Spiesz się Carter, pamiętaj, że za pół godziny rana musi być opatrzona i chory znajdować się w powozie — odezwał się pan Rochester.

— Ale czy on będzie w stanie wyjechać?

— Niewątpliwie, rana nie jest groźną, a chory mocno nerwowy i trzeba mu dodać odwagi. A teraz prędzej — do dzieła.

Podniósł roletę i zbliżył się do chorego.

— Jakże się czujesz? — zapytał.

— Zabiła mnie, zabiła!

— Zdaje ci się, proste draśnięcie nic więcej, bierzesz za coś wielkiego. Carter! powtórz mu, że tu niebezpieczeństwa niema żadnego.

— Najmniejszego, proszę mi wierzyć — odparł doktór, odwiązując ranę, — tylko gdybym tu był wcześniej, obeszłoby się bez takiej utraty krwi. Ciało jest rozdarte — nie skaleczone. Widzę tu ślady zębów?

— Oh tak, gryzła mnie, szarpała, jak tygrysica, zanim Rochester zdołał jej wyrwać nóż z ręki.

— Nie powinieneś był uledz, należało walczyć.

— Tak, walczyć! łatwo się to mówi; to jednak było straszne! — zdawała się tak spokojną z początku.

— Jest to słuszna kara za brak ufności i niezastosowanie się do mej woli. Ależ to czyste szaleństwo narażać się na to samemu i to w nocy....

— Myślałem, że dobrze robię.

— Myślałeś! myślałeś! Nie, to doprawdy doprowadza mnie do niecierpliwości.

— Spiesz się Carter, bo słońce już wschodzi.

— Natychmiast panie, ramię już opatrzone; ale... na ręku znów widzę ślady zębów.

— Ssała krew — wtrącił Mason — utrzymywała, że chce ją ze mnie wyssać.

Pan Rochester zadrżał; na twarzy jego błysnął wyraz wstrętu, obrzydzenia, nienawiści.

— Cicho—rzekł — daj już pokój temu i zapomnij o całej tej sprawie.

— Chciałbym zapomnieć.

— Zapomnisz, gdy raz ztąd wyjedziesz, gdy będziesz w Indyjach; myśl o niej jak o umarłej, a lepiej jeszcze — nie myśl o niej wcale.

— Nie, tej nocy nie zapomnę nigdy.

— Przed godziną twierdziłeś, że umrzesz, a teraz jesteś prawie zdrów; tak samo i o fatalnem zajściu zapomnisz. Zdobądź się tylko na trochę energii; Carter już skończył, trzeba się ubrać i jechać.

— Janino — dodał pan Rochester, po raz pierwszy zwracając się do mnie — idź pocichu do mego pokoju, dostań czystą koszulę i krawat z komody, i przynieś tu prędko.

Wyszłam i wróciłam za chwilę z żądanemi przedmiotami.

— Teraz wejdź za kotarę i poczekaj tam, aż go ubierzemy; ale nie wychodź, bo możemy cię potrzebować —rzekł pan Rochester.—A czy tam na dole, słyszałaś szelest jaki?—dodał.

— Nie panie, wszyscy śpią jeszcze.

— Trzeba jechać Ryszardzie. Jest to konieczne dla twego spokoju i dla spokoju tej biednej zamkniętej tam istoty. Dotąd walczyłem jak mogłem, by ukryć to przed oczyma ludzi; nie radbym też, by jedna chwila nierozwagi zniszczyła usiłowania moje. Carter! pomóż mu włożyć kamizelkę. A gdzie futro? —zapytał — zostawiłeś je na dole, choć nie wytrwałbys godziny jednej bez niego. Janino, zejdź, proszę, do pokoju pana Masona, tuż obok mego, i przynieś je prędko.

Pobiegłam znów i wróciłam wkrótce z futrem.

— Jeszcze jedno polecenie —dodał niezmordowany pan Rochester,— to nasze szczęście, że masz aksamitne pantofelki; chałaśliwszy pomocnik na nicby mi się nie przydał. Idź więc do

mego pokoju; w środkowej szufladzie konsoli znajdziesz słoik i małą szklaneczkę. Przynieś mi te dwie rzeczy.

I ten nowy rozkaz spełniłam natychmiast.

— A teraz doktorze, dam choremu lekarstwo za skuteczność którego odpowiadam; jest to płyn, który dostałem w Rzymie od pewnego szarlatana, któregobyś ty niezawodnie powiesił na suchej gałęzi. Środek jest ostry, ale w takich jak tu razach, niezawodny. Janino, trochę wody.

Nalałam pół szklaneczki.

— Dosyć, a teraz odwilż brzeg słoika.

Odebrał mi wodę, wlał w nią kilkanaście kropel czerwonego płynu i podał ją p. Masonowi.

— Nie wezmę tego, boję się.

— Pij, proszę!

Mason usłuchał, bo nie mógł zrobić inaczej. Blady był i zmieniony. Odpoczął trochę. Po chwili pan Rochester wziął go pod rękę. Chory wstał.

— Carter wesprzyj go z tamtej strony. Dalej Ryszardzie! odwagi, odwagi! Staraj się postąpić parę kroków. Widzisz, że wcale nieźle idzie.

— Lepiej mi — szepnął.

— Byłem pewny, że tak będzie. A teraz, Janino, idź przed nami. Otwórz boczne drzwiczki,

w podwórzu lub na drodze czeka powóz. Przypomnij pocztylijonowi, by jechał ostrożnie, bez chałasu i powiedz, by był gotów do drogi; gdybyś zaś spotkała kogo, stań na pierwszym schodzie i chrząknij.

Było w pół do szóstej. Słońce wschodziło już; mimo to, w kuchni było ciemno, na dziedzińcu pusto. Spełniając więc tylko dane mi zlecenie, nadsłuchiwałam czy mnie nie dojdzie szmer jaki. Prócz jednak uderzeń kopyt końskich, świergotu ptactwa, szumu liści i tajemniczego odgłosu budzącej się ze snu przyrody, żaden głos ludzki nie przerywał uroczystej ciszy poranku.

W progu, ukazał się Mason w towarzystwie pana Rochester i doktora; pomogli oni wejść choremu, — poczem doktór wsiadł także do powozu.

— Opiekuj się nim Carter i trzymaj u siebie, dopokąd zupełnie nie przyjdzie do sił. Zresztą, będę tam wkrótce i zobaczę się z tobą Ryszardzie. Jakże się czujesz teraz?

— Powietrze orzeźwia mnie.

— Otwórz okno z jego strony, doktorze. Bądź zdrów Dicku.

— Fairfax!

— Co chcesz?

— Bądź dla niej dobrym, pielęgnuj ją, bądź o ile możesz, wyrozumiałym, i...

Rozpłakał się.

— Robię co mogę i nadal robić będę — odrzekł; a gdy powóz ruszył dodał:— a jednak — jednak—daj Boże, by się raz to wszystko skończyło—i skierował się ku furtce ogrodowej.

Myślałam, że mnie już nie będzie potrzebował i zawróciłam ku domowi.

— Janino! — zawołał — chodź, odetchnij trochę świeżem powietrzem. Ten zamek jest istnem więzieniem. Nieprawdaż?

— Przeciwnie, mnie się on wydaje bardzo pięknym.

— Bo patrzysz na niego przez pryzmat młodości i niedoświadczenia; nie widzisz, że złocenia są nędzne; draperyje jedwabne, podobne do nici pajęczych, a rzeźby z grubej kory drzewnej. Patrzysz przez zaczarowane szkła, Janino.

— Tu za to — dodał, wskazując na głębię alei, w którą wchodziliśmy — tu za to, wszystko jest piękne, świeże, ponętne i urocze.

Zieleń i kwiaty otaczały nas wokoło.

— Janino, chcesz kwiatka?

Mówiąc to, urwał nierozwinięty jeszcze pączek róży i podał mi go.

— Dziękuję.

— Czy lubisz wschód słońca, Janino? Czy lubisz to niebo okryte mgłą chmurek, które znikną w blasku dnia jasnego, balsamiczną woń łąk i kwiatów. Czy lubisz to, Janino?

— O, tak panie, lubię to wszystko.

— Dziwną noc miałaś.

— Bardzo dziwną.

— To też pobladłaś; czy bardzo się bałaś, gdym cię zostawił sam na sam z Masonem?

— Tak, bałam się, by kto nie wszedł z sąsiedniego pokoju.

— Ależ ja go zamknąłem i klucz miałem w kieszeni. Byłbym bardzo niedbałym pasterzem, gdybym owieczkę moją, ulubioną owieczkę, zostawił na pastwę wilkowi drapieżnemu.

— Czy Gracyja Poole nie opuści zamku — spytałam.

— O, nie — nie łam sobie nad tem głowy, proszę cię.

— Ale zdaje mi się, że dopokąd ona tu jest, życiu pana nie przestanie grozić niebezpieczeństwo.

— Bądź spokojna, sam czuwać nad niem będę.

— A niebezpieczeństwo, które groziło ci wczoraj, czy już minęło?

— Nie mogę być pewnym tego, dopokąd Mason jest w Anglii, a nawet wtedy, gdy wyje-

dzie. Żyć dla mnie, jest to stać nad kraterem wulkanu, który z dnia na dzień wybuchnąć może.

— Ale pan Mason nie zdaje się być groźnym; jest tak posłuszny panu...

— Oh nie! Mason nigdy dobrowolnie mi nie zaszkodzi; ale mimo wiedzy, jednem nierozważnem słowem, może mnie pozbawić jeżeli już nie życia, to przynajmniej szczęścia.

— Zaleć mu pan, by miał się na baczności; powiedz mu, czego powinien unikać i, gdzie leży niebezpieczeństwo.

Uśmiech sarkazmu zaigrał mu na ustach. Wziął rękę moją, puścił ją jednak wkrótce i odtrącił od siebie.

— Gdyby to było możliwe — powiedział — nie byłoby niebezpieczeństwa, bo Mason nigdy nie oprze się mej woli. Ale groźnym jest dla mnie właśnie dlatego, że nie mogę mu powiedzieć, czem może mi krzywdę wyrządzić, że o możności szkodzenia mi wiedzieć nie powinien. Zdajesz się być zaintrygowaną; a zatem jeszcze więcej intrygować cię będę. bo wszak jesteś przyjaciołeczką moją— nieprawdaż?

— Panie, pragnę ci być użyteczną i służyć ci we wszystkiem, co jest dobre.

— Wiem o tem — odrzekł. — Gdy robisz co dla mnie, ze mną, lub za mnie pracujesz —

twarz twoja się rozjaśnia, widzę na niej rozlany wyraz szczęścia, bo wiesz, że to, co robisz, jest dobrem. Gdybym jednak żądał od ciebie pomocy w złym lub nieszlachetnym czynie, już bym nie mógł liczyć na zwinne twe nóżki i zgrabne rączęta. Stanęłabyś przedemną blada, poważna, posępna, i odrzekłabyś surowo: „Nie panie, nie zrobię tego, bo to jest złe”. I w postanowieniu twojem byłabyś stałą, jak stałe gwiazdy na niebios sklepieniu. Ty także możesz mi wyrządzić krzywdę, ale nie wyrządzisz jej, bo wiedzieć nie możesz, czem najboleśniej mogłabyś mnie zranić, mimo twego wiernego i kochającego serca....

— Oh! jeżeli tylko niebezpieczeństwo grożące ci ze strony Masona, jest takie, jak to, które ci odemnie grozi— możesz być zupełnie spokojny.

— Daj Boże, by tak było. Wejdźmy na chwilę do tej groty.

Było to zagłębienie w murze, oplecione zwojami bluszczu. W pośrodku stała ławeczka, na której usiadł pan Rochester, zostawiając obok siebie miejsce dla mnie. Stałam mimo to przed nim.

— Usiądź, — powiedział — zmieścimy się oboje. Sądzę, że nie lękasz się tego; wszak niema w tem nic złego?

Usiadłam.

— Przyjaciołeczko moja — ciągnął dalej — patrz, słońce pije rosę, a kwiaty rozwijają się pod jego ciepłem tchnieniem. Ptaki szukają pożywienia dla piskląt, a pszczoły zbierają skrzętnie zapasy na zimę do gniazdek swoich; ja zaś podam ci jedno pytanie, na które odpowiesz mi nie inaczej, jak postawiwszy się zupełnie w mojem położeniu. Najprzód, odpowiedz mi, czy nie masz ochoty uciec odemnie, czy nie lękasz się, bym mógł popełnić błąd jaki względem ciebie i, czy nie uważasz za złe tego, że siedzisz tu zemną?

— Nie, panie.

— A więc, Janino, wyobraź sobie na chwilę, że zamiast być silną i dobrze wychowaną dziewczyną, jesteś zepsutym od dzieciństwa chłopcem; wyobraź sobie dalej, że jesteś na obczyźnie i tam popełniasz błąd ogromny. Mniejsza o to jaki i z jakich pobudek, dość, że jest to błąd, któren ma zatruć ci całe życie, nad losem ciążyć jak brzemię ołowiane, zaćmić wszystkie jasne dni twoje. Zwróć jednak uwagę, że mówię tu o błędzie, a nie o zbrodni, którąby domagała się wymiaru sprawiedliwości. Dla ulżenia sobie, uciekasz się do środków, które jakkolwiek niezwykłe, nie są jednak ani złe, ani nieprawe. Mimo to, czujesz się nieszczęśli-

wą, bo nadzieja opuściła cię na progu życia, i południe jego zaćmione mgłą, która rozproszyć się do końca nie może. Wspomnienia smutne i gorzkie zatruwają ci każdą chwilę; błądzisz i tułasz się po świecie, pragnąc znaleźć choć chwilowy odpoczynek w wygnaniu, szczęście— w użyciu. Ze ściśniętem sercem, zmęczoną duszą, powracasz po latach dobrowolnego wygnania na ojcowiznę swoją. Tu, spotykasz osobę,— mniejsza o to jakim sposobem i w jakich okolicznościach — dość, że spotykasz osobę piękną i obdarzoną zaletami serca i umysłu, których napróżno przez lat dwadzieścia szukałaś po świecie. Natura to silna, a świeża, nie zwarzona tchnieniem życia surowem. Przy niej, odradzasz się na nowo, przypominasz sobie ubiegłe, a szczęśliwe dni życia, podnioślejsze pragnienia, czystsze uczucia; pragniesz na nowo żyć, i przez resztę dni swoich, stać się godnym nazwy człowieka.

— Dla takiego celu, wszak wolno ci podeptać prawa utartego zwyczaju; prawa konwenansu, czczej formy, których rozum nie może uznać, a sumienie uświęcić?

Zatrzymał się — i czekał na odpowiedź. Cóż mogłam odrzec? Oh! gdyby jaki dobry genijusz chciał mi podszepnąć wtedy sprawiedliwą i zadawalniającą odpowiedź. Próżne pragnienie! Wiatr igrał z listkami bluszczu, ale żadne bó-

stwo nie zapożyczyło jego tchnienia, by przemówić do mnie; ptaki świergotały w gęstwinie, ale szczebiot ich był niezrozumiałym dla mnie...

— Czy wolno — powtórzył natarczywiej pan Rochester — lekceważyć opiniję ludzką, człowiekowi, co poprawić się pragnie, co pragnie spoczynku? Czy wolno mu wziąć sobie na własność tę istotę, dobrą, czystą, szlachetną i zapewnić sobie tym sposobem spokój ducha i odrodzenie serca?

— Panie — odrzekłam — ocalenie rozbitka, odrodzenie grzesznika, nie może zależeć od podobnej mu istoty. Kobiety, zarówno jak mężczyzni umierają; mamy filozofów bez mądrości; chrześcijan bez chrześcijańskiego miłosierdzia. Jeżeli kto ze znajomych twoich pobłądził i upadł — niech siły i ratunku nie u ludzi, nie na ziemi,—a wyżej poszuka.

— Ależ narzędzia! narzędzia woli Bożej mi potrzeba! Powiem ci zresztą, bez dłuższych wykrętów, że byłem lekkim, światowym i zepsutym człowiekiem i znalazłem narzędzie mego odrodzenia w....

Zamilkł. Słuchałam—i zdawało mi się, że szelest wiatru i szczebiot ptactwa winien był ucichnąć, a świat cały z powagą i w milczeniu oczekiwać zwierzenia jego. Ptaki śpiewały, wiatr szumiał podawnemu, a pan Rochester milczał—milczał długą bardzo chwilę.

Podniosłam na niego oczy, patrzył na mnie z dziwnym twarzy wyrazem.

— Przyjaciółeczko moja — wyrzekł w końcu innym już zupełnie tonem, przyczem i z twarzy jego znikł wyraz słodyczy i dobroci, a miejsce jego zajęła ironija i surowa ostrość — przyjaciółeczko moja, zauważyłaś zapewne skłonność moją serdeczną ku pannie Ingram. Czy sądzisz, że gdybym się z nią ożenił, byłaby w stanie odrodzić mnie?

Wstał i począł przechadzać się po alei. Po chwili wrócił, nucąc.

— Janino—dodał po chwili — Janino! jesteś okrutnie bladą po dzisiejszej nocy. Wybacz mi, że cię trudziłem.

— Wybaczyć panu? Oh, nie—żadnego żalu do ciebie nie miałam.

— Podaj mi rękę na dowód tego. Jakież zimne masz palce, cieplejsze były na progu tajemniczego pokoju, Janino! Kiedyż jeszcze czuwać ze mną będziesz?

— Wtedy, kiedy mu potrzebną będę.

— Naprzykład w wiliję mego ślubu. Jestem pewien, że nie będę mógł spać wtedy. Czy obiecujesz mi, że mnie nie opuścisz wtedy i będziesz czuwać wraz ze mną? Z tobą będę mógł mówić o mej narzeczonej, bo ją widziałaś i znasz ją.

— Dobrze, panie.

— Prawda, że trudno znaleźć istotę, któraby jej dorównać mogła?

— Rzeczywiście, panie.

— Jest piękną, wysoką i wysmukłą brunetką; kobiety Kartaginy do niej musiały być podobne. Ale oto Dent i Lynn w stajniach. Prędko wyjdź tą furtką.

Rozeszliśmy się. Słyszałam, jak mówił wesoło w podwórzu do swych gości:

— Mason jest rannym ptaszkiem, zawstydził was wszystkich i jeszcze przed wschodem słońca wyjechał; wstałem też o 4-tej, by go pożegnać.

ROZDZIAŁ XVIII.

Nazajutrz po dziwnej nocy, którą przebyłam na trzeciem piętrze, po obiedzie dano mi znać, że człowiek jakiś chce się ze mną widzieć. Zeszłam na dół i zastałam tąm Roberta Leoven, męża Bessie, któren ze smutną do mnie pospieszał wieścią.

Jan Rud umarł był przed tygodniem w Londynie, straciwszy majątek i zdrowie, w skutek rozrzutnego i nędznego sposobu życia.

Matka jego strapiona podwójnem nieszczęściem, utratą majątku i śmiercią syna, ciężko zachorowała; doktorzy nie robili nadziei, a chora wciąż domagała się, by posłano po mnie.

— Sądziliśmy wspólnie z Bessie — dodał poczciwy człowiek — że pani nie zechce odmówić umierającej kobiecie, że pani daruje jej złe

z sobą postępowanie i przyjedzie do niej także. Jeżeli pani może wybrać się prędko, jutro rano moglibyśmy wyjechać.

— Będę gotowa — odrzekłam — muszę jednak wprzód prosić o pozwolenie wyjazdu mego pana.

Pan Rochester grał w bilard z panną Ingram. Potrzebowałam niemało odwagi, by wejść do sali i przerwać mu zabawę. Czas jednak naglił. Czułam, że niewolno mi zwlekać dla tak błahej przyczyny; weszłam więc z bijącem sercem i przysunąwszy się do pana Rochester, szepnęłam nieśmiało:

— Panie Rochester!

Panna Ingram w błękitnej krepowej sukni, ożywiona grą, jak zawsze piękna i dumna, spojrzała na mnie z pogardą.

— Czego ta osoba może chcieć od pana? — spytała.

Pan Rochester zrobił dziwną, dwuznaczną minę i spojrzawszy na mnie, rzucił natychmiast kij bilardowy i wyszedł ze mną.

— Chciałam prosić pana — wyrzekłam, gdyśmy się znaleźli w pokoju do nauki przeznaczonem — o dwutygodniowy urlop.

— O urlop?... A to gdzie i po co?

— Potrzebuję wyjechać.

— Gdzie?

— Do umierającej kobiety, która widzieć mnie pragnie.

— Któż to jest i gdzie mieszka?

— W Gateshaed, w hrabstwie N.

— Ależ to o sto mil ztąd; cóż za interes może mieć do pani ta kobieta i jak się ona nazywa?

— Nazywa się Reed, panie.

— Reed z Gateshaedu? Niejaki Reed z Gateshaedu był niegdyś marszałkiem.

— To właśnie wdowa po nim.

— Ale cóż ty masz do niej? Jakim sposobem ją znasz?

— Pan Reed był bratem mojej matki.

— Dlaczegóż więc nie mówiłaś mi nigdy o tem? Utrzymywałaś zawsze, że nie masz krewnych.

— Nie mam w istocie takich, którzyby się do do mnie przyznać chcieli. Pan Reed umarł, a żona jego wypędziła mnie od siebie.

— Za co?

— Za to, że będąc biedną, byłam jej ciężarem, i że nienawidziła mnie z całej duszy.

— Ależ pan Reed zostawił dzieci; musisz mieć kuzynów i kuzynki. Sir Lynn wspominał mi wczoraj o jakimś Reed z Gateshaedu, jednym z najsławniejszych łotrów stolicy; a Georgina Reed robiła w roku zeszłym furorę w Londynie...

— Jan Reed umarł, straciwszy nietylko swój, lecz i swej rodziny majątek, i to właśnie tak źle podziałało na zdrowie jego matki.

— Ale po cóż ty do niej chcesz jechać? może umrze przed przyjazdem twoim; a zresztą, wszak wypędziła cię od siebie.

— Tak, panie; ale wówczas w innem była położeniu, a dziś, powinnam zadość uczynić jej życzeniu.

— Jak długo myślisz tam zabawić?

— O ile będę mogła najkróciej.

— Przyrzecz, że za tydzień powrócisz.

— Wolę nie przyrzekać, bo nie jestem pewną, czy będę mogła dotrzymać słowa.

— Ale w każdym razie, powracasz? Nic nie skłoni cię do pozostania na zawsze przy ciotce?...

— Oh, niezawodnie; powrócę jak tylko będę mogła.

— Ale kto ci będzie towarzyszył? Nie masz zapewne zamiaru odbyć sama tak dalekiej podróży?

— Nie, panie — przysłała po mnie służącego.

— A czy to pewny człowiek?

— Tak, służy u nich od lat dziesięciu.

Pan Rochester zamyślił się.

— Kiedyż chcesz jechać? — zapytał?

— Jutro, bardzo rano.

— Potrzebujesz zapewne pieniędzy?— bo nie brałaś odemnie nic, odkąd tu jesteś. Janino — dodał z uśmiechem —powiedz mi, ile masz przy sobie ?

— Pięć szylingów.

Wziął mój woreczek i z pewnem zadowoleniem spoglądał na niego; rad był widocznie, że był taki próżny.

— Proszę cię, weź to — powiedział — podając mi bilet pięździesięcio funtowy.

A winien mi był tylko piętnaście.

— Nie mam drobnych.

— Nie potrzebuję ich też — odparł — weź to jest twoja pensyja.

Odmówiłam przyjęcia tego, co mi się nie nał leżało. Namawiał mnie i prosił; nagle zmienizamiar.

— Masz słuszność — rzekł — lepiej będzie jeżeli nie weźmiesz teraz wszystkiego. Gdybyś miała ze sobą 50 funtów, siedziałabyś tam z pół roku. Masz ich 10, czy to dosyć?

— Dosyć, ale pan winien mi jesteś jeszcze pięć.

— A zatem przyjedź po nie, masz u mnie 40 funtów.

— Panie, jeszcze jedno pytanie ważne, dziś, kiedy masz chwilę wolną.

— Co takiego?

— Powiedziałeś mi pan, że się żenisz?

— Tak, a więc cóż z tego?

— W takim razie, przyznasz pan sam, że Adelę wygodniej oddać na pensyję.

— Tak, masz słuszność, Adelę usunę z drogi mej żonie i oddam na pensyję, a ciebie... No a ty... ty pójdziesz sobie wtedy do wszystkich dyjabłów.

— Mam nadzieję, że nie; ale w każdym razie muszę szukać innego miejsca.

— Tak, oczywiście, naturalnie — wołał wykrzywiając twarz komicznie — oczywiście.

Spojrzał na mnie uważnie.

— I za pośrednictwem pani Reed, chcesz znaleźć to miejsce?

— Nie, panie, chcę tylko ogłosić w gazetach.

— Tak, naturalnie: wejdziesz na szczyt wieży i ogłosisz się, nie zważając na niebezpieczeństwo, jakie ci grozić może. Szkoda, trzeba ci było dać nie dziesięć, a jednego tylko funta— oddaj mi resztę, potrzebuję tych pieniędzy, Janino.

— Ale i ja również nie potrafię się bez nich obejść ani na chwilę.

— Skąpcze mały! — zawołał — nie chcesz mi zaufać! A więc oddaj mi przynajmniej pięć funtów.

— Ani pięciu szylingów.

— Pozwól mi na chwilę twoją sakiewkę — niech ją obejrzę tylko.

— O nie, nie wierzę panu.

— Janino!

— Panie?

— Obiecaj mi rzecz jedną.

— Wszystko, co tylko dotrzymać będę mogła.

— A zatem, przyrzecz mi, że nie będziesz szukała innego miejsca bez mojej wiadomości. Ja sam ci je znajdę z czasem.

— Z przyjemnością; pod warunkiem wszakże, że pan ze swej strony usuniesz nas z Adelą z domu, zanim nowa pani obejmie w posiadanie zamek.

— I owszem, możesz liczyć na to. A zatem, wyjeżdżasz jutro?

— Tak, jutro rano.

— Czy przyjdziesz dziś wieczorem do salonu?

— Oh! nie panie, muszę się pakować.

— A zatem musimy się na jakiś czas pożegnać?

— Zapewne.

— A jak to ludzie żegnają się z sobą? Powiedz mi, Janino, bo nie znam tej ceremonii.

— Mówi się sobie „żegnam”, lub inne jakie słowo.

— Powiedz je zatem.

— Żegnam pana, panie Rochester. Do widzenia.

— A ja co mam powiedzieć?

— To samo, jeżeli się panu podoba.

— Żegnam panią, panno Eyre, do widzenia! Czy to wystarcza?

— Zupełnie.

— A jednak, mnie się wydaje pożegnanie takie dziwnie chłodne i wcale nie przyjacielskie. Ja wolałbym co innego, bodaj jaki maleńki dodatek do zwykłej formułki. Ale nie, to by mi nie wystarczyło. Powiem ci więc zatem—tylko „Bądź zdrowa, Janino!”

— To wystarcza, panie; jedno słowo powiedziane z serca, starczy za wiele czczych frazesów.

— Masz słuszność. Ale te słowo jest tak chłodne.

Dokądże myśli tu stać i gawędzić ze mną? — pytałam sama siebie.

Dzwonek wzywający na obiad odezwał się.

Odwrócił się, i nie mówiąc słowa wyszedł z pokoju. Nie widziałam go do wieczora, a nazajutrz spał jeszcze gdy wyjechałam.

Z dziwnem uczuciem po latach dziewięciu oddalenia, wstępowałam w progi Gateshaedu.

Wszystko tu tak bardzo znane mi było, każda rzecz, związana była ze wspomnieniami dzieciństwa mego, upokorzeń, kar i krzywd, jakie tu niegdyś mi wyrządzano.

Uczucia jednak: nienawiści, gniewu i zemsty, ucichły w mej duszy. Pamiętałam krzywdy, ale czułam, że dziś już one nie mają nademną mocy; czułam się samodzielną i silną.

Bessie, poczciwa zawsze, przyjęła mnie serdecznie i gorąco kuzynki zaś moje: piękna i bezduszna jak lalka Georgina, chłodna, wyrachowana i dziwnie ascetycznie usposobiona Eliza—zimno i obojętnie. Pani Reed była wciąż chora, nieprzytomna, chwilami tylko zrywała się, wołając, by mnie sprowadzono.

Gdy weszłam do jej pokoju, litość mnie ogarnęła na widok tej bezsilnej, cierpiącej kobiety. Żalu do niej nie czułam,— pragnęłam, by przed śmiercią życzliwiej dla mnie uderzyło to zimne i samolubne serce.

— Ciotko — odezwałam się, pochylona nad jej łóżkiem.

Na dźwięk mego głosu podniosła oczy.

— Czy to Janina Eyre? — spytała.

— Tak, ciotko, przybyłam tu, bo podobno pragnęłaś mnie widzieć?

— Zostań tu, dopókąd nie powiem ci czegoś co cięży mi na sercu. Dziś już za późno, zresztą, nie pamiętam w tej chwili, o co chodzi.

Straciła przytomność i nie odzyskiwała jej ani na chwilę, przez ciąg następnych dni dziesięciu. W gorączce, skarżyła się na mnie, na to, że jestem jej ciężarem, to znów ubolewała nad tem, że nie dotrzymała słowa danego mężowi. Biedna kobieta była bardzo opuszczona, Georgina myślała tylko o strojach i balach zeszłego sezonu.—Eliza pracowała nad haftem jakimś kościelnym i czytała książki nabożne. Później wstąpiła do klasztoru. Matka ich zostawiona była na łasce służących, czułam się też w obowiązku zaglądać do niej od czasu do czasu. Z kuzynkami memi stosunek był z początku bardzo chłodny, później zjednałam ich sobie i na pozór w większej żyłyśmy harmonii. Większą część dnia malowałam, a między pracami mojemi zawsze i wszędzie odnaleźć można było znane mi i ukochane rysy pana Thornfieldu.

Dzień po dniu upływał, a żadnej widocznej zmiany w zdrowiu pani Reed nie było. Nie wiedziałam, co robić dalej — czy czekać na jej wyznanie, czy wracać powinnam, gdy jednego wieczoru zaszedłszy do jej pokoju, zastałam ją samą, z oczyma otwartemi.

— Kto tam? — spytała.

Od paru dni nie mówiła już zupełnie.

— To ja, ciotko — odrzekłam.

— Co za ja? kto taki? — pytała wlepiwszy we mnie oczy. To dziwne, jesteś podobna—bardzo podobna. Ale do kogo?.. nie wiem. Do Janiny Eyre zdaje mi się. Ale nie; mylę się — pragnę widzieć Janinę Eyre i ztąd upatruję podobieństwo tam, gdzie go niema i cienia.

Zapewniłam ją, że jestem właśnie osobą, którą widzieć pragnęła.

— Jestem bardzo, bardzo chora — szeptała. — Przed chwilą chciałam się przewrócić, a nie mogłam poruszyć ręką; widzę to, że umieram, a przed skonem ciężarem wydaje się to, czego nie czuło się nawet gdy się zdrową było. Czy dozorczyni jest tutaj?

— Nie, jestem tylko ja sama— ciotko.

— A więc — powiedziała — wyrządziłam ci dwa razy w życiu krzywdę. Raz, nie dotrzymując przyrzeczenia danego mężowi, że wychowam cię tak, jak dzieci moje; drugi raz...

Zatrzymała się.

— A zresztą, to nic ważnego, może wyzdrowieję jeszcze, a to tak przykro upokarzać się przed nią...

Chciała się poruszyć—nadaremnie jednak, na twarzy jej ukazał się wyraz nieopisanego cierpienia.

— Nie, trzeba raz skończyć. Wieczność mnie czeka. Lepiej zrobię, gdy powiem jej wszystko — szeptała. I zbierając się na siły zawołała:

— Janino, otwórz do toalety mojej i podaj mi list, który tam znajdziesz.

Spełniłam jej żądanie.

— A teraz przeczytaj go.

List ten był krótki i zawierał następujące wyrazy:

„Pani!

„Racz przysłać mi, proszę, adres Janiny Eyre „i donieść co się z nią dzieje. Pragnę ją „wziąć do siebie na Maderę. Opatrzność pobło„gosławiła mojej pracy i jestem dziś posiadaczem „sporej fortuny. Nie mam ani żony, ani dzieci, „chcę więc Janinę uważać za własne dziecko, „dopokąd żyję,—po śmierci, zostawić jej wszyst„ko co mam.

„Pozostaję z należnym etc.

„John Eyre z Madery".

List ten był pisany przed trzema laty.

— Dlaczego nie dałaś mi pani o tem wiedzieć?

— Bo nienawidziłam cię zanadto głęboko na to, by przyłożyć rękę do pomyślności twojej. Nigdy zapomnieć nie mogłam słów, które mi powiedziałaś przed rozstaniem. Byłaś dla mnie

szatanem mścicielem, złym duchem mego życia. Wody, prędzej, prędzej podaj wody!

— Droga pani — przemówiłam podając jej wodę — proszę cię, uspokój się, nie myśl już o tem, zapomnij o przykrości jaką ci wyrządziłam i wybacz ją dziecku. Dziś nie zrobiłabym już tego; wszak dziewiąty rok mija od tej chwili.

Nie zwracała uwagi na moje słowa. Odpocząwszy trochę, ciągnęła dalej:

— Powtarzam, nienawidziłam cię i chciałam się zemścić; nie mogłam znieść myśli, że będziesz bogata i niezależna. Odpisałam mu więc, że umarłaś na tyfus w Lowood. A teraz zrób co ci się podoba — oskarż mnie, napisz do niego, wydaj nazwisko moje hańbie: wszystko to zrobić możesz. Byłaś nieszczęściem życia mojego, wchwili śmierci nawet nie przestajesz mnie prześladować wspomnieniem grzechu, którego, gdyby nie ty, nie spełniłabym niezawodnie.

— Ciotko! gdybyś mogła zapomnieć o tem, i spojrzyć na mnie z uczuciem pobłażania.

— Złą masz naturę, naturę—której nigdy nie mogłam zrozumieć.

— Nie sądzę, by ona złą była z gruntu. Jestem może gwałtowna, ale nie mściwa i obłudna. Dzieckiem będąc, pragnęłem cię kochać— nie mogłam jednak — dziś rozstańmy się w pokoju. Pocałuj mnie, ciotko.

Pochyliłam się nad nią — prosiła by odejść. Napróżno brałam jej ręce— wysuwała je z moich, oczy odwracała odemnie.

— A zatem — rzekłam — bez względu na to czy kochasz mnie czy też nienawidzisz, pamiętaj, że wybaczam ci z całego serca krzywdy jakich doznałam od ciebie. Oby Bóg był ci litościw—zostań w spokoju.

Biedna chora kobieta! Zapóźno już było, by serce jej zimne i egoizmu pełne, zabiło żywiej wtedy, gdy krew zastygała już w żyłach.

Tej nocy jeszcze umarła— a nad jej trumną, ja jedna wylałam łzę rzewną. — Córki przyjęły zgon jej obojętnie prawie.

ROZDZIAŁ XIX.

Miesiąc już cały bawiłam zdala od Thornfieldu. Pierwszy to raz wracałam do domu, a przynajmniej do czasowego schronienia swego z uczuciem tęsknoty i pragnieniem ujrzenia twarzy znajomych.

Powrót do Gateshaedu i Lowood napełniał mnie zawsze strachem — w pierwszem czekały mnie wyrzuty i kary, w drugim — głód i zimno.

Droga długą mi się wydała, pragnęłam, co rychlej stanąć na miejscu.

Na myśl o tem, serce biło mi żywiej, i nadaremno wmawiałam w siebie, że mi tam nikt szczerze rad nie będzie, że tylko pani Fairfax przywita mnie życzliwie, a Adela poskacze z ra-

dości na mój przyjazd, — napróżno powtarzałam po tysiąc razy, że wracam nie do siebie, nie do rodziny własnej. Uczucie radości dziwnej przepełniało mi duszę.

Nie zawiadomiłam nikogo o powrocie mojem, konie też nie czekały na mnie w Millcote, i zostawiwszy rzeczy moje pod opieką oberżysty, pieszo wracałam do Thornfieldu.

A był to cichy, spokojny, pogodny wieczór sianokosów; robotnicy wracali do domów, a droga otoczona była kwitnącemi krzakami róż i głogów. Ja jednak dążyłam przed siebie; jakaś siła niewidzialna, a potężna, gnała mnie naprzód.

Naraz; na skręcie drogi, ujrzałam postać siedzącą na murawie z książką w ręku.

Był to pan Rochester.

Na jego widok, czułam, że nogi uginają się podemną; przez chwilę nie wiedziałam co się ze mną dzieje.

— Co to jest? — pytałam sama siebie — co to jest?.. Dlaczego drżę cała na widok tego człowieka? Nie, nie pójdę tędy, znam inną drogę prowadzącą do zamku, obrócę tamtędy.

Próżne zamiary! — Pan Rochester zobaczył mnie już.

— Hola! — zawołał, rzucając książkę — jesteś nareszcie! Chodźże tu prędzej.

Podeszłam ku niemu, nie wiedząc sama co robię—co się dzieje zemną. Wiem tylko, że całą siłą woli pragnęłam okazać się chłodną i zmusić twarz moją do ukrycia tego, co wrzało mi w piersi, co siłą do ócz się cisnęło; zapuściłam wual, mimo to drżałam, by nie zdradzić się.

— A więc to Janina Eyre—powiedział pan mój. Janina wracająca pieszo z Millcote. Tak, to bardzo na ciebie podobne, godne tej mądrej główki! Dlaczegóż było nie przysłać po powóz i nie przyjechać rozsądnie, zamiast włóczyć się o zachodzie słońca samotnej po drodze niby cień lub widmo?

— Co ty tam u dyjbła przez cały miesiąc robiłaś?

— Byłam przy ciotce, która umarła.

— Odpowiedź godna ciebie. „Chodź do mnie słodki aniele!..”—woła ktoś z końca świata i anioł mój bieży. Wracasz więc z tamtego świata, z krainy umarłych i nie lękasz się mówić mi o tem w chwili, gdy spotykasz mnie samego wśród nocy? Gdybym śmiał, dotknął bym ci się, by uwierzyć, że jesteś jawą, nie snem, Elfie mój mały! Ale ciebie schwycić trudno, równie trudno, jak błędny ognik na bagnisku samotnem. Próżniaku mały — dodał w końcu — miesiąc cały nie było cię w domu i zapomniałaś pewno zupełnie o tem, że ja żyję na świecie.

Wiedziałam, że z radością zobaczę pana mego; czułam jednak, że radość ta zaćmiona będzie myślą, że jestem mu obojętną, że wkrótce opuścić go będę musiała.

Potęga jego dobrej woli, była jednak tak silną, że nawet okruchy rzucane przez niego obcej ptaszynie, jaką ja byłam, wydawać się mogły ucztą wspaniałą. Słowa jego były dla mnie rozkoszą najwyższą: wszak dał mi do poznania, że nie zupełnie obojętnem mu jest to, czy pamiętam o nim lub nie, wszak nazwał Thornfield domem moim. Jakżeż bym gorąco pragnęła, by nim mógł być na zawsze!

Siedział wciąż na swojem miejscu, usiadłam też obok niego.

— Wszak pan byłeś w Londynie ostatniemi czasy?

— Byłem, zgadłaś to zapewne?

— Nie, pisała mi o tem pani Fairfax.

— A nie pisała też czasem, po co tam jeździłem ?

— Owszem, panie, wszak wszyscy o tem wiedzą.

— A więc, Janino, pokażę ci powóz. Musisz mi powiedzieć, czy dobry będzie dla przyszłej pani Rochester i czy też oparta o jego pąsowe poduszki, nie będzie wyglądać na królową Boadicea. Widzisz Janino, radbym, żeby moja powierzchowność zgadzała się lepiej z powierz-

chownością mej żony. Powiedz mi mała czarodziejko, czy nie posiadasz jakiego cudownego eliksiru, któryby mnie obdarzyć mógł pięknością?

— To przechodzi władzę magii, panie.

A sama w duchu dokończyłam: kochające oko czar wszędy dojrzy, dla mnie też surowy wyraz twej twarzy jest stokroć powabniejszy niż piękność najwyższa.

Często pan Rochester z dziwną trafnością czytał mi w oczach — i teraz też spojrzał na mnie uważnie, poczem na ustach jego zaigrał uśmiech taki, jaki rzadko niezmiernie widzieć mi się u niego zdarzało. Był to wyraz uczucia tak piękny, że czarował mnie zawsze.

Powstał.

— Idź Janino — powiedział — wejdź do zamku i spocznij pod dachem przyjaciela.

Posłuchałam go w milczeniu—bo mówić nie byłam w stanie; szłam przed nim milcząca i pewna, że nie odezwę się. Nagle, dziwne, nieopisane uczucie owładnęło mną i mimo woli i wiedzy, zwracając się ku niemu, zawołałam:

— Dzięki ci, panie, z całego serca dzięki za dobroć twą bez miary. Jestem szczęśliwa, że wróciłam do ciebie i, tam tylko, gdzie ty jesteś szczęśliwą być mogę.

Nie oglądając się za siebie, jakby przerażona dźwiękiem słów własnych, biegłam przed sie-

bie tak prędko, że gdyby był chciał nawet, nie potrafił by mnie dogonić.

Gdy stanęłam w zamku, Adela z szaloną prawie przyjęła mnie radością, pani Fairfax ze zwykłą sobie dobrocią. Liwija uśmiechnęła się do mnie, Zofija nawet radośnie powitała.

Wszystko to, nader miłe sprawiło na mnie wrażenie, bo też niema większego szczęścia nad pewność, że się jest kochaną przez otaczające osoby, że obecność nasza radość im sprawia.

Przez cały wieczór zamykałam oczy, by nie widzieć przyszłości; nie chciałam myśleć o tem, że wkrótce wypadnie mi ztąd odjechać. Po herbacie, pani Fairfax z pończoszką usiadła przed kominkiem, przysunęłam się do niej, a Adela u nóg moich na małym stołeczku, szczebiotała wesoło jak ptaszę.

Nagle drzwi się otworzyły i pan Rochester wszedł do pokoju. Zdawało mi się, że jest zadowolony widząc nas razem.

— Oho! widzę, że pani Fairfax rada z przybycia przybranej swej córeczki, a Adela ma wielką ochotę zjeść z radości swoją mateczkę angielską.

Widząc życzliwość jego dla nas, pomyślałam sobie, że mógłby nas po ślubie swoim umieścić gdzie całą trójką razem i odwiedzać nas od czasu do czasu.

Dwa tygodnie upłynęło nam w ciszy i zupełnym spokoju. Wieści o małżeństwie pana Rochester ucichły w zamku, nikt z rodziny Ingram nie pokazywał się, pan Rochester nie jeździł też zupełnie do Ingram Park. Zaczynałam łudzić się nadzieją, że małżeństwo to zerwane, bacznie przyglądałam się panu memu, czy nie dojrzę w twarzy jego cienia smutku lub zmartwienia, nigdy jednak nie wydawał mi się równie swobodny i wesoły. Ilekroć widział mnie smutną lub zniechęconą, rozweselał mnie i dodawał otuchy, nigdy nie był dla mnie tak dobrym, nigdy nie wzywał mnie częściej do siebie,—niestety, nigdy też silniej go nie kochałam.

ROZDZIAŁ XX.

Cudowne to było lato. Zdawało się, że pogoda Włoszech przeniosła się do Anglii. Łąki świeżo pokoszone nową okrywały się zielenią, pyszny tworzącą kontrast z ciemno szmaragdowym odcieniem drzew i żywopłotów.

Jednego wieczoru, Adela znużona zbieraniem jagód, razem ze słońcem spać się położyła, ja, korzystając ze swobody, poszłam się przejść po ogrodzie. Upał przestał dokuczać, a rosa wieczorna odświeżała wyschnięte kwiaty i zioła — niebo całe purpurową okryło się barwą, a ostatnie promienie zachodzącego słońca, niby odblask olbrzymiego rubinu rozlewały blasków tysiące wokoło, łagodniejąc na skrajach horyzontu: słońce powoli kryło się za chmury, a zachodzący księżyc ukazywać się począł. Przez chwilę prze-

chadzałam się pod oknami, gdy nagle poczułam rozchodzący się w powietrzu zapach cygara. Obejrzałam się wokoło: okno biblijoteki było otwarte,—tym sposobem, siedzący w niej pan Rochester mógł z łatwością śledzić każde poruszenie moje. Zwróciłam się też w stronę sadu. Był to prawdziwy raj — cichy, samotny, pełen drzew i kwiecia. Wysoki mur oddzielał go od ogrodu, aleja bukowa od gazonu, na pół zepsuty płot pozwalał widzieć obszerne pole, rozciągające się po za nim, a cudna laurowa aleja kończyła się małą polanką, na której wspaniały i samotny, stał olbrzymi kasztan indyjski, ocieniający konarami swemi ławeczkę darniową. Pod czarem uroku przyrody, milczenia, woni kwiatów i zapadającego mroku—chodziłam tak, myśląc, że życie całe możnaby tu chętnie spędzić, gdy znów doleciał mnie zapach cygara. Domyślałam się, że pan Rochester był w ogrodzie. Rozejrzałam się wokoło nadsłuchując; widziałam jednak tylko drzewa obwieszone owocami, słyszałam śpiew słowika, ale ludzkiej postaci ani odgłosu kroków nigdzie odszukać nie mogłam. Mimo to, zapach cygara coraz to mocniej mnie dolatywał; pan Rochester musiał więc być niedaleko; to też chciałam coprędzej wyjść z ogrodu. W chwili, gdy kładłam rękę na klamce od furtki, pan Rochester wszedł przez nią. Cofnę-

łam się prędko i ukryłam we framudze wysłanej bluszczem.

— Nie będzie tu długo siedział — pomyślałam sobie — wróci zapewne do domu, a tym sposobem nie zobaczy mnie przynajmniej.

Omyliłam się jednak.

Wieczór letni i ogród wydał mu się widać zarówno jak mnie, pięknym, bo przechadzał się długo po ulicach.

Podnosił gałązki agrestu, przyglądając się olbrzymim ich owocom, to znów zrywał tu i owdzie dojrzałą wiśnię, pochylał się nad kwiatami, by odetchnąć świeżą ich wonią, lub przyjrzeć się kroplom rosy, co szkliły się w ich kielichach.

Ogromny żuk przeleciał, brzęcząc, koło mnie i usiadł na krzaku, tuż u nóg pana Rochester. Zwrócił na niego uwagę i przyglądał mu się pilnie.

— Teraz — pomyślałam sobie — zajęty jest i odwrócony odemnie; wymknę się cichutko. Weszłam na trawnik, by nie zwrócić na siebie jego uwagi skrzypieniem żwiru. Musiałam przejść o parę kroków od niego; widząc jednak jak bardzo zajęty był owadem, pewna byłam, że potrafię niepostrzeżona przejść koło niego. W chwili jednak, gdy mijałam go, cicha jak cień, ode-

zwał się spokojnie, nie oglądając się po za siebie.

— Janino — chodźno, przyjrzyj się temu owadowi.

Nie zrobiłam najmniejszego szelestu, a on nie miał przecie oczów na plecach; przeczuł zatem moją obecność w ogrodzie.

Zadrżałam na dźwięk tych słów—potem przysunęłam się do niego.

— Przyjrzyj się tym skrzydłom — ciągnął dalej, — owad ten dziwnie mi przypomina podobne, widziane w Indyi. Rzadki to bardzo okaz w Anglii.

Owad w tej chwili odfrunął. Chciałam pójść w jego ślady, —w chwili jednak, gdy dochodziłam do furtki ogrodowej, pan Rochester zawołał:

— Wróć się! — nie można siedzieć w domu podczas tak pięknej nocy, a prawdopodobnie nie masz zamiaru spać, w chwili, gdy zachodzące słońce ustępuje miejsca wschodzącemu księżycowi.

Zwykle dość rezolutna, i gotowa do odpowiedzi, w tej chwili napróżno łamałam sobie głowę nad wyszukaniem jakiegobądź pretekstu do odrzucenia jego żądania. Nie chciałam przechadzać się sam na sam z panem Rochester w noc księżycową, a jednak nie wiedziałam jak

upozorować odmowę. On zresztą był tak poważny i spokojny, że sama przed sobą powstydziłam się obawy mojej.

— Janino — powiedział mi, gdyśmy weszli w aleję laurową prowadzącą ku olbrzymiemu kasztanowi — Janino, wszak Thornfield jest nader miłą rezydencyją w lecie?

— Nadzwyczaj miłą.

— Musisz lubić to miejsce, ty, co tak wrażliwa jesteś na piękno przyrody, co zresztą tak bardzo do miejsc przywiązywać się umiesz?

— Rzeczywiście, panie, całem sercem przywiązałam się do Thornfieldu.

— Tak; a zdaje mi się, choć pojąć tego nie mogę, żo przywiązałaś się nawet do tego trzpiota Adeli, i do prostodusznej pani Fairfax.

— Kocham je obiedwie, choć każdą inaczej.

— I przykro by ci było rozstać się z niemi ?

— Bardzo.

— Szkoda ! — zawołał—westchnął i umilkł.

— Zawsze to tak w życiu—ciągnął po chwili—zaledwie znajdziesz się w jakiem cichem, spokojnem miejscu, przywiążesz się do niego, zaraz głos jakiś każe ci powstać i iść dalej, bo chwila spoczynku minęła.

— Czy mam wyjechać panie? — spytałam — czy mam opuścić Thornfield?

— Tak sądzę, Janino, tak sądzę. Przykro mi to nad wyraz, ale zdaje się, że to rzecz nieunikniona.

Był to straszny cios; zniosłam go jednak odważnie.

— A zatem, panie, będę gotową gdy przyjdzie rozkaz wyjazdu.

— Rozkaz ten dać muszę zaraz, dziś jeszcze.

— A zatem pan się żenisz?

— Masz słuszność—tak, nie inaczej—z właściwą sobie przenikliwością zgadłaś odrazu.

— I to zapewne niedługo.

— O tak, moja.... panno Eyre — chciałem powiedzieć. Wszak pamiętasz, Janino, chwilę, w której po raz pierwszy dowiedziałaś się, że ja, stary kawaler, mam zamiar wstąpić w święte związki małżeńskie, okuć się w złote miłości kajdany, słowem, przytulić do mego serca piękną pannę Ingram. Wszak pamiętasz?... No, ale słuchajże mnie, Janino; nie odwracaj się i nie szukaj innych owadów, bo ten, którego widzieliśmy był unikatem, rzadkością. Otóż powiedzieć ci chciałem, że na pierwszą wiadomość o projektach moich, ty, z tą przezornością, którą cenię w tobie, z delikatnością, doświadczeniem

i pokorą właściwą twemu stanowisku, zwróciłaś uwagę moją na to, że w razie małżeństwa mego z panną Ingram, ty i Adela powinnyście dom ten opuścić. Nie zwracam tu uwagi na to, że tem powiedzeniem ubliżyłaś mojej narzeczonej, i postaram się zapomnieć o tem, gdy będziesz ztąd daleko, a zachowam tylko w pamięci rozumną radę, do której się zastosuję: Adelę oddam na pensyję, a pani, panno Eyre, innego poszukasz sobie miejsca.

— Natychmiast podam ogłoszenia moje w dziennikach, a mam nadzieję, że tymczasem...

Chciałam dodać „że pozwolisz mi pan poczekać w Thornfield, aż do chwili otrzymania innego miejsca"—nie skończyłam jednak, bo czułam, że nie potrafię zapanować dłużej nad głosem moim.

— Za miesiąc będę żonaty — przez ten czas znajdę ci miejsce inne.

— Dziękuję panu i doprawdy przykro mi, że....

— O! tylko bez podziękowań; kiedy się obowiązki swoje tak gorliwie pełniło, śmiało można żądać od tych, którym się służyło, by zrobili dla nas wszystko, co jest w ich mocy. Przyszła moja teściowa wspominała mi o miejscu, które sądzę, zadowolić panią powinno. Chodzi o podjęcie się edukacyi pięciu córek pani Dyonisius

O'Gall, z Betternutt-Lodge, w Irlandyi. Powiadają, że jest to bardzo zacny dom.

— Ależ to strasznie daleko, panie.

— I cóż to szkodzi. Taka rozsądna i przezorna osóbka, nie może się lękać dłuższej podróży.

— O, nie droga mnie straszy, ale morze, które stanowi nieprzepartą przegrodę między Irlandyją a Angliją, Thornfieldem i...

— I czem?

— I tobą, panie.

Ostatnie wyrazy wymówiłam mimo wiedzy Mimowoli też łzy napełniły mi oczy— płakałam jednak cicho, tłumiąc łkania, które gwałtem wydzierały się z mej piersi. Myśl o pani O'Gall mroziła mi serce,—więcej jeszcze myśl o szumiących falach, co mnie od pana mego oddzielić miały, więcej stokroć o tem, że stanowisko, majątek, urodzenie i blichtr, stawały jako mur nieprzeparty między mną a tym, którego całą moją ukochałam istotą.

— To bardzo, bardzo daleko,—przemówiłam nakoniec.

— Zapewne, a gdy raz już będziesz w Irlandyi, nigdy nie zobaczysz mnie już więcej. Nie lubię tego kraju— nie pojadę doń nigdy! Byliśmy przyjaciołmi, wszak prawda Janino?

— Tak, panie.

— A zatem, zwykle gdy przyjaciele rozstają się z sobą, resztę pozostałego czasu spędzają razem. Chodź, porozmawiamy o tem rozłączeniu i o podróży twojej—przy świetle gwiazd. Patrz, na tej ławeczce pod kasztanem usiądziemy obok siebie, choć w przyszłości daleko jedno od drugiego będziemy.

Usiadłam obok niego.

— Irlandyja jest ztąd bardzo, bardzo daleko, i ze strachem myślę o tem, że przyjaciółeczka moja musi narażać się na tak długą i męczącą podróż,— ale cóż robić, gdy niema innej na to rady?.. Janino, czy jesteś przywiązana do mnie?

Nie mogłam odważyć się na odpowiedź—serce miałam łez pełne.

— Bo widzisz, czasami dziwnego doznaję względem ciebie uczucia, osobliwie gdy siedzisz tak przy mnie, spokojnie i cicho. Zdaje mi się wówczas, że serce moje złączone jest silną choć niewidzialną nicią z twojem. Jeżeli sześćdziesiąt mil lądu i całe morze rozdzieli nas, lękam się, by ta nić nie zerwała się, a rana nadto boleśnie nie krwawiła. Co do ciebie — wiem, że zapomnisz mnie z łatwością.

— Nigdy! pan wiesz....

Nie mogłam dokończyć.

— Janino! czy słyszysz słowika śpiewającego w gęstwinie? Słuchaj...

Słuchałam, a z piersi mojej wyrywały się konwulsyjne łkania. Nie byłam już panią siebie. Cierpiałam strasznie i cierpienie to zawładnęoł całą moją istotą. Nareszcie odezwałam się gwałtownie:

— Oh! bodajbym była nigdy nie urodziła się, a przynajmniej nigdy nie przestąpiła progu Thornfieldu.

— Czy dlatego, że dziś żal ci go opuszczać?

— Tak, boli mnie to, że muszę wyjechać z Thornfieldu — zawołałam.— Kocham Thornfield, bo przez jakiś czas rozkoszne życie w nim wiodłam: nie deptano mnie tu nogami, nie upokarzano, nie byłam skazana na życie z istotami niższemi od siebie, nie oddalano mnie od tego co piękne, silne i szlachetne. Żyłam z tem co czczę i szanuję, obcowałam z umysłem wyższym, potężnym a wzniosłym: poznałam ciebie, panie Rochester, i dziś, trwoga i rozpacz ogarnia mną na myśl, że cię mam opuścić. Widzę, że wyjechać ztąd muszę, a wyjazd ten równa się śmierci dla mnie!

— Ale dlaczegóż miałabyś koniecznie wyjechać? — spytał nagle.

— Dlaczego?... Czyż mi pan nie wykazałeś konieczności tego?

— Pod postacią czego?

— Pod postacią panny Ingram, pięknej, wysoko urodzonej, narzeczonej pana?

— Narzeczonej?—Jakiej narzeczonej? Ja nie mam narzeczonej.

— Ale ją pan będziesz mieć wkrótce.

— Tak, mieć ją muszę! — syknął przez zęby...

— W takim razie, ja wyjechać muszę; sam mi to powiedziałeś przed chwilą.

— Nie, musisz pozostać: przysięgam na to i dotrzymam przysięgi.

— Nie! wyjechać muszę—zawołałam namiętnie. —Czyż sądzisz pan, że mogłabym żyć przy tobie, nie będąc dla ciebie niczem? Czy sądzisz, że jestem mumiją — automatem, istotą bez krwi i serca? Czy sądzisz pan, że pozwoliłabym cierpliwie odsunąć sobie od ust ostatni i jedyny kęs chleba, ostatnią kroplę rosy ożywczej? Czy sądzisz, że niemam duszy, dlatego że jestem nędzną, ubogą, brzydką, małą i ciemną? Ah! gdybym była bogatą i piękną, ty, cierpiałbyś dziś to, co ja cierpię. Mówiąc tak do ciebie, gardzę zwyczajem, prawem, nie słucham głosu serca ani krwi mojej, ale rozum mój mówi dziś do twego, tak, jak gdybyśmy po za grobem mówili jedno do drugiego, jako równi w obliczu Boga.

— Tak, — odparł pan Rochester — równi jesteśmy wobliczu Boga—poczem przycisnął mnie silnie do piersi i na ustach moich gorący złożył pocałunek, — a ponieważ równi jesteśmy, tak a nie inaczej staniemy przed ołtarzem Pana Boga.

— Nie, panie. Nie jesteśmy sobie równi. — Pan żenisz się z osobą niższą od siebie, z osobą, której nie kochasz. Ja pogardziłabym takim związkiem, i dlatego wyższą jestem od ciebie i, wyjeżdżam natychmiast.

— Gdzie? Czy do Irlandyi?

— Tak, do Irlandyi. Zapanowałam nad sobą— i dziś, wszystko mi już jedno, gdzie pojadę.

— Janino, uspokój się. Nie szamocz się, jak ptaszyna chwycona w sidła, która własne wyrywa piórka z rozpaczy.

— Nie jestem ptakiem i nie jestem w sidłach niczyich : jestem wolną, mam niepodległą a silną wolę, której użyję na to, by wyrwać się i uciec zdala od ciebie.

Nowym wysiłkiem wyrwałam mu się z rąk i stanęłam przed nim.

— Sama masz wydać wyrok na mnie i na siebie. Oddaję ci rękę moją, serce i połowę wszystkiego co posiadam.

— Grasz pan komedyję, z której śmiać się tylko mogę.

— Nie, ja zupełnie na seryjo proszę cię, byś chciała życie całe u mego spędzić boku, być moją dozgonną a najlepszą przyjaciółką!

— Wybrałeś pan już sobie taką przyjaciółkę i musisz jej słowa dotrzymać.

— Janino! uspokój się — jesteś wzburzona, odpocznij chwilę.

Wiatr zaszumiał w alei, zamącił gałązki kasztana i pobiegł w dal. Spiew słowika był jedynym głosem, który brzmiał w tej chwili. Słuchając go, zaczęłam znów płakać.

Pan Rochester milcząco wpatrywał się we mnie, z pewną poważną słodyczą. Milczał przez chwilę. Nakoniec odezwał się:

— Chodź do mnie. Sprobójmy się porozumieć.

— Oh! nie, nie wrócę nigdy do pana; z trudnością uciekłam od ciebie, nie powrócę też nigdy!

— Ależ Janino — żądam tego od ciebie jak od żony mojej. Z tobą jedną tylko połączyć się pragnę.

Milczałam, będąc pewna, że żartuje ze mnie.

— Chodź Janino, chodź tutaj!

— A pańska narzeczona?

oPwstał i chwycił mnie w objęcia.

— Oto moja narzeczona! — zawołał— przyciskając mnie do piersi— oto jedna jedyna istota, którą kocham i zaślubić pragnę!—Janino, czy chcesz być moją?

Nie odpowiedziałam mu nic, usiłowałam tylko wyrwać mu się z rąk. — Nie wierzyłam mu!

— Więc nie masz do mnie zaufania, Janino?

— Ani odrobiny.

— Nie wierzysz mi?

— Nie.

— Więc jestem kłamcą w twoich oczach! — zawołał namiętnie. — Mały niedowiarku!.. Przekonam cię i wierzyć mi musisz! — Czy ja kocham pannę Ingram?... Nie; i ty wiesz o tem. Czy może kocha mnie ona..? Także nie, bo mam tego niezbite dowody. Rozsiałem wieść, że majątek mój wynosi zaledwie połowę tego, co wistocie posiadam, a skoro ona doszła do Ingram Park, doznałem tam nader chłodnego przyjęcia. Nie mogę zatem i nie chcę żenić się z Blanką. Ciebie zaś, dziwna, niepojęta istoto, ciebie, co zdajesz się nie należeć do świata — ciebie tylko jedną kocham jak życie, jak krew własną! Ciebie tylko brzydką, niepozorną, ubogą i małą, ciebie jedną kocham, ciebie jednej błagam, przyjm serce i rękę moją.

— Wdzięczność! — zawołał rozdrażniony, w uniesieniu namiętnem. — Prędko, Janino — prędko przyjmij mnie i, nazwij mnie po imieniu. Powiedz tylko: *Edwardzie, chcę być twoją!*

— Czy pan mówisz na seryjo? czy kochasz mnie istotnie i czy rzeczywiście chcesz mnie poślubić?

— Tak, a jeżeli potrzebna ci jest przysięga: przysięgam!

— A więc, tak panie,—chcę być twoją!

— Nazwij mnie po imieniu, jedyna moja.

— Drogi Edwardzie!

— Chodź! chodź do mnie! — zawołał — a potem cichutko szepnął mi do ucha, dotykając prawie twarzy mej ustami:

— Bądź szczęściem mojem, a ja ci szczęście zapewnić potrafię. Boże! przebacz mi! — zawołał po chwili — i niech ludzie nie mieszają się do nas. Mam ją—i potrafię jako skarb najdroższy zachować!

— Ludzie nie mają potrzeby wtrącać się do nas. Niemam nikogo, ktoby miał prawo zabronić mi zrobić tego, co robić pragnę.

— Tem lepiej.

Gdybym go mniej była kochała, w twarzy jego i głosie byłabym niezawodnie dojrzała dzikie uniesienie jakieś. Ale, siedząc przy nim, dopiero co obudzona ze strasznego snu o rozłące,

— Mnie!? — zawołałam —bo widząc powagę jego i słysząc impertynencyje, zaczynałam wierzyć, że mówi seryjo, — mnie, która niemam przyjaciół oprócz ciebie, jeżeli w istocie przyjacielem moim jesteś? Mnie!? co niemam nic, prócz tego, co ty mi dałeś. Mnie miałbyś wybrać wśród innych?...

— Ciebie, Janino! ciebie muszę posiąść na własność niepodzielną. Odpowiadaj prędko — chcesz tego, lub nie?

— Panie Rochester—zwróć się pan ku księżycowi, chcę spojrzeć ci w oczy.

— Dlaczego?

— Bo chcę w nich wyczytać myśl twoją.

— O! na twarzy mojej nie wyczytasz nic. Jest to poplamiona i wytarta już karta. Czytaj zresztą; ale spiesz się—bo... cierpię.

Twarz jego była nabrzmiała i wzburzona, a oczy ciskały płomienie.

— Oh! Janino, męczysz mnie, męczysz bardzo twojem badawczem spojrzeniem. Choć to spojrzenie czyste i szlachetne, męczysz mnie niemniej okrutnie!

— Dlaczego? Jeżeli słowa twoje są szczere, zamiary prawe, dlaczegóż wejrzenie moje przykrem by ci być miało? Wiesz, że dla ciebie, mogę tylko mieć wdzięczność i cześć,— cóż może być bolesnego w spojrzeniu mojem?

powołana do słodkiego z nim na wieki związku, mogłam jedynie myśleć o szczęściu bez miary, które udziałem moim było.

Nie umiałabym powiedzieć ile razy zapytał mnie: „Czy jesteś szczęśliwa?” — ile razy odrzekłam mu „tak panie!”

— Tak — szeptał mi do ucha—musimy być szczęśliwi!.. Będziemy się bardzo kochać!.. Znalazłem cię samotną, z sercem zmrożonem, bez radości i uciechy— będę cię czcił, pieścił i pocieszał! Czyż miłość moja nie jest prawdziwą? Czyż zamiary są lekkomyślne? To jedno okupi wszystko wobec sądu Boga. Wiem, czuję, że Stwórca mój jest ze mną; mniejsza o świat! o opiniję nie dbam!

Było już późno. Księżyc schował się po za chmury. Ciemno było tak, że choć siedziałam tuż przy panu moim, twarzy jego dojrzeć nie mogłam. Wiatr coraz to silniej odzywał się w gęstwinie.

— Trzeba wracać — powiedział pan Rochester — chłodno jest i czas może się zmienić. A siedziałbym tak z tobą do samego rana, Janino!

— I ja zgodziłabym się na to — pomyślałam.

W tej samej chwili błyskawica rozdarła obłoki, silny odgłos piorunu dał się słyszeć, jedno-

cześnie spadł ulewny deszcz. Przebiegliśmy prędko aleję i gazon, — niemniej jednak, w chwili, gdy wchodziliśmy do domu, woda potokami lała się z ubrań naszych.

Pan Rochester zdjął ze mnie szal i otrząsnął go z wody.

W tej chwili pani Fairfax wyszła ze swego pokoju. Nie widzieliśmy jej.

— Przemień prędko ubranie — zawołał pan Rochester. — A teraz—dobranoc, najdroższa Janino!

Ucałował mnie po kilka razy.

Gdy odwróciwszy się od niego, obejrzałam się wokoło, zobaczyłam panią Fairfax, bladą, poważną i zdziwioną.

Uśmiechnęłam się tylko do niej i pobiegłam na schody. „Wszystko się wkrótce wyjaśni"— pomyślałam; — a jednak bolała mnie myśl, że poczciwa kobieta nawet przez krótką chwilę, będzie złe o mnie mieć wyobrażenie.

Radość jednak wkrótce nad wszystkiemi innemi zapanowała uczuciami. Grzmoty, pioruny i błyskawice; ulewny deszcz i przerażający szum wiatru, nie trwożyły mnie dzisiaj. Pan Rochester parę razy pukał do drzwi moich, by się zapewnić, czy jestem spokojną. To jedno mogło zakląć trwogę najstraszniejszą, najgroźniejsze przerażenie.

Nazajutrz rano Adela wpadła do mnie z wiadomością, że piorun strzaskał kas ztan indyjski w ogrodzie, na końcu laurowej alei pożony!..

ROZDZIAŁ XXI.

Ubierając się, przebiegałam myślą wczorajsze zdarzenie. Pytałam sama siebie, czy to nie sen, czy to nie halucynacyja jaka? Dopiero widok pana Rochester, powtórzenie zapewnień jego i nowe miłości dowody, utwierdziły mnie w przekonaniu, że była to jawa—a nie sen!

Czesząc się, spojrzałam w lustro i zobaczyłam w nim, że nie byłam już brzydką i ponurą dziewczyną. Twarz moja promieniała szczęściem i nadzieją, a oczy zdawały się wykąpane w krynicy radości i uciechy — zdawały się od niej zapożyczać blasku i przejrzystości dziwnej. Często dawniej unikałam wejrzenia pana mego, w obawie, by mu widok mej twarzy nie sprawiał przykrości. Dziś, czułam, że mogę mu patrzeć prosto w oczy, pewna, że nie ostudzę uczu-

cia jego wyrazem mej twarzy. Włożyłam jasną i lekką suknię; zdawało mi się, że nigdy jeszcze w niczem nie było mi tak do twarzy. Nic dziwnego. Szczęście, wszystkiemu pozory piękna nadaje!

Kiedy zeszłam do sali jadalnej, przez otwarte jej podwoje płynęła z ogrodu woń kwiecia: powietrze orzeźwione wczorajszą burzą, było świeże i balsamiczne. Natura cała zdawała się dzielić radość moją. Biedna, blada, wychudła kobieta, z dzieciną na ręku, przybliżyła się do mnie,— oddałam jej wszystkie pieniądze, które miałam przy sobie.

Ptastwo śpiewało rozkosznie, a serce moje drżało weselem, szczęściem i zachwytem.

Pani Fairfax zajrzała do mnie, i poważnie a smutnie odezwała się:

— Może pani zejdzie na śniadanie?

Zachowanie się jej ze mną było chłodne i poważne; nie mogłam jednak wywieść jej z błędu, bez pozwolenia pana Rochester.

Zjadłam cośkolwiek i wracałam do swego pokoju. W drodze spotkałam Adelę.

— Gdzie idziesz? — zapytałam jej. — Czas już na lekcyje.

— Do dziecinnego pokoju. Pan Rochester kazał mi tam pójść.

— Gdzież on jest?

— Tam — odrzekła — wskązując na drzwi, z których wychodziła.

Weszłam tam—i tym razem nie dobrem słowem, nie uściskiem ręki, ale pocałunkiem gorącym przyjęta zostałam. Pocałunek ten wydał mi się słodkim i naturalnym zupełnie.

— Janino! jesteś świeża, uśmiechnięta i ładna — powiedział, — doprawdy, ładna zupełnie. Czyż to może być ta sama blada czarodziejka, którą znałem niegdyś? Co za twarzyczka rozjaśniona! jakie świeże rumieńce! co za przezroczy blask w tych piwnych oczach!

Oczy miałam zielone; należy mu jednak wybaczyć tę omyłkę—widocznie dla niego zmieniły kolor.

— Czy to może być dawna Janina? — powtórzył.

— Tak, panie, nikt inny tylko — Janina Eyre.

— Która wkrótce zostanie Janiną Rochester. Ani jednego dnia dłużej, nad cztery tygodnie nie pozwolę ci przy dawnem pozostać nazwisku. Czy rozumiesz to Janino?

Niezupełnie go jeszcze rozumiałam. Byłam odurzona — a słowa pana Rochester przerażały mnie więcej, niż cieszyły.

— Zaczerwieniłaś się Janino, a potem zbladłaś:—dlaczego?

— Bo mnie pan nazwałeś Janiną Rochester, a to mi się tak dziwne wydaje.

— Tak, młoda pani Rochester! Narzeczona Fairfax Rochestra.

— To jest niemożebne, panie. Nazwisko Janiny Rochester, brzmi tak dziwnie!... Szczęście zupełne nigdy nie może być udziałem ludzi na tej ziemi, a ja nie mogę stanowić w tej mierze wyjątku; to też szczęście, o jakiem pan mówisz, wydaje mi się poprostu czarodziejską bajką...

— Którą ja zmienię w rzeczywistość. Dziś właśnie pisałem do mego londyńskiego bankiera, by mi przysłał klejnoty, które u niego złożyłem. Były one zawsze własnością pań Thornfieldu — i za parę dni będą twoją własnością, Janino. Otoczę cię zbytkiem i przepychem większym, niż bym otoczył córkę najpierwszego lorda.

— O! proszę cię, panie— nie mów o klejnotach, nie lubię tego. Klejnoty i Janina Eyre— to dwa tak sprzeczne, tak różnorodne pojęcia, że pogodzić ich z sobą nie mogę.

— Oh! nie — sam włożę ci naszyjnik z brylantów i dyjadem złoty,—sam te drobne ręczyny zakuję w bransolety.

— Nie, nie, panie, nie myśl nawet o tem i nie zapominaj, że masz do czynienia z brzyd-

ką, do kwakierki podobną — ubogą nauczycielką...

— W moich oczach jesteś piękną. Masz właśnie ten rodzaj urody, który przekładam nad inne: jesteś drobna, powiewna— powietrzna niemal istota.

— Tak, nędzna i mizerna. Śnisz panie, albo żartujesz ze mnie!—na miłość Bożą, przynajmniej względem mnie, nie bądź ironii pełnym.

— Świat musi uznać cię za piękność! — zakończył.

Przykro mi było słuchać go: sądziłam, że albo mnie, albo też siebie oszukać pragnie.

— Janinę moją ubiorę w atłasy i koronki włosy jej przystroję kwiatami, a najdroższe klejnoty zdobić muszą wybraną serca mego.

— Tak, i wtedy już jej pan nie poznasz. Nie będzie to dawna Janina Eyre, a tylko małpka przebrana w strój arlekina. Dla pana strój aktora, dla mnie — wielkiej damy, jest niestosowny wysoce, pan i ja nie jesteśmy piękni oboje. Kocham cię zanadto, bym ci pochlebiać miała, ty więc nie pochlebiaj mi także.

Pomimo mej prośby, mówił wciąż to samo.

— Dziś zaraz musisz ze mną jechać do Millcote i wybrać sobie parę sukien. Powiedziałem ci, że pobierzemy się za cztery tygodnie. Ślub

odbędzie się cichutko, w miejscowej kaplicy; potem wyjedziemy do miasta. Po krótkim tam pobycie, zawiozę szczęście moje dalej, bliżej słońca, do winnic południowej Francyi, w rozkoszne Włoch doliny. Poznasz świat przeszły i teraźniejszy, poznasz ludzi i kobiety inne i porównywając się z niemi, siebie dopiero cenić potrafisz.

— Będę więc podróżować, panie! — i to z tobą?

— Tak, przepędzimy czas jakiś w Paryżu, Rzymie, Neapolu, Florencyi i Wenecyi. Musisz być wszędzie, gdzie ja byłem; widzieć to, co ja widziałem. Przed dziesięcią laty przebiegłem pół Europy, na pół szalony, zrozpaczony, z sercem pełnem nienawiści, wściekłości i szału — pododobny do tych, którzy mi towarzyszyli: dziś, oczyszczony i uszlachetniony, odbędę tę samę podróż z moim opiekuńczym aniołem.

Uśmiechnęłam się.

— Nie jestem aniołem i nie będę nim za życia — odrzekłam — nie spodziewaj się pan znaleźć we mnie ideału, bo byś pan mógł zawieść się tak, jak zawiodłabym się ja, gdybym dziś w panu półboga widziała.

— Jakimżeż ja będę, według ciebie?

— Będziesz pan takim, jakim jesteś przez pewien czas, ale to nie potrwa długo; następnie

ochłodniesz pan, i będziesz fantastykiem i zrzędą; trudno mi będzie zadowolić cię. Nareszcie, gdy przyzwyczaisz się do mnie, będziesz mnie znów kochał, może nie taką jak dziś, ale równie silną miłością. Dzisiejsza miłość skończy się może za pół roku, może i prędzej. Czytałam to często, że najwyżej przez parę miesięcy mąż kocha żonę uczuciem narzeczonego. Niemniej, mam nadzieję, że jako towarzyszka i przyjaciółka nigdy zupełnie obojętną nie będę dla pana mojego.

— Przestać cię kochać?.. Potem znów cię kochać?.. Nierozumiem tego, wiem tylko i czuję, że kochać cię będę zawsze i zmuszę cię do uznania, że kochać będę zawsze jednaką, równie silną miłością: miłością gorącą, stałą, wierną i niezmienną.

— A jednak jesteś pan zmienny!

— Oh! wiem o tem dobrze, że dla kobiet, które mi się tylko dla ładnej podobają buzi — gorszy jestem od dyjabła w chwili, gdy zobaczę, że głupie są, nizkie, idyjotyczne, złe i złośliwe; ale dla oczów, w których zawsze odzwierciadla się prawdziwie czysta, szlachetna i pełna zapału dusza, dla charakteru, który potrafi się nagiąć, nie łamiąc się wszakże, który jest uosobieniem siły i giętkości, wiernym jestem i będę na wieki kochającym.

— Czy spotkałeś pan kiedy taką naturę? czy kochałeś kiedy taką kobietę?

— Kocham ją teraz.

— Co do mnie, nie dorównam nigdy temu ideałowi, ani na jednym punkcie.

— Nigdy podobnej do ciebie nie spotkałem istoty, Janino. Czarujesz mnie i, rządzisz mną zarazem. Przewyższasz mnie! Zdajesz się ulegać mej woli w sposób, który mi się nad wyraz podoba. Mam dziwną naturę. Gdy dotknę się nitki jedwabiu, delikatny dreszcz przebiega całe moje ciało od rąk aż do serca. Otóż władzę twoją nademną w podobny odczuwam sposób. Zwyciężasz mnie—a to zwycięztwo wydaje mi się najmilszym tryumfem. Dlaczego uśmiechasz się, Janino? Co znaczy ten dwuznaczny wyraz twarzy?

— Myślałam, panie—wybacz, ale myśl ta przyszła mi zupełnie mimowoli — myślałam o Herkulesie i Samsonie w stosunku do tych, które ich oczarowały.

— A ty mała czarodziejko, ty byłaś...

— Pst! panie. Słowa twoje nie są rozsądniejsze od czynów Samsona i Herkulesa. Przypuszczam jednak, że gdyby tamci byli zostali mężami, byliby sobie po ślubie wynagrodzili sowicie uległość i słodycz kochanków. Otóż lękam się, by tak nie było z panem, i pytam sa-

ma siebie, — cobyś mi też za rok odpowiedział, gdybym żądała od ciebie czegoś, coby się twojej sprzeciwiało woli?

— Żądaj teraz czego odemnie. — Proś mnie choćby o drobnostkę jaką, Janino! Chcę być proszonym od ciebie.

— Najchętniej, panie! Prośba moja już gotowa.

— Tylko nie patrz tak na mnie, bo gotów jestem popełnić niedorzeczność, i z góry obiecać ci spełnienie każdego twego żądania, a było by to szaleństwem z mej strony.

— Bynajmniej, panie. Chciałam poprostu prosić cię, byś nie sprowadzał dla mnie klejnotów, i nie stroił mnie w kwiaty; byłoby to równie niestosowne, jak obszycie pyszną koronką tej grubej chustki, którą trzymasz w ręku.

— Tak, wistocie, byłoby to samo, co złocić najczystsze złoto. Prośba twoja na teraz przynajmniej spełnioną zostanie; dziś jeszcze napiszę do mego bankiera. Ale nie żądałaś niczego odemnie; proś mnie, bym ci dał cośkolwiek.

— A więc, bądź pan łaskaw zaspokoić ciekawość moją w jednej rzeczy.

Zmieszał się.

— Co?... Co?... — zawołał żywo. — Ciekawość wogóle jest bardzo niebezpieczną wa-

dą. Na szczęście nie dałem słowa, że ci odpowiem.

— Będziesz mi pan mógł śmiało odpowiedzieć.

— Mów, Janino, ale wierzaj mi, że wolałbym, żebyś żądała odemnie połowy mego majątku, niż odpowiedzi w kwestyi, która być może, związaną jest z tajemnicą jaką...

— I cóżbym ja, królu mój, zrobić mogła z połową twego majątku? Czyż bierzesz mnie za żyda lichwiarza, któryby rad gromadzić skarby bez miary? Stokroć wyżej ceniłabym zaufanie twoje, i wierzę, że dasz mi je dziś, gdy posiadam już miłość twoją!

— Janino, wszystkie tajemnice moje, godne ciebie, niech będą wspólną naszą własnością; ale na miłość Bożą, nie żądaj odemnie, bym ci na ramiona składał zbyteczny ciężar — nie pragnij skosztować czary zatrutej i nie żądaj odemnie zbyt wiele!

— Dlaczego nie, panie.— Dopiero co mówiześ, że miło ci, gdy drobne odniosę nad tobą zwycięztwo, dlaczegóż nie miałabym przemocą wyrwać ci z duszy tajemnic twoich? — dlaczego nie miałabym prośbą, błaganiem, łzami nawet próbować.... choćby tylko władzy mej nad tobą?...

— Wątpię, czy wtedy doszłabyś do celu. Zgadnij sama, nie zaprzeczę ci z pewnością.

— Łatwo pan kapitulujesz — ale wejrzenie twoje groźne jest i ponure, powieki ci nabrzmiały, a czoło podobne masz do czoła Jowisza, ciskającego pioruny. Przypuszczam, że po ślubie tak wyglądać będziesz?

— Być może; ale jeżeli ty tak jak teraz patrzeć na mnie będziesz, jako żona moja, zrywam natychmiast. Jako prawy chrześcijanin nie mogę łączyć się z takim jak ty dyjablikiem.

— Widzisz pan — teraz już jesteś względem mnie niegrzeczny; ja jednak wolę szorstkość twą niż pochlebstwa — wolę być dla ciebie małem stworzonkiem złośliwem, niż aniołem. Ale wracam do mej prośby — chciałam zapytać pana, dlaczego tak usilnie starałeś się wyperswadować mi, że masz zamiar się żenić z Blanką Ingram?

— Więc o to tylko chodziło?.. Chwałaż ci Boże!

Rozmarszczył czoło, pogłaskał mnie po głowie — i wydawał mi się szczęśliwy, jak człowiek, co cudem wielkiego uniknął niebezpieczeństwa.

— Mogę ci całą opowiedzieć prawdę, Janino — choć wiem, że narażę się na oburzenie twoje—i wiem, że raz rozgniewana, potrafisz się unieść gwałtownie. Wczoraj jeszcze nowy miałem tego dowód, gdyś tak gorąco buntowała się

przeciwko losowi—tak śmiało twierdziłaś, że równą mi jesteś!

— To wszystko prawda, ale odpowiadaj mi pan na pytanie moje, tyczące się panny Ingram.

— A więc, starałem się o Blankę dlatego, byś ty zakochała się we mnie równie szalenie, jak ja zakochany jestem w tobie. Wiedziałem, że najbliższą ku temu drogą, jest obudzenie w tobie zazdrości.

— Ślicznie! bardzo ładnie! Wiesz pan co, że po tem, co mi powiedziałeś, okrutnie zmalałeś w opinii mojej. Jesteś teraz ot tyli! — tyćki — dodała, wskazując mu koniuszek swego małego palca.—Doprawdy! wstyd to i hańba postępować w podobny sposób. Czyż nie brałeś zupełnie w rachubę uczuć panny Ingram?

— Oh! wszystkie jej uczucia mieszczą się w jednem—w dumie i pysze bezmiernej. Małe to upokorzenie nie zaszkodzi jej bynajmniej; ale powiedz mi prawdę, czy byłaś zazdrosną, Janino?

— Nie potrzebujesz pan o tem wiedzieć, bo nic ci z tej wiadomości nie przyjdzie. Proszę za to odpowiedzieć mi raz jeszcze szczerze, czy naprawdę sądzisz pan, że Blanka nie ucierpi w skutek nieprawego postępowania pana? że dziś nie będzie się czuła opuszczoną?

— To niemożebne, bo jak ci mówiłem, ona sama mnie opuściła. Płomień jej miłości przytłumił się, a raczej zgasł zupełnie na wieść, że bogaczem nie jestem.

— Dziwne masz pan pojęcia.

— Nikt nigdy nie kierował nimi. Nic dziwnego, że błądzę czasami.

— Powiedz mi pan poważnie i szczerze: czy szczęście, którego dziś używam, nie naraża innej istoty na żal, gorycz i cierpienie, jakich ja doznawałam niedawno? Czy wolno mi być szczęśliwą, bez wyrzutu sumienia?

— Wolno ci, moja droga, dobra dziecino. Nikt na świecie nie kocha mnie równie czystą jak ty miłością, a wiara w ciebie—to najdroższy skarb, najwyższe ukojenie mej duszy.

Przycisnęłam do ust rękę jego. Kochałam go więcej niż przyznać chciałam przed sobą, silniej niż to słowami wyrazić można.

— Proś mnie jeszcze o co! Szczęście moje najwyższe—to spełniać życzenia twoje.

— I tym razem gotowe mam żądanie. Powiedz pan o tem, co między nami zaszło pani Fairfax. Widziała nas wtedy w przedsionku i nie wiedząc o niczem, źle mnie może sądzić. Objaśnij jej pan nasz stosunek, zanim spotkam się z nią.

— Idź do siebie i ubierz się. Pojedziemy do Millcote, a ja w tej chwili powiem wszystko starowinie. Cóż ona myśli? że stracona jesteś, dlatego, że oddałaś mi miłość swoją?

— Myśli, żeśmy oboje zapomnieli, jakie między nami stać winny granice.

— Granic między nami niema: miejsce twoje w mem sercu i biada temu, ktoby się pokusił wyrugować cię z tamtąd dziś, lub kiedykolwiek później. Idź się ubierać!

Wkrótce byłam gotowa, a jak tylko posłyszałam, że pan Rochester wychodzi od pani Fairfax, pospieszyłam do niej. Starowina siedziała jak zwykle nad bibliją. Nie czytała jej jednak, okulary leżały na książce, a ręce poczciwej kobieciny bezczynnie opuszczone były. Oczy jej wlepione w przestrzeń, wyrażały nieopisane zdziwienie. Zobaczywszy mnie wstała, usiłowała się uśmiechnąć i powiedzieć mi parę słów powinszowania; uśmiech jednak skonał jej na ustach, wyrazy utkwiły w gardle.

— Jestem tak zdziwiona, panno Eyre, że doprawdy, nie wiem co ci mam powiedzieć. Przypominam, że mi się nie śniło... Niekiedy, gdy siedzę tak samotnie, usypiam i wydaje mi się wówczas, że widzę niebywałe rzeczy; parę razy widziałam nieboszczyka męża, który umarł przed piętnastu laty; zdawało mi się, że siedzi tuż przy mnie i

nazywa mnie po dawnemu Alicyją. Powiedz mi pani, czy to być może, że pan Rochester był tu przed chwilą i powiedział mi, że się z tobą żeni? Nie śmiej się pani ze mnie, ale doprawdy jestem prawie pewną, że był tu, by mi oznajmić, iż wkrótce żoną jego zostaniesz?

— I mnie powiedział to samo, — odrzekłam.

— Doprawdy?—i ty wierzysz temu co ci powiedział? Przyjęłaś go?...

— Tak.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Nigdy nie byłabym się tego domyślała. Człowiek ten jest tak dumny, jak wszyscy przodkowie jego. Ojciec jego lubił pieniądze; on sam uchodził zawsze za oszczędnego. Czyż on ma istotnie zamiar poślubić cię?

— Powiedział mi to wczoraj.

Spojrzała na mnie i z oczów jej wyczytałam, że nie widzi we mnie żadnego wdzięku, któryby potrafił usprawiedliwić tę zagadkę.

— Nie pojmuję tego, choć musi to być prawdą, kiedy mówisz o tem. Ciekawam, jak to się zakończy? Wszak utrzymują, że równość majątku i stanowiska jest koniecznym do małżeństwa warunkiem, a zresztą jest on od ciebie o jakie lat dwadzieścia starszy; mógłby być twoim ojcem.

— Oh! nie, droga pani: żadną miarą nie można go wziąć za mego ojca. Pan Rochester wygląda na lat 25, a sądzę nawet, że z wielu względów wistocie jest tak młody.

— Czyż rzeczywiście z miłości chce się z tobą żenić? — spytała.

Chłód jej i niedowierzanie, bolesne na mnie sprawiły wrażenie. Oczy napełniły mi się łzami...

— Nie radabym zrobić ci przykrości, panno Eyre — rzekła — ale jesteś tak młodą, tak mało znasz mężczyzn! Chciałabym cię ostrzedz, byś się miała na baczności. Stare przysłowie mówi: „nie wszystko złoto, co się świeci"; nie dziw się więc, że się lękam, czy po za tem wszystkiem nie kryje się coś takiego, czego ty ani ja pojąć nie możemy.

— Cóż znowu! Czyż istotnie jestem potworem? — zawołałam. — Czyż to niemożebne, by pan Rochester mógł szczerze przywiązać się do mnie?

— Nie, przeciwnie, jesteś bardzo miła, wyładniałaś nawet od pewnego czasu i zdaje mi się, że pan Rochester kocha cię istotnie. Widziałam to zawsze, że byłaś ulubienicą jego, i szczerze ci powiem, że względy okazywane ci przez niego, niepokoiły mnie zawsze. Miałam zamiar ostrzedz cię, ale jesteś tak wrażli-

wą, a przytem tak z gruntu skromną i uczciwą, że nieśmiałam nawet rzucić ci przed oczy cienia tego, czego się lękałam. Nie umiem ci wypowiedzieć, ile cierpiałam, gdy wczoraj obszukawszy cię wszędzie i nie znalazłszy nigdzie, zobaczyłam cię nakoniec wracającą o północy z panem Rochester.

— Ależ teraz mniejsza już o to, kiedy wszystko tak dobrze się ułożyło.

— Daj Boże, by rzeczywiście wszystko aż do końca ułożyło się dobrze. Ale wierzaj mi, strzeż się. Trzymaj pana Rochester zdaleka, bo wierzaj mi, że ludzie tacy jak on, nie mają zwyczaju żenić się z guwernantkami.

Niecierpliwiło mnie to. Na szczęście Adela wbiegła i uwolniła mnie od ostrych uwag pani Fairfax.

— Proszę pani! — zawołała wchodząc — niech mnie pani weźmie z sobą do Millcote. Pan Rochester nie chce tego, a przecież miejsca jest dosyć w nowym powozie; niech pani go prosi, by mi jechać pozwolił.

— Dobrze — odrzekłam.

Powóz stał już przed domem; przy drzwiach oczekiwał mnie pan Rochester z nieodstępnym Pilot'em.

— Adela pojedzie z nami? wszak prawda, panie? — spytałam.

— Powiedziałem jej już, że nie pojedzie. Nie chcę mieć malca przy sobie,—chcę być sam z tobą!

— Proszę pana, pozwól jej jechać!

— Nie, będzie nam zawadzać.

Wejrzenie jego i głos były stanowcze, nieśmiałam nalegać. Z drugiej strony, przestrogi i przypuszczenia pani Fairfax przeraziły mnie. Smutna wsiadałam do powozu.

— Czy naprawdę chcesz, by mała jechała z nami? — spytał pan Rochester.

— Wolałabym, by tak być mogło.

— A więc dzieciaku, biegnij po kapelusz, ale wracaj piorunem.

Pobiegła pręciutko.

— Mniejsza o tę chwilę — zawołał, — za cztery tygodnie będziesz moją, i myśli twoje, słowa, wejrzenia, wszystko to, wszystko, wyłącznie moją będzie własnością.

Adela nadbiegła, wskoczyła do powozu i rzucając mi się na szyję, gorąco zaczęła dziękować za to, że wzięłam ją ze sobą. Pan Rochester posadził ją koło siebie, a mała ogromnie zdawała się niezadowoloną ze swego sąsiada.

— Pozwól jej pan usiąść koło mnie — powiedziałam, — będzie panu zawadzać, a tu jest tyle miejsca.

Rzucił mi ją, jak psiątko małe.

— Niedługo pojedzie na pensyję—rzekł.

— Jakto? bez pani?—spytała Adela.

— Zupełnie bez pani, bo ja ją zabiorę ze sobą na księżyc; wyszukam tam jaskini otoczonej wulkanami i będę z nią tam mieszkać.

— Nie będzie miała co jeść na księżycu i gotowa tam umrzeć z głodu, panie.

— O! na księżycu jest dużo dobrych rzeczy; będzie miała wyborne śniadania i obiady...

— Ale jej będzie zimno!

— Jeżeli zziębnie, zaniosę ją na szczyt wulkanu, — posadzę nad kraterem i ogrzeje się wybornie.

— Dziękuje za taką wygodę! Zniszczy sobie i poplami suknie, a wtedy zkądże weźmie innych.

Pan Rochester udał zakłopotanie.

— Zapewne — odrzekł—Coby tu na to poradzić? pomyśl Adelo. A cobyś też powiedziała o sukni z błękitnego lub różowego obłoku— o szarfie z tęczy?

— Zawsze jej tu lepiej —odparła dziewczyna — i gdybym nią była, za nic w świecie nie pojechałabym z panem.

— Ona jednak zgodziła się na to i przyrzekła mi, że pojedzie ze mną.

— Ale ciekawam, jak ją tam pan zawieziesz

Przecież niema drogi na księżyc, a pan ani pani nie umiecie fruwać.

— Przed dwoma mniej więcej tygodniami zjawiła się przedemną czarodziejka z krainy Elfów. Przyszła na ten świat po to, by mnie uszczęśliwić i powiedziała mi wtedy, że mnie zabierze z sobą na księżyc, gdzie są cudowne kryształowe skały i srebrne doliny. A gdy spytałem jej, jak się tam dostanę, dała mi pierścionek cudowny, który przeniesie mnie, gdzie tylko zechcę. Zgodziłem się więc na jej propozycyję.

— Ale co mi tàm do czarodziejki! Ja chcę wiedzieć jak panna Janina dostanie się na księżyc?

— Panna Janina jest właśnie tą czarodziejką — odrzekł jej z powagą.

— Prawdziwy kłamcā pan jesteś i mówisz mi niestworzone rzeczy, którym ja przecież nie wierzę bynajmniej.

Spędziliśmy parę godzin w Millcote. Pan Rochester chciał mi kupić najmniej pół tuzina sukien i to w najżywszych i najjaśniejszych barwach. Po długich targach, udało mi się zredukować liczbę sześciu do dwóch, a jasny atłas i różową materyję zamienić na popielate i czarne suknie. Myśl, że będąc ubogą zupełnie, dziś już od pana Rochester przyjmować muszę wszystko,

bolała mnie; zdawało mi się, że w oczach jego widzę uczucie sułtana, obdzielającego w dniu łaski i miłości harem swój darami drogocennemi.

Przypomniałam sobie wtedy o liście, pokanym mi przez panią Reed, na jej śmiertelnem łożu, od wuja mojego, którego zamiarem było adoptować mnie i zostawić mi swój majątek. Dotąd niewiele o niego dbałam; dziś jednak, ulgą by dla mnie było ogromną wiedzieć, że nie zawsze będę ciężarem panu Rochester, nie zawsze tylko lalką za jego strojoną pieniądze.

Postanowiłam też, skoro tylko powrócę do domu, napisać do wuja. Przez drogę wciąż wyrzucałam panu Rochester zbytkowne dla mnie sprawunki. Pocałunkiem i uściskiem zamykał mi usta.

— Czego ty chcesz odemnie? — powtarzał— powiedz mi wprzód warunki swoje, bo widzę, że postawisz ich przed ślubem moc nieskończoną.

— Jedynym warunkiem moim jest, byś mnie pan darzył *jedynie* miłością swoją. Przypominam sobie co mówiłeś mi kiedyś o Celinie Varens, o zbytkach i klejnotach, jakiemi ją otaczałeś. Otóż ja nie chcę być dla ciebie Celiną. Chcę być jak dawniej nauczycielką Adeli, mieć za

pracę swoją, dach nad głową, kawałek chleba i trzydzieści funtów, za miłość moją i uczucie — serce twoje—nic więcej.

— Nie, na to się nie zgodzę — odparł. — Ale otóż i zbliżamy się do Thornfield. Czy zechcesz dziś jeść obiad zemną?

— Nie, dziękuję panu.

— Czy nie mógłbym wiedzieć, dlaczego mi odmawiasz?

— Nigdy nie jadałam razem z panem i jadać nie będę, dopokąd...

— Dopokąd co?—Lubisz nie kończyć zaczętego zdania.

— Dopokąd od tego będę się mogła uchronić...

— Czy myślisz, że jadam, jak dziki lub ludożerca i lękasz się siąść zemną do wspólnego stołu?

— Nie, tego nie myślę; ale pragnę przez miesiąc jeszcze nie zmieniać dawnego trybu życia.

— Chcesz zatem odrazu dostać się do niewoli?

— Oh nie! potem będzie to samo. Calutki dzień będę zdala od pana i jedynie wieczorem porozmawiam z tobą, jeżeli tego sobie życzyć będziesz.

— Boże mój! — zawołał z komiczną rozpaczą— nie mam nawet cygara, ani szczypty tabaki, którąby pomogła mi do zniesienia twoich niedorzeczności. Nie, pani moja, tak nie będzie. Dziś należysz do siebie, ale za miesiąc zabiorę cię na niepodzielną mą własność, przykuję do serca na łańcuszku i nosić będę na ręku, strzedz pilnie dniem i nocą, by nie utracić czasami najdroższego skarbu mego!

Mówiąc to, wysadził mnie z powozu, bo stanęliśmy właśnie przed bramą zamku.

Pobiegłam prędko do siebie.

Odtąd wieczory zawsze spędziliśmy razem. Ponieważ jednak nierada byłam długim sam na sam, starałam się go uprosić, by śpiewał jak najczęściej. Próbowałam mu akompanijować; zwykle jednak nazywał mnie małym niezgrabijaszem, odsuwał od fortepijanu i sam moje miejsce zajmował. Wtedy, tony pełne namiętnych porywów, słodyczy i czułości płynęły z jego piersi, a ja, wsłuchana w te dźwięki, marzyłam o szczęściu mojem bez miary.

Raz, po odśpiewaniu ballady jakiejś, powstał i zbliżył się do mnie. Twarz jego pałała, sokole oczy błyszczały tysiącem iskier, a każdy rys tej drogiej mi twarzy wyrażał miłość namiętną.

Nie lubiłam scen i zbyt silnych porywów

uczucia pana mego. Widząc jak bardzo był rozdrażniony, chciałam go cokolwiek otrzeźwić, sprowadzić na grunt rzeczywisty, z krainy zachwytu i uniesień. Zaczęliśmy wesołą sprzeczkę, która niemniej zniecierpliwiła go pod koniec. Wiedziałam jednak, że tym tylko sposobem mogę zachować władzę nad nim; chciałam zresztą, by przez ten miesiąc poznał mnie taką, jaką byłam wistocie. Często po takich rozmowach odchodził zły, i zniecierpliwiony; wiedziałam jednak, że ceni moją odwagę i charakter mój, że w gruncie woli takie postępowanie nad słodycz gołębia, któraby wkrótce znużyć go mogła.

Wobec obcych, postępowanie moje było zawsze jednakie —spokojne i chłodne; gdy byłam z nim sama, sprzeczałam się, drażniłam go, on gniewał się, sprzeciwiał mi się, często dochodziło do żartów i sprzeczek nieznacznych, a w chwilach powagi byłam zawsze jego szczęściem, życiem jego, jego najdroższą i ukochaną wybraną.

Pan Rochester utrzymywał, że go takie postępowanie moje męczy, i obiecywał wciąż zemścić się po ślubie. Z obietnic tych śmiałam się w duchu, a z postępowania zadowolona byłam nietylko ja sama, ale nawet pani Fairfax uspokojona już o mój los zupełnie. A jednak rola moja była trudna. Kochałam go nad wszystko,

pragnęłam go ująć, podobać mu się, a drażnić go musiałam. Był dla mnie wszystkiem na świecie—był niebem moim i Bogiem. Stanął między mną—a religiją. Miłość dla niego, nie zbliżała mnie do bóstwa, bo on sam był dla mnie bóstwem!

ROZDZIAŁ XXII.

Miesiąc oznaczony przez pana Rochester upłynął. Wszystko było przygotowane do ślubu. Kufry moje i pakunki stały gotowe do drogi, i nazajutrz miały jechać do Londynu ze mną, a raczej z Janiną Rochester, której nie znałam jeszcze. Należało tylko położyć na nich adresy...

Pan mój w wilię dnia tego, przygotował kartki z napisami: „Pani Janina Rochester—Londyn, hotel N." Ja jednak nie miałam odwagi przylepić ich do kufrów.

Zdawało mi się dotąd rzeczą niepodobną, by ta dawna Janina Eyre z Lowood, w szarej swej sukni i kapeluszu kwakierki, mogła w ciągu jednego dnia przeistoczyć się w małżonkę Fairfax'a Rochester, panią na Thornfieldzie!

A jednak, ślubna suknia, przejrzysty welon były tuż przedemną. Przymknęłam oczy, aby nie widzieć tych jasnych tkanin, które dziwne w sercu mojem budziły uczucie. Byłam rozgorączkowana, — postanowiłam wyjść, by się orzeźwić, pomimo, że wiatr ostry szumiał pomiędzy drzew konarami.

Do wzburzenia mego przyczyniły się nietylko przygotowania do podróży i myśl o niedalekiej zmianie losu. Byłam wylęknięta, przestraszona, bo w nocy zaszedł w pokoju moim wypadek, którego sobie żadną miarą wytłomaczyć nie mogłam i o którem ja tylko wiedziałam. Dnia tego pana Rochester nie było w domu. Wyjechał onno na dni parę do dóbr swoich, o trzydzieści mil angielskich oddalonych od Thornfield, by tam załatwić interesy, przed wyjazdem z Anglii. Wyszłam naprzeciw niego, by uspokoić się, w nadziei, że on może potrafi mi rozjaśnić ciemną dla mnie zagadkę.—Czytelniku, poczekaj cierpliwie, usłyszysz o co chodziło, gdy jemu zwierzać się będę.

Szłam przez sad, by uchronić się od gwałtowności wichru, który szalał z wściekłością. Z dziką rozkoszą biegłam pod wiatr; chciałam, by wycie jego zagłuszyło myśli, które mózg mi rozsadzały. Przeszłam laurową aleję i zatrzymałam się przed pamiętnym mi kasztanem indyjskim.

Poczerniały był i zwiędnięty, zdruzgotany piorunem. Przykre zrobił na mnie wrażenie. Wiatr wył żałośnie; uciekłam coprędzej w inną stronę sadu. Przez czas jakiś chodziłam jeszcze po trawniku zbierając jabłka, otrząsane przez wiatr, nareszcie powróciłam do biblijoteki i kazałam rozpalić ogień na kominku, bo wiedziałam, że pan Rochester rad mu będzie nawet w lecie; przysunęłam do ognia fotel jego, stół, i postawiłam na nim świecę. Na wielkim zegarze wybiła w tej chwili dziesiąta.

— Jakże już późno! — pomyślałam. — Pójdę naprzeciw niego, może doczekam się prędzej. Wyjrzałam na drogę—pusto było na niej zupełnie. Zdala nawet, żaden tentent nie dochodził do uszów.

W oku zabłysła mi łza, łza niecierpliwości i gniewu; zawstydzona, otarłam ją co rychlej. Robiło się coraz ciemniej, a nikogo nie było widać na drodze.

— Oh! jakże bym rada, by raz już przyjechał— myślałam;—miał przybyć na herbatę, noc zaszła a dotąd go nie widać. Dlaczego się spóźnił? Czy tylko nie spotkał go jaki przypadek?

I znów zdarzenie zeszłej nocy stanęło mi w myśli; zdało mi się być wróżbą nieszczęścia. Byłam pewna, że nadzieje moje zbyt są

piękne, by urzeczywistnić się mogły. Byłam ostatniemi czasy tak bardzo szczęśliwą, że lękałam się, czy nie dosięgłam szczytu, czy po za nim rozczarowanie się nie zacznie.

— Nie, nie wrócę do domu. Nie usiedziałabym spokojnie przed ogniem w chwili, gdy wiem, że on jest narażony na taką straszną niepogodę. Wolę zmęczyć się i znużyć fizycznie; może sercu lżej wtedy będzie—i myśląc tak, pobiegłam naprzód.

Niedługo usłyszałam odgłos kopyt konia i wkrótce oczom moim ukazał się jeździec, a obok niego pies. Przeczucia i troski pierzchły w jednej chwili. Wiedziałam, że to on jedzie! Dostrzegł mnie, bo właśnie w tej chwili księżyc ukazał się z po za chmur. Radośnie zaczął powiewać ku mnie kapeluszem. Pobiegłam ku niemu.

— Ah! — zawołał, wyciągając do mnie rękę i pochylając się nademną, — nie możesz żyć bezemnie, to jasne; włóż nogę w strzemię, podaj mi obie ręce i siadaj zemną.

Posłuchałam go. Radość dodała mi sił i zręczności: usiadłam przed nim na koniu.

— Co się stało — zapytał — że przychodzisz o tej godzinie. Czy masz może jaką złą dla mnie wiadomość?

— Nie, ale zdawało mi się, że nigdy już nie

przyjedziesz; nie mogłam dłużej czekać cierpliwie.

— Ależ jesteś przemoczona cała, Janino! Otul się moim płaszczem. Co ci jest jednak? Jesteś cała wzburzona, ręce i twarz masz gorące jak ogień.

— Nie, panie, teraz już nic mi nie jest, nie jestem już ani smutną, ani przestraszoną.

— A więc byłaś nią przedtem?

— Cokolwiek.— Opowiem to panu jutro, choć pewna jestem, że się ze mnie śmiać będziesz.

— Tak, jutro śmiać się będę — dziś jeszcze nie mogę? Nie jestem wstanie oswoić się z tą myślą, że cię mam w swojem posiadaniu. Od miesiąca byłaś niepochwytną jak cień, ostrą i kolącą dla mnie jak cierń, — dziś jesteś słodką i łagodną jak owieczka, która odbiegła od stada, by iść za swoim pasterzem.

— Potrzebowałam cię widzieć; ale nie pochlebiaj sobie zbyt wcześnie.

Przyjechaliśmy do domu — zsiedliśmy z konia, którego John wprowadził do stajni. Pobiegłam się przebrać, a w pięć minut potem byłam już z nim w sali.

— Siadaj, najdroższa! — zawołał. — Jutro o tym czasie będziesz już zdala od Thornfieldu...

Usiadłam koło niego, ale jeść nic nie mogłam.

— Myśl o jutrzejszej podróży, odejmuje ci apetyt, Janino?

— Nietylko, panie. Myśli moje dziwne są dzisiaj, zdaje mi się, że wszystko co się koło mnie znajduje, co dzieje się zemną, jest snem tylko.

— Wyjąwszy mnie wszakże, bo jestem przecież przy tobie.

— Pan właśnie więcej niż cokolwiekbądź innego wydajesz mi się widmem.

Ręką zasłonił mi oczy.

— A to czy także jest widmem? — zapytał.

— Tak, pomimo, że ręki tej dotykam i ona snem mi się wydaje. Czy skończyłeś pan już kolacyję?

Skończyłem.

Zadzwoniłam i kazałam sprzątnąć nakrycie. Gdy zostaliśmy sami, rozniecilam ogień i usiadłam na małym stołeczku u stóp mego pana.

— Północ dochodzi — rzekłam.

— Tak, ale pamiętaj, że obiecałać czuwać ze mną całą noc poprzedzającą dzień mego ślubu.

— I obietnicy tej dotrzymam, przynajmniej przez jedną jeszcze lub dwie godziny. Nie jestem śpiąca...

— Czy jesteś gotowa do drogi?

— Zupełnie.

— Ja także wszystko już załatwiłem. Jutro więc w pół godziny po ślubie wyjeżdżamy.

— Dobrze panie.

— Dziwnie uśmiechnęłaś się wymawiając te słowa. Ale policzki twoje pałają, a oczy się iskrzą. Czy tylko zdrowa jesteś zupełnie?

— Zdaje mi się, że tak jest.

— Zdaje ci się? Ależ na miłość Boga, powiedz mi raz co się tu stało? Co ci jest Janino?

— Nie mogę, panie. Nie potrafiłabym żadnemi słowami opisać, czego doznaję w tej chwili. Pragnęłabym, by ta chwila przedłużyła się w wieczność. Nie możemy wiedzieć co nam jutro przyniesie.

— Jesteś wzburzona, zmęczona i rozdrażniona.

— A pan, czy też jesteś spokojny i szczęśliwy?

— Spokojny — nie, ale szczęśliwy zupełnie.

Spojrzałam na niego. Twarz jego wyrażała najwyższy zachwyt.

— Zaufaj mi, Janino, i powiedz szczerze co

ci dolega? Czy lękasz się, że nie będę dość dobrym mężem?

— Nigdy myśl podobna nie przeszła mi przez głowę.

— Czy lękasz się świata, którego nie znasz; życia, które otwiera się przed tobą?

— Nie!

— Drażnisz mnie i niepokoisz. W oczach twoich i twarzy widzę trwogę, której sam się lękam. Musisz mi powiedzieć co ci jest dziewczyno.

— A więc posłuchaj mnie pan. Zeszłej nocy nie było cię w domu.

— Mów prędzej. Jest to zapewne dziecińdztwo jakie, ale pragnę wiedzieć co tu się stało. Czy czasem pani Fairfax, lub kto ze służących nie powiedział ci czego, coby mogło obrazić cię ub zasmucić?

— Nie, panie.

Północ biła. Czekałam aż przebrzmią ostatnie dźwięki zegara. Po chwili zaczęłam:

— Przez cały dzień wczorajszy byłam bardzo zajęta, ale i bardzo wesoła, wśród pracy, bo nie lękam się bynajmniej nowego mego życia. Przeciwnie, szczęśliwą się czuję na myśl, że zawsze żyć będę z tobą, bo kocham cię prawdziwie.

Przyciągnął mnie do siebie.

— Nie, panie, nie pieść mnie teraz, pozwól mi mówić bez przerwy — ciągnęłam dalej. — Wczoraj wierzyłam w szczęście nasze—w opiekę Boga nad nami. Powietrze było widocznie piękne, byłam więc i o ciebie spokojną. Wieczorem przechadzałam się, myśląc o tobie, a byłeś tak bardzo przytomny mej wyobraźni, że nie czułam prawie rozłączenia naszego. Myślałam o życiu naszem wspólnem i pytałam, dlaczego filozofowie smutnem nazywają życie? Dla mnie było ono najcudniejszem w tej chwili poematem. Zofija zawołała mnie, bym zobaczyła suknię ślubną, która nadeszła w tej chwili. Na dnie pudła znalazłam welon, dar twój, książęcy prawdziwie. Pomyślałam sobie wtedy, że jesteś uparty, że choć dotrzymujesz mi obietnicy i nie sprowadzasz dla mnie klejnotów, potrafisz jednak zastąpić je równie wspaniałym, równie drogocennym darem. Uśmiechałam się rozwijając delikatną koronkę. Zawczasu cieszyłam się myślą, jak dokuczać ci będę za twoje arystokratyczne zachcianki, i za usiłowanie pokrycia plebejuszowskiego pochodzenia twej narzeczonej strojami, właściwemi dla córki para. Chciałam cię podrażnić i nastraszyć, że do ślubu włożę skromny iluzyjowy welon, który własną zahaftowałam ręką, jako strój jedynie właściwy dla ubogiej dziewczyny, która w posagu nie przynosi mężowi ani złota, ani urody, ani stosunków

wysokich. Widziałam już twoje wejrzenie i słyszniałam wyrazy, któremi byłbyś mnie przekonać pragnął. Wiedziałam, że powiesz mi: złota mam dosyć, stoję wysoko, serca mi trzeba a ty dasz m go dosyć niezawodnie.

— Jak ty czytasz we mnie czarodziejko! — jak mnie znasz wybornie! Ale ostatecznie powiedzże, co w owym welonie znalazłaś —sztylet, czy truciznę? —bo wejrzenie twoje jest dziwnie ponure.

— Znalazłam w nim jedynie dumę Rochestrów. Szatanek to jednak z którym znam się oddawna i, którego się już nie lękam dzisiaj. Wieczór się zbliżał, a z nim pogoda zmieniła się, wiatr wył żałośnie i ponuro. Zatęskniłam do ciebie. Przyszłam tutaj — widok pustego fotelu i wygaśniętego ogniska dreszczem mnie przejął. Położyłam się, ale usnąć nie mogłam. Byłam wzruszona troską, obawą z której zdać sprawy sobie nie mogłam. W szumie wiatru, słyszałam ludzkie jakieś, a raczej szatańskie głosy, nie mogłam pomiarkować się, czy one pochodziły z zewnątrz, czy też rozlegały się w domu, nakoniec, wyperswadowałam sobie, że musi to być poprostu wycie psów na wsi. Gdy nakoniec dźwięki te ucichły, uspokoiłam się. Usnęłam, ale i we śnie nie znalazłam spoczynku Zdawało mi się ciągle, że nas rozłączają, że mię-

dzy tobą a mną, wznoszą się przegrody niepodobne do zwalczenia. Przez sen błądziłam wśród nieznanej mi drogi, deszcz ulewny przemoczył mi odzienie, drżałam jak w febrze. Na ręku niosłam maleńkie dziecię, drżące też i lodowato zimne. Pan szedłeś naprzód, a ja napróżno dogonić cię chciałam, nie mogłam zawołać, prosić cię, byś poczekał na mnie, a przedział między nami stawał się coraz to większy, coraz to trudniejszy do przebycia.

— I sny te dziś jeszcze męczą cię, dzieciaku nerwowy; nie możesz otrząsnąć się z nich. Zapomnij urojonych strachów, a myśl jedynie o rzeczywistości szczęśliwej. W słowach twych, w oczach nawet, widzę coraz to nowe twej miłości dowody. Kochasz mnie i cieszysz się nadzieją wspólnego ze mną życia. Kochasz mnie! powtórz mi to raz jeszcze, najdroższa.

— O tak, panie, kocham cię całą serca potęgą.

— Ale to dziwne, jak i dla mnie przykrym jest sen twój. Winien tu sposób, w jaki mi go opowiadasz, w głosie twoim jest tyle uroczystej powagi, tyle głębokiego smutku; w wejrzeniu tyle wiary, tyle do mnie ufności; w całej postaci coś tak wzniosłego i anielskiego zarazem, iż zdawało mi się, że widzę przed sobą anioła, że z duchem jakimś przeczystym przebywam.

Janino, spojrzyj na mnie tak, jak patrzysz najczęściej, podrażnij mnie, sprobuj mi dokuczyć, rozgniewaj mnie, ale nie wzruszaj tak głęboko, nie smuć!

— Będę ci dokuczać, gdy skończę opowieść moją, teraz, proszę, nie przerywaj mi.

— Myślałem, że to już wszystko, że smutku twego, sen tylko przyczyną.

Wzruszyłam głową.

— Jakto! — zawołał — więc jeszcze coś nowego. Ale to nie musi być nic ważnego? Mów dalej.

Był niespokojny, niecierpliwie czekał słów dalszych. Zachowanie się jego dziwnem mi się wydało.

— Miałam jeszcze inny sen, panie: Thornfield było ruiną zupełną, zamieszkałą przez sowy i nietoperze. Z całego frontonu pozostała tylko jedna ściana, wysoka, wązka, grożąca co chwila zawaleniem. Wśród ruin bujna porosła trawa. Stąpałam po niej, zawadzając co chwila o odłam marmuru, o kamień, lub głaz. Owinięta chustką, ciągle z dziecięciem na ręku, napróżno szukałam schronienia i miejsca, w którem bym je złożyć mogła. Byłam zmęczona, ręce mi omdlewały, mimo to, musiałam iść wciąż przed siebie z ciężarem na ręku. Usłyszałam tentent konia. Wiedziałam, że to ty jedziesz, a

jedziesz w odległe, nieznane mi kraje. Wdrapałam się na mur z gorączkowym wysiłkiem i pośpiechem, by cię po raz ostatni zobaczyć. Kamienie z pod nóg zaczęły mi się usuwać, chwyciłam się ręką bluszczu, gałęzie rwać się poczęły, dziecko chwyciło mnie za szyję i konwulsyjnym ruchem poczęło mnie ściskać. Czułam, że mię dusi. Mimo to, wdrapałam się na szczyt muru. Ty, mignąłeś mi jak punkt ciemny wśród jasnej drogi, niknąłeś mi z oczów — niknąłeś— a wiatr szalał nademną, spychał mnie z muru w przepaść. Usiadłam tuląc do siebie dziecię; pochyliłam się raz jeszcze, by cię zobaczyć, mur usunął mi się z pod nóg, upadłam w przepaść i... obudziłam się.

— I to już wszystko?

— To cały wstęp, panie, teraz zaczynam rzecz samą. —Obudziłam się. Promień światła zamigotał mi w oczach.— „Dnieje już" —pomyślałam.— Omyliłam się jednak, był to płomień świecy. Myślałam, że Zofija weszła do pokoju. Świeca stała na tualecie, a drzwi do gabineciku, w którym wisiała ślubna suknia i welon, były otwarte. Usłyszałam tam szelest i zawołałam: „Zofijo! co tam robisz?" nikt mi nie odpowiedział, ale ktoś wszedł do pokoju, zabrał świecę i przyglądał się sukni mojej. „Zofijo! Zofijo! — wołałam znów — tym razem z trwogą

już i obawą. Milczenie jedyną było mi odpowiedzią. Podniosłam się na łóżku, by módz lepiej widzieć i, przerażenie najwyższe ogarnęło całą moją istotę. Panie Rochester— przedemną stała nie Zofija, nie pani Fairfax, nie Liwija, nawet nie straszna a zagadkowa dla mnie Gracyja Poole...

— A jednak—przerwał mi pan Rochester— musiała to być jedna z nich.

— Nie, panie, zaręczam ci, że nie. Nigdy w obrębie zamku Thornfield nie widziałam przedtem tej, która stała przedemną. Postać jej cała obca mi była zupełnie.

— Powiedz mi, jak wyglądała, Janino.

— Wysoka była i tęga, grube i czarne włosy spływały jej na ramiona. Nie umiałabym opisać ci jej ubrania; proste było i białe zupełnie, nie wiem jednak, czy to była suknia—okrycie, czy całun...

— Czy widziałaś jej twarz?

— W pierwszej chwili nie. Wkrótce jednak zdjęła z wieszadła mój welon, podniosła go do góry, długo mu się przyglądała, zarzuciła go w końcu na głowę i stanęła przed tualetą. Wtedy w zwierciadle ujrzałam odbicie jej twarzy.

— Jak wyglądała?

— Wydała mi się straszną! Oh panie! nigdy, nigdy w życiu nie zapomnę tego widoku: twarz to była dzika i zwiędnięta, oczy jej wysadzone, błędnie toczyły się w swej oprawie, cała zdawała się być nabrzmiała i sina.

— Widma jednak bywają zwykle blade, Janino!

— Oh! to widmo było purpurowo czerwone, wargi miało czarne i spuchnięte, czoło porane zmarszczkami, czarne brwi wysoko po nad oczyma zarysowane, a białka czerwone jak krew. Czy wiesz, czego wrażenie widmo to zrobiło na mnie?

— Czego?

— Tego, co nazywają upiorem.

— Cóż dalej robiła?

— Zerwała z głowy welon, rozdarła go na dwoje, rzuciła na ziemię i podeptała nogami...

— A potem?

— Potem, podniosła firanki i wyjrzała na dwór. Świtało już. Chwyciła za świecę, skierowała się ku drzwiom—ale nagle—przed łóżkiem mojem zatrzymała się — rzuciła na mnie piorunujące wejrzenie, przysunęła świecę tuż do twarzy mojej i zgasiła ją. Czułam, że pochyla się nademną... czułam gorące jej tchnienie na twarzy. Zemdlałam—po raz drugi w życiu—z prze-

strachu i, odtąd nie wiem co działo się ze mną.

— Kto był z tobą w pokoju, gdy przyszłaś do siebie?

— Nikt panie; widno już było, wstałam więc, umyłam się, wypiłam szklankę wody, czułam się osłabioną bardzo, ale zdrową zupełnie. Po namyśle postanowiłam o całej tej sprawie nie mówić nikomu, oprócz ciebie. A teraz powiedz mi, kim była ta kobieta?

— Postacią stworzoną w umyśle twoim przez gorączkę najprędzej. Muszę cię bardzo strzedz skarbie jedyny, bo nerwy takie jak twoje ogromnej wymagają troskliwości.

— Nerwy moje nie mają nic wspólnego z całą tą historyją; widzenie było rzeczywistością i wszystko, co ci opowiedziałam, istotnie miało miejsce.

— A sny twoje, czy także prawdą były? Czy zamek Thornfield jest ruiną pustą? Czy dzielą nas zapory nieprzebyte? Czy odjeżdżam od ciebie bez słowa dobrego, bez łzy? bez uścisku?

— Dotąd jeszcze nie.

— A czy mam zamiar to zrobić? Dzień który ma nas połączyć, zaczął się już, a potem, ręczę ci, wolna już będziesz od snów takich i przywidzeń.

— Od snów! od przywidzeń! Oh! jakżeż gorąco pragnęłabym, by to sny tylko były, teraz zwłaszcza, gdy pan nawet nie możesz mi wytłomaczyć co to być mogło.

— Najlepszy dowód, że to przywidzenie tylko.

— Dziś rano powiedziałam sobie to samo. Wkrótce jednak przekonałam się dowodnie, że nie śniłam. Welon mój rozdarty i zmięty leżał na ziemi.

Pan Rochester zadrżał i przycisnął mnie silnie do piersi.

— Bogu niech będą dzięki — zawołał — że duch ten złowrogi welonu tylko się dotknął. Oh! gdy pomyślę, co się stać było mogło...

Drżał, a tulił mnie do siebie tak silnie, że ledwo oddychać mogłam. Po chwili jednak dodał wesoło:

— A teraz, Janino, wytłomaczę ci co było. W pokoju twoim był ktoś, ale niezawodnie nikt inny—tylko Gracyja Poole. Nazwałaś ją dziwną istotą i taką też jest ona wistocie. Przypominasz sobie, co zrobiła mnie i Masonowi? Widziałaś więc, że wchodzi do pokoju twego, widziałaś co robi, ale wyobraźnia twoja podrażniona już poprzedniemi snami, przedstawiła ci ją nie taką, jaką jest w istocie—ale inną. Biała szata, wzrost wysoki, gęste czarne kędziory—to wszystko ima-

ginacyja. Podarty welon jest prawdą i dowodzi czynu, którego się po Gracyi można było spodziewać. Spytasz zapewne, dlaczego ją trzymam? Odpowiem ci na to, gdy upłynie rok i dzień po ślubie naszym,—wcześniej nie. Czy wierzysz mi teraz i spokojną jesteś?

Po chwili namysłu uznałam, że w istocie inaczej być nie mogło. Nie zupełnie byłam uspokojona, ale dla zadowolenia pana Rochester pragnęłam się nią wydać. Bądź co bądź, po tem zwierzeniu doznałam ulgi ogromnej. Uśmiechnęłam się wesoło i, ponieważ już było dawno po pierwszej, zabierałam się do wyjścia.

— Czy Zofija sypia z Adelą w dziecinnym pokoju?— spytał mnie pan Rochester.

— Tak, panie.

— Prześpij się dziś z Adelą — prosił,—wrażenia zeszłej nocy rozdrażniły cię; wolałbym, byś nie była samą tej nocy. Obiecaj mi, że zrobisz to, o co cię proszę.

— Z największą ochotą—odrzekłam.

— Zamknij drzwi starannie i zapowiedz Zofii, by cię jutro wcześnie obudziła, bo na ósmą musisz być już ubrana i po śniadaniu. A teraz odegnaj od siebie smutne myśli i przeczucia. Bądź spokojną. Patrz, nawet wiatr ustał i niebo wypogodziło się pysznie.

Rzeczywiście, deszcz przestał padać, a po niebie lekkie płynęły chmurki.

— Jak czujesz się teraz, Janino? — spytał mnie pan Rochester.

— Noc jest spokojna i ja również spokojną jestem.

— I tej nocy nie będziesz już śnić o troskach i rozłące, ale widzieć przed sobą będziesz miłość najsłodszą, szczęście prawdziwe.

Przepowiednia jego w połowie się tylko spełniła. Nie miałam snów strasznych, ale i szczęścia obrazów nie śniłam, bo przez całą noc oka zmrużyć nie mogłam; dziwne uczucia wstrząsały mą duszą, uczucia miłości namiętnej, obawy i trwogi zarazem. Jak tylko pierwszy brzask dnia zaświtał, zerwałam się. Adela przez sen przytuliła się do mnie. Ucałowałam ją i uwalniając się od jej uścisku, dziwnem przejęta uczuciem, rozpłakałam się. Uciekłam, by nie obudzić jej łkaniem. Dziecię to uśpione, spokojne, wydało mi się symbolem mego życia przeszłego. Przedemną otwierało się nowe, którego pragnęłam gorąco, które jednak trwogą przejmowało mi serce.

ROZDZIAŁ XXIII.

O siódmej Zofija przyszła mnie ubierać. Tym razem tualeta moja trwała długo, tak długo, że pan Rochester zniecierpliwiony zwłoką, przysłał zapytać mnie, dlaczego się spóźniam. Zofija upinała mi właśnie welon, skromny mój iluzyjowy welon. Wyrwałam się jej z rąk i chciałam zbiedz na dół.

— Wstrzymaj się pani — zawołała — nie przejrzałaś się jeszcze w lustrze!

Wróciłam się i w zwierciedle ujrzałam postać zasłoniętą wualem, tak do mnie niepodobną, że zdawała mi się obcą zupełnie osobą.

— Janino! — zawołał pan Rochester.

Zeszłam też natychmiast.

— Mała guzdrało — zawołał — ja umieram

z niecierpliwości, głowa mi płonie, a ty marudzisz tak długo!

Wprowadził mnie do sali jadalnej i przyglądał mi się uważnie. Zadecydował, że jestem piękna jak lilija, że nietylko serce jego, ale oczy zachwycają się mną i t. d. Na zjedzenie śniadania zostawił mi dwie minuty czasu. Zadzwonił. Świeżo przyjęty kamerdyner stawił się na zawołanie.

— Czy Jan ma powóz gotowy?

— Tak, panie.

— Czy rzeczy upakowane?

— Właśnie przywiązują walizy.

— Idź do kaplicy i zobacz, czy pan Wood (pastor) jest gotów.

Kościół był wprost domu, o parę kroków; to też służący powrócił natychmiast.

— Pan Wood jest w zakrystyi. Ubiera się.

— A powóz?

— Już zaprzężony.

— Do kościoła pójdziemy piechotą; niech jednak stoi przed domem, gdy wrócimy.

— Dobrze, panie.

— Janino! czy jesteś gotowa?

Wstałam. Nie było druchen, ani drużbów, krewnych, ni weselnej drużyny. Słowem nikogo, prócz mnie i pana Rochester. Gdy przecho-

dziliśmy przez biblijotekę, pani Fairfax stała we drzwiach. Byłabym chętnie zwróciła się do niej po dobre słowo, ale pan Rochester trzymał mnie tak silnie i ciągnął tak gwałtownie za sobą, że zatrzymać się nie mogłam.

Dość było spojrzeć na niego, by zrozumieć, że nie zniesie chwili zwłoki. Dziwna w tej chwili przyszła mi myśl do głowy. Spytałam sama siebie, czy kiedykolwiek narzeczony miał na twarzy taki wyraz silnej woli, takie postanowienie dopięcia za jaką bądź cenę celu swego, czy któregokolwiek z nich oczy świeciły takim blaskiem, czoło taką promieniało radością?

Czy dzień ten był pogodny lub pochmurny?... nie wiem. Idąc do kościoła nie patrzyłam ani na niebo, ani też w ziemię. Patrzyłam w pana mego, a w oczach moich łatwo było wyczytać to, co się w sercu i duszy mej działo. On — wyglądał jak człowiek, przed oczyma którego stoi widmo, jak człowiek walczący z myślą własną, z siłą jakąś potężną choć niewidzialną.

Pod bramą smętarną zatrzymał się i wtedy dopiero spostrzegł, że jestem zmęczona, bez tchu prawie.

— Oh! jestem okrutny w miłości mojej — zawołał — odpocznij chwilę, oprzyj się na mnie.

Dziś jeszcze widzę przed sobą świątynię starą, z poczerniałemi jej murami, cichą i spokojną; koło dzwonnicy latało ptactwo, unosząc się nad omszonemi grobowcami Rochestrów. Dwóch nieznajomych chodziło wśród grobów — odczytywali oni na wpół zatarte latami napisy. Pan Rochester nie zauważył ich, ja zaś byłam pewna, że chcą być obecnemi uroczystości, przez ciekawość.

Po krótkim odpoczynku weszliśmy do kościoła, ksiądz stał przed ołtarzem, obok niego organista. Wszystko zresztą było ciche i spokojne, tylko w głębi świątyni dojrzałam dwóch nięznajomych, tych samych, którzy poprzednio stali na smętarzu. Twarzy ich dojrzeć nie mogłam, bo stali obróceni od nas i na pół ukryci za marmurem grobowca.

Uklękliśmy przed ołtarzem — za sobą usłyszałam lekkie kroki — obróciłam się i ujrzałam jednego z nieznajomych. Ceremonija się zaczęła. Po modlitwie poprzedzającej ślub, ksiądz przystąpił do nas i pochylając się nad panem Rochester, zapytał:

— „Wzywam wąs oboje i zaklinam, byście zeznali tak, jak zeznacie to na sądzie ostatecznym, gdy wszystkie tajniki serc waszych będą odkryte, czy nie znacie jakiej przeszkody do zawarcia prawnego małżeństwa między wami; i jeżeli ją znacie, byście ją tu wyznali, gdyż wszyscy ci,

którzy nie są połączeni wedle praw i przepisów kościoła, nie są z sobą połączeni zupełnie, a małżeństwo ich jest nieprawe".

Wstrzymał się chwilę — oczekując zeznań. Milczenie to jednak rzadko kiedy przerywane bywa; to też kapłan po krótkiej pauzie, nie odrywając oczów od książki, wyciągnął rękę ku panu Rochester i chciał go zapytać:

— „Czy masz wolną i nieprzymuszoną wolę pojąć tę oto dziewicę za małżonkę?"

Gdy w kościele rozległ się czysty i donośny głos:

— Małżeństwo nie może mieć miejsca. Jest prawna przeszkoda!

Ksiądz i organista spojrzeli na mówiącego.

Pan Rochester zadrżał, ale po chwili spokojnie się odezwał:

— Panie Wood, proszę kończyć.

Po tych słowach, wymówionych stanowczym choć cichym głosem, w świątyni grobowe zaległo milczenie.

— Nie mogę kończyć — odparł duchowny — przed rozjaśnieniem tego, co tu powiedzianem zostało. Potrzeba, by prawda lub fałsz zeznania wyszły na jaw.

— Ceremonija nie może być skończona — odezwał się za nami tenże sam głos — gdyż mogę dowieść tego, co powiedziałem przed chwilą i, co

powtarzam obecnie, że istnieje ważna i nieprzezwyciężona przeszkoda.

Pan Rochester słuchał, ale zdawał się słów tych nie słyszeć. Stał nieruchomy, obojętny, chłodny i milczący. Jednym tylko ruchem chwycił mnie za rękę, a uścisk jego dziwnie był silny i gorący. Czoło jego dumne, blade i wyniosłe, zdawało się z marmuru rzeźbione; oczy jego dzikim, szatańskim błyszczały ogniem.

Pan Wood zdawał się być zmięszany.

— I jakaż to jest przeszkoda? — zapytał — da się ona prawdopodobnie usunąć? Mów pan!

— Trudno to będzie uczynić, bo powtarzam przeszkoda jest nieprzezwyciężoną, a nie mówię na ślepo.

Mówiący te słowa przysunął się, oparł o kratki prezbiteryjum i głosem spokojnym, chłodnym, pewnym siebie choć cichym, ciągnął:

— Przeszkodą jest tu poprostu pierwsze małżeństwo pana Rochester i żona jego, która żyje dotąd.

Te cicho wymówione wyrazy wywarły na mnie wrażenie straszne. Zdawało mi się, że piorun uderzył we mnie, w gmach szczęścia życia mego. Zapanowałam jednak nad sobą i czułam, że nie upadnę bez zmysłów, — nie zemdleję. Spojrzałam na pana Rochester i zmusiłam go,

by również spojrzał mi w oczy. Był blady jak ściana, oczy tylko rzucały błyskawice. Nie przeczył, ale zdawał się nie wierzyć. Objął mnie wpół i przytulił do siebie, milczący, surowy, ponury.

— Kto jesteś? — spytał nieznajomego.

— Nazywam się Briggs, jestem prokuratorem, mieszkam przy ulicy N. w Londynie.

— I oskarżasz mnie o to, że mam żonę?

— Tak, panie, i przybyłem tu po to, by ci przypomnieć kobietę, którą prawo za twoją uważa żonę, jakkolwiek ty jej się wypierasz?

— Powiedz mi co o niej? jej nazwisko, imię, miejsce zamieszkania.

— Natychmiast.

Pan Briggs najspokojniej wyciągnął z kieszeni papier jakiś i tonem urzędowym przeczytał co następuje:

„Oświadczam niniejszem i dowieść się podejmuję, że przed laty pietnastu, dnia 20 listopada, Edward Fairfax Rochester, właściciel zamku Thornfield i Ferndean, z hrabstwa N., zawarł związki małżeńskie z siostrą moją, Bertą Antoniną Mason, córką Jonasza i Antoniny Masonów, w mieście N. na Jamajce. Akt ślubu znajduje się w miejscowym kościele, wyciąg zaś z niego mam przy sobie.

(podpisano) Ryszard Mason".

— Ten papier zatem dowodzi, że byłem żo-

naty, ale gdzie dowód, że żona moja żyje dotąd?

— Żyła przed trzema jeszcze miesiącami, mam na to świadka, któremu pan prawdopodobnie nie zaprzeczysz.

— Przedstaw go zatem, lub idź do dyjabła.

— Natychmiast panie. Panie Mason!—zawołał — proszę się przysunąć.

Na dźwięk tych słów, pan Rochester zacisnął zęby i konwulsyjne drżenie owładnęło nim. Byłam tak blizko, że czułam jak drżał z oburzenia, czy rozpaczy. Z głębi świątyni wysunęła się blada postać i Mason stanął przed nami. Pan Rochester spojrzał na niego. Czarne jego oczy rzucały płomienie krwawe. Zdawało się, że ogień, co płonął mu w sercu—rzuca odblask na twarz jego i czoło. Podniósł rękę i zamierzył się na Masona. Jedno uderzenie tej silnej prawicy, mogło było trupem położyć; to też cofnął się przerażony z okrzykiem trwogi. Pogarda wzięła górę nad gniewem pana mojego, wściekłość jego zamieniła się we wzgardę. Zapytał więc tylko:

— Co masz do powiedzenia?

Niezrozumiały szept wyszedł z sinych warg Masona.

— Czyż u dyjabła nie potrafisz mówić wyraźnie! — zawołał pan Rochester.

— Panie, panie — odezwał się kapłan— nie zapominaj, że jesteś w świątyni Boga, — a potem zwracając się do Masona, spytał go łagodnie:

— Możesz nam pan powiedzieć, czy żona pana Rochester żyje jeszcze?

— Odwagi! — dodał prokurator — odwagi!...

— Żyje i mieszka w zamku Thornfield — odezwał się nieśmiało Mason.— Jestem jej bratem i widziałem ją w kwietniu jeszcze.

— Gdzie? w zamku Thornfield?...— zawołał zdumiony kapłan. — To jest niemożebne panie. Od lat tylu tu mieszkam, a nigdy nie słyszałem o żadnej pani Rochester w zamku Thornfield.

Uśmiech goryczy przemknął po ustach pana Rochester.

— Nie słyszałeś pan — powtórzył — nie słyszałeś, bo też i ja postarałem się o to, by nikomu ona znaną nie była, pod własnem przynajmniej nazwiskiem.

Zatrzymał się i przez jakie dziesięć minut milczał. Zdawało się, że walczył z sobą i wahał się, czy ma mówić dalej. Nareszcie zapanowawszy nad wzruszeniem dodał:

— Dość tego! Prawda zatem musi wyjść na jaw. Wood! rozbierz się z szat pontyfikalnych—

odejdź. Małżeństwo nie będzie miało dziś miejsca.

Organista usunął się.

— Wyraz „dwużeństwo" dziko brzmi w uszach waszych! — zawołał gorąco — a jednak, ja chciałem dwużeństwo popełnić; ale los mi nie sprzyjał, a raczej Opatrzność stanęła w poprzek zamiarom moim. W tej chwili, w oczach wazych szatanem jestem! wiem o tem, a ty księże skazujesz mnie zapewne na wieczyste męki piekielne. A jednak, teraz jeszcze powtarzam, nie popełnię dwużeństwa, dlatego, że prawo i ten oto człowiek nie pozwolą uczynić mi tego. Tak jest, jestem żonaty i żona moja żyje dotąd. Powiadasz pan, pastorze, że nie słyszałeś nigdy o pani Rochester; ale doszły cię zapewne wieści o o tajemniczej waryjatce, ukrywanej starannie w zamku Thornfield. Jedni utrzymywali, że jest ona siostrą moją nieprawą; inni, że to dawna moja kochanka! Nie, kobieta ta była moją żoną, z którą wziąłem ślub przed piętnastu laty, dawną Bertą Mason, siostrą tego dzielnego człowieka, który tam stoi blady i drżący. Nie lękaj się Diku, bądź spokojny, od dziś nie tknie cię ręka moja, nie tknie cię, bo nie jesteś mężczyzną, a ja słabych i kobiet nie uciskam nigdy. Berta jest waryjatką, bo w rodzinie jej wszyscy są idyjotami lub waryjatami. Matka jej była szalona i pijaczka. Dowiedziałem się o tem po

ślubie, bo przedtem tajemnice rodzinne utrzymywano przedemną w sekrecie. Berta, jako posłuszna córka, wstąpiła w ślad swej matki pod każdym względem. Oh! miałem śliczną oblubienicę! czystą, anielską, rozumną i skromną! Osądzicie wkrótce jak bardzo byłem szczęśliwy, jak cudowne widoki roztaczały się przed wzrokiem moim. Upadłem! prawda, upadłem bardzo nisko! ale gdybyście wiedzieli wszystko !... Pesie, tłomaczyć się przed wami nie będę. Briggs, Wood, Masonie, chodźcie za mną wszyscy i oddajcie wizytę pani na Thornfieldzie, pupilce pani Poole, a mojej żonie. Zobaczycie jakie poślubiłem stworzenie i osądźcie sami, czy nie miałem prawa zerwać tych więzów i z ludzką połączyć się istotą? To młode dziewczę — dodał wskazując na mnie—nie było wtajemniczone w zbrodnicze moje zamiary. Wierzyła mi i sądziła, że ma prawo kochać mnie i oddać mi swą rękę; nie przypuszczała, że miał to być związek nieprawy, z nędznikiem, który ma spodloną i szaloną żonę. Chodźcie za mną wszyscy!

Wyszedł z kościoła, trzymając mnie wciąż pod rękę. Trzej panowie poszli za nami.

Przed drzwiami stał powóz.

— Odjedź do stajni, Janie! — zawołał pan Rochester spokojnie, — nie będziesz dziś potrzebny.

Gdyśmy weszli do domu, pani Fairfax, Adela, Zofija, Liwija i inni domownicy, przystąpili do nas z życzeniami.

— Precz! — zawołał pan Rochester — Nie trzeba powinszowań, spóźniliście się o całe lat pietnaście.

Szedł przed siebie.— Weszliśmy na pierwsze piętro, minęli korytarz, i wstąpili na trzecie piętro. Pan Rochester otworzył drzwi i weszliśmy do owego pokoju, w którym niegdyś spędziłam noc, z rannym Masonem.

— Znasz ten pokój Ryszardzie? — Tu cię pogryzła i pokaleczyła.

Podniósł portyjerę, i otworzył następne drzwi.

Weszliśmy do dużej komnaty bez okien. Lampa zwieszająca się wysoko z pod sufitu oświecała ją jedynie; na kominie rozłożony był ogień, przy którym Gracyja Poole gotowała coś widocznie. W kącie poruszała się postać jakaś, biało odziana, z masą czarnych, siwiejących już włosów. Trudno było rozróżnic, czy to ludzka była postać. Zdawała się chodzić na czworaku. Pan Rochester zwrócił się do Gracyi.

— Dzień dobry pani — rzekł — jak się tam ma chora?

— Dziękuję panu, niezgorzej, jest nieprzytomna, ale furyi dziś niema.

Dziki okrzyk zadał kłam jej wyrazom. Skulona na ziemi postać wyprostowała się, i przed nami stanęła kobieta... ta sama, którą przed dwoma dniami widziałam w swoim pokoju.

— Oh! panie — zawołała Gracyja — usuń się Boga! Widzi cię!

— Chwilę tylko, Gracyjo, musimy tu pozostać.

— A więc strzeż się pan i miej na baczności!

Waryjatka zawyła i, odgarniając z czoła włosy, spojrzała na nas dziko.

Pan Rochester odsunął mnie od siebie.

— Odsuń się — rzekł — i bądź spokojna. Niema ona przy sobie noża, a ja się strzedz będę.

— Nie można nigdy ręczy, czy go przy sobie niema — powiedziała Gracyja. — Jest tak podstępna i tak silna, że nikt by jej chyba nie był w stanie pokonać.

— Chodźmy ztąd lepiej—szepnął Mason.

— Idź sam do dyjabła — odpowiedział pan Rochester.

— Baczność! — zawołała Gracyja.

Panowie usunęli się; mnie pan Rochester pchnął i sobą zasłonił. Waryjatka poskoczyła ku niemu i chwyciła go za gardło i zębami szarpać mu twarz chciała. Walczyli. Kobieta była silna, równie jak on wysoka, tęższa jednak

znacznie i obdarzona prawdziwie męzką siłą. Parę razy zdawało się, iż go zwycięży i udusi. Jednem pchnięciem ręki łatwo mu było oswobodzić się od niej. Nie chciał jednak tego uczynić. Bronił się tylko. Nakoniec zawładnął nią: ręce jej związał silnie i podanym mu przez Gracyję postronkiem, przykrępował ją do krzesła. Nieszczęsna dzikie wydawała krzyki i rzucała się w szalonych konwulsyjach. Wtedy pan Rochester zwrócił się do widzów tej strasznej sceny i spojrzał na nich z uśmiechem, pełnym smutku i goryczy.

— Oto moja żona! — zawołał. — Oto jedyne uściski, jakie mam prawo odbierać, oto pieszczoty, które słodzić mają chwile mego życia! A oto — dodał, wskazując na mnie — co posiąść chciałem. Kocham tę dziewczynę, którą widzicie tu spokojną, milczącą, a odważną wobec śmierci i szatana—a kocham ją dlatego właśnie, że różni się tak zupełnie od tej, której nienawidzę! Porównajcie je z sobą! Te oczy czyste i jasne—z krwią zabiegłemi gałkami, które błędnie toczą się wokoło ; tę twarz—z maską okrutną; porównajcie ich postacie, ich myśli i uczucia, i sądźcie mnie teraz — przedstawiciele kościoła i prawa!.. Pamiętajcie jednak w chwili sądu, że i wy sądzeni kiedyś będziecie! A teraz, precz ztąd, muszę zamknąć moją zdobycz!

Pan Rochester został chwilę, by dać jakieś rozporządzenie Gracyi.

Pan Briggs przysunął się do mnie.

— Co do pani — rzekł — jesteś zupełnie niewinną i wuj pani, jeżeli żyje dotąd, ucieszy się szczerze, że potrafiłaś uniknąć nieszczęścia.

— Mój wuj? — spytałam. — Czy go pan znasz?

— Ja nie, ale zna go pan Mason, którego majątkiem pan Eyre zarządzał przez długie lata. Gdy doniosłaś mu pani o małżeństwie swojem, wspomniał o tem panu Mason, wiedząc, że tenże zna jakiegoś pana Rochester. Pan Mason przejęty oburzeniem i zgrozą wyznał prawdę i uproszony przez wuja pani, któren jest śmiertelnie chory, przyjechał tu zemną, by zapobiedz zbrodni. Dzięki Bogu, przybyliśmy dość wcześnie i gdyby nie to, że stan pana Eyre gdyśmy odjeżdżali był bez nadziei, radziłbym pani byś zaraz do Jamajki pojechała.

— Panie Mason, czy zabawisz tu pan dłużej? — dodał zwracając się do Ryszarda.

— O nie! jedźmy coprędzej.

Wyjechali też bez pożegnania z panem Rochester. Pastor pozostał jeszcze, prawdopodobnie by surowego udzielić napomnienia dumnemu swemu parafijaninowi.

Wróciłam do swego pokoju. Drzwi zamknęłam na klucz i obejrzałam się wkoło siebie. Byłam spokojna; nie mogłam płakać. Rozpoznać nie miałam siły. Zdjęłam coprędzej ślubną suknię i przebrałam się w inną. Usiadłam potem i, sparłszy głowę na rękach, zamyśliłam się. Dotąd myśleć nie mogłam. Słyszałam i widziałam wszystko, szłam za tym, który mnie prowadził, a raczej wlókł za sobą; widziałam jak fakty następowały jeden po drugim, byłam świadkiem strasznego odkrycia; nie myślałam jednak nad tem. Teraz dopiero przyszła chwila zastanowienia.

Poranek był tak cichy. Wszystko odbyło się tak spokojnie, bez krzyków, rozpaczy namiętnej, bez walki i uniesień. Człowiek jakiś powiedział słów parę, pan Rochester zadał mu kilka pytań—i przyznał, że był żonaty, poczem—zaprowadził nas do tej, która była żyjącym dowodem zbrodni jego. Krótki epizod z trzeciego piętra był tylko bezsilny. Potem wszystko się uciszyło. Obcy odjechali—a ja znowu pozostałam z myślami własnemi, sama w moim pokoju. Piorun nie zdruzgotał mnie, sztylet nie pozbawił życia. A jednak, gdzie się podziała dawna Janina? Co stało się z jej życiem? z jej przyszłością, jej nadziejami?

Janina Eyre taka ufna i wierząca Janina, prawie już żona pana Thornfieldu, była znów tylko sa-

motną, biedną dziewczyną, a życie jej tak barwne pozbawione zostało na zawsze nadziei. Grudniowy sezon zmroził najcudniejsze wiosenne kwiaty jej marzeń, burza zdruzgotała jej serce wiary i miłości i pełne, zniszczyła wszystko, co urokiem w życiu być mogło.

Zamyśliłam się nad snami przyszłości, które wczoraj jeszcze tak słodko kołysały mą duszę, a dziś, jak trupy nagie, jak widma stały przedemną. Myślałam o miłości mojej, tej, która należała jedynie do pana mego, którą on wzbudził i zabrał na własność! Drżała mi ona dziś w sercu, jak słaba dziecina w chłodnej, śmiertelnej pościeli. Byłam nieszczęśliwa i strapiona, bezsilna i zmęczona, a niewolno mi było szukać ulgi i pociechy u pana Rochester, niewolno było wesprzeć zmęczonej głowy na piersiach pana Thornfieldu.

Oh! teraz już nigdy nie zwrócę się do niego — myślałam. — Straciłam wiarę i ufność w niego. Pan Rochester nie był już dla mnie tem, czem był dawniej, bo nie był takim, jakiego pokochałam. Nie był może w oczach moich występnym; sama przed sobą nie byłabym przyznała, że mnie chciał może oszukać i zawieść ufność moją,—niemniej nie był to już ten prawy, bez zarzutu, szlachetny i uczciwy człowiek, któremu tak bardzo ufałam.

Wiedziałam, że go opuścić trzeba, ale kiedy, jak i dokąd pójść potem, nie wiedziałam w tej chwili. A jednak sądziłam, że on sam nie zniesie dłużej widoku mego, w miłość jego prawdziwą nie wierzyłam już, wydała mi się ona chwilową namiętnością jedynie. Dziś, gdy jej zaspokoić nie mógł, po cóż by pragnął dłuższego tu mego pobytu? Lękałam się go spotkać, bo sądziłam, że dziś nienawidzieć mnie musi. Oh! jakże okrutnie słabą i niewzruszoną byłam!

Umysł mój opanował mrok nocy, myśli mącić się w nim poczęły. Wydało mi się, że będę w wyschniętym rzeki łożysku i, mimo że słyszałam szum wody spadającej z poblizkich gór, że wiedziałam iż wkrótce zaleje mnie ona, nie miałam odwagi powstać i uciec. Uciec na kraj świata przed grożącem mi niebezpieczeństwem. Myśl o Bogu była mi jedyną gwiazdą przewodnią. Z głębi zranionego serca, wyrwała mi się modlitwa: Boże nie opuszczaj mnie, bo niebezpieczeństwo zbliża się, a jestem bezsilna i samotna!

Rzeczywiście, niebezpieczeństwo zbliżało się. A ponieważ nie prosiłam Boga, by go odemnie oddalił, ponieważ nie zrobiłam nic, by mu zapobiedz, nie padłam na kolana w pokorze i skrusze, przyszło ono aż do mnie. Fale ciężkie i straszne chłonęły mnie, a w skład ich wchodziły nadzieje moje rozwiane, złamane życie, ser-

ce rozdarte, zawiedziona ufność, i miłość złamana. Nie! tej strasznej godziny myśli—opisać nie umiem! Czułam, że słabnę, upadam, że trzeba cudu, coby mnie wyrwać mógł z otchłani!

ROZDZIAŁ XXIV.

Po południu oprzytomniałam i obejrzałam się wokoło. Zachodzące słońce rzucało już ostatnie promienie. Zmęczona, znużona, spytałam sama siebie, co mi czynić wypada?

Głos wewnętrzny odpowiedział mi: „trzeba opuścić Thornfield". Odpowiedź ta była tak nagła i tak dla mnie straszna, że zatkałam sobie uszy wołając namiętnie, że dźwięku słów takich znieść nie potrafię. Nie być żoną Edwarda Rochester — mówiłam do siebie — to szczyt rozpaczy; obudzić się z najsłodszych marzeń, by wkoło siebie zobaczyć pustkę i samotność, to boleść najcięższa. Ale jego, ukochanego mego opuścić natychmiast, i to na zawsze, jest rzeczą przechodzącą miarę mej odwagi.

— Nie mogę! nie mogę! — wołało we mnie rozżalone serce.

A głos ów wewnętrzny, który z całą surowością podał mi pierwszą radę, odpowiadał mi, że mogę i powinnam go opuścić; zapewniał mię nadto, że zrobię to niewątpliwie.

Walczyłam z sobą; chciałam być słabą, by nowych uniknąć cierpień. Sumienie jednak nie pozwalało z sobą wchodzić w układy, zawładnęło namiętnym moim bólem i wołało do mnie, że zwyciężyć powinnam nietylko w tej chwili, gdy nad brzegiem przepaści stoję, ale wówczas nawet, gdy ręka żelazna na same jej dno zepchnąć mnie będzie usiłowała.

— Niechże więc kto przyjdzie mi z pomocą! — zawołałam w duszy — bo słaba jestem i upaść gotowa.

— Nie, ty sama walczyć musisz, sama, bez niczyjej pomocy, musisz toczyć walkę, ranić serce własne, sama zabić wszelką rozkosz, któraby cię wiodła na pokuszenie. Serce twoje będzie ofiarą—ty jego ofiarnikiem.

Zerwałam się przerażona głosem nieubłaganego sędziego, któren gromił mnie wśród ciszy i grobowego wokoło milczenia. Zerwałam się— i poczułam wtedy dopiero, że byłam zupełnie wyczerpana, osłabiona, blizka zemdlenia.

Od rana nic w ustach nie miałam; nie jadłam nawet śniadania. Wtedy dopiero pomiarkowałam się z bolesnem uczuciem, że od rana

siedzę zamknięta w pokoju, a nikt nie zatroszczy się o mnie, nikt nie zajrzy do mnie. Pani Fairfax, nawet i Adela unikają widocznie mego widoku.

— Tak to zwykle bywa w chwili nieszczęścia—pomyślałam— i wyszłam z pokoju.

We drzwiach natrafiłam na niespodzianą przeszkodę; byłabym upadła, gdyby nie ręka, którą wyciągnięto ku mnie z pomocą. Pan Rochester siedział na stołku, pode drzwiami mego pokoju.

— Wyszłaś nareszcie! — zawołał.— O! czekałem tu długo, długo podsłuchiwałem pode drzwiami; nie usłyszałem jednak żadnego dźwięku, żadnego nawet westchnienia. Gdyby to piekielne milczenie było jeszcze pięć minut potrwało, byłbym jak złodziej nocny drzwi wysadził! A zatem unikasz mnie.... zamykasz się... i płaczesz samotnie. Oh! byłbym stokroć wolał, gdybyś była przyszła do mnie w przystępie gniewu i uniesienia. Jesteś namiętna, spodziewałem się też sceny boleści i łez, ale chciałem, byś je na mojej piersi wylała. A ty płakałaś sama... może i nie płakałaś wcale. Tak, widzę, na twarzy twojej ani śladu łez; jesteś blada, a oczy twoje zmęczone są, ale nie zapłakane. W takim więc razie, serce twoje łzami krwi płakać musiało.

— Ani słówka wymówki, Janino? Żadnych wyrzutów nie robisz? Z ust twoich nie wyszło jeszcze ani jedno słowo bólu! Siedzisz cicho i spokojnie przedemną i patrzysz we mnie spokojnemi, zmęczonemi oczami!... Ja nie chciałem cię zranić, Janino! Jeżeli pasterz ukochaną i wybraną owieczkę, którą jak córkę ukochał, przez pomyłkę na rzeź zaprowadzi, nie cierpi nad jej krwi rozlewem więcej, niż ja dziś cierpię na widok boleści, jaką ci sprawiłem! Czy ty potrafisz mi to kiedy wybaczyć?

Przebaczyłam mu w tej samej chwili. W oczach jego widziałam tyle żalu i skruchy, tyle wyrzutów, w głosie tyle szczerej litości, tyle miłości w spojrzeniu, że w głębi serca wybaczyłam mu wszystko, co cierpiałam przez niego...

— Jestem nędznikiem w oczach twoich, wszak prawda?—zapytał.

Dziwiły go zapewne spokój mój i milczenie, które jednak były raczej wynikiem osłabienia i niemożności przemówienia słowa jednego, niż uporu i chęci milczenia.

— Tak, panie — odpowiedziałam mu po chwili.

— A więc, powiedz mi to otwarcie i bez ogródek; powiedz, i nie lękaj się być nadto szorstką, nadto surową! Nie oszczędzaj mnie!

— Nie mogę—odrzekłam.—Jestem zmęczoną i chorą. Proszę mi dać wody!

Zadrżał i porwał mnie w objęcia. Wszystko pociemniało mi w oczach; nie wiedziałam, gdzie mnie unosi. Po chwili poczułam ożywcze ciepło ogniska; pan Rochester podał mi wino. Wypiłam go parę kropel i to orzeźwiło mnie trochę; zjadłam coś i przyszłam zupełnie do siebie. Siedziałam w fotelu mego pana, przed płonącem ogniskiem biblijoteki. Pan Rochester siedział koło mnie.

— Oh! gdybym teraz umrzeć mogła — pomyślałam — bez cierpień, bez boleści... Gdybym mogła uniknąć tym sposobem rozłąki z tym, którego tak bardzo kocham—jakże szczęśliwą bym była!

— Jakże się czujesz? — spytał mnie po chwili.

— Dużo lepiej, panie.

— Napij się jeszcze trochę wina, Janino — rzekł.

Posłuchałam go. Postawił szklankę na stole, pochylił się nademną i uważnie wpatrzył się w moje oczy. Po chwili gwałtownie odwrócił się odemnie i wydał okrzyk namiętnego uniesienia. Przeszedł parę razy przez pokój. Nareszcie przystanął przedemną i pochylił się, jak gdyby uścisnąć mnie przyszedł.

Przypomniałam sobie, że pieszczota jego jest zakazaną; odwróciłam twarz i lekko odepchnęłam go od siebie.

— Jakto! — zawołał. — Co to jest?... Ah! rozumiem! — wykrzyknął — nie chcesz uścisnąć męża Berty Mason! Sądzisz, że mi niewolno przycisnąć cię do mego serca — niewolno rozporządzać pieszczotami i pocałunkami memi!

— W każdym razie, ja panie niemam praw żadnych do ciebie, ni do uścisków twoich; nie przy tobie jest miejsce moje!

— Dlaczego Janino? Oszczędzę ci trudu i, odpowiem za ciebie. Dlatego zapewne, że mam już żonę;—czy to chciałaś powiedzieć?

— Tak.

— Jeżeli tak sądzisz, uważasz mnie prawdopodobnie za nędznika, za zbrodniarza, któren wzbudził w tobie uczucie po to jedynie, by cię zaprowadzić nad brzeg przepaści, złupić w zastawione niegodnie sidła i pozbawić cię czci i honoru! Nie odpowiadasz mi! Dlaczego? Dlatego zapewne, że mówić ci trudno, że trudno ci poniżyć mnie i bezwzględnie potępić, że zresztą nie chcesz płakać, nie chcesz osłabiać się i drażnić daremnie. W myśli pytasz sama siebie: „co robić?” ale mówić nie chcesz. Znam cię i wiem, że jest tak, a nie inaczej.

— Ja nie radabym zrobić panu przykrości....

Głos mój drżał. Nie mogłam dokończyć.

— Tak, ale chcesz, bym nie istniał odtąd dla ciebie! Powiedziałaś sobie: „między nim a mną wszystko raz na zawsze skończone; pozostanę tu jedynie jako nauczycielka Adeli, a dla człowieka tego, który chciał przez chwilę zrobić ze mnie kochankę swoją, powinnam być odtąd z lodu i głazu". Z lodu też i z głazu pozostaniesz dla mnie do końca.

Po chwili walki, odpowiedziałam mu:

— Wszystko wokoło mnie zmieniło się; nic też dziwnego, że i ja zmienić się muszę. Widzę to, że jedyna droga, która uwolnić mnie może od walki ciągłej z uczuciem, którego zabić nie mam siły i nie mogę, jest wyjazd mój natychmiastowy. Adela inną musi mieć nauczycielkę.

— Oh! Adela pójdzie na pensyję. Jest to rzecz zdecydowana oddawna; zresztą i ja też nie chcę, byś dalej mieszkała w Thornfield, byś tu karmiła się wspomnieniami strasznej przeszłości; nie pragnę cię zamknąć w tym grobowcu strasznym, co światłu dziennemu ukazuje zamkniętego w murach swoich żyjącego trupa! Nie, nie chcę, byś żyła w tym piekle, nawiedzonym przez istotę od szatana straszliwszą, groźniejszą od niego. Źle zrobiłem, że sprowadziłem cię

tutaj. Kazałem jeszcze przed poznaniem cię, by wszystko, co o tym domu opowiadają, tajemnicą zostało dla ciebie; lękałem się, czy zdołam tu utrzymać jakąkolwiek nauczycielkę dla Adeli, jeżeli wiadomem jej będzie jakiego rodzaju waryjatka tu zamieszkuje. Mogłem ją był wprawdzie osadzić w Ferndear, ale sumienie nie pozwoliło mi uczynić tego. Jest to wilgotna rezydencyja wśród lasów położona i tym sposobem mógłbym się był łatwo pozbyć mego ciężaru. Każdy jednak ma swoje wady i zbrodnie, które popełniać jest w stanie. Ja ich mam pod dostatkiem; nie posiadam jednak usposobienia do mordu, nawet pośredniego, tych, których najwięcej nienawidzę.

A jednak sąsiedztwo tego „szatana, wokoło siebie rozlewa truciznę. Dziś widzę to, że szaleństwem była chęć ukrycia go przed tobą.

Nie chcę zatem, byś tu mieszkała. Thornfield zamknę na cztery spusty, bramę uzbroję w dzidy i piki, kratą żelazną otoczę dom ten przeklęty i zapłacę pani Poole, ile tylko zażąda, za to, by zechciała tu zamieszkać sama z *moją żoną*, jak podoba ci się nazywać tę furyję piekielną. Gracyja zrobi wszystko za pieniądze, a do pomocy, dodam syna jej, strażnika z Grimsty-Retreat, by pomagał jej krępować moją żonę, gdy przyjdzie jej chęć podpalać łóżka z tymi,

co w nich spoczywają, lub bić ludzi i zębami szarpać ich ciało!

— Panie — przerwałam — jesteś nieprzebłagany dla tej nieszczęśliwej. Mówisz o niej z mściwą nienawiścią i bezlitośnem okrucieństwem. Czyż ona za szał swój jest odpowiedzialną? Czy wolno ci winić ją za to?

— Ukochanie moje — odparł — pozwól się tak nazywać, bo zawsze wybraną moją jesteś— nie znasz jej i sądzisz mnie niesprawiedliwie. Gdybyć ona tylko waryjatką była!... Gdybyś ty nią była Janino, czy sądzisz, że potrafiłbym cię nienawidzieć?

— Niezawodnie.

— Mylisz się zatem; nie znasz mnie i nie wiesz do jakiej miłości zdolny jestem. Życie twoje, zdrowie, dusza i ciało, droższe mi są nad życie i zbawienie własne. Chorą i cierpiącą kochałbym cię stokroć więcej, niż zdrową i szczęśliwą. Umysł twój jest skarbem moim; obłąkany—być by nim nie przestał. Gdybyś była szaloną, zamiast więzów, znalazłabyś objęcia moje. Furyja twoja nawet byłaby dla mnie drogą. Gdybyś rzuciła się na mnie, jak ta kobieta, przyjąłbym cię w uścisku gorącym, nie miałabyś słodszego nademnie piastuna i oczy twoje bez iskry rozumu — byłyby zawsze ukochaniem mojem!.. Ale po co myśleć o tem. Wszystko do wyjazdu gotowe. Jutro opuścim Thornfield, a

ciche i spokojne schronienie, jakie znajdę, będzie ustroniem, do którego nie dojdzie wspomnienie przeszłości, nie doścignie obmowa, kłamstwo, ani potwarz.

— Jedź pan — odrzekłam — ale zabierz z sobą Adelę; będzie ci towarzystwa dotrzymywać.

— Po co? — zawołał — po co? Po co mam brać z sobą to dziecko aktorki francuzkiej, dla którego w sercu nie mam uczucia ojca?

— Mówisz pan o samotnem schronieniu. Samotność jednak nie jest dla ciebie właściwą.

— Samotność! — zawołał — samotność! Nie chcesz, czy też nie możesz mnie zrozumieć. Samotnym nie będę — bo ty dotrzymasz mi towarzystwa! Ty—czy rozumiesz to, Janino?

Zrobiłam przeczący ruch głową. Trzeba było odwagi nielada, by zdobyć się bodaj na tę milczącą odmowę, wobec rozdrażnienia pana Rochester. Chodził po pokoju. Zobaczywszy ruch mój—stanął jak wryty i ostro a namiętnie wpatrzył się we mnie. Odwróciłam od niego oczy, wpatrzyłam się w ogień kominka i usiłowałam przybrać pozór zupełnego spokoju.

— Dzięki usposobieniu Janiny mojej — zawołał w końcu — rzeczy dotąd szły gładko; obeszło się bez scen i awantur. Teraz widzę nadeszła chwila, w której użyć potrzebuję siły

Samsona i jak on zerwać jednym ruchem nici skrupułów, krępujące cię widocznie.

Przeszedł się znów po pokoju i po chwili tanął przedemną.

— Janino! — zawołał — bądź, proszę cię, rozsądną i pamiętaj — dodał przyciszonym szeptem — że w razie przeciwnym siły i przemocy użyć potrafię!

Głos jego był bezdźwięczny, ostry, a w oczach miał wyraz człowieka, co niebaczny na wszelkie możliwe przeszkody i niebezpieczeństwa, gotów się rzucić w wir niebezpiecznej walki, namiętnie, bez trwogi i obawy. Widziałam, że jedno jeszcze nieuważne słówko, jeden gest nieobliczony, a stracę nad nim władzę; wiedziałam, że w tej jednej chwili ucieczka, strach lub obawa— ruch jeden odmowy, narażały mnie na zgubę niechybną. Nie lękałam się jednak tego; czułam siłę i moc swoją, czułam potęgę mego nad nim wpływu. Chwila była straszna; niemniej jednak pełna dla mnie rozkoszy. Ujęłam ręce pana Rochester, spojrzałam mu w oczy i powiedziałam spokojnie:

— Siadaj pan; gotowam słuchać cię dopókąd zechcesz i odpowiadać na twoje pytania, bez względu na to, czy rozsądne one będą, lub nie...

Usiadł, ale wciąż milczał.

Serce miałam łez pełne. Nie płakałam, bo wiedziałam, że pan mój nie lubi łez moich. Teraz jednak nie myślałam już o tem i rozpłakałam się jak dziecko rzewnie.

Prosił mnie, bym się uspokoiła.

— Nie mogę być spokojną — odrzekłam — dopókąd pan się gniewasz.

— Ależ ja się zupełnie nie gniewam — odparł — tylko kocham cię tak bardzo, a przed chwilą twarzyczka twoja miała tak ostry, tak obojętny wyraz, że nie mogłem znieść tego spokojnie. Uspokój się tylko i przestań płakać.

Cichy głos jego dowiódł mi, że był już spokojny; ja także uspokoiłam się znacznie.

— Janino! Janino! — zawołał głosem tak głębokiej miłości, że zadrżałam na dźwięk tych słów;—więc ty mnie nie kochasz? Chciałaś tylko stanowiska pani Rochester, żony mojej; ale odemnie samego uciekasz, jak gdybym był jadowitą gadziną, potworem okrutnym?

Słowa te zabolały mnie strasznie. Co robić? co mówić mi wypadało? Należało może milczeć i nic nie robić. Ale tak bardzo czułam się zasmucona jego boleścią, że nie mogłam oprzeć się pokusie ułagodzenia jego żalu.

— Kocham cię! — zawołałam— kocham nad wszystko, całą siłą i potęgą serca, dziś więcej niż kiedykolwiek; ale uczucia tego niewolno

mi żywić, niewolno wypowiadać; to też wyrazy takie, w tej chwili po raz ostatni słyszysz ode mnie!

— Po raz ostatni, Janino? Jak to? czyż sądzisz, że mogłabyś żyć ze mną, widzieć mnie codzień i kochając mnie, chłodną i obojętną względem mnie pozostać?

— Nie, panie. Na to czuję się zbyt słabą; to też jedyną tu drogą wyjścia... Ale pan będziesz znów gniewać się na mnie.

— Mów, mów — zawołał.— Jeżeli się uniosę, ty potrafisz mnie uspokoić.

— Panie Rochester, muszę cię opuścić.

— Na jak długo? Na parę minut chyba, by przygładzić włosy i orzeźwić wodą twarz, która płonie?

— Nie, panie; muszę opuścić ciebie, Adelę Thornfield na zawsze; muszę nowe zacząć życie, wśród nowych ludzi i nieznanego mi otoczenia.

— Zapewne. Pokrywam tu milczeniem szaloną myśl rozłączenia się ze mną; ta jest niemożliwą do spełnienia, bo jesteś cząstką mego ja, a bez ciebie żyć nie potrafię. Co do nowej egzystencyi twojej—istotnie nową ona będzie. Zostaniesz żoną moją, panią Rochester, prawą i uznaną. Będę ci wiernym do śmierci; zawiozę cię do mojej posiadłości w południowej Fran,

cyi; tam przyjmie nas urocza białą willa nad morzem położona, tam życie płynąć nam będzie w rajskim spokoju i ciszy, w niewinności i cnocie. Nie sądź tylko, że cię zwodzę, że chcę byś była kochanką moją; wierz mi, bo oszaleję inaczej.

Głos jego i ręce drżały, oczy płonęły; ja mimo to nie straciłam odwagi i mówiłam:

— Panie! żona twoja żyje, sam to przed chwilą przyznałeś. Gdybym więc mieszkała dalej z tobą, tak jak tego pragniesz, byłabym poprostu kochanką twoją. Przeczyć temu nie można; a przed sumieniem własnem obronić nas nie zdoła kłamstwo, ani sofizmat.

— Zapominasz Janino, że nie jestem ani cierpliwy, ani łagodny, ani też beznamiętny! Przez litość więc nademną i nad sobą samą, weź mnie za puls, zbadaj go i, bądź ostrożna!..

Wyciągnął ku mnie rękę. Traciłam już odwagę. Czułam, jak bardzo okrutną jestem, męcząc go tak strasznie, a uledz jego woli nie mogłam. Wtedy myśl moja, jak myśl każdego śmiertelnika, w trudnej i ciężkiej będącego chwili, pobiegła wyżej, ku niebu i, widząc, że ludzie nic już pomódz mi nie mogą, o pomoc do Boga się zwróciłam. Mimo woli z ust moich wybiegło:

— Boże! wspomóż mnie!

— Ależ ja szalony jestem! — zawołał nagle — mówiąc jej, że jestem wolny, wtedy, gdy ona nie zna ani charakteru tej kobiety, ani okoliczności, które towarzyszyły piekielnemu związkowi memu. Oh! jestem pewien, że gdy całą poznasz prawdę, zgodzisz się ze mną. Podaj mi tylko rękę i posłuchaj cierpliwie, jeżeli możesz.

— Owszem panie, słuchać będę dopókąd zechcesz.

— Czy słyszałaś kiedy, że miałem brata starszego?

— Tak, panie; słyszałam o tem od pani Fairfax.

— Słyszałaś, że brat ten był skąpcem?

— Tak, panie.

— Ojciec mój kochał go i chciał mu cały swój majątek zostawić, nie dzieląc go zupełnie. A jednak pragnął, bym i ja nie był ubogim. Jedyną jego myślą było: bogato mnie ożenić. Pan Mason, plantator i przemysłowiec indyjski, był z młodych lat jeszcze przyjacielem mego ojca. Miał syna i córkę, dla której przeznaczył 30,000 funtów posagu. Ojcowie ułożyli między sobą nasz związek i wkrótce, nie mówiąc mi nic o majątku, a wielbiąc wobec mnie jedynie urodę i wdzięki panny Mason, wysłano mnie do Jamajki, bym poznał tam narzeczoną moją. A była ona wistocie piękną, wysoką, wspaniałą,

brunetką, podobała mi się. Poznałem ją na balu i nie mówiąc z nią prawie, nie znając jej, zobowiązałem się spełnić życzenia ojca. Młodzież zazdrościła mi, ona wabiła mnie kokieteryją i urodą, a ja, nędzny nikczemnik, wkrótce poślubiłem kobietę, której nie znałem prawie.

O matce jej nie słyszałem nigdy; myślałem, że nie żyje. Po skończonym miesiącu miodowym dowiedziałem się, że byłem w błędzie, dowiedziałem się, że żona moja ma matkę waryjatkę i brata—idyjotę. Ojciec mój i brat wiedzieli o tem, wiedzieli, że to była choroba dziedziczna—ale trzydzieści tysięcy funtów przeważyły szalę. Uknuto przeciwko mnie spisek i wciągnięto mnie w zasadzkę.

— Była to zdrada okrutna. Niemniej, gdyby żona moja postępowaniem swojem nie była zasłużyła na mą wzgardę, nigdy nie byłbym jej śmiał wyrzucać nieszczęścia jej rodziny, choćby upodobania nasze i usposobienia, nie mogły harmonizować ze sobą. Wtedy nawet, gdy już przekonałem się dowodnie, że umysł jej jest nizki i pospolity, że nie jest w stanie żadnej podnioślejszej myśli pojąć, żadnego mego szlachetnego wzruszenia podzielić, wtedy nawet, gdy fantazyje jej i gwałtowność, piekło mi z własnego zrobiły domu, milczałem — i na dno duszy

spychałem boleść moją i cierpienie, wzgardę, jaką czułem dla niej.

— Janino! nie chcę kazić duszy twej szczegółami, których okropności pojąć by ci było trudno. Wiedz tylko, że o ile umysł jej był mały i nizki, o tyle potężnie rozwinięte w niej były wszelkie złe instynkty; występki jej wzrastały z przerażającą szybkością, — by nad nimi zapanować, należało użyć siły, przemocy i okrucieństwa; ja zaś okrutnym być nie chciałem i nie mogłem. Berta, jako godna córka swej upadłej matki, pociągnęła mnie za sobą do piekła rozpaczy, dała mi poznać wszystkie męczarnie na jakie tylko narażonym być może człowiek złączony z istotą bez czci i honoru, pozbawioną wstydu i czystości. Mimo to, prawnie rozłączyć się z nią nie mogłem— występki jej rozwinęły przedwcześnie zarody rodzinnej choroby. Berta zwaryjowała.

Ojciec mój i brat już nie żyli; byłem bogaty bardzo, ale zarazem bardzo nieszczęśliwy. Przykuty na wieki do ohydnej tej istoty, musiałem cierpieć, że nazwiska nasze i osoby łączono z sobą, musiałem wlec za sobą łańcuch jej zbrodni.

Wiedziałem nadto, że nadzieja szczęścia zniknęła dla mnie bezpowrotnie, wiedziałem, że nie wolno mi innej, lepszej pokochać kobiety, bo żona moja choć o lat pięć odemnie starsza i na

umyśle słaba, silna była i zdrowa fizycznie. Zamknięta, jako waryjatka w domu moim, straszyła mnie tylko po nocach dzikiemi krzykami i napadami swej szalonej furyi.

W czasie jednej z upalnych nocy, zerwałem się przerażony jej wyciem, poczem długo zasnąć nie mogłem. Wówczas to duch dobry, czy też szatan, podszepnął mi myśl ucieczki za ocean z moją żoną, myśl ukrycia związków, które nas łączyły i stworzenia sobie drugiego ogniska szczęścia. Nie było to rzeczą tak trudną, bo ojciec mój utrzymywał w tajemnicy ożenienie się moje, początkowo dlatego, że prosiłem go o sekret, następnie, by mi oszczędzić hańby, która i na niego spływała.

Wyjechałem do Europy. Podróż moja była straszną; odetchnąłem wtedy dopiero, gdy zamknąłem ją na trzeciem piętrze i znalazłem jej dozorczynię w osobie Gracyi Poole. Na dyskrecyję jej liczyć mogłem i nie zawiodła mnie ona. Carter, któren wówczas opatrywał Masona, jest drugą osobą w kraju znającą moją tajemnicę. Pani Fairfax domyślała się czegoś, o ile sądzić mogę, nigdy jednak nic pewnego dowiedzieć się nie mogła. Gracyja strzegła pilnie szalonej; parę razy jednak nadużyła porteru i chora skorzystała z tego. — Dzięki nieostrożności dozorczyni:— zraniła Masona, podpaliła moje łóżko i

poszarpała twój welon. Drżę doprawdy na myśl, coby zrobić mogła z tobą!

— I cóż zrobiłeś z sobą, gdzie się udałeś, panie, osiedliwszy tu swą żonę?

— Co zrobiłem? — powtórzył— przeistoczyłem się w błędny ognik. Gdzie się udałem? jak żyd wieczny tułacz—włóczyłem się po świecie, pragnąc znaleźć dobrą, kochającą i inteligentną kobietę, różną zupełnie od tej, którą zostawiłem w Thornfield.

— Ależ pan nie mogłeś ożenić się.

— A jednak miałem to niezłomne postanowienie, i najgłębsze przekonanie, że zrobić to mogę i powinienem. Nie miałem zamiaru oszukiwać, jak to zrobiłem następnie. Chciałem szczerze i otwarcie powiedzieć przyszłej mojej, w jakim jestem położeniu, pewien, że jeżeli szlachetną będzie i dobrą, odda mi rękę, nie zwracając uwagi na przekleństwo, które ciąży nademną.

— I cóż dalej?

— Co dalej?... Szukałem po świecie takiej, którą bym pokochać mógł wśród angielek, francuzek i niemek, w najwyżej położonych kołach towarzyskich—szukałem jednak napróżno. Wiodłem życie hulaszcze i pełne szału—nie rozpusty jednak. Ta ostatnia była właściwością Berty; strzegłem jej się w obawie, by nie stać się jej podobnym.

Sam jednak żyć nie mogłem— miałem kochanki. Pierwszą z nich była Celina Varens,—drugą Hiacynta, gwałtowna i namiętna włoszka,—trzecią słodka, łagona Klara, niemka, naiwna aż do głupoty. Wszystkie znudziły mnie wprędce, pozbywałem się ich też jak mogłem najprędzej. Historyję Celiny znasz już odemnie. Ale ty patrzysz na mnie z niechęcią. Widzę to, że potępiasz mnie, że mnie masz za człowieka pozbawionego zasad i uczciwości?

— Wistocie, nie kocham cię już dziś tak, jak niegdyś — odrzekłam — i uważam, że to bardzo źle prowadzić życie takie, o jakiem mi mówisz, a w dodatku—uważać to za najnaturalniejszą rzecz pod słońcem.

— Co robić! Życie takie porwało mnie; dałem mu się unieść. Dziś jednak z równą niechęcią myślę o każdej z kochanek moich, zarówno jak i o życiu, które prowadziłem.

Mówił to z akcentem prawdy i silnego postanowienia. To też pomyślałam sobie, że i o mnie kiedyś wyrażać się będzie w ten sposób, jeżeli ulegając jakimkolwiekbądź pobudkom, zgodzę się na to, by czwartą z rzędu jego kochanką pozostać. Nie powiedziałam mu tego — ale zachowałam wniosek mych myśli, jako obronę przeciw samej sobie na przyszłość.

— Dlaczego nie dopytujesz mnie o ciąg dalszy mej opowieści? Dlaczego tak poważnie i s u

rowo spoglądasz na mnie? Złe widać ciągle masz o mnie wyobrażenie. Mniejsza jednak o to; ciągnijmy dalej.

— W styczniu roku zeszłego, smutny i przygnębiony, zmęczony tułaczką po obcych ziemiach, rozczarowany do świata i ludzi, do kobiet w szczególności, wracałem do Thornfield, smutnego zamczyska, które tylko groźbą i strasznem wspomnieniem powitać mnie mogło. Przy drodze spostrzegłem cień jakiś ludzki, istotę, na którą najmniejszej nie zwróciłem uwagi, nie przypuszczając wtedy, że przeznaczenie moje, moja zła lub dobra dola, słowem przyszłość moja, stała w tej chwili przedemną. Nie przypuszczałem tego, wtedy nawet, gdy po wypadku jaki mnie spotkał, cień ów zastąpił mi drogę i poważnie ofiarował mi swoje usługi. Była to szczupła, wyniosła, dziecinna niemal postać kobiety; odmówiłem pomocy, w skuteczność której wierzyć nie mogłem. Mimo to, istota owa nie odeszła, pozostała i ja nakoniec odmówionej pomocy użyć musiałem. W chwili, gdy ramię swe na jej ramieniu wsparłem, poczułem, że inne, nowe wstąpiło we mnie życie. Rozkoszą mi była myśl, że ten elf mały powróci w progi mego domu. Słyszałem, gdy wchodziłaś do zamku i myślałem o tobie wtedy, gdy ty nie przypuszczałaś tego jeszcze. Nazajutrz, przez uchylone drzwi biblijoteki, śledziłem cię gdyś

bawiła Adelę. Widziałem, że zajmowałaś się nią cierpliwie; widziałem jednak i to także, że myśl twoja gdzieindziej buja. Gdy nareszcie Adela opuściła cię, przechadzałaś się po korytarzu zamyślona, rozmarzona niemal. Głos pani Fairfax wyrwał cię z zadumy. Uśmiechnęłaś się do siebie uśmiechem pełnym sprytu i wdzięku. Zdawałaś się myśleć: „Mary moje urocze! precz odemnie, bo złudą jedynie jesteście— a życie to prawda, praca i walka!”

Oddaliłaś się, a mnie w sercu została tęsknota. Niecierpliwie oczekiwałem wieczoru i kazałem cię wezwać. Weszłaś z minką nieśmiałą, ale pewną siebie. Ubranie twoje było skromne, ruchy i obejście się miały coś klasztornego w sobie. Niemniej w całej postaci znać było pewną inteligencyję i spryt. W wejrzeniu twem dostrzegłem wiele przenikliwości i siły. Mówiłaś, i nie lękając się surowej mojej miny i nadąsanego wejrzenia, śmiało i z dziwną trafnością odpowiadałaś na każde moje pytanie. Podobałaś mi się. Mimo to, trzymałem cię zdala od siebie i nie szukałem towarzystwa twego. Bałem się, by kwiat, któren mi się tak uroczym wydał, nie zwiądł za dotknięciem, by czar nie prysnął. Nie wiedziałem wówczas, że kwiat to rzeźbiony z brylantów najczystszej wody, że nic mu wdzięku i uroku odebrać nie może, ani poniżyć istotnej jego wartości. Chciałem też prze-

konać się, czy z chwilą, gdy ja unikać cię zacznę, ty mnie poszukiwać będziesz?

Trzymałaś się jednak zdala odemnie. Przy spotkaniu prosty ukłon był mi jedynie dowodem szacunku— a czoło twoje myślące i rozumne nie było smutne, bo nie cierpiałaś,—nie promieniało radością, bo i szczęśliwą nie byłaś. Później, gdy coraz częściej wzywałem cię do siebie, w oczach twoich i wejrzeniu widziałem, że lubisz towarzystwo moje; ilekroć zwróciłem się do ciebie z życzliwem słówkiem, twarz twoja promieniała radością i szczęściem, nazwisko moje wymawiałaś z odcieniem wdzięczności, a to, że dobrym byłem dla ciebie, było najwyższą życia mego rozkoszą.

— Panie, nie mów mi tego! Nie przypominaj tych dni szczęścia — szepnęłam ocierając ukradkiem łzę.

Wiedziałam, że go opuścić muszę: pragnęłam też unikać wszystkiego, coby mnie roztkliwiać mogło i utrudniać mi krok — i tak już ciężki.

— Masz słuszność, Janino! Po co myśleć o przeszłości, gdy przyszłość stokroć pewniejsza, stokroć jaśniej nam się uśmiecha.

Zadrżałam na te słowa, pełne pewności siebie...

— Wszak teraz — ciągnął dalej — pojmujesz już położenie moje. Dzieciństwo odarte

z uroku. Młodość przebyta w okrutnych cierpieniach. Wiek dojrzały w bolesnej samotności przebyty. Dziś dopiero znalazłem istotę, którą ukochać mogę! Znalazłem ciebie, Janino. Ty kochasz mnie także, jesteś lepszą cząstką mego istnienia—duszą, życiem mojem, moim aniołem stróżem. Wierzę w to, że dobrą, szlachetną i kochającą jesteś istotą. Kocham cię też gorąco i namiętnie, kocham całą duszy potęgą. Miłość ta wiąże mnie do ciebie, ciebie ku mnie pociąga; jest to czysty a potężny płomień, który w jedną nas łączy całość.

— Znam się dobrze i uczucia moje zbadałem starannie; dlatego też chcę, byś była moją. To, że mam żonę, jest szyderstwem czystem, — mam szatana wcielonego, co życia każdą chwilę jadem mi zatruwa! Zbłądziłem, nie mówiąc ci wcześniej całej prawdy; ale lękałem się uporu twego i przesądów, któremi karmiono cię od dzieciństwa. Chciałem być panem ciebie wprzód, nim odważę się na zwierzenie jakie. Była to podłość z mej strony, powinienem był odrazu odwołać się do twej szlachetności, do wspaniałomyślności twojej, jak to teraz czynię. Powinienem był opisać ci życie, co konaniu piekielnemu się równało i wyznać ci, jak bardzo pragnę nowe, szlachetniejsze rozpocząć istnienie, jak gorąco pragnę, kochać szlachetnie, wiernie i nie

złomnie. Wtedy wolno by mi było i od ciebie żądać przysięgi wierności, której też w imię miłości dziś żądam od ciebie.

Nastała chwila ciszy.

— Dlaczego milczysz, Janino? — zapytał.

Ja tymczasem ciężką z sobą toczyłam walkę. Żelazna ręka ciążyła nademną. Chwila była pełna grozy, cierpienia i walki. Żadna ludzka istota nie mogła gorętszej, niż moja w tej chwili, pragnąć miłości. Tego, którego kochałam, czciłam jak bóstwo, mimo to nie mogłam przystać na to, czego żądał odemnie. Bolesnym i jedynym obowiązkiem moim było w tej chwili — rozłączyć się.

— Janino, wszak wiesz czego żądam od ciebie. Powiedz tylko „będę twoją!"

— Panie Rochester—nie będę twoją!

I znów cisza.

— Janino — odezwał się w końcu ze słodyczą, która złamała mnie zupełnie, bo pod pokrywą spokoju czułam ogień, który płonie w jego sercu — Janino, chcesz więc, by drogi nasze rozeszły się?

— Tak, panie.

Pochylił się nademną i uścisnął mnie namiętnie...

— Czy jeszcze chcesz tego?—wyszepnął.

— Tak, panie.

— A teraz ? — powtarzał całując czoło me i usta.

— Tak, panie! — zawołałam wyrywając się gwałtownie z objęć jego.

— Oh! Janino! — zawołał — okrutną jesteś! okrutną i złą! Czyż kochać mnie, to zbrodnia ?

— Tak, zbrodnia, panie.

Dzikie rzucił na mnie wejrzenie; czoło jego poorało się bruzdami, zerwał się z siedzenia, ale zapanował jeszcze nad sobą.

— Chwilę jeszcze, Janino! — zawołał. Jeżeli odejdziesz, rzuć wzrokiem na życie moje smutne, dalekie od radości i szczęścia. Z tobą odbiegnie mnie wszystko, co drogiem mi jest na ziemi, a pozostanie mi jedynie żona — waryjatka! Wszak trup wydarty z mogiły równym by mi był towarzyszem? Co zrobię wtedy z sobą, Janino? Ku czemu zwrócę myśl moją, nadzieję?..

— Zrób to, co ja zrobię. Zaufaj Bogu i sobie, uwierz w niebo i miej nadzieję, że tam się spotkamy.

— A zatem nie ustąpisz ?

— Nie.

— I skazujesz mnie na życie przeklęte śmierć przekleńca ?

Mówił to już podniesionym głosem.

— Nie, panie, życzę ci tylko uczceoigw życia, a śmierci spokojnej.

— Tak! Zabierasz mi miłość i niewinność. Zamiast miłości dajesz mi rozpustę—i chcesz, by życie moje jednym odtąd było występkiem!

— Nie, panie! Ciebie, zarówno jak siebie, na życie podobne nie skazuję. Stworzeni jesteśmy do walki i cierpienia. Walczmyż więc i cierpmy z poddaniem się a odwagą. Panu zwycięztwo łatwiejsze będzie niż mnie, bo prędzej niż ja zapomnisz.

— Uważasz mnie widzę za nędzarza,—nie wierzysz w prawość moją. Przed chwilą powiedziałem ci, że nie zmienię się nigdy, że wiernym ci do grobu zostanę, ty zaś twierdzisz w tej chwili, że zapomnę o tobie! Postępowanie twoje najlepszym jest dowodem, że poglądy twoje są fałszywe, sąd niesprawiedliwy. Czyż rzeczywiście lepiej jest na dno rozpaczy pchnąć bliźniego swego, niż zgwałcić prawo ludzkie, wtedy, gdy na tem nikt nie ucierpi, bo nie masz ani rodziców, ani też przyjaciół, którzyby sprzeciwić się chcieli temu, byś przy mnie została.

Mówił prawdę,— to też rozum mój i sumienie nawet, zdradziecko obróciło się przeciwko mnie. W chwili tej razem sumienie i serce z jednaką wołały potęgą: „Ustąp! ustąp i pamiętaj o cierpieniach, jakie mu sprawiasz, o rozpaczy,

do której doprowadzić go możesz. Pamiętaj, że natura jego jest gwałtowna i namiętna. Pamiętaj na co odważyć się może w chwili, gdy zostanie samotny, opuszczony przez ciebie nawet. Ustąp i pociesz go, wesprzyj i ukochaj, powiedz mu, że miłość twoja i serce do niego należą, zostań z nim, nie dbając co świat powie na to, bo wszak na nim nikt nie dba o ciebie, nikt nie zmartwi się ani zatroszczy o to, co się z tobą stanie.

A mimo to —mówiłam sobie wciąż—że gdybym nawet względem nikogo nie miała obowiązku, mam go względem siebie samej, że im mniej mam przyjaciół, tem więcej sama siebie szanować powinnam, że powinnam szanować prawa Boskie przez ludzi uznane i zostać wierną przekonaniom, które miałam wtedy, gdy byłam przy zdrowych zmysłach, a nie szaloną, roznamiętnioną, jak w tej chwili. Prawa i przepisy nie dane są nam na chwile szczęścia i rozkoszy i nie sztuką jest poddać im się wtedy, ale wytrwale pozostać przy nich w chwili próby, dopiero prawdziwą jest zasługą. Prawa te zawsze były dla mnie świętemi i słusznemi; jeżeli zaś teraz straciły dla mnie na wartości — to dlatego jedynie, że w tej chwili ogień nie krew płynie mi w żyłach, że umysł mój obłąkany boleścią, a serce pierś mi rozsadza. Dziś zatem winnam dawnych

moich zasad się trzymać i niedać się unieść wrażeniom chwili.

Postanowienie to odbiło się w oczach moich.

Pan Rochester chwycił mnie za rękę, objął mnie wpół i przycisnął do siebie, nie ze zwykłą sobie słodyczą i miłością, a z szałem namiętnym gniewu i rozpaczy. Drżałam, ale nie straciłam siły woli i mocy ducha. Spojrzałam na pana Rochester i westchnęłam. Czułam, że siły moje słabną, a uścisk pana mego stawał się z każdą chwilą silniejszy.

— Nigdy! —zawołał przez zaciśnięte zęby— nigdy w życiu nie widziałem równie słabej, a równie niezwalczonej istoty. Trzymam ją oto w ręku jak trzcinę wiotką — dodał wstrząsając mną silnie, i—jak trzcinę jednym ruchem ręki zgnieść, złamać bym potrafił! A gdybym ją złamał i do woli mej nagiął, jakże szalona byłaby to dla mnie rozkosz! Napróżno jednak!... Będąc panem klatki, pozostałbym zawsze niewolnikiem dzikiej ptaszyny, która ją zamieszkuje. Zawładnę ciałem—duch niepodległy uleci i nigdy bez woli tej, którą kocham nad wszystko, nie zostanę panem jej serca. W oczach jej widzę odwagę i dziką swobodę, pewnoć siebie i nadzieję zwycięztwa!

— Oh! gdybyś chciała z własnej oddać mi się woli, być życia mego radością i rozkoszą? Gdybyś chciała, Janino!

Puścił mnie, ale oczy jego przybrały wyraz taki, że trudniej stokroć było oprzeć się mu, niż sile i przemocy. Trzeba było jednak walczyć i zwyciężyć.

Podeszłam ku drzwiom.

— Odchodzisz, Janino?

— Tak, panie.

— Opuszczasz mnie?

— Tak.

— Nie powrócisz więc? Nie chcesz być zbawieniem mej duszy, moją podporą i wsparciem mojem? Miłość moja i rozpacz, błagania i prośby, niczem już są dla ciebie?

Ileż boleści w tym głosie; jakże było ciężko mi powtórzyć z niezachwianym uporem:

— Odchodzę.

— Janino! — zawołał.

— Panie.

— Idź zatem, przystaję na to; ale pamiętaj, że zostawiasz mnie tu w trwodze i rozpaczy! Idź do siebie, przypomnij sobie wszystko, com ci mówił,—rzuć okiem na nędzę moją i pomyśl o mnie!

Rzucił się na sofę i ukrył twarz w poduszkach.

— Janino! — zawołał — życie ty moje i szczęście! Nadziejo moja cała!

I łkanie bolesne wydarło mu się z piersi.

Byłam już przy drzwiach. Usłyszawszy ten jęk rozpaczy, powróciłam do niego, niezachwiana jednak i gotowa wytrwać w oporze. Uklękłam przed nim, podniosłam głowę i twarz ku sobie zwróciłam. Uścisnęłam go i ręką pogładziłam mu włosy.

— Niech Bóg miłosierny będzie z tobą! — wyrzekłam — niech cię uchroni od rozpaczy i upadku; niechaj prowadzi cię i strzeże, i nagrodzi ci wszystko, co zrobiłeś dla mnie dobrego.

— Miłość twoja byłaby mi najdroższą nagrodą — odrzekł, — jeżeli jej nie otrzymam, serce moje rozdarte będzie. Ale ty mi nie odmówisz swej miłości, dasz mi ją szlachetnie, wspaniale?....

Krew uderzyła mu do głowy, oczy nowym zapałały blaskiem; zerwał się i wyciągnął ku mnie ramiona; wyrwałam mu się z rąk i wybiegłam z pokoju.

— Żegnaj mi —zawołałam.— Żegnaj na zawsze! — dodałam w głębi ducha.

. . . .

Nie przypuszczałam, bym spać mogła tej nocy, mimo to jednak, jak tylko przyłożyłam głowę do poduszki, sen twardy i ciężki zawładnął mną. Śniłam, że jestem zamknięta w czerwonym pokoju w Gateshaed. Promień światła,

który wówczas pozbawił mnie przytomności, przemknął znów po ścianie, i drżący zatrzymał się nad moją głową. Podniosłam się i wpatrzyłam w niego. Sufit przeistoczył się w ciemne groźne chmury, a promień światła w jaskrawy obłoczek, poprzedzający wschód księżyca.

Wschodu tego oczekiwałam z gorączkowym niepokojem. Z pośród chmur wysunęła się ręka, rozgarnęła ciemne opony, a za nią postać jasna i biała ukazała się nademną.

Była to postać kobiety.

Czoło szlachetne schyliła ku ziemi—we mnie wpatrzyła się z dziwnem uczuciem rozrzewnienia i nareszcie głosem, co mimo odległości brzmiał donośnie i czysto, szepnęła:

— Córko moja! uciekaj przed pokusą!

— Dobrze matko! — odrzekłam.

Gdy się obudziłam, sen przytomny był mej pamięci; to też sobie w głębi duszy powiedziałam wtedy: „Ucieknę przed pokusą".

Dniało już, ale noce lipcowe są krótkie i dzień robi się zaraz po północy, nie było więc jeszcze zapóźno na dokonanie tego, co uczynić postanowiłam. Ubrałam się prędko — z komody wydostałam ubrania trochę i bielizny. Przedmioty dane mi przez pana Rochester zostawiłam, bo te nie były moją własnością. Woreczek mój za-

wierał 20 szylingów — zabrałam to wszystko i, nie kładąc trzewików, wysunęłam się ze swego pokoju. Przechodząc koło drzwi poczciwej pani Fairfax i Adeli, pożegnałam je sercem, ale przed drzwiami pana Rochester uczułam, że słabnę. Serce bić mi przestało. Słyszałam jak chodził po pokoju i wzdychał. Jedno poruszenie— a raj byłby został udziałem moim. Należało mi tylko wejść tam i powiedzieć mu: „kocham cię i wierną ci do śmierci zostanę", a życie nowym przybrane urokiem, znów tylko szczęściem i radością by mi było. Zawahałam się chwilę.

Ten pan dobry — pomyślałam sobie — nie śpi, oczekuje z niecierpliwością dnia, pewien, że mnie zobaczy zdecydowaną na wszystko. Jutro zawezwie mnie... napróżno—będzie szukał... nadaremnie; zobaczy, że go opuściłam, że wzgardziłam miłością jego, będzie cierpiał i kto wie do czego posunąć się może w przystępie rozpaczy.

Wyciągnęłam rękę ku klamce, ale cofnęłam ją i uciekłam.

Zeszłam machinalnie ze schodów, weszłam do kuchni, zabrałam klucz od drzwi bocznych, kawałek chleba i wody trochę. Wiedziałam, że sił mam niewiele, chciałam się wzmocnić na drogę. Przesunęłam się cicho jak cień przez korytarz, otworzyłam drzwi i stanęłam na pod-

wórzu. Dniało już; bramy jednak wszystkie były zamknięte. Jedna tylko na szczęście zasunięta była od wewnątrz. Przeszłam — zamknęłam drzwi za sobą i byłam już po za progami Thornfieldu.

Po za ogrodem ciągnęła się droga jakaś w przeciwną stronę, niż ta, która prowadziła do Millcote. Nie wiedziałam, gdzie ona prowadzi, poszłam nią jednak niepewna, gdzie zajdę. Odtąd niewolno mi było oglądać się po za siebie, lub przed siebie patrzeć. Przeszłość była tak jasna, tak szczęśliwa, a zarazem tak bardzo smutna, że myśl o niej odbierała mi siły i energiję. Przyszłość była ciemna, straszna i burzliwa, jak świat po potopie.

Szłam długo. Pogoda, o ile przypominam sobie, była piękna; mimo to jednak nie patrzyłam ani na wschodzące słońce, ani na niebo bez chmur. Budząca się ze snu przyroda, żadnego nie miała dla mnie powabu. Ten, kogo przez najpiękniejsze drogi prowadzą na ścięcie, nie myśli zapewne o kwiatach rozwijających się u nóg jego, nie myśli o pięknie, które go otacza; przed oczyma jego stoi tylko rusztowanie, topór katowski i męczarnie, które go czekają. Ja myślałam o ucieczce mojej i tułaczce, na którą dobrowolnie się skazałam. Nie mogłam oderwać myśli od tego, którego zostawiłam po za sobą. Tęskniłam za nim, serce rwało mi się

do powrotu, do złagodzenia męczarni, które on biedny cierpieć tam musiał, mierząc niecierpliwemi krokami samotną swoją komnatę. Oh! jak strasznie bolesną była mi myśl, że on opuszczony przezemnie, na złą drogę się zwróci. Myśl ta była jakby strzałą utkwioną w mej piersi. Czułam, że jeżeli będę usiłowała wydrzeć ją z serca, rozrani mi je okrutnie, jeżeli sprobuję zagłębić ją — zabije mnie odrazu. Ptaki zaczynały śpiewać. One były wierne towarzyszom swoim, one — zwiastuny miłości. A ja czem byłam? Czułam, że spełniam obowiązek swój, a mimo to nienawidziłam się, bo jednocześnie najcięższe zadawałam rany temu, którego kochałam nad wszystko. Nie ja szłam tak wytrwale przed siebie, nie wola moja, nie sumienie prowadziły mnie naprzód i siły do wytrwania dodawały. Prowadził mnie tylko Bóg i duch matki mojej; inaczej byłabym wróciła niezawodnie.

Siły moje były wyczerpane, ogarnęło mnie osłabienie dziwne, upadłam na ziemię—i rozpaloną twarz przycisnęłam do wilgotnej trawy. Myślałam... miałam nadzieję, że umrę. Wkrótce jednak siły wróciły—podniosłam się i z trudnością powlokłam dalej. Powóz jakiś przejeżdżał drogą. Dałam ręką znak, by się zatrzymał. Zapytałam woźnicy dokąd jedzie? Powiedział mi, że do odległej jakiejś miejscowości,

która, byłam tego pewną, nieznana była panu Rochester. Za zabranie mnie z sobą, woźnica zażądał trzydzieści szylingów; miałam ich tylko dwadzieścia, zgodził się nakoniec zabrać mię za tę cenę i pozwolił wsiąść do powozu. Drzwiczki zamknęły się za mną i pojechałam.

Nikomu, oh! nikomu z tych, którzy czytać będą tę książkę, nie życzę, by doznali tego uczucia, którego ja doznałam w tej chwili. Niech nikt nie cierpi, jak ja cierpiałam. Niech z niczyich oczów nie popłynie strumień tak gorzkich łez, niechaj niczyje modły z taką rozpaczą nie zwracają się ku niebu!.

ROZDZIAŁ XXV.

W dwa dni potem, woźnica wysadził mnie z powozu, w miejscowości zwanej Whitcross.

Nie było to miasto, nie była nawet wioska, ani sioło. Wśród wrzosowisk i zarośli, krzyżowały się cztery drogi, a na ich zbiegu stał duży pobielony kamień i drogowskaz wskazujący odległość czterech miast sąsiednich. Byłam w jednem z środkowych hrabstw, mało ludnem i niezbyt przemysłowem. Gościńce były puste, a ja wśród nich sama jedna, bez grosza przy duszy. W dodatku, wysiadając z powozu zapomniałam wziąć zawiniątka, które zabrałam z Thornfield. Położenie moje było straszne. W kieszeni kawałek suchego chleba i... nic więcej. Wokoło pustki, a sił brak zupełny, troska i obawa w duszy. Noc nadchodziła,— przespa-

łam ją w sąsiednim lasku, a nazajutrz powlokłam się drogą i doszłam do wioski jakiejś. Głód dokuczał mi strasznie. Spostrzegłam sklepik piekarza—weszłam tam, w nadziei, że może za chusteczkę jedwabną, którą miałam na szyi— lub rękawiczki moje napół zniszczone, dostanę chleba kawałek. Posądzono mnie, że przedmioty te ukradłam i odmówiono wymiany. Dzień cały włóczyłam się jak pies zbłąkany i głodny koło wsi, nie śmiąc wyciągnąć ręki po jałmużnę. Pod wieczór przechodząc koło jednej chaty, dostrzegłam wieśniaka, który na progu jadł chleb z serem. Na ten widok wszystkie uczucia zamilkły w mej duszy. Głód nie pozwolił mi milczeć dłużej. Zbliżyłam się i poprosiłam o kawałek chleba. Wieśniak, uznał mnie za jakąś oryginalną panią, której przyszła fantazyja zakosztować razowego chleba po przysmakach drogich, dał mi dużą skibkę chleba, pożarłam ją z chciwością i noc bezsenną spędziłam w sąsiednim lasku.

Nazajutrz raz tylko jadłam; przechodziłam koło chaty w chwili, gdy dziewczyna wiejska resztki kaszy wlewała do koryta świńskiego.

— Daj mi tej zupy—prosiłam—jestem bardzo głodna.

— Mamo!—zawołała dziewczyna przez okno

do chaty — jakaś kobieta chce by jej dać to, co świniom wylewam.

— Daj jej, jeżeli jest żebraczką, świnie się bez tego obejdą.

Wylała mi pokarm na ręce; zjadłam z chciwością dzikiego zwierzęcia. Nazajutrz próbowałam szukać pracy — napróżno; wszędzie odprawiano mnie z niczem.

Nic dziwnego. Kto wpuści do domu swego przybłędę nieznaną i obcą. Proboszcz na całe dwa tygodnie wyjechał był z domu i tu więc, napróżno szukałam pomocy. Powlokłam się przed siebie, nie wiedząc, gdzie idę. Noc zaszła, a przedemną głuche rozciągały się łany. Głód szarpał mi wnętrzności. W dali zabłysło światełko. Nie był to błędny ognik, ale ognisko domowe. Powlokłam się w tę stronę, choć pewna byłam, że i tu drzwi zamkną przedemną. Parę razy upadałam ze znużenia, nareszcie koło północy dowlokłam się do owego domku. Obrośnięty był winem; podeszłam ku niemu i zajrzałam przez okno. Kuchnia czysta, biała, przedstawiła się moim oczom; przed ogniskiem stara jakaś kobiecina robiła pończochę; w pewnem oddaleniu na stoliku paliła się lampa, a dwie młode dziewice, w grubej żałobie, blade i mizerne pracowały nad książkami jakiemiś. Uczyły się niemieckiego języka. Słyszałam to, bo noc była

cicha, spokojna i każde słówko wymówione w kuchni dochodziło mnie wyraźnie. Stałam tak długo. Nareszcie jedna z młodych kobiet powstała.

— Maryjo! — zawołała — jestem szalenie zmęczona; wszak i tak dość dzisiaj zrobiłyśmy.

— Zapewne Dyjano; — bo też to praca nielada uczyć się języka, bez żadnej innej pomocy, prócz słownika.

— Co się dzieje, że Saint-John nie wraca? Jest już tak późno.

— Czekać na niego nie będziemy— odezwała się stara kobieta, odrywając oczy z nad pończochy i patrząc z dziwną tkliwością na dwie młode panny. Idźcie spać dzieci — bo czas już na spoczynek.

Młode kobiety powstały i przeszły do następnego pokoju.

Obrazek ten, pełen ciszy i spokoju; widok dwóch młodych istot w żałobie i miłego ich ustronia tak mnie zajął, że zapomniałam prawie o głodzie i położeniu mojem. Deszcz jednak padał silny, trzeba było raz jeszcze odwołać się do litości ludzkiej, raz jeszcze być odepchniętą odedrzwi — jako włóczęga i żebraczka.

Zapukałam. Stara kobieta otworzyła i z nieufnością spojrzała na mnie. Prosiłam, by po-

zwoliła mi widzieć się z paniami swemi — naprózno, dała mi dwa pensy i bez względu na błagania moje i prozby drzwi przedemną zamknęła. Wyczerpana do reszty, upadłam na progu, pewna, że umrzeć mi tu przyjdzie. Wyszeptałam półgłosem:

— Boże! wiem, że umrzeć w tej chwili muszę. Dajże mi przynajmniej dość siły na to, by umrzeć spokojnie i bez szemrania.

— Wszyscy umrzeć kiedyś musimy — odezwał sią tuż przy mnie głos jakiś — nie idzie jednak za tem, byśmy umierać mieli przedwcześnie i w progu domu chrześcijanina.

Przerażona obejrzałam się naokoło.

Tuż przy mnie stała postać ludzka. Kto to był, dojrzeć nie mogłam; przyszło mi jednak na myśl, że prawdopodobnie był to ów Saint-John, którego młode kobiety oczekiwały.

Zapukał do drzwi. W progu, ze światłem w ręku stanęła staruszka, ta sama, która przed chwilą odmówiła mi pomocy.

— Anno! — zawołał młody człowiek — pomóż mi wprowadzić tę kobietę do domu. Słyszałem jak ją odprawiłaś przed chwilą. Spełniłaś swój obowiązek, nie wpuszczając do siostr osoby nieznanej; pozwólże mi teraz spełnić mój i udzielić jej pomocy.

Próbowałam powstać — napróżno. Siły mnie

opuszczały, wniesiono mnie prawie do domu i tu otoczono opieką i staraniem. Obydwie siostry czule się mną zajęły. Wzmocniono mnie mlekiem i winem i wprowadzono do schludnej izdebki na strychu, gdzie poraz pierwszy po kilku nocach tułaczki, znalazłam wygodne łóżko i bezpieczne schronienie.

Przez trzy następne dni byłam nawpół przytomna. Widziałam i słyszałam co się wokoło mnie działo; mówić jednak ani poruszać się nie mogłam. Anna pielęgnowała mnie troskliwie. Młode panny często przychodziły do mnie, a i brat ich zaglądał do mojej izdebki.

Słyszałam nieraz jak mówili o mnie i próbowali w umyśle pogodzić nędzę moją i ubranie staranne, choć zgniecione i błotem poplamione; żebractwo i postać, co zdawała się być nie przywykłą do życia takiego; ani razu jednak nie pożałowali udzielonej mi gościnności.

Po trzech dniach czułam się lepiej i chciałam wstać z łóżka. Z przyjemnością zobaczyłam, że bielizna moja upraną była, a suknia jedwabna, którą zniszczyłam bardzo przez te dni parę, przyprowadzono do porządku. Ubrałam się schludnie — uczesałam i odpoczywając co chwila, zeszłam do kuchni. Anna, przyjęła mnie życzliwie i pytała ciekawie kim byłam. Ze zdzi-

wieniem ogromnem dowiedziała się, że byłam na pensyi, że zatem jestem, jak się wyrażała, „uczoną", i że mówię tak, jak jej panie Pomogłam jej obierać owoce, z których przyrządzała potrawę jakąś — ona zaś tymczasem opowiedziała mi, że pan Saint John nazywa się Rivers, jest pastorem w Morton, i przyjechał tu na pogrzeb ojca, który umarł przed dwoma tygodniami. Siostry jego były nauczycielkami i także czasowo tylko znajdują się w Moor-House, dziedzicznej wiosce ojca swego.

Panny Rivers zdziwiły się bardzo zastawszy mnie w kuchni. Zdawały się szczerze uradowane, widząc, że przyszłam do siebie. Starsza z nich szczególniej, Dyjana, ogromną we mnie budziła sympatyję. Usposobienie jej zdawało mi się pełne siły i energii, ale zarazem słodyczy i dobroci. Młodsza, Maryja, łagodniejsza może i słodsza, wydała mi się jednak sztywniejszą i mniej poufałą w obejściu. Obydwie zabrały mnie z kuchni i wprowadziły do saloniku, w którym nad książką pochylony siedział już pan Saint John. Siostry wyszły i zostawiły mnie z nim sam na sam. Był to człowiek młody, lat dwudziestu kilku, przystojny bardzo, piękny niemal; mimo to jednak fizyjonomija jego nie była dla mnie sympatyczną. W oczach miał wyraz dziwnego chłodu i powagi surowej. Na mnie zdawał się wcale nie zwracać uwagi. Zagłębiony w czyta-

niu skłonił się lekko gdy weszłam; potem nie patrzył już w moją stronę.

Podano herbatę i wtedy dopiero pan Saint-John przysunął się do stołu. Popatrzył na mnie swemi ogromnemi oczyma z wyrazem tak przenikliwym, jakby chciał wyczytać co się w głębi duszy mej dzieje. Czułam, że teraz zażąda odemnie objaśnień.

— Jesteś pani bardzo głodna? — zapytał mnie.

— Rzeczywiście—odrzekłam.

— Szczęściem dla pani, choroba nie pozwoliła jej nadużywać pokarmu przez te dni parę; inaczej przesyt po takiem wygłodzeniu mógłby groźne za sobą pociągnąć następstwa. Dziś, już bezpieczniej możesz pani jeść, ale zawsze umiarkowanie się jeszcze należy.

— Mam nadzieję — odpowiedziałam — że niedługo nadużywać będę gościnności i pożywienia państwa.

Odpowiedź to była zarazem niezręczna i niegrzeczna. Pan Rivers nie zdawał się być nią jednak obrażony.

— Niezawodnie. Skoro tylko pani powiesz nam nazwisko swoje, wskażesz miejsce twego zamieszkania i rodzinę twoją, postaramy się odesłać cię tam natychmiast.

— Nazywam się Janina Elliot, miejsca za

mieszkania i rodziny mojej wskazać wam nie mogę, bo jednego ani drugiej nie mam.

— Jakto? — nie masz pani nikogo z krewnych?

— Nikogo na świecie.

— Jest to położenie dziwne w pani wieku. Czy jesteś pani zamężną?

— Jak możesz pytać ją o to — zawołała Dyjana. — Niema więcej nad lat siedemnaście.

— Mam rok dziewietnasty—ale zamężną nie jestem.

Zarumieniłam się, mówiąc to, bo historyja mego niedoszłego zamęścia, stanęła mi żywo w pamięci.

— Trudno bo bardzo będzie pomódz pani, jeżeli nie dasz nam żadnych o sobie szczegółów.

— Ja też pragnę jedynie, by jaki prawdziwy dobroczyńca dał mi pracę tylko, któraby wystarczyła mi na niezbędne do życia potrzeby.

— Nie wiem czy jestem prawdziwym dobroczyńcą; w każdym jednak razie postaram się o jakieś dla pani zajęcie. Muszę jednak wprzód wiedzieć do jakiego rodzaju pracy przywykłaś pani i co robić umiesz?

Skończyłam herbatę. Posiłek ten wzmocnił mnie i dodał mi siły, pokrzepił umysł. Czułam się w możności dłużej nareszcie przemówić.

— Panie, — zaczęłam — łaska, którą mi wyświadczyliście, obowiązuje mnie do bezgranicznej względem was wdzięczności, daje wam prawo wymagać odemnie zaufania. Nie mogę wam wyjaśnić kim jestem i jakie okoliczności doprowadziły mnie do stanu, w jakim znaleźliście mnie u progu swego domu; a wyjaśnić tego nie mogę, dla własnego bezpieczeństwa i spokoju, co więcej, dla spokoju istot, które żywo mnie obchodzą.

— Powiem więc to, co powiedzieć mogę. Jestem sierotą; rodziców straciłam w kolebce; wychowałam się w zakładzie dobroczynnym w Lowood, przebyłam tam sześć lat jako uczennica, a dwa jako nauczycielka. Przed rokiem przyjęłam miejsce nauczycielki w domu, w którym bardzo byłam szczęśliwa. Okoliczności, które zmusiły mnie wydalić się ztamąd, wyjawić nie mogę. Zaręczam wam tylko, że jestem czystą i niewinną, że w nieszczęściu jakie mnie spotkało, winy mej niema. Cztery dni temu opuściłam dom, w którym rok szczęścia przebyłam. Chodziło mi o zatarcie śladów za sobą, zabrałam z sobą nie wiele, a w dodatku zawiniątko zostawiłam w powozie, który mnie przywiózł do Whitecross. Pozostałam więc wśród drogi samotna, uboga, bez dachu, ni chleba kawałka! Przez te dni parę sypiałam w lesie, a jadłam dwa razy. Nareszcie znużona i wycieńczona,

upadłam u progu waszego. Serdeczne współczucie siostr pana, i jego chrześcijańska litość wyrwały mnie śmierci. Dziś żyję; ale chleba waszego jeść darmo nie mogę i dlatego proszę pana o jakiekolwiekbądź zajęcie.

— Środki moje — odparł—są bardzo ograniczone. Jestem ubogim pastorem i trudno mi zapewne będzie znaleść pani coś odpowiedniego jej przyzwyczajeniom i upodobaniom.

— Z przyzwyczajeniami memi rozstałam się na zawsze; jedynem zaś nateraz pragnieniem mojem jest pracować i mieć za to kęs chleba. Jakiego rodzaju praca to będzie... wszystko mi jedno. Mogę być nauczycielką, panną służącą, piastunką nawet w ostateczności, byle żyć i zachować swoje incognito.

— W takim razie poszukam, i mam nadzieję, że znajdę pani odpowiednie zajęcie.

Rozeszliśmy się i odtąd coraz to życzliwszy wyrabiał się stosunek między mną a siostrami Rivers. Były one inteligentne i wykształcone, to też usposobienia nasze zgadzały się wybornie. Z czasem byłyśmy z sobą jak siostry rodzone.

Z bratem ich, stosunek był zupełnie inny. Dziwna też bo natura była tego człowieka. Chłodny na pozór, spokojny i zamknięty w sobie, chwilami tylko przez błysk oczów, zdradzał głębię

ducha, burzliwa, namiętna, choć posłuszna żelaznej jego woli. Był proboszczem ubogiej parafii. Stanowisko to nie wystarczało jego ambitnym celom, pragnieniu czynu, które go pożerało. Wybierał się do Indyj, by tam walczyć w imię idei, nawracać i toczyć bój z przesądem i ciemnotą.

Mimo to, kochał namiętnie swój kąt rodzinny i niemniej jak siostry jego przywiązany był do domu swych ojców. Nie mówił ze mną prawie nigdy. Całemi dniami siedział pochylony nad książką, chwilami tylko odrywał od niej oczy i wlepiał je w przestrzeń z wyrazem silnego postanowienia, połączonego z cierpieniem jakiemś, które go widocznie trawiło. Oczy jego dziwny wpływ na mnie wywierały. Pomimo, że były wyraziste, nie odzwierciadlały głębi jego ducha, zdawały się stworzone na to, by innych badać.

Życie takie ciche i spokojne po burzach, jakie przeszłam, było mi ulgą prawdziwą. Ze smutkiem też patrzyłam w dal i myślałam o tem, że wkrótce Dyjana i Maryja powrócą do obowiązków swoich, pan Rivers z Anną przeniosą się do Morton, a dom ten stary zamknie się, i mnie ze swych progów wydali. A czas ten był coraz to bliższy. Miesiąc już blizko bawiłam w Moor-House, a w dodatku pan Rivers

nie mówił mi nic o tem, czy ma dla mnie zajęcie jakie. Nakoniec sama go o to zaczepić musiałam. Odpowiedział mi, że ma dla mnie pracę, tak jednak niewdzięczną, mozolną i skromną, że lęka się proponować mi jej.

Chodziło o objęcie posady nauczycielki wiejskiej w szkółce dla dziewcząt, założonej przez pannę Oliver, córkę bogatego przemysłowca z okolicy. Opiekunem zakładu miał być pan Rivers — i za pracę moją ofiarował mi 30 funtów pensyi, mieszkanie złożone z dwóch izdebek, i jedną z dziewcząt zakładu jako służącą...

Propozycyję jego przyjęłam z chęcią, czem zdawał się być bardzo uradowany.

Przepowiadał mi jednak, że na stanowisku mojem nie wytrwam długo.

— Jesteś pani zarówno jak ja czynną, namiętną naturą, dążysz do ideałów i nie potrafisz na wieki oddać się monotonnemu zajęciu nauczycielki wiejskiej — powiedział — wierzaj mi pani, że inne życie cię czeka, do innego stworzona jesteś.

Mimo to, nazajutrz poszłam obejrzeć mieszkanie moje, a w tydzień potem, jednocześnie z Maryją i Dyjaną, opuściłam Moor - House. One pojechały wśród obcych, ja do własnego kąta okupionego ciężką i mozolną pracą.

Ostatnie dni pobytu naszego w starym domu bolesne były. Biedne dziewczyny nie mogły oswoić się z myślą, że odjeżdżają ztamtąd na zawsze, że brat ich uda się do Indyj, i że zostaną wkrótce bez ojca, bez brata, bez dachu. Na domiar złego, pan Rivers przyniósł raz wieczorem list, zawiadamiający go o śmierci wuja. Powiedziano mi wtedy, że wuj ten był bratem ich matki, a poróżniony z ojcem, nie przebłagał się do śmierci i umierając, cały swój majątek zapisał innej osobie, krewnej swojej także, zostawiając im jedynie 30 gwinei na kupno pamiątkowych pierścionków.

— Ostatnia więc nadzieja swobody stracona — powiedziała Dyjana. — Ha! trudno—i bez tego żyć potrafimy; trudno zaś opłakiwać nąm śmierć człowieka, którego nie znałyśmy nigdy, a który tak ciężko dokuczył ojcu naszemu,

Potem już nigdy nie powróciliśmy do tego przedmiotu i smutne a niepewne kółko nasze rodzinne, wkrótce rozprysło się na wszystkie strony.

Praca moja była trudna. Dziewczęta powierzone memu staraniu, były to dzieci robotników wieśniaków okolicznych ; obyczaje ich surowe, natury krnąbrne, przesądy zakorzenione, trudne były do opanowania. Między niemi jednak były i dobre, inteligentne dzieci. Praco-

wałam usilnie i nie bez pożytku. Zawierałam znajomości z ich rodzicami i powoli doszłam do tego, że lubiono mnie i szanowano w okolicy. Jedyną moją rozrywką, były odwiedziny pana Rivers i panny Oliver. Ta ostatnia była istotą cudownie od natury uposażoną. Jedyna córka bogatego przemysłowca, inteligentna, dobra, szlachetna i niepopsuta, pomimo, że wszyscy psuli ję na wyścigi, była zarazem istotą tak piękną, tak pełną wdzięku i uroku, że zdawała się wyśnionym ideałem jakimś. Pan Rivers kochał ją, kochał namiętnie, całą siłą i potęgą uczucia. Spostrzegłam to, gdy po raz pierwszy widziałam ich razem; później, sam Saint-John wyznał mi, że tak było w istocie. Dziewczyna wypłacała mu wzajemnością. Ojciec jej, stary pan Oliver, cenił wysoce Riversa i szanował go bardzo. A jednak — pobożny misyjonarz, nie poddawał się uczuciu. Powiedział sobie, poprzysiągł, że pracować będzie nad zbawieniem swej duszy, że na niebo zasłuży pracą na polu chrześcijańskiej li tylko miłości, to też z męzką siłą i energiją odrzucał podszepty namiętności— porywy serca, i chłodem pozornym zdawał się maskować uczucie, co wrzało mu w piersi. A praca to trudna była i niewdzięczna. Istota tak czarująca jak Rozamunda Oliver, mogła wzbudzić i budziła uczucie głębokie, potęgowane jeszcze silną a namiętną naturą Riversa. Schodzili się często u

mnie. Ona z naiwnością rozpieszczonego dziecka wabiła go ku sobie, on walczył i zwyciężał.

Stosunek panny Oliver ze mną był nader miły. Bywałam czasem w ich domu i na prośby Rozamundy i jej ojca, robiłam portret cudownej dziewczyny.

Pan Rivers przyszedł raz do mnie i zastał mnie właśnie nad tą robotą, oczy wlepił w portret, zadrżał na widok ukochanych rysów, zaraz jednak opanował się.

— Zrobię panu także taki portret—odezwałam się.

— Pragnąłbym go mieć, ale żądać go nie mam odwagi i, nie chcę go posiadać. Po co osłabiać siły, których mi tyle potrzeba. Po co słabą i tak naturę na próbę narażać?

— Po co się męczyć — odrzekłam — gdy szczęśliwym być można. Ona pana kocha, ojciec wam sprzyja, a pan dla ambitnych swych celów depczesz szczęście, co ci się do nóg ściele.

— Nie pani, Rozamunda Oliver jest rzeczywiście istotą, którą kocham głęboko, ale z którą połączyć się nie mogę. Kocham ją, ale błędy jej widzę i wiem, że nie jest stworzona na żonę misyjonarza. Niema potrzebnej ku temu energii, siły i pokory. Lepiej więc nie myśleć o tem—a walczyć i zwyciężyć.

Odwrócił się od portretu, potem raz jeszcze

przybliżył się do niego, wpatrzył głęboko i nakrył go ćwiartką welinu, której używałam do próbowania ołówka i tuszu. Na kartkę tę rzucił badawcze spojrzenie. Zadrżał. Otworzył usta jakby przemówić miał ochotę, potem oderwał od niej kawałek i schował go do rękawiczki.

— Co to znaczy? — spytałam.

— Nic. Żegnam panią.

I odszedł.

Obejrzałam kartkę: nic prócz paru pociągnięć ołówka dojrzeć na niej nie mogłam. Wzruszyłam ramionami— i przestałam myśleć o tem.

ROZDZIAŁ XXVI.

Śnieg padał płatami przez dzień i noc całą. To też wokoło, wzgórza porównały się z sobą, a zaspy śniegowe uniemożliwiły niemal drogi. Po skończonych lekcyjach i odesłaniu Alicyi, służącej mojej, zapuściłam firanki i zamknęłam drzwi; pewna, że dziś samotnie dzień spędzę, usiadłam w izdebce swojej nad książką.

Ktoś zapukał do drzwi i Saint-John podobny do słupa śniegu ukazał się we drzwiach.

Wejście jego przeraziło mnie. Byłam pewna, że ze złą jaką przychodzi do mnie wieścią, i zapytałam go o to niespokojnie.

— Nic złego niema — odrzekł — przyszedłem tylko pogawędzić z panią, a przytem dowiedzieć się końca powieści, którą zacząłem wczoraj.

Nie rozumiałam słów jego.

Usiadł przed kominkiem i ogrzewał milcząc zziębnięte ręce.

Po chwili spytałam go, czy niema listu od Dyjany i Maryi.

— Nie — odrzekł krótko i znów obrócił się do ognia.

Znudzona milczeniem jego, wzięłam książkę i czytałam ją dalej.

— Proszę, połóż pani tę książkę i przysuń się do mnie. Opowiem pani powieść, której końca tak bardzo ciekawy jestem.

— Przed dwudziestu laty, ubogi pastor zakochał się w młodej, bogatej dziewczynie, i bez względu na opór rodziców ożenił się z nią. Wkrótce oboje umarli; zostawili po sobie dziewczynkę małą. Dziecię to przyjęte zostało z litości w domu krewnego swej matki, niejakiego pana Reed'a z Gateshaedu. Do lat dziesięciu chowało się tam. Czy jednak było szczęśliwe, nie wiem i wątpię, by tak być mogło. W dziesiątym roku życia, dziewczynka, tak sama zupełnie jak pani, oddaną została do zakładu dobroczynnego w Lowood, i znów tak jak pani, przebyła tam sześć lat jako uczennica, a dwa jako nauczycielka. Wyszedłszy ztamtąd umieściła się jako nauczycielka prywatna w domu pana Rochester.

— Pana Rochester! — zawołałam.

— Zgaduję myśli pani — odrzekł —ale poczekaj jeszcze chwilę. Nie znam pana Rochester i nie wiem o nim nic, prócz tego, że z ową kobietą chciał się ożenić i w chwili dopiero ślubu wydało się, że jest on żonaty i żona jego żyje. W tym czasie zaszedł wypadek, dla którego zaczęto poszukiwać młodej dziewczyny Wszelkie jednak starania były nadaremne. Zaraz po owym wypadku uciekła z Thornfield i niewiadomo gdzie się podziała. Ja sam odebrałem parę listów od niejakiego pana Briggs'a, z zapytaniem, czy niewięm co o kobiecie nazwiskiem Janina Eyre?

— Odpowiedz mi pan tylko, co się dzieje z panem Rochester? Co wiesz o nim?

— Nic, prócz tego, co powiedziałem już. Ale dlaczego nie pytasz się pani raczej o powód, dla którego poszukują owej Janiny Eyre?

— Co jednak wiedzą o panu Rochester? musieli pisać do niego, by się czego o nią dowiedzieć.

— Pisali, ale odpowiedź podpisaną była przez jakąś damę, Alicyję Fairfax.

Zadrżałam. Przypuszczenia moje sprawdziły się zatem. Opuścił Angliję i w dawne swe burzliwe a namiętne rzucił się życie.

— Musiał to być bardzo zły człowiek—zauważył pan Rivers.

— Nie znasz go pan i nie masz prawa sądzić!— odrzekłam gorąco.

— Mniejsza o niego zresztą — odparł. — W tej chwili chcę pani powiedzieć, co myślę o owej Janinie. Spojrz pani na to.

To mówiąc, wydostał z pularesu karteczkę, oddartą od mojej ćwiartki welinu, a na niej tuszem ręką moją napisane „Janina Eyre". Prawdopodobnie mimowoli skreśliłam nazwisko swoje, probując pióra.

— Przyznajesz się pani do swego istotnego nazwiska? — zapytał.

— Przyznaję — odrzekłam — ale powiedz mi pan, gdzie jest ów pan Briggs, o którym wspomniałeś?

— Briggs jest w Londynie, a o panu Rochester nic nie wie prawdopodobnie. Poszukuje zaś pani dlatego, że wuj jej, Jan Eyre z Madery umarł i majątek swój tobie zapisał. Dziś więc jesteś bogatą dziedziczką.

— Ja? bogatą?

— Tak. Należy tylko dopełnić niektórych formalności prawnych, a wola wuja pani zostanie wykonaną.— Nie pytasz się pani ile wynosi jej majątek obecny?

— Ileż więc?

— Dwadzieścia tysięcy funtów—odrzekł spokojnie.

Zdumiałam. Liczyłam na trzy, do pięciu tysięcy. Ogrom tej sumy przeraził mnie niemal.

— Ależ to musi być omyłka! — zawołałam.

— Bynajmniej, suma jest taką a nie inną. Ale dlaczego masz pani tak przerażoną minę? Proszę się uspokoić i być pewną, że nie tak trudno jest oswoić się z majątkiem, jak z nędzą. Dobranoc. Żegnam panią!

— Wstrzymaj się pan chwilę jeszcze i powiedz mi, dlaczego ów Briggs pisał właśnie do pana; zkąd przyszło mu na myśl byś mnie mógł znać i odnaleźć w tym kącie zaklętym?

— Oh! bo jestem pastorem—odrzekł i zwrócił się szybko ku drzwiom.

W głosie jego była niepewność i wahanie. Uderzyło mnie to; to też wyraziłam mu swoje myśli.

— To dziwne — rzekłam.— Pewną jestem, że się coś kryje w tej sprawie. Proszę pana, powiedz mi to natychmiast.

— Kiedyindziej—odpowiedział.

— Nie; zaraz i to w tej chwili.

Po długich prośbach zmusiłam go do odpowiedzi. Dowiedziałam się z niej, że wuj mój

Jan Eyre, był także wujem rodzeństwa Rivers, tym samym, który ich wydziedziczył.

Radość moja nie miała granic; w jednej chwili zyskałam majątek, niezależność i rodzinę. Ostatnie to odkrycie wywarło na mnie stokroć milsze wrażenie, niż wieść o odziedziczonym majątku.

Dwadzieścia tysięcy funtów podzielone między nas czworo, każdemu dawały niezależność. Myślą tą podzieliłam się zaraz z Saint-Johnem. Sprzeciwiał się temu bardzo, ale i ja też miałam dość silnej woli, by przeprowadzić myśl moją.— To, że Dyjana i Maryja będą szczęśliwe i mnie szczęście dało.

Saint-Johnowi obiecałam, że szkoły nie opuszczę, dopokąd nie znajdzie kogoś, ktoby mnie mógł zastąpić i wytrwałam w tym do świąt Bożego Narodzenia.

Potem przeniosłam się do Moor-House i odnowiłam je z pomocą Anny, na przyjęcie siostr moich.

Saint-John oburzał się na mnie, że rzeczy tego świata zajmują mnie tak bardzo. Oburzenie to jednak nie mogło zmniejszyć radości mojej, gdyśmy wszyscy razem zamieszkali Moor-House i rodzinne stworzyli ognisko.

Byłam szczęśliwa, ale i smutna bardzo. Nie myślcie, bym zapomniała pana mojego, Pod-

czas pobytu w szkole, zarówno jak w Moor-House. Nocami marzyłam o szczęściu rozwianem i myśl moja towarzyszyła wciąż temu, którego kochać nie przestałam dotąd. Dowiadywałam się o niego wszędzie—napróżno, i smutek mój a tęsknota rosły z dniem każdym.

Saint-John wybierał się wciąż do Indyj. Ostatnie więzy, najtrudniejsze do zerwania, prysły. Rozamunda Oliver wyszła za mąż. Odtąd, nic już na raz powziętej drodze zatrzymać go nie mogło.

Czytał całemi dniami i uczył się indostańskiego języka.

Ze mną stosunek jego był coraz to bliższy. Rozmawiał ze mną dużo i nareszcie zażądał, bym się uczyła z nim razem języka ludów, do których jechać zamierzał. Zgodziłam się na to i odtąd całemi godzinami pracowaliśmy razem.

Saint-John był cierpliwym i łagodnym, ale wymagającym nauczycielem. Słuchałam go i pragnęłam zadowolić, bo lękałam się prawie tej silnej, potężnej natury. Wywierał na mnie dziwny wpływ. Zdawało mi się, że jemu dziś, zarówno jak niegdyś panu Rochester, nie potrafiłabym stawić oporu w najdrobniejszej rzeczy. Jakże jednak różne były uczucia tego pobudki; tamtego kochałam sercem całem i zadowolić pragnęłam, temu ulegałam, przejęta strachem, gro-

zą niemal, pod wejrzeniem jego oczów chłodnych, głębokich, jak toń morska.

Tej uległości mojej Saint-John nadużywał co prawda: indyjskim językiem męczył mnie nad miarę, zadawał dużo, wymagał wiele.

W dodatku zaś, w szkole wiejskiej podjęłam się dawać parę lekcyj tygodniowo. Deszcz i słota nie mogły mnie od nich uwolnić. Dyjana i Maryja namawiały mnie często, bym została w domu. Brat ich odpowiadał na to zawsze, że jestem dość silną, by znieść zmiany powietrza i że owszem, powinnam przyzwyczajać się do tego. Nie śmiałam mu stawiać oporu i szłam nieraz przemokła i zziębnięta.

Pewnego dnia usiadłam do lekcyi z Saint-Johnem, smutniejsza niż zwykle. Myśli moje nie mogły oderwać się od wspomnień ubiegłych. Byłabym dużo dała za to, by módz w ciszy i spokojności pomarzyć trochę, poświęcić chwil kilka wspomnieniom.

Jak zawsze jednak tak i teraz, uległa woli mego nauczyciela, siadłam z nim do pracy. Było to jednak nad siły moje; czytanie przerwałam głośnem łkaniem i długo, długo uspokoić się nie mogłam.

Zostawił mnie parę minut w spokoju, a potem, zaproponował przechadzkę. Chciałam według zwyczaju zawezwać Maryi i Dyjany, by nam towarzyszyły; on jednak sprzeciwił się te-

mu stanowczo, żądając na dziś sam na sam ze mną pozostać.

A przechadzka ta na wieki pamiętną mi będzie; podczas niej bowiem Saint-John oświadczył się o moją rękę. Odmówiłam mu stanowczo, pomimo próśb jego i nalegań; a odmówiłam nietylko dlatego, że go nie kochałam, a duszą i sercem przywiązana byłam do pana Thornfieldu, a dlatego głównie, że nie kochał mnie on, że związek ze mną nie był dla niego celem, a środkiem jedynie, prowadzącym go do spełnienia jego idealnej misyi. Widział we mnie silną, wytrwałą i pracowitą kobietę, kobietę cierpliwą i woli jego posłuszną, to też zapragnął, bym mu w jego dziele nawrócenia pomocną być chciała. Żądanie jego nie ograniczyło się na prośbie, nalegał na mnie koniecznie, wymagał tego wprost odemnie w imieniu Boga, którego sprawie służył. Długo walczyć z nim musiałam, długo woli jego się opierać. Nie uległam jednak i podejmując się chętnie towarzyszyć mu jako siostra i pomocnica, wolną pozostać chciałam.

Propozycyi tej nie przyjął, uważając ją wprost za myśl grzeszną, i wyraził nadzieję, że Bóg natchnie mnie nie dziś, to jutro dobrą myślą, i doda sił do spełnienia tego, co uważał za mój obowiązek.

Odtąd niewesołe dni pędziłam w Moor-

House. Saint-John był poważny, surowy i obojętny względem mnie, nie mógł mi zapomnieć tego, że szczęście ziemskie przeniosłam nad chwałę Bożą, że świętej jego sprawie szkodziłam, by sobie dogodzić.

Nie byłam świętą—nie byłam aniołem. Byłam tylko kobietą, a zdawało mi się, że spełnić to, czego żądał odemnie Saint-John, nawet w imię najwznioślejszej idei, byłoby zbrodnią prędzej i świętokradztwem, niż zasługą.

Saint-John widząc, że surowem obejściem niewiele ze mną zrobi, na inną wszedł drogę. W imię miłości, w imię Boga co cierpiał na krzyżu, błagał mnie, bym się nie opierała i przyjęła ciężki, ale wzniosły obowiązek krzewicielki wiary, w ciemnych i upadłych masach. Zdręczona, znużona śmiertelnie ciągłem naleganiem, raz, gdy późnym już wieczorem zostaliśmy sami, przystać już chciałam. Powiedziałam mu, że gdybym pewną była, że wola jego zgodną jest z wolą Boga, zgodną z obowiązkami memi, spełniłabym życzenie jego.

Uniesiony nadziemską radością, przycisnął mnie do siebie, oczy wzniósł w górę i parę słów gorącej, dziękczynnej modlitwy z ust mu wybiegło.

Cisza zalegała dom cały, wszyscy oddawna udali się na spoczynek. Chwila była uroczysta,

a ja pod wpływem jego uroczystego nastroju, prawie szczęśliwą się czułam w tej chwili.

Naraz, rzecz dziwna stała się ze mną. Głos czysty, dźwięczny, donośny, zabrzmiał mi w uszach trzykrotnem wezwaniem: „Janino! Janino! Janino!

Odskoczyłam od Saint-Johna — przerażona, drżąca, a mimo to przejęta dziwną, nieopisaną rozkoszą. Głos to był znany mi dobrze, głos, któren wśród tysiąca innych rozróżnić bym potrafiła, głos pana Rochester!.. Byłam pewna, że jest tu gdzieś obok mnie, że czuwa nademną, i w chwili, gdy najcięższe grozi mi niebezpieczeństwo, ratować mnie przychodzi. Pobiegłam do okna, do drzwi, nadsłuchując wszędzie, wyglądając, czy nie ujrzę ukochanych rysów... napróżno. Raz jeszcze wołanie to doszło do uszów moich i wtedy na cały głos zawołałam:

— Idę! czekaj mnie, bo przychodzę!

I nie zwracając uwagi na Saint-Johna, któren zdumiony chciał mnie zatrzymać, wybiegłam do ogrodu. Było pusto zupełnie.

— Gdzie jesteś? — zawołałam.

— Gdzie jesteś? — odpowiedziało mi tylko echo gór Marsh-Glenu. Wiatr żałośnie zajęczał wśród świerków i cisza zaległa wśród skał i wrzosowisk.

— Precz złudo! — zawołałam przerażona czarnym jakimś cieniem, ukazującym się wśród

drzew gęstwiny— to nie ty, nie twoje dzieło— to dzieło natury, która potężnym w chwili stanowczej odezwała się głosem i wybawiła mnie od zguby.

Saint-John przyszedł za mną i chciał mnie wpół objąć. Wyrwałam mu się gwałtownie. Dziś ja panowałam nad nim. Uśpionej i zgnębionej, siły wzmogły się, mogłam walczyć i zwyciężyć. Prosiłam go, by mnie o nic nie pytał, i żadnych nie żądał objaśnień, by mnie opuścił, bo potrzebowałam i chciałam sama pozostać. Usłuchał. Ja wróciłam do swego pokoju, zamknęłam się w nim, upadłam na kolana i modlitwą gorącą, serdeczną, prawdziwą, choć bynajmniej do modłów Saint-Johna niepodobną, wzleciałam w niebo. Czułam, że czuwa nademną duch Boży i przed nim korzyłam się wdzięczna i skruszona. Powstałam i zdecydowana już, silna i spokojna, oczekiwałam dnia.

ROZDZIAŁ XXVII.

Nazajutrz wstałam skoro świt, i wszystkie rzeczy moje ułożyłam i przygotowałam mały pakunek, któryby mógł mi służyć na dni parę.

Słyszałam jak Saint-John wyszedł ze swego pokoju i przechodząc koło moich drzwi zatrzymał się przed niemi. Byłam pewna, że zapuka; ale wsunął tylko kartkę jakąś przez szparę od drzwi—i odszedł.

Na kartce owej przeczytałam, co następuje:

„Zanadto prędko opuściłaś mnie wczoraj. „Gdybyś była pozostała chwilę dłużej, byłabyś „z ręką na krzyżu Chrystusa poprzysięgła mi „wierność do śmierci. Za dwa tygodnie powró„cę i wtedy, ufam, że zastanę cię zupełnie zde„cydowaną. Przez ten czas czuwaj i módl się, „by cię Bóg chronił od pokusy. Zdaje mi się,

„że duch twój silny jest, ciało tylko słabe. Ja „ze swej strony modlić się za ciebie nie przestanę.”

Twój

Saint-John.

Oh! tak — pomyślałam — duch mój silny, ale i ciało silne, by wywalczyć to, co za dobro, za szczęście uważam.

Poranek, choć lipcowy, chłodny był i wietrzny, deszcz lał potokiem. Saint-John skierował się ku drodze prowadzącej ku Whitecross. W tę samą drogę i ja za parę godzin udać się miałam.

Pozostawała mi jeszcze godzina czasu do śniadania. Przechadzałam się po pokoju i myślą przebiegałam zdarzenia dnia poprzedniego. Głos ten, co nie pochodził z tego świata, wstrzymał mnie nad brzegiem przepaści. Dodał mi sił, energii, woli.

Postanowiłam, bądź co bądź, dowiedzieć się czegokolwiek o tym, którego tak bardzo kochałam. Listy były daremne; może osobiście dowiedzieć się czego w Thornfield potrafię — pomyślałam — i w tym celu wyjeżdżałam z domu.

Przy śniadaniu powiedziałam siostrom Rivers, że wyjeżdżam na kilka dni, by się dowiedzieć coś o przyjacielu moim, o którego bardzo niespokojna jestem.

Ze zwykłą sobie delikatnością nie pytały mnie o szczegóły i tylko zatrwożyły się, czy jestem dość zdrową, by taką podróż samotnie odbyć.

— Chorobą moją jest jedynie niepokój — odrzekłam. — Gdy się dowiem czegoś pewnego, zdrowszą będę i silniejszą.

Za parę godzin stałam znów na rozdrożu Whitecross, oczekując powozu, któryby mnie zawiózł do Thornfieldu. Przed rokiem jakże bardzo nieszczęśliwa i samotna czułam się w tem miejscu. Ileż przeszłam, ileż przez ten czas doznałam pociechy i cierpienia!

Droga moja trwała 36 godzin. Przed oberżą Thornfieldzką karetka zatrzymała się. Wysiadłam z niej i, zostawiwszy rzeczy, pieszo skierowałam się ku zamkowi. Był ukryty w zieleni drzew, tajemniczy, niewidzialny dla oka.

— Co się tam dzieje?— pomyślałam z trwogą — czy jest w nim pan mój, czy też błądzi po świecie? A jeżeli jest, co zrobię ze sobą? Wszak nie mogę podbiedz ku niemu i powiedzieć mu, jak bardzo go kocham, jak strasznie tęskniłam do niego. Wszak między nami stoi ta kobieta, waryjatka, a on obcym mi być powinien? Przychodziło mi na myśl, by dowiedzieć się czegoś w oberży i wracać — ale lękałam się złej jakiej wieści; niepewność była je-

szcze nadzieją. Szłam przed siebie z gorączkowym pośpiechem, z dziwnem drżeniem serca, radosnem i bolesnem zarazem.

Wiedziałam, że skoro wyjdę na polankę poprzedzającą ogród owocowy, ujrzę już wspaniały fronton zamkowy. Szłam ciągle, a dojrzeć go nie mogłam; nareszcie zwróciwszy się po za mur ogrodowy ujrzałam... zamek... ruinę. Fronton jego, wieżyce, kamienne słupy i sklepienia pomięszane w jedną chaotyczną masę, zczerniałe od dymu i płomieni, przedstawiały straszny okropny widok. Życie wokoło wymarło; trawniki i ulice jednako zarosłe zielskiem, świadczyły, że żywioł zniszczenia oddawna już zmienił w zgliszcza tę niegdyś rozkoszną siedzibę.

A ci co tu mieszkali? gdzie są? gdzie się schronili? Czy pod murami temi śmierć znaleźli? Czy poszli szukać schronienia do sklepień kaplicy Thornfieldu—do domów wiecznego spoczynku Rochestrów.

Zdrętwiałam na myśl podobną.

Potrzebowałam wyjść z niepewności, a po jakie takie objaśnienie należało mi się udać do oberży. Pobiegłam tam pospiesznie i, zamknąwszy się samna sam z gospodarzem, prosiłam go o chwilę rozmowy.

— Pan znałeś zapewne zamek Thornfield?— spytałam po chwili walki wewnętrznej.

— Tak pani, mieszkałem tam nawet cza jakiś.

— Pan? — zapytałam zdziwiona.

— Tak pani, byłem u nieboszczyka pana Rochester.

Nieboszczyka! a zatem cios, którego tak bardzo lękałam się, uderzył we mnie z całą siłą.

— Nieboszczyka! — powtórzyłam też szeptem prawie niedosłyszalnym.

— Mówię o ojcu pana Edwarda, dzisiejszego pana naszego — dodał.

Odetchnęłam. Te słowa upewniły mnie, że pan Edward, mój pan Rochester, żył dotąd. „Dzisiejszego pana!" Te słowa dodały mi siły. Teraz już mogłam usłyszeć wszystko, z względnym przynajmniej spokojem. Wiedziałam, że nie był w mogile—to dosyć, by znieść cierpliwie wieść, że się znajduje nawet na drugim końcu świata.

— Czy pan Rochester jest w Thornfield? — spytałam.

Wiedziałam, że przeczącą dostanę odpowiedź; bałam się jednak ostatecznej i stanowczej o miejscu jego pobytu wieści.

— Oh! nie pani! Tam nikt już nie mieszka — odpowiedział.— Musisz pani być z daleka, kiedy nie znasz całej tej historyi. Zamek od żniw przeszłorocznych jest ruiną zupełną.

Straszny pożar zniszczył go ze szczętem. Wybuchnął w nocy i zanim straż z Millcote przybyła, cały już stał w płomieniach. Był to przerażający widok.

— Jakaż przyczyna pożaru?—spytałam.

— Domyślają się jej, — odrzekł — ja zaś jestem prawie pewny. Nie wie pani może — dodał ciszej — że w zamku przebywała waryjatka.

— Słyszałam coś o tem.

— Mówiono o niej wokoło, ale nigdy jej nikt nie widział. Pan Rochester przywiózł ją z sobą i utrzymywali niektórzy, że była to dawna jego kochanka. Naraz, zeszłej jesieni, zdarzyła się rzecz dziwna.

— Ale cóż ta waryjatka? — przerwałam, lękając się usłyszeć mej własnej historyi.

— Ta waryjatka była żoną pana Rochester, a odkryło się to w dziwny sposób. W zamku była nauczycielka, w której pan...

— Ależ historyja pożaru—przerwałam znów cała drżąca.

— Właśnie do tego zmierzam— odparł spokojnie.— Otóż pan Rochester zakochał się w owej nauczycielce szalenie. Mówią, że chodził za nią krok w krok i umierał z miłości. Wiedzieli o tem służący, bo jak pani wiadomo, lubią oni zawsze szpiegować swych panów. Po-

wiadają też, że pan Rochester uwielbiał ją jak świętą, choć nikomu innemu piękną się nie wydawała. Była zawsze szczupła', mizerna i wyglądała dziwnie. Miała lat niespełna dwadzieścia, a pan Rochester czterdzieści, to też był nią tak oczarowany, że chciał się z nią ożenić.

— Opowiesz mi to pan później. Dziś, dla ważnych bardzo powodów, pragnę poznać historyję pożaru. Czy przypuszczano, że podpaliła zamek owa waryjatka?

— Właśnie też, proszę pani; dozorczyni jej, pani Poole, podpiła sobie i usnęła tak silnie, że szalona wyciągnęła jej klucze z kieszeni i podpaliła najprzód swój pokój, a potem łóżko nauczycielki. Szczęściem, tej ostatniej nie było już w Thornfield od miesiąca. Uciekła zaraz po wykryciu pierwszego małżeństwa pana Rochester i, pomimo, że ten szukał jej wszędzie, jak skarbu najdroższego, nie zdołano nigdzie jej odszukać. Nasz pan wpadł w skutek tego w stan dziwny. Nie było to obłąkanie, ale coś bardzo doń zbliżonego. Odprawił wszystkich służących, prócz Jana i jego żony; gospodynię swoją, panią Fairfax, odesłał do krewnych, zapewniwszy jej pensyję dożywotnią-

pannę Adelę oddał na pensyję; pozrywał ze wszystkiemi i zamknął się sam w zamku.

— Jakto? Więc nie opuścił Anglii?

— Anglii? Ależ pani, on nawet za próg domu nie wychodził nigdy! Czasami tylko, w nocy, jak widmo przesuwał się po alejach parku. Mówiono, że dostał pomieszania zmysłów; a i ja sądzę, że tak być musiało, bo przedtem był to człowiek czynny, energiczny i pełen zapalu. Znałem go i kochałem od dziecka; to też owej pannie Eyre życzyłbym z całego serca, by się była utopiła gdzie w drodze, jadąc do zamku Thornfield.

— A zatem, w czasie pożaru pan Rochester był w domu?

— Był i sam pomógł wszystkim do ucieczki. Wśród płomieni biegał z piętra na piętro, ratując ludzi, nakoniec pobiegł na dach, by sprowadzić ztamtąd waryjatkę, która stojąc na terasie, rzucała dzikie, przerażające krzyki. Widziałem ją wtedy i niezapomnę nigdy; z podniesionemi w górę rękoma, z rozwianym włosem, stała no szczycie zamku. Pan Rochester zbliżył się do niej, słyszeliśmy jak zawołał: „Berto!” i w tej samej chwili waryjatka rzuciła się z okrzykiem na dół i nieżywa upadła na bruk dziedzińca.

— Umarła!...

— Na miejscu, pani.

— Boże! — zawołałam.

— Straszne to było, wierzaj mi pani.

Zadrżałam.

— Cóż potem? — spytałam.

— Potem, dom spalił się cały i zostały po nim resztki tylko murów.

— Czy kto więcej nie poniósł śmierci?

— Nie, choć może lepiejby było skończyć mu odrazu.

— Komu? — spytałam.

— Biedny pan Edward! Nie myślałem nigdy, że doczekam tego. Utrzymują niektórzy że to słuszna kara za to, że ukrywszy pierwsze swoje małżeństwo, chciał pojąć drugą żonę, ja jednak żałuję go z całego serca.

— Ależ pan mówiłeś, że żyje!

— Tak, byłoby jednak lepiej, gdyby był umarł.

— Jakto? Dlaczego?

I znów serce ścisnęło mi się złowrogiem przeczuciem.

— Gdzie jest? — dodałam. Czy wyjechał z Anglii?

— Nie wyjechał, bo odtąd nigdy już, nigdzie wyjechać nie może.

Męki konania nie dądzą się porównać z męczarniami, przez które przechodziłam, a człowiek ten zdawał się umyślnie je przedłużać.

— Jest ślepy jak noc! — dodał w końcu — biedny pan Edward!

Myślałam, że oszalał — cios niemniej był okrutny. Drżąca, zapytałam co było przyczyną nieszczęścia.

— Odwaga i dobroć jego! W chwili dopiero kiedy pani Rochester rzuciła się z dachu, zaczął schodzić z piętra. W tej samej jednak chwili, część muru zawaliła się. Wyciągnięto go z pod ruin żywego, ale strasznie pokaleczonego. Belka przygniotła go w ten sposób, że jedno oko stracił natychmiast, a rękę miał zgruchotaną tak strasznie, że pan Carter musiał mu ją odjąć bezzwłocznie; wkrótce, wskutek oparzenia stracił drugie oko i dziś, jest ślepym na zawsze i kaleką.

— Ale gdzie jest? Gdzie mieszka teraz?

— W Ferndean, posiadłości oddalonej ztąd o jakie mil trzydzieści. Jest to miejscowość pusta zupełnie.

— Któż z nim mieszka?

— Stary John z żoną—nie chciał wziąć nikogo więcej ze sobą.

— Czy nie macie tu jakiegokolwiek bądź pojazdu?

— Mamy, proszę pani, bardzo ładny kabriolet.

— Każ pan do niego zaprządz natychmiast i powiedz woźnicy, że jeżeli przed nocą stanę w Ferndean, on i pan wynagrodzeni będziecie sowicie.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Ferndean, jest to posiadłość położona wśród lasów, w ustronnej i pustej okolicy. Słyszałam już o niej dawniej, bo pan Rochester jeździł tam czasami i wspominał, że ojciec jego nabył ten majątek dla mnóstwa zwierzyny, która się w nim znajdowała. Pan Edward byłby go chętnie wypuścił w dzierżawę, ale nie mógł znaleźć nikogo, ktoby zgodził się w tej odludnej i niezdrowej osiąść okolicy. Ferndean nie było nigdy zamieszkane, i tylko parę pokoi umeblowanych, służyło za miejsce odpoczynku myśliwym, w czasie świetnych polowań, które tam urządzano.

Przybyłam na miejsce przed nocą; odprawiłam woźnicę i pieszo doszłam do domu. Postępowałam aleją wytkniętą wśród lasu gęstwiny

i drogą tą doszłam do dziedzińca. Zamknięty był wprost na klamkę, otworzyłam ją i stanęłam przed domem, podobnym barwą do otaczających mnie drzew: ściany jego pokryte były mchem, wilgotne; a wązkie zakratowane okna, przykre robiły wrażenie.

Stanęłam i siły opuściły mnie nagle. Drzwi domu otworzyły się i w progu ukazała się znana mi postać pana Rochester. Wyciągnął przed siebie rękę i powoli zstępował ze schodów. Cofnęłam się, by mnie nie dostrzegł... W tej chwili przypomniałam sobie, że dostrzedz mnie nie może!

Postać jego, jak dawniej, była silna, ruchyi śmiałe; twarz nie zmieniła się na pozór. Rok cierpienia nie potrafił zatrzeć śladów młodzieńczej siły. Ale wyraz twarzy miał straszny! Zwierz dziki raniony i zamknięty w klatce,— orzeł pozbawiony wzroku, musiał być podobny do tego ślepego Samsona!

Zdawało się, że wyraz boleści przyrósł mu do twarzy, że każdy, ktoby się doń zbliżył z litością lub współczuciem, byłby odepchnięty ze wzgardą. Było coś dzikiego, coś namiętnie strasznego w tej twarzy.

Ja jednak nie lękałam go się w tej chwili. Szalona radość i szalone cierpienie ogarnęło mną w tej chwili. Z rozkoszą bolesną myślałam, że

wkrótce złożę pocałunek na tem czole, pooranem bruzdami, na tych zamkniętych powiekach. Teraz jednak, nie chciałam się zbliżyć do niego — postanowiłam zaczekać.

Zeszedł ze stopni przedsionka i postąpił ku zrodkowi gazonu. Wyciągnął przed siebie rękę, śamkniętemi oczyma powiódł wokoło i stanął pod drzewem z odkrytą głową. W tej chwili John zbliżył się do niego.

— Ulewa grozi — rzekł — może pan poda mi rękę, albo wróci do domu?

— Daj mi pokój;— odparł szorstko pan Rochester.

John cofnął się, nie dostrzegłszy mnie. Pan Rochester próbował się przejść, napróżno jednak. Po chwili wszedł do domu i drzwi zamknął za sobą.

Wtedy zapukałam do bramy.

Kobieta jakaś otworzyła mi ją. Poznałam ją natychmiast.

— Jak się masz, Maryjo?—rzekłam.

Zadrżała, jak gdyby ujrzała przed sobą widmo. Ścisnęłam jej rękę i weszłam z nią do kuchni, w której przed ogniem kominka siedział John.

Wytłomaczyłam im w krótkich słowach, że dowiedziawszy się o tem, co zaszło w Thornfield, przyjechałam odwiedzić pana Rochester i chciałam dziś u nich w kuchni przenocować.

W tej chwili odezwał się dzwonek.

— Powiedz panu Rochester, Maryjo, że ktoś pragnie go widzieć, nie wymieniając nazwiska mego — rzekłam do służącej.

— Wątpię, by się zgodził na to — odparła — przed wszystkimi każe zamykać drzwi.

Po chwili wróciła.

— Pyta jakie nazwisko pani i jaki jej interes.

Nalała szklankę wody i postawiła ją na tacy z dwiema świecami.

— Czy po to dzwonił? — zapytałam.

— Tak pani, pomimo, że jest ślepy, światło musi się palić codzień wieczorem.

— Daj mi tacę, zaniosę ją sama.

Wskazała mi drzwi od salonu. Taca drżała mi w ręku. Połowę wody wylałam ze szklanki, Serce biło mi jak młotem. Maryja otworzyła przedemną drzwi i zamknęła je potem.

Pokój był smutny. Słaby ogień palił się na kominku, a pochylony nad nim, z głową wspartą na ręku, stał biedny niewidomy. Stary Pilote leżał a nóg jego.

Gdy weszłam, pies nastawił do góry uszy, szczeknął i począł skakać wokoło mnie z radością. Postawiłam na stole tacę i, popieściwszy psa, powiedziałam zcicha:

— Do nogi, Pilote!

— Pan Rochester machinalnie zwrócił się w moją stronę, na dźwięk słów moich. Nie widział jednak nić, westchnął i odwrócił się.

— Podaj mi wodę, Maryjo—rzekł.

Podałam mu szklankę. Pilote wciąż kręcił się wkoło mnie niespokojnie.

— Do nogi, Pilote! — powtórzyłam głośniej.

— Co to jest? — zapytał pan Rochester — słuchał chwilę, wkrótce jednak wypił wodę i spokojnie oddał mi szklankę.

— Wszak to ty, Maryjo, nieprawdaż?

— Maryja jest w kuchni — odpowiedziałam.

Wyciągnął szybko rękę, ale nie mógł mnie dojrzeć i dosięgnąć nie zdołał.

— Kto tu jest? Kto tu jest? — wołał niespokojnie, z bolesnym wysiłkiem podnosząc powieki. — Odpowiadaj mi! Mów jeszcze!—zawołał tonem rozkazującym.

— Może panu podać jeszcze wody? — spytałam — bo połowę jej rozlałam w drodze.

— Kto tu jest? Kto to mówi? — powtarzał coraz niecierpliwiej.

— Pilote mnie poznał — odrzekłam — Jan i Maryja również mię znają, przybyłam tu dziś wieczorem.

— Wielki Boże! — zawołał — co za słodka ułuda! Jakiż rozkoszny szał mnie ogarnia?

— Tu niema ani szału, ani ułudy: ciało twoje zbyt silne, by poddać się pierwszemu, duch zbyt potężny, by się drugiej dał uwieźć.

— Gdzie jest ta, która mówi? — pytał. — Nie, to głos tylko, to sen! to mara! Widzieć jej nie mogę, ale niech jej dotknę, bo inaczej serce mi pęknie, głowa oszaleje! Ktokolwiekbądź jesteś, przybliż się, niech poczuję cię przy sobie, inaczej umrę!

Zaczął mnie szukać rękoma. Rękę jego drżącą uchwyciłam w moje dłonie i uścisnęłam mocno.

— To jej ręka! — zawołał — jej palce, jej delikatne dotknięcie; a więc i ona tu być musi!

Dłoń jego wyrwała się z rąk moich, dotykał kolejno twarzy mojej, ramion, szyi, i wreszcie chwycił mnie w objęcia.

— Czy to ona? — wołał. — Czy to Janina? To jej wzrost, jej twarz, jej ręce!

— I głos jej — dodałam — i serce zawsze to samo, niezmienione i oddane ci na wieki, drogi mój panie! Niech Bóg cię błogosławi a mnie da siłę do zniesienia szczęścia, którego doznaję przy tobie.

— Janina Eyre! Janina Eyre! — powtarzał nawpół przytomnie.

— Tak, drogi panie, ona sama, Janina Eyre, która odnalazła cię nareszcie i do ciebie powraca.

— Więc to ty jesteś? Ty, z krwi i kości Janino moja? Ty żywa? nie sen? nie ułuda?

— Dotykasz się pan mnie i trzymasz mnie dosyć mocno, by módz wątpić o tem; nie jestem przecię zimna jak trup, ani powiewna jak duch nieujęty.

— Moja ukochana przy mnie! Ona sama, bo czuję ją w objęciach moich. Ale to być nie może; po tylu cierpieniach, byłby to zbytek szczęścia. To musi być sen. Często w nocy śniłem, że czuję ją przy sercu, że ją całuję i pieszczę, że mnie ona kocha i nie opuści nigdy.

— Nie, panie, nigdy już nie opuszczę cię.

— Tak mi też zawsze wróżył mój sen, ale po przebudzeniu okrutne czekało mnie rozczarowanie. Byłem znów samotny i opuszczony; życie moje smutne i bez nadziei. Duch spragniony usychał z tęsknoty, serce zamierało z bólu: to też i teraz, słodkie ty moje widzenie, wiem, że rozpłyniesz się we mgle sennej; wiem, że jak siostry twe poprzedniczki, znikniesz. Ale przedtem pocałuj mnie jeszcze, Janino, pocałuj choć raz jeden.

— Najchętniej, panie mój!

Usta moje złożyły gorący pocałunek na tych błyszczących niegdyś oczach, dziś cieniem wiecznej nocy zamglonych. Podniosłam wgórę włosy jego i pocałowałam to czoło myślące a szlachetne.

Wzdrygnął się, jakby przebudzony i teraz dopiero zdawał się wierzyć, że nie jestem marą.

— To ty jesteś! wszak prawda... powróciłaś do mnie?

— Tak, panie.

— A więc nie jesteś zimnym trupem w przydrożnym rowie, nie leżysz na dnie rzeki, nie jesteś pogardzoną najemnicą u obcych?

— Nie, panie. Jestem dziś zupełnie niezależną.

— Niezależną? Jakto, Janino.

— Wuj mój z Madery umarł i zapisał mi pięć tysięcy funtów.

— Ah! — zawołał. — Teraz już wierzę, że to prawda. Taka rzecz śnić mi się przecież nie mogła! A zresztą słyszę, że to jej głos dźwięczny i słodki. Duch mój odżywa i raduje się. Jakto? Janino, jesteś więc dziś niepodległą i bogatą?

— Tak, panie, i jeżeli nie pozwolisz mi mieszkać ze sobą, mogę sobie zbudować dom tuż obok twego i zapraszać cię do mego salonu, ilekroć zapotrzebujesz towarzystwa.

— Tak, ale dziś, gdy jesteś bogatą, masz zapewne przyjaciół, którzy nie pozwolą ci poświęcić życia dla biednego ślepca!

— Powiedziałam już, że jestem równie niezależną, jak bogatą. Jestem panią siebie.

— I chcesz pozostać ze mną?

— Jeżeli tylko ty tego pragniesz, będę sąsiadką twoją, opiekunką, gospodynią. Znalazłam cię samotnym — będę ci towarzyszką; będę ci czytać, przechadzać się z tobą, służyć ci; będę okiem i ręką twoją. Nie smuć się dobry mój panie; dopokąd ja żyję, samotnym nie będziesz już nigdy.

Nie odpowiadał mi. Zdawał się smutny i zamyślony. Westchnął, otworzył usta, by przemówić—zamknął je i milczał uparcie. Zmieszałam się. Może zanadto gwałtownie wyskoczyłam z ofiarą moją, może znów zbyt mało robiłam sobie z form i przepisów towarzyskich, a on był tem niemile dotknięty. Ale, mówiąc tak, byłam przekonaną, że chce i pragnie mieć mnie za żonę. Jakkolwiek nie odezwał się z tem jeszcze, byłam jednak pewną, że upomni się o mnie, jak o własność swoją. Ale widząc jak uparcie milczy, pomyślałam, że postąpiłam sobie lekkomyślnie i probowałam uwolnić się z objęć jego. Przycisnął mnie silniej jeszcze do siebie.

— Nie! nie! — zawołał— nie odjeżdżaj odemnie. Słyszałem głos twój i poczułem cię w ob-

jęciach moich. Doznałem rozkoszy twego towarzystwa i radości, a pociechy, jaką słowa twoje w duszę mą wlewają. Wyrzec się już tego nie potrafię. Nie mam nic dla siebie. Ciebie posiadać muszę. Ludzie mogą się śmiać ze mnie, mogą nazywać mnie szaleńcem i egoistą. Mniejsza o to! Serce moje rwie się do ciebie, dusza moja potrzebuje duszy bratniej; inaczej, nie potrafi zwalczyć ciała i uleci z niego w świat inny.

— A więc zostanę z tobą, wszak ci to już powiedziałam.

— Tak, decydujesz się zostać dozorczynią moją, towarzyszką i opiekunką; chcesz mi poświęcić życie, bo masz dobre, kochające a szlachetne serce. Chcesz być opiekunką moją, a ja powinienem zadowolić się tem i dla ciebie żywić odtąd uczucie ojca i przyjaciela. Wszak o tem myślałaś?

— Będę myśleć, co panu się podoba — odrzekłam— zadowolę się rolą przyjaciołki i opiekunki, jeżeli panu z tem dogodniej będzie.

— Ale nią wiecznie pozostać nie możesz. Pójdziesz wkrótce zamąż.

— Nie pragnę iść za mąż.

— Powinnaś tego pragnąć. Gdybym był tem, czem byłem niegdyś, zmusiłbym cię do tego. Ale dziś nieszczęśliwy kaleka i ślepiec!..

Po tych słowach umilkł i znów pogrążył się w myślach; ja, przeciwnie, nabrałam odwagi i otuchy. Istotnie, słowa jego wskazały mi jasno, gdzie w oczach jego leży przeszkoda połączenia się naszego; a ponieważ przeszkoda ta w oczach moich nie istniała, byłam znów sobą, i z całą swobodą ciągnęłam już dalszą rozmowę.

— Czas wielki, by się ktoś zajął wychowaniem twojem — powiedziałam, rozgarniając gęste i długie włosy jego. — Dziś podobny jesteś do lwa dzikiego lub innego jakiego zwierzęcia; zapuściłeś włosy długie, jak orle pióra, muszę tylko zobaczyć, czy nakształt drapieżnych ptaków nie porosły ci pazury?

— U tego ramienia niema paznogci, ani nawet ręki — rzekł wyciągając z zanadrza rękę kalekę i pokazując mi ją. Straszny widok! wszak prawda, Janino?

— Tak, boleśnie jest patrzyć na nią, boleśnie jest patrzyć na te oczy zamknięte i blizny na czole; a co najgorsza, to to, że dlatego właśnie muszę cię kochać więcej jeszcze i boję się, byś z czasem nie stał mi się droższym nad wszystko na świecie.

— Myślałem, Janino, że na widok kalectwa mego i ran odwrócisz się odemnie?

— Jakto? i myślałeś to pan naprawdę? Nie mów mi tego, bo złą opinię mieć będę o sądzie

twoim. Ale teraz pozwól mi oddalić się trochę. Uporządkuję kominek i rozpalę ogień. Czy możesz go pan widzieć?

— Prawem okiem widzę blask pewien.

— A świece, widzisz pan także?

— Każda z nich przedstawia mi się jak jasny obłoczek.

— Czy i mnie także możesz dojrzeć?

— Nie, najdroższa, ale jestem niewymownie szczęśliwy, że mogę cię słyszeć i czuć przy sobie.

— O której pan jadasz kolacyję?

— Nie jadam jej nigdy.

— Ale dziś będziesz pan jadł. Jestem głodna i pan także, jestem tego pewną.

Zawołałam Maryi i pokój wkrótce wesołą przybrał postać. Przyrządziłam smaczny posiłek i z rozkoszą rozmawiałam z panem moim w czasie kolacyi i długo jeszcze potem. A rozmawiałam z całą swobodą, pewna, że wszystko, co powiem, spodoba się panu Rochester, że każde słowo moje będzie pociechą i radością dla jego serca.

Byłam szczęśliwa! Czułam, że ja w nim żyję, a on żyje we mnie; widziałam, że czoło jego promieniało radością, na ustach igrał od czasu do czasu uśmiech rozkoszny, a cała twarz nabierała wyrazu szczęścia bez granic.

Po kolacyi dópytywać mnie zaczął o życie moje i otoczenie przez ten czas ubiegły. Dawałam odpowiedzi wymijające. Nie chciałam go drażnić ani rozrzewniać, dziś chciałam go tylko rozweselić, po części udało mi się to. Chwilami wprawdzie powracał do dawnej zadumy, ale wogóle czuł się szczęśliwym, co chwila przyciskał mnie do piersi, pytając niespokojnie:

— Wszak jesteś przy mnie? Jesteś istotą ludzką i nie odbiegniesz mnie, Janino?

— Nie, panie. Możesz być zupełnie spokojnym.

— Ale jakim sposobem znalazłaś się tu w ten posępny i smutny wieczór? Jakim sposobem na zawołanie moje ty odpowiedziałaś?

— Bo nie Maryja, a ja przyniosłam tacę do pokoju.

— Godziny z tobą spędzone lecą jak zaczarowane. Nikt pojąć nie może, jak bardzo smutne i bez nadziei życie wiodłem dotąd. Nie robiłem nic, niczego się nie spodziewałem. Czułem zimno wtedy tylko, gdy ogień przygasł na kominku; głód— wtedy, gdy jeść zapomniałem, a wiecznie tylko nieprzepartą tęsknotę za Janiną moją. Oh! stokroć więcej brakowało mi jej serca i głosu, niż utraconego wzroku. Toteż dziś uwierzyć temu nie mogę, by ona siedziała tu ze mną i zdaje mi się wciąż, że jutro jej już

nie będzie, że zniknie w równie tajemniczy sposób, jak mi się ukazała.

Najlepszą odpowiedzią na takie przywidzenia był zwrot do okoliczności powszedniego życia, dalekich od uczuć i niepokojów, które go zajmowały. Przesunęłam ręką po brwiach jego, zauważyłam, że były zupełnie spalone i zaręczyłam mu, że, gdy się do nich zabiorę, odrosną wkrótce tak gęste i czarne, jak były poprzednio.

— Na cóż się zda dobroć twoja, jasny mój aniele, kiedy musi przyjść chwila, w której mnie opuścisz, znikniesz jak cień, a ja napróżno znów gonić cię i szukać będę!

— Niema pan czasem przy sobie grzebyczka?—spytałam.

— Na co?

— Chciałam rozczesać twoją czarną czuprynę — odrzekłam. — Jesteś straszny z włosami w nieładzie, i, jeżeli ja w istocie przypominam ci wróżkę, ty robisz na mnie wrażenie szatana.

— Czy bardzo jestem brzydki, Janino?

— Bardzo, nie wypiękniałeś bynajmniej od ostatniego widzenia się naszego.

— Jakto! Ci z którymi mieszkałaś nie oduczyli cię dawnej złośliwości?

— A jednak byli to ludzie bardzo dobrzy, szlachetni. Myśli ich i uczucia były stokroć podnioślejsze niż twoje.

— Któż to był u licha?

— Nie kręć się pan tak, bo powyrywam mu wszystkie włosy, a wtedy już z pewnością nie będziesz wątpił o rzeczywistości mego zjawienia się w twych progach.

— Z kim mieszkałaś?—powtórzył!

— Nic panu dziś nie powiem, poczekaj do jutra. Niedokończona historyja będzie mi rękojmią, że jutro znów zawezwiesz mnie do siebie. A przyjdę już nie ze szklanką wody. Conajmniej przyniosę ci parę jaj i szynki trochę.

— Trzpiocie ty mały! — zawołał. — Dziecię gromów i wróżek! Doznaję przy tobie uczucia, którego nie doświadczałem od roku. Gdyby Saul zamiast Dawida ciebie miał przy sobie, zły duch byłby zaklęty bez pomocy harfy.

— Dobranoc panu! — zawołałam. — Teraz jesteś już znośniejszy z ugładzonemi włosami, dobranoc, bo po trzydniowej podróży jestem śmiertelnie zmęczona.

— Jeszcze słówko, Janino! Czy w domu, w którym przebywałaś były same kobiety?

W odpowiedzi wybiegłam z pokoju ze śmiechem i śmiałam się jeszcze wchodząc na schody...

— Doskonała myśl! będę go mogła przynajmniej przez parę dni wyrwać z zadumy i apatyi —pomyślałam.

Nazajutrz od świtu chodził pod memi drzwiami i coraz to pytał Maryi: czy panna Eyre już wstała? Czy jej czego nie trzeba? W którym pokoju stoi? Czy niema tam wilgoci, stół jaki i t. d.

O zwykłej godzinie śniadania zeszłam na dół. Cichutko wsunęłam się do pokoju pana Rochester. Nie wiedział, że tam jestem, to też dowoli mogłam mu się napatrzyć. Smutne robiło wrażenie to czoło atlety zgnębione i przybite kalectwem. Siedział na fotelu spokojny napozór, wyraziste jednak rysy jego świadczyły o bolesnem rozdrażnieniu, które snać drugą stała się u niego naturą. Niemoc jego przygnębiła mnie. Chciałam być wesołą, swobodną, a łzy do ócz mi się cisnęły. Zapanowałam nad sobą i żywo ku niemu podeszłam.

Twarz jego w jednej chwili rozjaśniła się.

— Jest już moja ptaszyna! — zawołał. — Jest! nie odleciała biednego kaleki! Przed chwilą jedna z siostr twoich—jaskółka, szczebiotała przed oknem. Głuchy byłem na jej szczebiot, tak, jak ślepy dziś jestem na promienie słoneczne. Dla mnie jeden już tylko głos ma dźwięki urocze— głos Janiny mojej. Dzięki ci jedyna, że pozwalasz mi go słyszyć, że jesteś dla mnie ślepego jasnym dnia promieniem!

Orzeł uwięziony zwrócił się po jałmuż-

nę do... wróbla. Nie chcąc rozpłakać się na dobre, zajęłam się śniadaniem.

Cały ranek spędziliśmy na świeżem powietrzu. Z wilgotnego ciemnego lasu wyprowadziłam go na polankę jasną i wesołą, zrobiłam mu wygodne miejsce na pniu drzewa i nie wzdragałam się usiąść na jego kolanach. Byliśmy tak szczęśliwi jedno obok drugiego! Cisza wokoło nas była zupełna. Otaczając mnie ramieniem swoim, zawołał:

— Zbiegu mój mały! Nigdy pojąć nie zdołasz, co działo się ze mną, gdy spostrzegłem, że uciekłaś z Thornfieldu. Szukałem cię wszędzie napróżno, a gdy nareszcie spostrzegłem, że nie wzięłaś ze sobą ani pieniędzy, ani klejnotów, niepokój mój nie miał granic. Co zrobi ukochana moja, samotna, opuszczona i biedna?—myślałem.— Jak wyżyć potrafi? Gdzie się zwróci o pomoc? Powiedz mi, jak sobie dałaś radę na świecie?

Opowiedziałam mu wtedy, jak przepędziłam ten rok zdala od niego, łagodząc, o ile się dało, wrażenie onych trzech dni, podczas których włóczyłam się głodna i spragniona od progu do progu. Po co mu było dodawać goryczy, gdy i to, co mu powiedziałam, zbyt silne na nim zrobiło wrażenie.

Powiedział mi wtedy, że powinnam była za-

ufać mu,—że nigdy przemocą nie byłby wpływał na przekonania moje.

— Tyranem jestem — mówił — gwałtownym i namiętnym, ale kochałem cię zanadto, by użyć przemocy tam, gdzie prośba nie pomogła. Połowę majątku byłbym ci oddał, nie żądając nic wzamian, byle nie cierpieć myśli o nędzy twej, opuszczeniu i niedoli.

— Cierpiałam ją — odrzekłam — ale niedługo! Wkrótce znalazłam serca poczciwe i dach nad głową.

Tu opowiedziałam mu losów moich koleje. Nazwisko Saint-Johna często powracało mi na usta. To też, jak tylko skończyłam opowieść moją, pan Rochester zapytał:

— Ten Saint-John, to kuzyn twój, Janino?

— Tak, panie.

— Mówiłaś o nim tak dużo! Czy go kochasz?

— Nie mogłam go niekochać. Był dla mnie taki dobry.

— Tak, jest to zapewne człowiek piędziesięcioletni, poczciwy i zacny. Czy tak Janino?

— Saint-John ma lat 29.

— A zatem można go jeszcze nazwać młodym. Brzydki jest zapewne, nizki, szczupły i niepozorny; z tych ludzi prawdopodobnie, co to

raczej dobrzy są dlatego, że źle nie czynią, niż dlatego, by czynić mieli dobrze!

— Jestto człowiek niezmordowanej pracy, a celem życia jego jest spełnianie wzniosłych i szlachetnych czynów.

— Głowa jednak musi być niętęga. Pragnie robić dobrze, ale z tego pragnienia nikomu nic nie przyjdzie.

— Mówi mało — odrzekłam — ale to, co powie, warte jest słyszenia. Umysł ma rozwinięty, a charakter i siłę woli nieugiętą.

— Ah! więc to ideał!...

— Tak, prawdziwy ideał.

— Wykształcony?

— Gruntownie i wszechstronnie.

— Ale, mówiłaś mi, że układ jego i obejście raziły cię; ma być zarozumiałym pedantem?

— O jego układzie nic nie mówiłam i, jeżeli on mi się nie podoba, dowodzi to jedynie złego gustu mego, bo układ ten jest szlachetny, pełen spokoju i powagi.

— Ale co mi mówiłaś o powierzchowności jego? Wyobrażam już sobie sztywnego pastora, zasuszonę figurkę woskową, w sztywnych kołnierzykach i ciężkich butach.

— Saint-John ubierał się skromnie, oczy miał wielkie, błękitne, a profil czysto grecki.

— Żeby go wszyscy dyjabli wzięli! — mruknął pod nosem, a potem — kochałaś go Janino? — zapytał.

— Kochałam go, ależ już raz pytałeś mnie pan o to.

Zazdrość szalona ogarniała pana Rochester; widziałam, że jadowite jej żądło coraz to głębiej wciska się w drogie mi serce. Czułam jednak, że to jedyny sposób wyrwania go z apatyi i zadumy, to też nie spieszyłam się z ulgą w tym razie.

— Może pani nie życzy sobie dłużej siedzieć u mnie?—zapytał.

— Dlaczegóżby nie?— odrzekłam.

— Bo wtedy, gdy się ma przed oczyma duszy postać Apolina — ideał piękna, zręczności i cnoty,—widok takiego, jak ja Wulkana, prostego pnia o szerokich barkach, ogorzałej cerze, ślepego, w dodatku i kaleki, miłym być nie może...

— Nie przyszło mi to nigdy na myśl, ale istotnie pan bardzo jesteś podobny do Wulkana...

— A zatem— proszę mnie opuścić — zawołał, przyciskając mnie namiętnie do siebie—proszę odejść, wprzód jednak dawszy mi odpowiedź na dwa zapytania.

— Jakie mianowicie?

— Saint John wystarał się pani o ową posadę w szkółce, zanim jeszcze wiedział o istniejącem między wami pokrewieństwie?

— Tak.

— Widywałaś go często. Przychodził zapewne od czasu do czasu do szkoły?

— Codziennie, panie.

— Zgadzał się na twoje poglądy?

— Najzupełniej.

— I odkrywał w tobie coraz to nowe zalety i przymioty?

— O tem nic nie wiem.

— A do twego mieszkania czy zachodził kiedy?

— Bardzo często.

— Wieczorem?

— Dwa czy trzy razy.

Pąn Rochester nmilkł na chwilę.

— Jak długo bawiłaś u nich jako kuzynka?

— Pięć miesięcy.

— Czy Riwers dużo czasu przepędzał w twoem towarzystwie?

— Całe dnie. W saloniku pracowaliśmy zwykle razem; on siadał pod oknem, a my przy stole.

— Czy dużo pracował?

— Bardzo wiele.

— A nad czem?

— Nad językiem Indusów.

— A ty co robiłaś przez ten czas?

— Z początku uczyłam się niemieckiego języka.

— Czy on ci w tem dopomagał?

— Bynajmniej, nie znał sam tego języka.

— Nie uczył cię niczego?

— Owszem, trochę indostańskiego.

— Jakto! Rivers uczył cię tego dzikiego języka?

— Tak, panie.

— Czy i siostry jego uczyły się z nim?

— Nie.

— Ty tylko?

— Tylko ja.

— Czy prosiłaś go o to?

— Nie.

— Więc on tego żądał?

— Tak.

Pan Rochester umilkł na chwilę.

— Dlaczego tego pragnął? —zapytał w końcu. — Dlaczego chciał, byś znała ten język?

— Chciał, żebym z nim razem jechała do Indyi.

— Ah! teraz zgaduję. Chciał się z tobą ożenić!

— Istotnie, chciał żebym żoną jego została.

— To nieprawda! To kłamstwo bezczelne, bajka jakaś, którą mi opowiadasz, by mnie podrażnić i rozgniewać!

— Przepraszam pana, jestto najświętszą prawdą, oświadczył mi się nieraz jeden, i nalegał na mnie dużo usilniej niż byś to pan uczynić był zdolny.

— Panno Eyre! Powiedziałem ci już, że możesz mnie opuścić! Ileż razy mam ci powtarzać jedno i to samo? Zkąd ten upór i dlaczego siedzisz pani na moich kolanach wtedy, gdy ci po tyle razy powtarzam, że chcę sam pozostać.

— Dlatego, że mi tu jest dobrze—odrzekłam najspokojniej.

— Nie, Janino, nie jest ci tu dobrze, bo serce twoje jest zdala odemnie, jest ono przy twoim kuzynie, Saint-Johnie. Oh! dotąd wierzyłem, że jesteś istotnie moją, wierzyłem wtedy nawet, gdy mnie opuściłaś, że kochasz mnie podawnemu, że myślą i sercem ze mną jesteś. Była to jedyna pociecha i otucha moja w dniach ciężkiej boleści i rozpaczy. Wierzyłem, że rozłąka nasza choćby wieczną była, nie będzie zupełną, że ty innego pokochać nie zdołasz, że wierną mi zostaniesz. Dziś, smutek mój i żal daremny! Wiem, że wszystko stracone. Janino, opuść mnie i idź za Riversa.

— Chyba mnie pan od siebie odepchniesz, bo z własnej woli nie odejdę cię nigdy.

— Janino! Głos twój wydaje mi się zawsze szczęścia przepowiednią—jest w nim coś, co mi nadzieję zwiastuje, co mnie do życia pobudza. Przypomina mi przeszłość i każe zapominać, że nowemi już jesteś skrępowana więzami. Szaleńcem jednak nie jestem i dlatego powtarzam raz jeszcze: Opuść mnie, Janino!

— Po co?

— Po to, by pójść za wybranem mężem.

— Któż on jest?

— Wiesz o tem dobrze, to Saint-John Rivers.

— Nie jest mężem moim i nigdy nim nie będzie. Nie kocham go i on mnie nie kocha. Miłość jego posiada piękna młoda dziewczyna, Rozamunda Oliver, a nie żeni się z nią dlatego, że nie jest zdolną dzielić z nim misyjonarskich trudów i prac jego. Chciał mnie wziąć za żonę dlatego jedynie, żem ja właśnie przydatną była do celów jego. Jestto człowiek dobry i szlachetny, ale jednocześnie surowy i zimny jak lód w moich oczach. Nie podobny jest do pana; nie kocha mnie tak, jak pan kochasz. Nie ma dla mnie uczucia, nie widzi we mnie żadnych wdzięków, żadnych powabów: uważa mnie jedynie za narzędzie do celów swoich przy-

datne. Pragnie mnie posiadać dla idei swojej, nie zaś dla siebie. A teraz, panie Rochester, powiedz mi pan, czy można cię opuścić i iść za Saint-Johna Riversa?

Zadrżałam mimo woli i silniej przycisnęłam się do piersi pana mojego. On zaś uśmiechnął się.

— Czy to, co mi tu powiedziałaś, prawdą jest, Janino? Czy istotnie między tobą a Riversem nie było nic więcej nad to, co mi mówisz?

— Nic nad to, panie mój — odrzekłam — i wierzaj mi, nie masz być o co zazdrosnym. Chciałam cię tylko podrażnić trochę i wyrwać ze smutku i przygnębienia. Sądziłam, że lepiej, byś się gniewał niż rozpaczy oddawał. Pragniesz miłości mojej? Oh! gdybyś wiedział jak bardzo, jak gorąco cię kocham, byłbyś miłością tą dumny i szczęśliwy. Serce moje całe do ciebie należy i należeć nie przestanie, choćby los rozdzielić nas miał na wieki.

Uścisnął mnie, ale zdawał się być wciąż pod wpływem smutnych i przygnębionych myśli.

— Oh! życie moje złamane, mój wzroku zagasły — szepnął tonem głębokiej boleści.

Upieściłam go, by odegnać smutne mary od duszy jego. Wiedziałam, o czem myśli, chciałam mówić za niego—nie śmiałam jednak.

Odwrócił się. Po chwili ujrzałam jak łza rzewna spłynęła mu z pod zapadłych powiek. Serce moje wezbrało boleśnie.

— Cóż ja dziś wart jestem — przemówił.— Tyle, co stary kasztan piorunem strzaskany w ogrodzie Thornfieldzkim. Czyż taka ruina miałaby prawo żądać, by młoda i świeża, pełna życia latorośl wsparła się na niej bezpiecznie i z ufnością?

— Nie jesteś pan ruiną, nie jesteś drzewem powalonem burzą i piorunem: jesteś młody i silny. Młode latorośle śmiało mogą szukać przytułku pod cieniem konarów twoich, śmiało wesprzeć się o ciebie, bo siła twoja i potęga będzie im rękojmią opieki i bezpieczeństwa.

Uśmiechnął się znów—udało mi się więc pocieszyć go trochę.

— Czy mówisz o przyjaciołach, Janino?

— Tak—odrzekłam z wahaniem.

Myślałam o czem innem, ale trudno mi było słów dobrać. Przyszedł mi z pomocą.

— Ale — rzekł — Janino, ja pragnę mieć żonę.

— Pan?

— Tak, czy cię to dziwi?

— Nie mówiłeś mi nigdy o tem.

— A wieść ta pożądaną nie jest dla ciebie. Wszak prawda?

— To zależy od okoliczności, zależy od wyboru twego.

— Ty zrób go za mnie, polegam zupełnie na twojem zdaniu.

— A więc, wybierz pan tę, *która cię najwięcej kocha.*

— Ja jednak wolałbym wybrać tę, *którą kocham najwięcej.* Janino, czy chcesz być moją?

— Chcę, panie.

— Jakto? Chcesz być żoną niewidomego kaleki, o lat dwadzieścia starszego od siebie, którego trzeba będzie pielęgnować?

— Tak, panie.

— Czy naprawdę, Janino?

— Niezawodnie, panie.

— Najdroższa moja! — zawołał — niech Bóg cię błogosławi i nagrodzi ci szczęście moje.

— Panie Rochester! jeżeli kiedykolwiek w życiu spełniłam dobry uczynek, jeżeli kiedy szczere jakie pragnienie powstało mi w duszy, myśl czysta w umyśle, szlachetne w piersi uczucie, dziś wszystko to nagrodził mi Bóg sowicie. Być twoją żoną to dla mnie szczyt szczęścia na ziemi!...

— Bo lubisz się poświęcać dla szczęścia drugich.

— Poświęcać się! — zawołałam. — I cóż ja tu poświęcam? Cierpienie i tęsknotę najwyższą,

a w zamian biorę szczęście bez granic. Samotną mą dolę zamieniam na życie z tobą, nabywam praw do serca twego; wiem, że od dziś dnia wolno mi zawsze ukochanego mego otoczyć swem ramieniem, usta do ust jego przycisnąć, szukać u niego rady i wsparcia, pomocy i siły. Ah! jeżeliby to własnem poświęceniem nazwać można, niezawodnie nad wszystko na świecie poświęcać się lubię!

— Ależ Janino, czy myślisz o tem, że znosić będziesz musiała niedołęztwo moje, kalectwo i chorobę?

— Wszystko to niczem jest dla mnie, kocham cię całą duszą; a dziś gdy opieki mojej potrzebujesz, stokroć jeszcze więcej niż w chwilach, gdy dumny i szczęśliwy dawać tylko chciałeś i mnie łaski świadczyć.

— Dotąd nie przyjmowałem niczyjego wsparcia ani pomocy—niczyjej litości. Dziś wszystko to z rąk twoich najwyższą mi będzie rozkoszą. Nie chciałem wesprzeć się na ramieniu służących—ale na drobnej rączce Janiny mojej wesprę z rozkoszą, słowo współczucia od niej balsamem będzie dla zbolałej mej duszy. Wolałem dotąd samotność zupełną, nad dozór najemników, dziś opieka Janiny mojej, będzie mi szczęściem jedynem, bo kocham ją nad wszystko, bo ona

nad wszystko na świecie. Ale czy ona kocha mnie równie silnie?

— Więcej, niż pojąć zdołasz.

— A więc teraz nic już nie stoi nam na przeszkodzie, żadna siła ludzka do rozłąki ni zwłoki znaglić nas nie zdoła—musimy się pobrać natychmiast.

Wyraz jego twarzy i ton głosu dawnej nabrał energii, siły, drżały w nim dźwięki namiętności i zachwytu.

— Musimy się połączyć bezzwłocznie. Jak tylko konieczne formalności spełniónemi zostaną.

— Panie Roschester, słońce już zachodzi, Pilote nas odbiegł; pozwól mi zobaczyć na twoim zegarku która godzina?

— Weź go sobie, Janino, mnie on dziś nie potrzebny.

— Czwarta dochodzi. Czy nie jesteś pan głodny?

— Za trzy dni ślub nasz musi się odbyć, Janino pal kaci brylanty i gałganki, wszystko to nie warte funta siana!...

— Słońce osuszyło już krople rosy; wiatr się uspokoił, powietrze jest ciche i wonne.

— Czy wiesz, Janino, że twój naszyjnik z pereł do dziś dnia noszę na piersi. Od chwili, gdy utraciłem skarb mój jedyny, ceniłem tę drobnostkę, jako pamiątkę drogą.

— Wrócimy przez las —przerwałam, odwódząc wciąż myśl jego od jednego i tego samego przedmiotu.—Droga będzie więcej cienistą i chłodniejszą.

On jednak nie słuchał mnie, jedną wciąż myślą zajęty.

— Janino—ciągnął—wiem, że uważasz mnie za psa niewiernego, a jednak, gdybyś widzieć mogła jak serce moje wezbrane jest wdzięcznością dla Boga dobrego. On widzi jaśniej niż ludzie, sprawiedliwszym jest sędzią. Dzięki, jeszcze nie wyrządziłem ci krzywdy Janino. Chciałem podeptać niewinny kwiatek, odebrać mu świeżość jego i krasę; Bóg wszechmocny wyrwał mi z ręku ofiarę, a ja, pyszny i niewdzięczny złorzeczyłem Mu wtedy, przeklinałem Go niemal, zamiast schylić w pokorze czoło przed wyrokiem Jego, buntowałem się, Sprawiedliwość jednak przedwieczna nie wchodziła ze mną w rachubę, i dalej ciągnęła dzieło swe. Nieszczęścia ścigały mnie, byłem już u wrót śmierci. Kara wszechmocnego musiała być zastosowaną do win moich. Nareszcie zesłał mi Bóg karę, która skruszyła mą pychę, pod jej ciosem duma żabita, zmieniła się w pokorę. Wiesz, że pyszniłem się siłą, dziś jak słabę dziecię potrzebuję ręki, któraby mnie wiodła. Od bardzo niedawna, Janino, nauczyłem się dostrzegać rękę Boga w jego dziełach. Wtedy dopiero wyrzuty sumienia i

skrucha wstąpiły w mą duszę, wtedy dopiero zapragnąłem pojednać się z moim Twórcą, wtedy modlić się zacząłem, a modlitwy moje były krótkie ale szczere i gorące.

— Przed parą dniami w poniedziałek, jeżeli dobrze pamiętam, byłem w dziwnem usposobieniu. Boleść moja przeszła w rodzaj obłędu, smutek w zaciętą walkę namiętną; powtarzałem sobie wciąż z rozpaczą, że nie żyjesz już chyba, gdy po tylu poszukiwaniach odnaleźć cię nie mogę. Tego wieczoru przed udaniem się na spoczynek, gorąco prosiłem Boga, by mi śmierć zesłał i przeniósł mnie w świat inny, w którymbym mógł widzieć ukochaną moją. Siedziałem w pokoju swoim przy otwartym oknie, oddychając pełną piersią wonnem powietrzem pogodnej nocy, nie widząc gwiazd na niebie, a światło księżyca dla mnie było tylko jasną smugą wśród ciemnej przestrzeni. Tęskniłem do ciebie, Janino, tęskniłem duszą i ciałem i sercem strapionem, bolejącem, pytałem Boga, czy niedość jeszcze cierpiałem? Czy po tylu mękach i cierpieniach nie będzie mi nakoniec dano zakosztować spokoju, spoczynku?... Uznawałem, że męki moje zasłużone są i sprawiedliwe, ale czułem, że trudno mi będzie znieść ich dłużej. Mimo wiedzy pragnienie duszy na usta mi wybiegło i zawołałem: „Janino! Janino! Janino!”

— Czy pan głośno wymówiłeś t- wyrazy?

— Tak, Janino, i gdyby mnie kto był słyszał, byłby mnie wziął za waryjata, bo wymówiłem je z dzikim, namiętnym szałem—wykrzyknałem niemal.

— Było to zatem w poniedziałek około północy? — spytałam.

— Tak, ale mniejszą o dzień i godzinę, słuchaj i uważaj dalej. Weźmiesz mnie za zabobonnego człowieka, a ja przyznaje wistocie, że byłem nim zawsze cokolwiek. Czy prawdą jest to co ci powiem nie wiem; wiem jednak, że słyszałem to co ci opowiadam. W chwili, gdy zawołałem po trzykroć „Janino!” głos jakiś niewiem czyj i zkąd pochodzący odpowiedział mi: „Czekaj—bo przychodzę”. W chwilę potem, w powietrzu rozbrzmiało pytanie: „Gdzie jesteś?”

— Chciałbym określić ci wrażenie jakie głos ten zrobił na mnie, Janino; wątpię jednak bym to zdołał uczynić. Wiesz, że Ferndean położone jest wśród lasów i że głos każden, który tu dojdzie musi być echo. „Gdzie jesteś?” musiało być wymówione na górze jakiejś, bo powtórzyły te wyrazy kilkakrotnie echa. W tej chwili łagodny powiew wiatru owionął mi skronie. Doznałem uczucia, jak gdybym spotkał się z tobą w ustroni jakiej cichej, i sądzę, że wistocie duchy nasze spotkać się wtedy musiały. Prawdopodobnie ty spałaś, a duch twój z więzów cielesnych uwolniony, pobiegł ku mnie, by mnie po-

cieszyć—bo pewien jestem, że to był twój głos Janino.

Tajemne ostrzeżenie co uratowało mnie z nad brzegu przepaści, w poniedziałek także mnie nawiedziło. W te słame słowa odpowiedziałam na głos tajemny. Opowiadania pana Rochester słuchałam w milczeniu, bo dziwna ta chwila wydała mi się tak świętą, uroczystą i wielką, że nie śmiałam mówić o niej. Zresztą, opowieść moja byłaby może zbyt silne zrobiła wrażenie, na skołatanym, przybitym cierpieniami i troską umyśle pana mego.

— Nie dziwże się teraz, że wczoraj wieczorem, gdy ukazałaś się tutaj, wziąłem cię za widmo, za sen, za ułudę. Że pewien byłem, iż pierzchniesz, w mgle się rozwiejesz, tak jak tajemniczy szmer lasu, jak echo górskie co mi niedawno dźwięki twego głosu przyniosły. Dziś widzę, że jesteś w rzeczywistości i dzięki za to Najwyższemu składam.

Powstał, odkrył głowę, podniósł ku niebu zamknięte źrenicę i chwilę stał tak zatopiony w zadumie.

Modlił się, bo wreszcie wyszeptał ustami słów parę, a końcowe były dźwiękiem modlitwy.

— Dzięki ci Boże — mówił -- że w karaniu twem miłosierdzie mi okazałeś, dzięki ci panie! Błagam Cię Zbawicielu, dodaj mi sił po-

trzebnych, bym inne odtąd, lepsze wiódł życie.

Wyciągnął rękę i prosił, bym go prowadziła. Ukochaną tą dłoń przycisnęłam do ust, a potem otoczyłam nią szyję moją. Byłam tak niską w porównaniu z nim, że śmiało służyć mu mogłam jednocześnie za przewodnika i podporę.

Drożyną wiodącą przez las powróciliśmy do domu.

ROZDZIAŁ XXIX.

Zakończenie.

Nareszcie zostałam żoną pana Rochester.

Ślub nasz odbył się cicho, w obecności tyl- księdza i organisty.

Gdyśmy wrócili do domu, weszłam do kuchni, w której Maryja gotowała obiad, a mąż jej czyścił naczynia kuchenne.

— Maryjo — powiedziałam— dziś rano odbył się ślub mój z panem Rochester.

Służba nasza należała do tego rodzaju ludzi, co nie lubią objawiać zdziwienia swego zbyt głośno, to też Maryja spokojnie odrzekła:

— Czy być może, pani? A mąż jej otworzywszy szeroko usta i podrapawszy się w głowę, rzekł:

— Dawno spodziewałem się, że na tem się skończy, i że pan Edward (stary sługa często go

tak nazywał) zrobi to prędzej lub później. Prawdę mówiąc—dobrze że się tak stało.

Wręczyłam im obojgu po sztuce pięciofrankowej, przeznaczonej na ten cel przez pana Rochester. Wieczorem, gdy przechodziłam koło kuchni, słyszałam jak John wyrażał się z uznaniem o wyborze pana mego.

— Lepiej, że wziął ją, niż jaką wielką damę—mówił— nie jest wprawdzie piękną, ale jeszcze się taką wydaje, a dobra jest i łagodna.

O zmianach jakie zaszły w mem położeniu napisałam natychmiast do Moor-House. Dyjana i Maryja odpisały mi, że cieszą się szczęściem mojem, i przyjadą nas odwiedzić, jak tylko nacieszymy się szczęściem naszem.

— Zadługo by im przyszło czekać w takim razie — zawołał pan Rochester. — Cieszyć się sobą nie przestaniemy nigdy, a promienie szczęścia zagasną dopiero nad moją lub twoją, Janino, mogiłą.

Co o postanowieniu mojem pomyślał Saint-John? — Nie wiem. Na list mój oznajmiający mu moje z panem Rochester małżeństwo nie odpisał. W jakiś czas potem napisał do mnie list spokojny, przyjacielski nawet, ale poważny bardzo. Nazwiska męża mego nie wspominał w nim zupełnie, wyrażał tylko nadzieję, że będę szczęśliwa i, że Stwórca nie policzy mnie nigdy do

rzędu tych, co żyją bez Boga, dbali jedynie o dobro świata tego.

Nie zapomniałeś prawdopodobnie, czytelniku, Adeli. Ja przynajmniej nie zapomnę jej nigdy. Wkrótce po moim zamążpójściu pojechałam odwiedzić ją na pensyję. Radość jej nie znała granic, a dowód ten przywiązania z jej strony miły mi był nad wyraz. Znalazłam ją bladą, mizerną, a przekonawszy się, że tryb życia i praca, którą jej zadawali, przechodziły siły tak młodego dziecka, zabrałam ją ze sobą w nadziei, że wykształceniem jej sama będę mogła się zająć. Wkrótce przekonałam się, że było to rzeczą niemożebną. Starania koło męża mego cały czas mi zabierały, musiałam więc znowu oddać ją na pensyję jednakże dość blizko położoną, bym czuwać mogła osobiście nad wychowanką moją. Wychowanie angielskie w znacznej części zmodyfikowało naturę jej nadto francuzką; a gdy po ukończonych naukach wróciła do naszego domu znalazłam w niej miłą i serdeczną towarzyszkę i pomocnicę.

Opowieść moja dobiega do kresu. Słówko już tylko o życiu mojem jako mężatki i o losie tych, o których tylekroć wspominałam.

Mija lat dziesięć jak jestem za mężem i dziś, gdy wiem, co to jest życie z najdroższą i dla najdroższej sobie istoty, śmiało powiedzieć mogę, że jestem szczęśliwą, szczęśliwszą niż to sło-

wami określić można. Jestem szczęśliwą, bo mąż mój jest życiem mojem, ja życiem jego, bo żadna kobieta nie była nigdy tak niezbędnie potrzebną swemu mężowi, jak ja nią jestem. Jesteśmy najszczęśliwsi, gdy jesteśmy ze sobą. Nie rozłączamy się też nigdy i w towarzystwie swojem nad wszystko zostajem. Rozmowa nasza jest myślą głośną, wolną jednak i swobodną od sztuki i przymusu. On posiada zupełne moje zaufanie, sam niema dla mnie nigdy myśli ukrytej. Usposobienia nasze zgadzają się, żyjemy też w zgodzie i harmonii najlepszej.

Przez pierwsze dwa lata naszego pożycia pan Rochester był zupełnie niewidomy. To może właśnie wpłynęło najwięcej na tak zupełną spójnię charakterów naszych. Byłam okiem jego tak, jak do dziś dnia jestem jego prawą ręką. Byłam więc wistocie źrenicą oka jego i tak też nazywał mnie często. Przezemnie czytał on w księgach, czytał w naturze. Opisywałam mu zawsze widoki, pola, łąki i lasy, wyrazami memi chciałam zastąpić mu wzrok utracony. Zawsze z nim razem, czytałam mu, oprowadzałam go, najszczęśliwsza, że z tych drobnych posług czuł się szczęśliwym. Kochał mnie tak szczerze, że śmiało żądał odemnie usługi każdej. Wiedział, że mi to było rozkoszą najwyższą.

W dwa lata po ślubie, pisałam za jego dy-

ktandem list jakiś. Przybliżył się, pochylił nademną i spytał:

— Janino, czy masz dziś co świecącego na szyi?

Miałam łańcuszek złoty, dałam mu też twierdzącą odpowiedź.

— A suknia twoja, wszak jest blado-niebieska?

Tak było wistocie.

Powiedział mi wtedy, że od pewnego czasu zdawało mu się, że odzyskuje wzrok jednego oka i że dziś był już tego pewnym.

Pojechaliśmy do sławnego okulisty do Londynu i ukochany mój odzyskał nareszcie wzrok. Nie widzi na obydwa oczy, nie może długo czytać ani pisać, ale świat nie jest już dla niego bezładnym chaosem, dzień nocą wiecznie pochmurną. Gdy mu podano pierworodnego syna, mógł widzieć przynajmniej, że ma jego oczy, jego dawne promienne pełne wyrazu oczy i z sercem skruszonem raz jeszcze dziękował Bogu, że w karaniu miłosiernym był dla niego.

Jestem więc z Edwardem moim szczęśliwa nad wyraz, tem szczęśliwszą, że i ukochani moi są szczęśliwi, Dyjana i Maryja obiedwie wyszły za mąż, Dyjana za pastora, kolegę swego brata, człowieka bardzo zacnego i rozumnego, Maryja

za kapitana marynarki, bardzo miłego i uprzejmego, a dobrego chłopca. Kapitanowa Fritzjances i pani Warthon, corocznie odwiedzają nas i my często do nich jeździmy. Saint-John w Indyjach rolę swą uprawia zawsze z jednakiem zapałem i energiją, uczy, nawraca, z wiarą i ufnością. Jak olbrzym zwalcza przeszkody i przesądy, co stoją na drodze chrystyjanizmu. Jak prawdziwy rycerz nie zraża się trudnościami, idzie wciąż naprzód, a na ustach ma słowo apostoła, gdy tenże w imieniu Chrystusa woła: „Kto chce mnie naśladować, niech się wyrzecze samego siebie, weźmie krzyż swój i idzie za mną".

Saint-John nie ożenił się i nie ożeni nigdy. Pracę swoją sam pełnił i spełnił ją prawie do końca.

Z listów jego widać, że czuje się niedobrze, to też płakałam czytając ostatnie słowa jego pisane do mnie. Wiem, że wkrótce obca jaka ręka zawiadomi mnie, iż wierny sługa Chrystusa powołany został do Jego chwały. I czegóż tu płakać?

Ostatnie chwile Saint-Johna nie będą zatrute obawą śmierci. Żadna chmura nie zaćmi mu widzeń niebieskich. Serce jego będzie do drogi gotowe, ufność niezachwiana, wiara silna. Koniec spokojny.

„Pan mój —pisze w ostatnim swym liście — uprzedził mnie, że koniec mój blizki. Codzień

jaśniej widzę, że wyzwolenie moje się zbliża. Postępuję naprzód szybko i po każdej upłynionej godzinie powtarzam z głębi serca: „Jezu Chryste, powołaj mnie do siebie. Amen!"

KONIEC.



